

221

12 11 1998



WŁADYMIERZ SAWCZENKO

ODNAJDZIESZ SIĘ SAM

CZYTELNIK

Władysław Szwarcwald ... jako opozycjonista i powstanie intelektualno-socjalistyczne -- powstał się w r. 1932 w Polonie. Z powodu jego indywidualnych skłonności. Przez pewien czas przebywał w instytucjach amerykańsko-kanadyjskich, następnie do głównego przedsiębiorstwa i ulokowania w nim. Następnie opublikował w tym czasie prace w takich dziedzinach, w których powstał i, co najważniejsze, wydał w r. 1946.

Pracując „Odniesienie do samej siebie” należy do najgłębszych w doświadczeniu Władysława Szwarcwala. Jest to książka, w której autor, używając oryginalnych metod psychologii transakcyjnej i historii, omawia psychologię człowieka i historię, powołując się na jego własne doświadczenia i historię jego własnej psychologii. Wyniki jego pracy i problematyki, które stanowią jego świat.



Władimir Sawczenko

ODNAJDZIESZ SIĘ SAM

tłumaczyli

Grzegorz Abgarowicz

Józef Mészáros



Czytelnik • 1975 • Warszawa

Tytuł oryginału ОТКРЫТИЕ СЕБЯ

Okładkę projektował

FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

„Czytelnik”. Warszawa 1975.

Wydanie I.

Nakład 70 290 egz.

Ark. wyd. 17, 7. ark. druk. 26.

Papier druk. sat., kl. VII, 60 g. 75 cm.

Oddano do składania 22 V 1974 roku.

Podpisano do druku 17 I 1975 r.

Druk ukończono w lutym 1975 roku.

Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w W-wie.

Zam. wyd. 484;

druk. 4371. W-114.

Cena zł 32.

Printed in Poland

Człowieku, pomóż sobie sam!

L. van Beethoven

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Zanim sprawdzisz instalację elektryczną,
wyłącz zasilanie.

Plakat BHP

Zwarcie na linii, zasilającej pracownię nowych systemów, nastąpiło o trzeciej w nocy. Automat zabezpieczający na podstacji dnieprowskiego Instytutu Systemologii zrobił to, co w takich przypadkach robią wszystkie automaty zabezpieczające: odłączył linię od transformatora, zapalił na tablicy w dyżurce migającą czerwoną lampkę i włączył dzwonek alarmowy.

Dyżurny technik-elektryk Żora Prachow wyłączył dzwonek natychmiast, aby nie odrywać się od studiowania „Podręcznika początkującego motocyklisty” (Żorę czekał egzamin na prawo jazdy), a na mrugającą lampkę popatrywał z rosnącym zniecierpliwieniem: miejscowe zwarcia w pracowniach zwykle usuwano własnymi siłami.

Mniej więcej po godzinie, gdy zrozumiał, że nie uda mu się przeczekać, zamknął podręcznik, wziął torbę z narzędziami, rękawice, blaszaną strzałkę wskaźnika na drzwiach ustawił w położeniu „Prac. Nowych Syst.” i wyszedł z dyżurki. Ciemne drzewa parku nurzały się po pas we mgle. Transformatory olejowe podstacji, podparta

się pod boki rurami chłodnic, stały jak grube, niekształtne baby. Na tle szarzejącego nieba widniała niewyraźna bryła starego budynku Instytutu z ciężkimi balkonami i wymyślnymi wieżyczkami. Po lewej stronie równoległobok nowego budynku, mieszczącego pracownię, próbował zasłonić wczesną zorzę czerwcową.

Żora spojrzął na zegarek (było dziesięć po czwartej), zapalił i rozpędzając mgłę torbą z narzędziami powłókł się w prawo, w odległy kąt parku, gdzie na uboczu stał pawilon pracowni nowych systemów. A o godzinie pół do piątej na wezwanie technika-elektryka Prachowa na miejsce wypadku wyjechały dwa samochody: pogotowie i wóz operacyjny Dnieprowskiej Komendy Milicji.

Chudy, wysoki mężczyzna w jasnym chesuczowym ubraniu szedł przez park na przelaj, nie trzymając się asfaltowych ścieżek; jego buty pozostawiały na szarej od rosy trawie długie, ciemne ślady. Poranny wietrzyk rozwiewał mu rzadkie siwe włosy. W prześwicie między starym i nowym budynkiem widać było oślepiający, różowozłoty brzask, w krzakach przekrzykiwały się ptaki. Ale profesor Arkadij Azarow był od tego myślami daleko.

„W pracowni nowych systemów miał miejsce wypadek, towarzyszu dyrektorze – oświadczył kilka minut temu suchy głos w słuchawce. – Są poszkodowani, bardzo proszę o przybycie”.

Przedwcześnie obudzonego Azarowa ogarnęła fala złego samopoczucia: ciało wydawało się z waty, głowa pusta, życie wręcz obrzydliwe. „W pracowni wypadek... proszę o przybycie”... „To pewnie funkcjonariusz milicji – chodziło mu po głowie. – Są poszkodowani. Cóż to za idiotyczne słowo! Kto poszkodowany? Jaką

szkodę poniósł? Zabiło go, zraniło, spodnie mu się spaliły? Chyba coś poważnego... Znowu! To student włazi pod promieniowanie gamma, żeby przyspieszyć doświadczenie, to znowu... drugi wypadek w ciągu pół roku. Ale przecież Kriwoszejn to nie student, nie smarkacz – co się tam znowu stało? Pracowali nocą, zmęczeni się i... Trzeba zabronić pracować nocami. Kategorycznie!”

...Pięć lat temu członek Akademii Nauk Azarow przyjął propozycję objęcia stanowiska dyrektora organizowanego w Dnieprowsku Instytutu Systemologii. Umyślił sobie wówczas stworzenie systemu naukowego, który stałby się przedłużeniem jego własnego mózgu. Struktura organizacyjna Instytutu rysowała się w jego marzeniach jako układ pionowo-rozgałęziony: on sam rzuca ogólne koncepcje badań i konstrukcji systemów, kierownicy zakładów i pracownicy opracowują je w szczegółach, określają konkretne zadania dla wykonawców, ci realizują je... Jemu samemu pozostaje tylko uogólnianie otrzymanych wyników i wysuwanie nowych podstawowych koncepcji. Jednak rzeczywistość brutalnie włamywała się w te zamierzenia. Ingerencja żywołów objawiała się rozmaicie: w słabości jednych pracowników naukowych i nadmiernej samodzielności drugich, w nieprzestrzeganiu harmonogramu budowy, co doprowadziło do tego, że magazyn i dziedziniec Instytutu do dziś zawałone są nie rozpakowanym sprzętem, w pracach zleconych, przyjmowanych w celu osiągnięcia rentowności, w skandalach, które od czasu do czasu wstrząsały społecznością Instytutu, w różnych awariach i wypadkach... Azarow z goryczą pomyślał, że w chwili obecnej nie jest bliższy realizacji swego planu niż pięć lat temu.

Parterowy, kryty dachówką pawilon idyllicznie białął wśród

kwitnących lip, w powietrzu unosił się ich delikatny aromat. Koło betonowych schodków stały na trawie dwa samochody: biała karetka ZIŁ i niebieska „Wołga” z czerwonym pasem. Na widok pracowni profesor zwolnił kroku i zamyślił się; w ciągu półtora roku jej istnienia był w niej tylko raz, a i to w przelocie, podczas ogólnego obchodu, i obecnie bardzo niejasno wyobrażał sobie, co znajduje się tam za drzwiami.

Pracownia nowych systemów... Prawdę mówiąc, Azarow nie miał na razie podstaw, aby traktować ją poważnie, tym bardziej że powstała ona nie według jego koncepcji, a przez niemiły zbieg okoliczności: „wisało” osiemdziesiąt tysięcy funduszu budżetowego. Do końca roku pozostało półtora miesiąca i wydanie pieniędzy zgodnie z paragrafem („uruchomienie nowych pracowni”) było niewykonalne; budowlani, którzy początkowo zobowiązali się oddać nowy blok na 1 Maja, później na Święto Rewolucji, jeszcze później na Dzień Konstytucji, obecnie przebąkaliwali coś o 8 Marca roku przyszłego. Pojemniki i skrzynie z aparaturą stały na terenie całego parku. Do tego niewykorzystanie funduszu grozi obcięciem budżetu w roku następnym... Na seminarium instytutowym Azarow ogłosił „konkurs”: kto podejmie się wydać te osiemdziesiąt tysięcy do końca roku z sensem i „pod” określoną koncepcję? Kriwoszejn zaproponował zorganizowanie i wyposażenie pracowni poszukiwań losowych. Innych propozycji nie było, trzeba było się zgodzić.

Azarow zrobił to z ciężkim sercem i nawet zmienił nazwę na bardziej opływową: „pracownia nowych systemów”. Pracownie tworzy się „pod ludzi”, a Kriwoszejn był, jak na razie, „rzeczą samą w sobie”: niezły inżynier-systemolog, ale nic więcej. Niech nacieszy

się samodzielnością, zagospodaruje, a kiedy dojdzie do pracy badawczej, sam poprosi o kierownika. Wtedy można będzie znaleźć drogą konkursu doktora, a jeszcze lepiej docenta, i dopiero dla takiego uczonego określić profil pracowni.

Oczywiście, Azarow nie wykluczał i takiej możliwości, że sam Kriwoszeim wyjdzie na ludzi. Koncepcja, którą przedstawił na Radzie Naukowej ubiegłego lata, dotycząca... – czego to? – aha, samoorganizacji układów elektronicznych poprzez wprowadzenie dowolnej informacji, mogła stać się podstawą pracy doktorskiej, a nawet habilitacyjnej. Ale przy jego braku umiejętności współzycia z ludźmi i uporczywym rozrabiactwie było to wątpliwe. Wtedy, na Radzie Naukowej, nie powinien był w taki sposób odparowywać uwag profesora Woltampernowa; biedny profesor musiał potem zażywać krople... Nie, zarozumiałość tego Kriwoszeina jest zupełnie niewybaczalna! Przecież do chwili obecnej nie ma żadnych danych, czy potwierdził swoją koncepcję. Oczywiście, rok to okres niedługi, ale też i inżynier to nie docent, któremu można pozwolić na dalekosiężne badania, ciągnące się dziesiątki lat!

A ta ostatnia awantura... Azarow aż się skrzywił, tak świeże i przykre było wspomnienie, jak to półtora miesiąca temu Kriwoszeim rozłożył w sąsiednim instytucie obronę pracy habilitacyjnej sekretarza naukowego Instytutu. Prawdę mówiąc, występował nie tylko on, ale gdyby nie zaczął, obrona jakoś by przeszła. W obcej instytucji, nie uprzedziwszy o swoich zamiarach, przyszedł i wykończył s w o - j e g o ! Tak skompromitować Instytut i członka Akademii Nauk Azarowa! Pewnie, on sam nie powinien był odnosić się tak pobłaźliwie

do tej pracy, a tym bardziej dawać pozytywną recenzję; uważał jednak, że nieźle byłoby mieć wyhodowanego w Instytucie samodzielnego pracownika naukowego; w końcu nie takie habilitacje przechodziły pomyślnie. Ale Kriwoszein... Azarow jasno dał mu wtedy do zrozumienia, że nie będzie zatrzymywał go w Instytucie... zresztą wspominać o tym było teraz nie tylko przykro, ale i nie na miejscu.

W pawilonie widać było ruch. Myśl, że trzeba teraz wejść, patrzeć na to, wyjaśniać, wywołała u Azarowa uczucie podobne do bólu zęba. „A więc znowu Kriwoszein! – pomyślał z wściekłością. – No, jeśli tylko on jest winien tego wypadku!...” Profesor wszedł po schodkach, szybko minął ciasny, zastawiony aparaturą korytarz, wszedł do pokoju i rozejrzał się.

Duże pomieszczenie o sześciu oknach tylko z grubsza przypominało pracownię badań elektronowo-matematycznych. Metalowe i plastikowe równoległoboki generatorów i oscyloskopów z wycięciami wentylacyjnymi w ściankach stały na podłodze, na stołach i półkach na przemian z wielkimi butlami, pojemnikami, kolbami, krystalizatorami. Kolbami zastawione były i szafy, i zielone skrzynki prostowników selenowych. Cała środkowa część pomieszczenia była zajęta przez nieforemne na pierwszy rzut oka urządzenie, oplecione wężami, przewodami, dziwacznie powyginanymi rurami, na których widniały jakieś wyrostki. W głębi znajdował się ledwo dostrzegalny pulpit maszyny elektronicznej. Cóż to za ośmiornica?

– Tętno wyczuwalne – odezwał się kobiecy głos z lewej strony.

Azarow odwrócił się. Wolną od butli i aparatury przestrzeń między drzwiami i ślepą ścianą wypełniał półmrok. Dwaj sanitariusze ostrożnie przekładali z podłogi na nosze człowieka w szarym

fartuchu laboranta; głowa odrzucona w tył, kosmyki włosów unurzane w jakiejś oleistej cieczy. Koło noszy dreptała drobna lekarka.

– Wstrząs – stwierdziła. – Noradrenalinę i odessać.

Azarow podszedł bliżej. Młody chłopak, bardzo blada twarz o regularnych rysach, ciemnorude włosy. „Nie, to nie Kriwoszejn, ale kto? Gdzieś go widziałem...” Sanitariusz przygotował strzykawkę. Azarow odetchnął głęboko i o mało nie zakrzuszył się: pomieszczenie było przesiąknięte wonią kwasów, spalonej izolacji i jeszcze czegoś ostrego – nieokreślona i ciężka atmosfera tragedii. Sanitariusze i lekarka chodzili po podłodze zalanej jakąś gęstą cieczą.

Do pomieszczenia wszedł zdecydowanym krokiem szczupły mężczyzna w garniturze; poza tym wszystko w nim było nijakie i niewyraźne: szare włosy zaczesane na bok, niewielkie szare oczy zaskakujące blisko osadzone w kościstej twarzy z szerokimi kośćmi policzkowymi, zapadnięte, źle wygolone policzki. Przybyły chłodno skłonił się Azarowowi. Ten odpowiedział podobnym ukłonem. Nie mieli potrzeby przedstawiać się: to właśnie oficer dochodzeniowy Onisimow w lutym bieżącego roku zajmował się śledztwem w „sprawie napromienienia praktykanta Gorszkowa”.

– Rozpocznijmy od identyfikacji zwłok – sucho odezwał się Onisimow i Azarow uczył, że serce zamarło mu na chwilę. – Proszę tędy...

Azarow poszedł za nim w kąt przy drzwiach w kierunku czegoś nakrytego szarą ceratą. Pod ceratą miejscami coś sterczało, wystawały spod niej żółte stopy.

– Legitymacja służbowa, znaleziona w znajdującej się w pracowni odzieży – mówił oficjalnym głosem Onisimow odchylając

brzeg ceraty – wydana na nazwisko Kriwoszeina Walentina. Poznajecie?

Życie nieczęsto stawiało Azarowa twarzą w twarz ze śmiercią. Zrobiło mu się nagle duszno, rozpiął kołnierzyk.

Spod ceraty ukazały się zlepione, krótko ostrzyżone włosy, wytrzeszczone oczy, zapadłe policzki, opuszczone w dół kąciuki ust, potem wystająca grdyka na żylastej szyi, chude obojczyki... „Jakże on wychudł!”

– Tak...

– Dziękuję – Onisimow opuścił ceratę.

A więc to Kriwoszeina... Widzieli się przedwczoraj rano koło starożytnego budynku i minęli się, jak zwykle wymieniając poprawne ukłony. Wtedy był to, choć niezbyt sympatyczny, ale dobrze wyglądający żywy człowiek o okrągłej twarzy. A teraz – śmierć jakby wypięła z niego wszystkie soki życiowe, wysuszyła ciało, pozostały tylko obciągnięte szarą skórą kości. „A przecież Kriwoszeina na pewno zdawał sobie sprawę, jaką rolę wyznaczono mu w organizacji pracowni...” – pomyślał nie wiadomo dlaczego Azarow.

Oficer śledczy wyszedł.

– Oj-jej-jej! Ts-ts... – rozległo się nad uchem Azarowa.

Odwrócił się. W drzwiach stał sekretarz naukowy Harry Charitonowicz Chiłobok. Jego wypielęgnowana twarz była z lekka obrzękła od snu. Sekretarz był, co się zowie, interesującym mężczyzną: duża, dobrze zbudowana postać w lekkim ubraniu, głowa o regularnym kształcie, falujące kasztanowate włosy, pięknie srebrzące się na skroniach, piwne oczy, duży, prosty nos, którego piękno i męskość podkreślały ciemne wąsy. Pewną skazą były ostre zmarszczki wokół kąciuków ust.; charakterystyczne dla ludzi, utrzymujących, twarz

w stałym, napiętym uśmiechu, oraz nieco cofnięty podbródek.

W tej chwili oczy docenta błyszcząły lękliwą ciekawością.

– Dzień dobry, panie profesorze! Cóż to znowu się stało u Kriwoszeina? Przechodzę i myślę sobie: czemu to koło pracowni stoją takie samochody? I zaszedłem... nawiasem mówiąc, drukarki automatyczne to u niego w korytarzu stoją, zauważył pan? Razem z wszelkimi bubłami, a przecież tak o nie walczył, pisma wysyłał. Przekazałby komu innemu, jeśli ich nie wykorzystuje... – Chiłobok westchnął ciężko i spojrzał w prawo. – Nikt inny, tylko student! Oj-jej-jej! Znowu student, po prostu nieszczęście z nimi... – nagle zauważył powracającego Onisimowa i twarz wykrzywiła mu się w uśmiechu. – O, Apollon Matwiejewicz! Witamy! Znowu do nas?

– Matwiej Apollonowicz – skinąwszy głową poprawił go Onisimow.

Otworzył skrzynkę z jasnego drzewa z wymalowanym czarną farbą napisem na wieku „Dow. rzecz.”, wyjął z niej próbkę i przysiadł nad kałużą.

– Oczywiście, Matwiej Apollonowicz, przepraszam bardzo! Ja was przecież doskonale pamiętam jeszcze z poprzedniego razu, tylko imię poplątałem. Matwiej Apollonowicz, jakżeby, oczywiście, długo was wspominaliśmy, waszą rzeczowość i wszystko... – mówił Chiłobok.

– Towarzyszu dyrektorze, jakie konkretnie prace były prowadzone w tej pracowni? – przerwał Onisimow, nabierając próbki płyn.

– Badania samoorganizujących się układów elektronowych z integralnym wprowadzeniem informacji – odpowiedział Azarow. – Tak w każdym razie inżynier Kriwoszein sformułował swój temat

w tegorocznym planie.

– Jasne – Onisimow wstał, powąchał płyn, otarł probówkę wata i schował do skrzynki. – Czy stosowanie, trujących odczynników było przewidziane w planie pracy?

– Nie wiem. Myślę, że nic nie było przewidziane: prace badawcze przeprowadzane są według rozeznania pracownika naukowego...

– A cóż to takiego się stało u Kriwoszeina, że pana profesora tak wcześniej niepokojono? – ściszym głosem spytał Chiłobok.

– Właśnie: co? – Onisimow jawnie adresował swoje słowa do dyrektora. – Zwarcie nie ma znaczenia, to był skutek awarii, a nie przyczyna – to zostało stwierdzone. Rażenia prądem nie było, obrażeń ciała nie ma... i człowieka też. A co to za urządzenie, do czego służy?

Podniósł z podłogi dziwaczny przedmiot, podobny do hełmu antycznego wojownika; był on jednak poniklowany, usiany przyciskami i oplatany wiązkami cienkich różnokolorowych przewodów. Przewody ciągnęły się poza rury i kolby wielkiego urządzenia ku maszynie elektronicznej stojącej w odległym kącie pomieszczenia.

– To? – profesor wzruszył ramionami. – Hm...

– „Czapka Monomacha” – to znaczy, tak się to u nas potocznie nazywa – przyszedł z pomocą Chiłobok. – A dokładniej ZCE-1, zespół czujników elektronicznych do rejestracji potencjałów bioelektrycznych mózgu. Wiem o tym stąd, panie profesorze, że Kriwoszein ciągle mi składał zamówienia na jeszcze jedną taką...

– Tak, jasne. Jeśli pozwolicie, to ja ją wezmę ze sobą, ponieważ znajdowała się na głowie denata.

Onisimow, zwijając przewody, oddalał się w głąb pokoju.

- A kto to zginął, panie profesorze? – szepnął Chiłobok.
- Kriwoszein.
- Niemożliwe! Ładna historia... I znowu będzie pan miał kłopoty i nieprzyjemności.

Powrócił Onisimow. Owinął „czapkę Monomacha” w papier i ułożył w skrzynce. W ciszy pracowni słychać było tylko dyszenie sanitariuszy, zajmujących się nieprzytomnym laborantem.

- A dlaczego Kriwoszein był nagi? – spytał nagle Onisimow.
- Nagi?! – zdziwił się profesor. – To nie lekarze go rozebrali? Nie wiem! Pojęcia nie mam.

– Hm... jasne. A jak sądzicie, po co im był ten zbiornik? Nie do kąpieli przypadkiem?

Onisimow wskazał na prostokątny plastikowy zbiornik leżący na boku wśród porozbijanych i porozgniatanych kolb. Z przezroczystych ścianek zwisały strzępy i sople szarozółtej substancji. Wokół zbiornika porozrzucone były odłamki wielkiego lustra.

– Do kąpieli?! – Dyrektora zaczęło drażnić to wypytywanie. – Obawiam się, że wasze poglądy na przeznaczenie pracowni naukowej są dość oryginalne, towarzyszu... śledczy!

– I lustro stało obok – porządne, na cały wzrost – ciągnął swoje Onisimow. – Po co?

– Nie wiem! Nie mogę wnikać w szczegóły techniczne wszystkich stu sześćdziesięciu prac, prowadzonych w moim Instytucie!

– Widzicie, Apollonie Matwie... przepraszam, Matwieju Apollonowiczu – pospieszył na ratunek docent Chiłobok – profesor Azarow kieruje całym Instytutem, jest członkiem pięciu komisji międzyresortowych, redaktorem czasopisma naukowego i zupełnie

oczywiste, że nie może wdawać się w szczegóły każdej pracy – po to są wykonawcy. Do tego nieboszczyk – taka jest prawda, niestety – nieboszczyk Walentin Kriwoszejn był człowiekiem o nadmiernej rozwiniętej samodzielności, nie lubił radzić się nikogo ani wtajemniczać w swoje zamysły i wyniki. Z bezpieczeństwem i higieną pracy był zresztą – trzeba to powiedzieć wprost – na bakier, i to dość często... Oczywiście, rozumiem, że de mortuis aut bene, aut nihil, jak to się mówi, czyli że o zmarłych albo dobrze, albo wcale, rozumiecie? – ale co było, to było. Pamięta pan, panie profesorze, jak dwa lata temu zimą – Kriwoszejn jeszcze wtedy pracował u Iwanowa, w styczniu... nie, w lutym... nie, jednak chyba w styczniu... a może nawet jeszcze w grudniu – pamięta pan, zalał wtedy wodą dolne piętra, narobił szkód i spowodował przerwanie prac?

– Ależ z pana gnida, Chiłobok! – odezwał się nagle głos z noszy. Laborant-student, chwytając za brzegi, próbował wstać. – Ależ... Szkoda, żeśmy panu wtedy nie dołożyli.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę. Azarowowi dreszcz przeszedł po plecach, tak niezwykle podobny był głos studenta do głosu Kriwoszeina: ta sama chryпка, tak samo niedbale wymawiane końcówki... Laborant opadł bezsilnie, głowa zwiśla mu na podłogę. Sanitariusze z zadowoleniem ocierali pot: ożył, kochany! Na znak lekarki sanitariusze podnieśli nosze i ruszyli ku wyjściu. Dyrektor przyjrzał się chłopcu. Znowu serce mu podskoczyło: laborant – na pierwszy rzut oka nie wiadomo czemu – podobny był do Kriwoszeina; nawet nie do żywego, a do tych zwłok pod ceratą.

– Proszę, nawet praktykanta zdążył podpuścić – z niezwykłą łagodnością pokiwał głową Chiłobok.

– A czemu on was tak... określił? – zwrócił się do niego Onisimow. – Mielicie jakiś konflikt?

– Ależ skąd! – Docent ze zdziwieniem wzruszył ramionami. – W ogóle raz z nim tylko rozmawiałem, kiedy przyjmowałem go na praktykę do pracowni Kriwoszeina, na jego osobistą prośbę, ponieważ ten...

– ...Krawiec Wiktor Witaliewicz – sprawdził w notatkach Onisimow.

– Właśnie... on był krewnym Kriwoszeina. To student z Uniwersytetu Charkowskiego, przysłali ich do nas w zimie piętnastu na roczną praktykę. A etat laboranta Kriwoszeina mu załatwił tak, rodzinnie – jakże nie pomóc, wszyscy jesteście ludźmi...

– Nie trzeba już, panie docencie – przerwał mu Azarow.

– Jasne – skinął głową Onisimow. – A czy oprócz Krawca denat miał jakichś bliskich?

– Jak by to powiedzieć – westchnął znacząco Chiłobok. – Oficjalnie to nie, a nieoficjalnie... przychodziła do niego pewna kobieta, nie wiem, narzeczona, czy tak po prostu; Kołomyjec Helena Iwanowna, pracuje po sąsiedzku, w Biurze Konstrucyjnym, miła osoba...

– Jasne. Widzę, że jesteście świetnie zorientowani – uśmiechnął się Onisimow kierując się ku drzwiom.

Po chwili powrócił z aparatem fotograficznym, kierując w kąt światłomierz.

– Pracownię na czas trwania śledztwa będę zmuszony opieczętować. Zwłoki zostaną przewiezione na ekspertyzę sądowo-lekarską w celu dokonania sekcji. Towarzysze, którzy zajmą się organizacją

pogrzebu, winni tam się zwrócić – Onisimow podszedł do zwłok i ujął róg ceraty. – Prosiłbym o odsunięcie się od okna, będzie widniej. Właściwie nie muszę już dłużej was zatrzymywać, towarzysze, przepraszam za niepo...

Nagle urwał, szybkim ruchem podniósł ceratę: na brunatnym lino-leum leżał szkielet! Dookoła rozlewała się żółta kałuża, w której kształcie można było dopatrzeć się karykaturalnego konturu sylwetki ludzkiej.

– Ach! – Chiłobok gwałtownie cofnął się za próg.

Azarow poczuł, że słabnie, oparł się o ścianę. Onisimow powolnymi, machinalnymi ruchami składał ceratę i jak zaczarowany patrzył na szkielet, który drwiąco uśmiechał się trzydziestodwuzębny uśmiechem. Z czaszki bezgłośnie ześliznęła się do kałuży kosmyk ciemnorudych włosów.

– Jasne... – mruknął oszołomiony Onisimow. Potem odwrócił się do Azarowa, z dezaprobatą patrząc w szeroko otwarte oczy, ukryte za prostokątnymi okularami. – Dziwne rzeczy tu się u was dzieją, towarzyszu dyrektorze...

Rozdział drugi

– Co możecie powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

– No, więc...

– Wystarczy. Rozstrzelać. Następny!

Rozmowa

Dla oficera śledczego Onisimowa na razie nic właściwie nie było

jasne; porzekadło takie pozostało mu z lepszych czasów, starał się od niego odzwyczaić, ale na próżno. Co więcej, był on zaskoczony i wysoce zaniepokojony takim przebiegiem wydarzeń. Na pół godziny przed telefonem z Instytutu Systemologii lekarz sądowy Zubato, który dyżurował tej nocy razem z nim, wyjechał do wypadku drogowego za miasto. Onisimow pojechał do Instytutu sam. I proszę: na miejscu nie ostygłych jeszcze zwłok pojawił się leżący w tej samej pozycji szkielet. Czegoś takiego nie było jeszcze w praktyce kryminalogicznej. Nikt nie uwierzy, że zwłoki s a m e zamieniły się w szkielet – wyśmieją i tyle! I pogotowie też odjechało – chociaż oni mogliby potwierdzić. Nawet zwłok nie zdążył sfotografować...

Słowem, wszystko, co się wydarzyło, przedstawiało się Onisimowowi jako łańcuch poważnych niedociągnięć w prowadzeniu śledztwa. Dlatego, nie opuszczając terenu Instytutu, zaopatrzył się w pisemne zeznania technika Prachowa i dyrektora, profesora Azarowa.

Technik-elektryk Prachow Georgij Daniłowicz, lat dwadzieścia, Rosjanin, kawaler, zdolny do służby wojskowej, bezpartyjny, zeznał:

„...Kiedy wszedłem do pracowni, górne światło paliło się, uszkodzony był tylko przewód siłowy. W pomieszczeniu panował taki smród, że o mało nie zwymiotowałem – jak w szpitalu. Pierwsze, co zauważyłem: goły mężczyzna leży w wywróconym zbiorniku, głowa i ręce zwisają, na głowie jakieś metalowe urządzenie. Ze zbiornika coś wycieka, jakby syrop! Drugi – student, nowy, znam go z widzenia – leży obok, twarzą do góry, ręce rozrzucone. Rzuciłem się do tego w zbiorniku, wyciągnąłem go. Był jeszcze ciepły i śliski, nie szło go utrzymać. Poruszyłem nim – tak jakby trup. Z twarzy poznałem: Walentin Kriwoszejn, spotykałem go często w Instytucie, kłanialiśmy się sobie. Student oddychał, ale do siebie nie przychodził.

Ponieważ w nocy na terenie Instytutu oprócz straży nikogo nie ma, wezwałem telefonicznie z pracowni pogotowie ratunkowe i milicję.

A zwarcie zrobiło się w kablu siłowym, który dochodzi do tablicy w pracowni dołem wzdłuż ściany w rurce aluminiowej. Zbiornik rozbił butlę – widocznie z kwasem – kwas wszystko przeżarł w tym miejscu i zwarł jako przewodnik drugiego rodzaju”.

Fakt wyjścia na miejsce awarii w godzinę po alarmie Żora prze-zornie przemilczał.

Dyrektor Instytutu Arkadiusz Arkadiewicz Azarow, doktor nauk fizyczno-matematycznych i członek rzeczywisty Akademii Nauk, lat pięćdziesiąt osiem, Rosjanin, żonaty, zwolniony od powszechnego obowiązku wojskowego, członek KPZR, oświadczył, że „w okaza-nych mu na miejscu wypadku przez oficera śledczego M. A. Onisi-mowa zwłokach rozpoznał rysy twarzy pełniącego obowiązki kie-rownika pracowni nowych systemów Walentina Kriwoszeina” i z charakterystycznym dla członka Akademii Nauk obiektywizmem dodał, że „wstrząsnęło nim niewiarygodne wyniszczenie zmarłego, istotnie niewiarygodne, nie odpowiadające jego normalnemu wyglą-dowi”.

O pół do jedenastej przed południem Onisimow powrócił do Komendy Miejskiej do swego gabinetu na parterze, którego okna, przekreślone pionowymi prętami krat, wychodziły na ruchliwy o każdej porze prospekt Marksa. Onisimow krótko zameldował dyżur-nemu majorowi Rabinowiczowi o zajściu, skierował próbówki z płynem do ekspertyzy, po czym zatelefonował do szpitala pogoto-wia, aby dowiedzieć się, w jakim stanie znajduje się jedyny świadek zajścia. Odpowiedziano, że czuje się dobrze i prosi, aby go wypisać.

– Dobrze, wypisujcie, zaraz wysyłam samochód – zgodził się Onisimow.

Nie zdążył wydać polecenia, kiedy do gabinetu wpadł lekarz sądowy Zubato, hałaśliwy, tryskający zdrowiem i energią mężczyzna o owłosionych rękach.

– Matwiej, coś ty mi przywiózł?! – wykrzyknął i w oburzeniu opadł gwałtownie na krzesło, które aż jęknęło pod nim. – Co to za wyglupy?! Jakże ja ustalę przyczynę zgonu na szkieletie?

– Co mi zostało, to przywiozłem – rozłożył ręce Onisimow. – Dobrze, że jesteś, z miejsca formułuję pytanie: w jaki sposób zwłoki mogą zamienić się w szkielet?

– Z miejsca odpowiadam: w wyniku rozkładu tkanek, co w normalnych warunkach trwa tygodnie, a nawet miesiące. To wszystko, co zwłoki mogą same.

– W takim razie... jak m o ż n a ze zwłok zrobić szkielet?

– Zdjąć skórę, ściąć tkanki miękkie i gotować w wodzie aż do pełnego obnażenia kości. Zaleca się zmieniać wodę. Czy możesz wreszcie z sensem opowiedzieć, co tam się działo?

Onisimow opowiedział.

– Ładna historia! Ech, szkoda, że mnie tam nie było! – Zubato z żalem klepnął się po udach.

– A co na szosie?

– E, nic. Pijany motocyklista wpadł na krowę. Oboje żyją... Więc mówisz, że zwłoki „rozplynęły się”? – lekarz sceptycznie zmużył oczy i przybliżył pełną twarz do Onisimowa. – Matwiej, to lipa. To się nie zdarza, mówię poważnie. Człowiek to nie sopol, nawet po śmierci. A nie wykiwali cię tam przypadkiem?

– A to niby jak?

– A tak: podsunęli szkielet na miejsce zwłok, kiedy wchodziłeś i wychodziłeś... i cicho sza!

– Co ty pleciesz: podsunęli! Co, członek Akademii Nauk stał na świecy? A zresztą on sam zeznał... – Onisimow zaczął przewracać papiery w poszukiwaniu zeznań Azarowa.

– E, dużo oni ci tam teraz zeznają! Wiesz, jacy to ludzie... – Zubato wykonał falisty ruch owłosionymi palcami. – Pamiętasz, kiedy ten student się u nich napromienił, to kierownik pracowni też wszystko zwał na naukę: mało zbadane zjawisko, powiada, promieniowanie gamma zniszczyło krystaliczne komórki dozymetru... a w rzeczywistości okazało się, że studenci podpisywali instrukcję o pracy z izotopami nie czytając jej. Odpowiadać nikomu się nie chce, nawet członkom Akademii, a szczególnie w mokrej sprawie. Przypomnij sobie: zostawiałeś ich sam na sam ze zwłokami?

– Zostawiałem – powiedział złamanym głosem śledczy. – Dwa razy...

– No i wtedy twoje zwłoki „rozplynęły się”! – i Zubato roześmiał się beztróskim śmiechem człowieka, świadomego, że to nie jego spotkały nieprzyjemności.

Oficer śledczy zamyślił się, potem przecząco pokręcił głową.

– Nie, tego mi nie wmówisz. Sam widziałem... No, ale co teraz będzie z tym szkieletem?

– A niech go... poczekaj, mam myśl. Wyślij czaszkę do miejskiej pracowni rzeźbiarskiej, niech zrekonstruują twarz metodą profesora Gierasimowa, oni to umieją. Jeśli się zgodzi, to... to przecież będzie kryminologiczna sensacja stulecia! A jak nie... – Zubato ze współczuciem spojrział na Onisimowa – to nie chciałbym być w

twojej skórze, jak będziesz rozmawiał z szefem. No, dobra, sam poślę tę czaszkę, niech i tak będzie – podniósł się. – I od razu zrobię oględziny... chociaż szkieletu, jeśli ze zwłokami u ciebie krucho.

Zubato wyszedł.

„A jeśli mnie naprawdę wykiwali? – Onisimow przypomniał sobie, jak nieprzyjaźnie patrzył na niego profesor, jak nadskakiwał docent Chiłobok, i zrobiło mu się zimno. – Zwłoki mi zginęły, główny dowód, ładna historia!”

Wykręcił numer laboratorium chemicznego.

– Wiktorio Stiepanowno, tu Onisimow. Zbadaliście płyn?

– Tak, protokół przepisujemy, ale mogę już przeczytać wyniki. „Woda – 85 procent, białka – 15 procent, aminokwasy – 0,5 procent, kwasy tłuszczowe – 0,4 procent” i tak dalej. Słowem, osocze krwi ludzkiej. Hemaglutyniny grupy 0, zawartość wody obniżona.

– Jasne. A zaszkodzić to może?

– Myślę, że nie...

– Jasne... A gdyby, na przykład, wykąpać się w tym?

– No... można by chyba się zachłysnąć i utonąć. Urządza was to?

– Dziękuję! – Onisimow z rozdrażnieniem rzucił słuchawkę na widełki. „Dowcipna się znalazła! Ale wersja nieszczęśliwego wypadku chyba jednak odpada... A może go laborant utopił? Bardzo prosto. Nie, na utonięcie to nie wygląda...”

Z każdą chwilą sprawa podobała się Onisimowowi coraz mniej. Rozłożył na stole dokumenty przyniesione z działu kadr Instytutu i z pracowni i zagłębił się w nich. Oderwał go telefon.

– Matwiej, stawiasz wódkę! – zagrział w słuchawce zwycięski głos Zubato. – Co nieco udało mi się ustalić nawet na szkielecie: w połowie szóstego i siódmego żebra prawego są głębokie poprzeczne pęknięcia. Takie pęknięcia mogą powstać wskutek uderzenia tępym, ciężkim narzędziem albo od uderzenia o tępy przedmiot, jak wolisz. Powierzchnia złamania nierówna, świeża...

– Jasne!

– Takie pęknięcia nie mogą być przyczyną zgonu. Ale uderzenie o dużej sile mogło poważnie uszkodzić narządy wewnętrzne, których, niestety, brak... Tak to wygląda... Będę rad, jeśli przyda ci się to na coś.

– Jeszcze jak się przyda! Czaszkę odesłałeś na identyfikację?

– Dopiero co. I zadzwoniłem, obiecali, że zrobią szybko.

„A więc to nie jest nieszczęśliwy wypadek przy pracy. Ani plyn, ani zwarcia nie łamią człowiekowi żeber. Hm! To znaczy, że było ich tam dwóch, poszkodowany i denat. I wygląda na to, że między poszkodowanym i denatem wynikła solidna rozróbka...”

Onisimow poczuł się pewniej: sprawa zaczęła przybierać zwykły obrót. Zaczął pisać tekst pilnej depezy do Charkowa.

Czerwcowy dzień rozpałał się upałem. Słońce topiło asfalt, żar sączył się do gabinetu. Onisimow włączył stojący na biurku wentylator.

Odpowiedź z Charkowskiej Komendy Milicji przyszła dokładnie o godzinie pierwszej.

Laboranta Krawca doprowadzono o pół do drugiej. Wszedł do gabinetu, uważnie rozglądając się już od progu, i uśmiechnął się zauważywszy kraty w oknach.

– Co to, żeby się szybciej przyznawali?
– Niece, co wy! – dobrodusznie zawołał Onisimow. – W naszym budynku dawniej była hurtownia i dlatego cały parter okratowali. Wkrótce zdejmujemy, złodzieje i tak na milicję z własnej ochoty nie przyjdą, cha, cha... Siadajcie. Zdrowi już jesteście, zeznawać możecie?

– Mogę.

Laborant przeszedł przez pokój, usiadł na krześle naprzeciw okna. Onisimow przyglądał mu się. Młody, dwadzieścia cztery lata, nie więcej. Podobny do Kriwoszeina, tak mógł tamten wyglądać dziesięć lat temu. „Chociaż – Onisimow zerknął na fotografię Kriwoszeina w aktach personalnych – tamten nie był taki. Ten to przystojniak.” I rzeczywiście, w wyglądzie Krawca było coś z ulizanego manekina o zbyt regularnych rysach. Wrażeniu temu przeczyły tylko oczy – może nawet nie tyle oczy, błękitne i młodzieńczo jasne, co badawcze zmrużenie powiek. Laborant patrzył na oficera mądrym i czujnym wzrokiem. „Jakieś stare on ma te oczy – pomyślał Onisimow. – Ale szybko się otrząsnął, żadnego śladu. No, spróbujemy.”

– Wiecie, że jesteście podobni do zmarłego Kriwoszeina?

– Do zmarłego?! – Laborant zacisnął szczęki i na moment zamknął oczy. – To znaczy, że on...

– A tak, właśnie znaczy – ostro potwierdził Onisimow. „Z nerwami u niego nie najlepiej...” Ale trzymajmy się kolejności – przysunął sobie arkusz papieru i otworzył wieczne pióro. – Wasze imię, nazwisko, wiek, miejsce pracy lub nauki, adres?

– Przecież na pewno wszystko to wiecie.

– Wiemy, nie wiemy – taki jest porządek, że przesłuchiwany sam się przedstawia.

„A więc zginął... co teraz robić? Co mówić? Katastrofa... Diabli mnie przynieśli na tę milicję, mogłem uciec ze szpitala... Co teraz będzie?”

– Proszę, piszcie: Wiktor Witaliewicz Krawiec, lat dwadzieścia cztery, student piątego roku wydziału fizycznego Uniwersytetu w Charkowie. Mieszkam na stałe w Charkowie, na Chłodnej Górze. Tu jestem na praktyce.

– Jasne – oficer śledczy, zamiast pisać, szybko i bezcelowo kręcił pióro w rękę. – Pozostawaliście w stosunku pokrewieństwa z Kriwoszeinem, w jakim mianowicie?

– Dalekie pokrewieństwo – niezręcznie uśmiechnął się student.
– Jakaś tam dziesiąta woda po kisielu.

– Jasne! – Onisimow położył pióro, wziął do ręki blankiet telegraficzny; głos jego był surowy. – No więc, obywatelu, nie zgadza się.

– Co się nie zgadza?

– Wasza wersja, że nazywacie się Krawiec, mieszkacie i uczycie się w Charkowie i tak dalej. W Uniwersytecie Charkowskim nie ma takiego studenta. Poza tym na Chłodnej Górze 17 taka osoba nie jest zameldowana ani na stałe, ani czasowo.

Przesłuchiwany na moment oklapł, twarz mu się zaczerwieniła. „Wpadłem. Ależ wpadłem, cholera!! Jak idiotycznie!... Oczywiście, od razu sprawdzili. Co to jednak znaczy brak doświadczenia... Ale co teraz mówić?...”

– Mówcie prawdę.. I to ze szczegółami. Nie zapominajcie, że chodzi o śmiertelny wypadek.

„Prawdę... Łatwo się mówi.”

– Widzicie... prawda, jak by to powiedzieć... będzie zbyt długa i

skomplikowana... – wykrztusił z wahaniem odczuwając nienawiść i pogardę do samego siebie za to wahanie. – Tu trzeba by i o teorii informacji, o modelowaniu procesów losowych...

– No, no, tylko mi tu, obywatelu, nie kręćcie – zmarszczył się z niechęcią Onisimow. – Od teorii ludzie nie giną, to jest czysta praktyka i fakty.

– Ale... widzicie, może naprawdę nikt nie zginął, to można udowodnić... próbować udowodnić. Sprawa polega na tym, że... widzicie, obywatelu śledczy... („Dlaczego ja się do niego zwracam «obywatelu śledczy», przecież mnie jeszcze nie aresztowali?!”) Widzicie, człowiek to przede wszystkim... noo... nie kawał protoplazmy wagi siedemdziesięciu kilogramów... No, powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt litrów wody, dwadzieścia kilogramów białka... tłuszczów i węglowodanów... enzymy, fermenty i cała reszta... Człowiek to przede wszystkim informacja. Zgęstek informacji... I jeśli informacja nie zginęła – człowiek żyje...

Zamilkł, przygryzł wargę. „Nie, to nonsens. Nawet nie warto się wysilać.”

– No, no, słucham was, kontynuujcie – uśmiechając się w duchu, przynaglił Onisimow.

Laborant spojrział na niego spode łba, usiadł wygodniej i powiedział z lekkim uśmiechem:

– Jednym słowem, jeśli bez teorii, to Walentin Kriwoszejn to właśnie ja. Możecie to zaprotokołować.

Było to tak nieoczekiwane i bezczelne, że Onisimow na chwilę zaniemówił. „A może by go do psychiatry?” Ale błękitne oczy przesłuchiwanego patrzyły inteligentnie, a w ich głębi krył się drwiący uśmiezek. Właśnie ten uśmiezek wyprowadził Onisimowa z osłupienia.

– Jasne! – podniósł się ciężko. – Wy co, balona ze mnie robicie? Tak jakbym nie czytał akt personalnych Kriwoszeina, nie był na miejscu zajścia, nie pamiętał jego twarzy i tak dalej? – Oparł się dłońmi o biurko. – Nie chcecie zeznawać, tym gorzej dla was. I tak się dowiemy... Przyznajecie się do podrobienia dokumentów?

„Koniec. Trzeba kończyć zabawę.”

– Nie. To jeszcze musicie mi udowodnić. Równie dobrze mogliście powiedzieć, że to ja jestem podrobiony!

Laborant odwrócił się w stronę okna.

– Wy mi tu nie pajacujcie, obywatelu! – podniósł głos Onisimow. – W jakim celu wkręciliście się do pracowni? Odpowiadać! Co tam zaszło między wami i Kriwoszeinem? Odpowiadać!

– Nie będę odpowiadał!

Onisimow w duchu nawymyślał sobie za brak opanowania. Usiadł, pomilczał chwilę i zaczął mówić przyjacielskim tonem.

– Posłuchajcie, nie myślcie, że ja was chcę w cokolwiek wrobić. Mój obowiązek to przeprowadzić dochodzenie, zameldować, prokuratura niech sobie potem prowadzi śledztwo, a sąd decyduje... Ale sami sobie szkodzicie. Nie rozumiecie jednego: jeżeli przyznacie się później, jak to się mówi, „pod presją poszlak”, to przyznanie nie będzie miało takiej wartości jak teraz. Być może wszystko nie wygląda tak strasznie. Ale jak na razie wszystkie poszlaki przemawiają przeciw wam. Obrażenia zwłok, dane ekspertów, inne okoliczności... I wszystko sprowadza się do jednego – przechylił się przez stół, ściszył głos – jakbyście wy właśnie... denatowi... no, powiedzmy... pomogli.

Przesłuchiwany opuścił głowę, potarł twarz dłońmi. Przed jego oczyma znowu pojawił się obraz: konwulsyjnie rzucający się w zbiorniku szkielec z głową Kriwoszeina, jego własne ręce, wczepione

w brzeg zbiornika... ciepły, łagodny płyn dotyka ich i – wstrząs!

– Sam nie wiem, ja czy nie ja... – wydusił cichym głosem. – Nie mogę pojąć... – podniósł oczy. – Posłuchajcie, ja muszę wrócić do pracowni!

Onisimow omal nie podskoczył: tak szybkiego zwycięstwa nie spodziewał się.

– Cóż, bywa i tak – ze współczuciem pokiwał głową. – W stanie afektu spowodowanego poniżeniem godności własnej albo przekroczenie obrony koniecznej... Pójdziemy i do pracowni, wyjaśnicie na miejscu, co tam między wami zaszło – przysunął bliżej leżącą na brzegu stołu „czapkę Monomacha” i spytał mimochodem: – To tym zasunęliście go w żebra czy jak? Ciężka sztuka.

– No, dość! – ostro i jakby nawet z wyższością odezwał się przesłuchiwany i wyprostował się. – Nie widzę sensu dalszej rozmowy: najwyraźniej chcecie mnie zrobić w mokrą robotę... A nawiasem mówiąc, ta „ciężka sztuka” jest warta pięć tysięcy rubli, obchodźcie się z nią ostrożniej,

– A więc nie życzyście sobie odpowiadać?

– Nie.

– Jasne. – Onisimow nacisnął przycisk. – Zatrzymamy was do wyjaśnienia.

W drzwiach pojawił się chudy, wysoki milicjant o długiej twarzy i zwisającym nosie, o takich na Ukrainie mówią: „Dowhyj, aż hnet-sia”.

– Hajewoj? – Onisimow spojrzął na niego z powątpiewaniem. – Co to, z doprowadzających nikogo więcej nie ma?

– A tak ich wszystkich rozgoniło, towarzyszu kapitanie –

odpowiedział tamten. – Na plażach przeważnie, porządku pilnują.

– Samochód jest?

– „Gazik”.

– Odstawcie zatrzymanego do aresztu śledczego... Niedobrze, że odmawiacie pomocy sobie i nam, obywatelu. Złe światło to rzuca na waszą rolę.

Laborant odwrócił się w drzwiach.

– A wy niesłusznie uważacie, że Kriwoszejn zginął.

„Z tych cwaniaków, dla których najważniejsze jest efektowne wyjście. I żeby ostatnie słowo należało do niego – uśmiechnął się w ślad za nim Onisimow. – Widzieliśmy i takich. No nic, posiedzi – zmańdrzeje.”

Kapitan zapalił, zabębnił palcami po szkłe na biurku. Początkowo poszlaki (fałszywe dokumenty, informacje ekspertów, okoliczności zajścia) rozbudziły w nim przekonanie, że laborant, jeśli nawet nie jest bezpośrednim zabójcą, to w każdym razie czynnym sprawcą śmierci Kriwoszeina. W czasie rozmowy jednak przekonanie to uległo zachwianiu. I nie chodziło tu o to, co mówił przesłuchiwany, a o to, jak mówił. Jego zachowanie nie było przemyślane, nie czuło się w nim gry, tej gry na śmierć i życie, która zdradza groźnego przestępcę jeszcze wcześniej, niż udowodnią to fakty.

„Wygłąda na to, że w końcu wyjdzie z tego nieumyślne zabójstwo. Sam mówi: «Nie wiem, ja czy nie ja...». Tylko ten szkielet, co ze szkieletem? Jak to się stało? I czy rzeczywiście samo się stało? Może ktoś pomógł? A poza tym: próba podawania się za Kriwoszeina z «teoretycznym» uzasadnieniem... Co to takiego: symulacja? A może ten brak gry to po prostu bardzo sprytna gra? Tylko gdzie miałyby się czegoś takiego nauczyć: młody, niedoświadczony... - No

dobrze, ale motywy? Co tam między nimi zaszło? A z drugiej strony: fałszywe dokumenty?”

Myśli Onisimowa zabrnęły w ślepy zaułek. „Cóż, będziemy wnikać w okoliczności.” Wstał zza stołu, wyjrzał na korytarz: spacerował tam już docent Chiłobok.

– Proszę bardzo!... Zaprosiłem was, towarzyszu Chiłobok, żeby... – zaczął oficer.

– Tak, tak, rozumiem – przytaknął docent – cokolwiek by się zdarzyło, dla mnie z tego same kłopoty. Ludzie umierają ze starości, co i nam daj Boże, Matwieju Apollonowiczu, nieprawdaż? A u Kriwoszeina zawsze na opak. Nie, ja oczywiście współczuję, nie zrozumcie mnie źle, człowieka zawsze szkoda, nieprawdaż? Tylko że przez Kriwoszeina miałem tyle kłopotów, tyle nieprzyjemności, a wszystko przez to, że charakter miał taki kanciasty, nikogo nie szanował, z nikim się nie liczył, od kolektywu odrywał się systematycznie...

– Jasne. Tylko ja chciałbym wyjaśnić przede wszystkim, czym zajmował się Kriwoszein i powierzona mu pracownia. Jesteście sekretarzem naukowym, więc...

– A jednak zgadłem! – uśmiechnął się z zadowoleniem docent. – Nawet kopię planu tematycznego wzięłem, a jakże! – Zaszeleścił papierami w teczce. – Proszę bardzo: temat 154, charakter pracy: naukowo-badawczy, tytuł: „Samoorganizacja złożonych układów elektronicznych z integralnym wprowadzeniem informacji”, treść pracy. „Badania możliwości samoorganizacji układu złożonego w układ o wyższym stopniu komplikacji przy integralnym (nie zróżnicowanym pod względem sygnałów i symboliki) wprowadzaniu różnorodnej informacji na drodze rozbudowywania układu zgodnie z jego sygnałem wyjściowym”, finansowanie – budżet, realizacja

metodami matematycznymi, logicznymi i doświadczalnymi. Kierownik: inżynier W. Kriwoszejn, wykonawca: jak wyżej...

– A na czym polega istota jego badań?

– Istota? Hm... – twarz Chiłoboka spoważniała. – Samoorganizacja układów... żeby maszyna sama siebie budowała, rozumiecie? W Ameryce też bardzo intensywnie się tym zajmują. Tak, bardzo. W Stanach Zjednoczonych...

– A czym konkretnie zajmował się Kriwoszejn?

– Konkretnie... Zaproponował nowe podejście do tworzenia tych układów za pomocą... integralizacji. Nie, samoorganizacji... Tylko nie wiadomo, czy mu co z tego wyszło – Chiłobok uśmiechnął się rozbrajająco. – Wiecie, kapitanie, tyle tematów, tyle prac w Instytucie, we wszystkim trzeba wnikać, nie sposób wszystkiego spamiętać. Lepiej byłoby odszukać protokoły Rady Naukowej.

– To znaczy, że on referował temat na Radzie Naukowej Instytutu?

– Oczywiście! U nas wszystkie prace są dyskutowane przed włączeniem do planu. Przecież finansujemy prace zależnie od uzasadnienia, a jakżeby inaczej?

– I cóż on uzasadnił?

– No jak to co? – lekceważąco uniósł brwi sekretarz naukowy. – Swoją koncepcję dotyczącą nowego podejścia odnośnie do samoorganizacji... Naprawdę, najlepiej będzie odszukać protokół – westchnął. – Przecież to było rok temu, a u nas ciągle jakieś dyskusje, posiedzenia, komisje co tydzień albo i częściej, możecie to sobie wyobrazić? I we wszystkich muszą brać udział, muszą organizować wystąpienia, sam zabierać głos, zapraszać, nawet i teraz – prosto od was jadę do Towarzystwa Rozpowszechniania, tam dzisiaj będzie

posiedzenie w sprawie przyciągnięcia kadr naukowych do akcji wygłaszania odczytów na wsi w czasie żniw, nawet obiadu nie zdążyć, żeby chociaż szybciej na urlop...

– Jasne. Ale temat został zatwierdzony przez Radę?

– Tak, a jakże! Wielu co prawda sprzeciwiało się, dyskusja była. Ach, jak ostro odpowiadał wtedy Kriwoszejn, zupełnie niedopuszczalnie – profesor Woltampernow po posiedzeniu musiał zażywać krople walerianowe, możecie sobie wyobrazić? Poradzono dyrektorowi, żeby ukarał Kriwoszeina naganą za niewłaściwe zachowanie, sam pismo przygotowałem... Ale temat zatwierdzono, a jakże... Proponuje człowiek nowe idee, nowe podejście – niech próbuje. U nas w nauce tak już jest... Do tego sam profesor Azarow go poparł – nasz Azarow to człowiek gołębiego serca, przecież i oddzielną pracownię Kriwoszejnowi przydzielił dlatego, że ten przez swój charakter nie mógł się z nikim pogodzić w pracy. Co prawda, ta jego pracownia to po prostu kpina, w strukturze organizacyjnej Instytutu nie figuruje, etat jeden... A na Radzie przedyskutowano i przegłosowano „za”. Ja też głosowałem „za”.

– No a za czym właściwie? – Onisimow wytarł chustką spoczone czoło.

– Jak to za czym? Za tym, żeby temat włączyć do planu, przeznaczyć środki finansowe... Planowanie jest przecież podstawą naszego społeczeństwa.

– Jasne... Jak sądzicie, Harry Charitonowiczu, co się tam u nich stało?

– Hmm... przecież to wy właśnie powinniście wyjaśnić, szanowny Matwieju Apollonowiczu, skąd ja mam wiedzieć? Ja jestem sekretarzem naukowym, papierkowe sprawy tylko załatwiam.

Pracowali przecież we dwóch z tym laborantem, on musi wiedzieć. Do tego jest świadkiem naocznym.

– A czy wy wiecie, że ten praktykant-laborant nie jest tym, za kogo się podaje? – zapytał surowo Onisimow. – Ani się nie nazywa Krawiec, ani nie jest studentem.

– Taaak?! Zastanawiałem się właśnie, czemuście go zatrzymali!
– Chiłobok otworzył szeroko oczy. – Nieee, skąd miałem wiedzieć, doprawdy... to nasze kadry musiały przegapić. A kim on jest?

– Wyjaśniamy. A więc mówicie, że w Ameryce zajmują się i interesują podobnymi pracami?

– Tak. Więc myślicie, że on...

– Nie, nie trzeba tak od razu... – Onisimow uśmiechnął się. – Po prostu rozważam różne wersje. – Zerknął na kartkę z zapisanymi pytaniami. – Powiedzcie, Harry Charitonowiczu, nie zauważyliście u Kriwoszeina jakichś zaburzeń psychicznych?

Chiłobok uśmiechnął się z zadowoleniem.

– No właśnie, siedłem tutaj, przypomniałem sobie i zastanawiałem się: mówić czy nie mówić. Może to drobiazg, może nie warto? Ale jeśli sami o to pytacie... Miał różne wysoki. Pamiętam na przykład w lipcu ubiegłego roku, akurat wtedy, kiedy oprócz pełnienia swojej funkcji kierowałem pracownią urzędzeń doświadczalnych, nie można było przez długi czas znaleźć odpowiedniego specjalisty, docenta, wziąłem więc to na siebie, żeby etat nie przepadł, bo wiecie, etat zabiorą, a potem doprosić się nie można, u nas tak zawsze. No i właśnie akurat nieco wcześniej moja pracownia przyjęła zamówienie od Kriwoszeina na wykonanie nowego układu czujników bioelektrycznych do elektroencefalografii – coś w rodzaju tej „czapki

Monomacha”, która leży u was na stole, tylko bardziej skomplikowanego, żeby go można było przełączać na rozmaite warianty połączeń. Według schematu Kriwoszeina. Dlaczego przyjęli od niego to zamówienie, zamiast zajmować się nauką, pojęcia nie mam...

Wskutek zagłębiania się w sprawy nauki nie wytrenowany mózg Onisimowa pograżał się w sennym otumanieniu. Zwykle zdecydowanie ucinął wszelkie dygresje od interesującego go tematu, ale teraz jego rosyjska dusza nie potrafiła pokonać w sobie szacunku wobec nauki, stopni i tytułów naukowych. Szacunek ten istniał w nim zawsze, a od czasu kiedy prowadząc poprzednie dochodzenie w Instytucie spojrzął na listę płac pracowników naukowych, podwoił się. I teraz Onisimow nie odważył się hamować swobodnego lotu słów Chiłoboka: bądź co bądź siedział przed nim człowiek zarabiający przeszło dwukrotnie więcej niż kapitan milicji Onisimow, i do tego całkowicie legalnie.

– No i wyobraźcie sobie, siedzę kiedyś w pracowni – ciągnął dalej Chiłobok – aż tu przychodzi do mnie Kriwoszein – bez fartucha, zwróćcie uwagę! U nas tak nie wolno, specjalne zarządzenie było wydane, żeby pracownicy inżynieryjni i naukowci chodzili w białych fartuchach, a technicy i laboranci – w szarych albo niebieskich, u nas przecież delegacje zagraniczne często bywają i inaczej nie można, ale on zawsze to lekceważył – no więc wchodzi i pyta, wiecie, tym swoim tonem: „Kiedy wreszcie wykonacie moje zamówienie na nowy układ?” No, to ja spokojniutko oczywiście mu wszystko wyjaśniam, niby tak i tak, Walentinie Wasiliewiczu, jak tylko będziemy mogli, to wykonamy, nie tak prosto wszystko to zrobić, coście tam narysowali, bardzo skomplikowany montaż, mnóstwo tranzystorów

odpada przy selekcji... słowem, wyjaśniam mu jak należy, żeby człowiek pretensji nie miał. A on swoje: „Jak nie możecie wykonać w terminie, to nie trzeba się było do tego brać!” Ja mu znowu wszystko wyjaśniam, że układ złożony i że mnóstwo zamówień się nagromadziło, a Kriwoszejn mi przerywa: „Jeżeli za dwa tygodnie zamówienie nie zostanie zrealizowane, to napiszę na was skargę, a pracę przekazę uczniom ze szkolnego kółka elektroników-amatorów! I szybciej zrobią i za mniejsze pieniądze!” O pieniądzach to on do mnie pił, już wcześniej takie aluzje robił, no ale cóż ja w końcu mogę poradzić... Powiedział, trzasnął drzwiami i wyszedł...

Oficer miarowo kiwał głową i zaciskał szczęki, żeby ukryć ziewanie. Chiłobok wzburzony szemrał dalej.

– A pięć minut później, zwróćcie uwagę, nie więcej niż pięć minut, nawet nie zdążyłem rozmówić się telefonicznie z warsztatami, wpada znowu Kriwoszejn, tym razem w fartuchu, widać zdążył znaleźć gdzieś szary, laborancki – i znowu: „Harry Charitonowiczu, kiedyż w końcu wykonacie to zamówienie na układ czujników?” „Zmiłujcie się, mówię, inżynierze, przecież wszystko panu wyjaśniłem!” – i znowu próbuję wyjaśnić sprawę tranzystorów i montażu. On mi przerywa i jak poprzednio: „Nie możecie, to nie trzeba się było podejmować...” – i znowu o skardze, uczniach i kosztach... – Chiłobok zbliżył twarz do Onisimowa: – Krótko mówiąc, powiedział wszystko to samo, co pięć minut wcześniej, w tych samych słowach! Możecie sobie wyobrazić?

– Ciekawe – skinął głową Onisimow.

– Takich wyskoków Kriwoszejn miał więcej. Kiedyś zapomniał zamknąć wodę na noc, zalał całe piętro pod pracownią. Innym razem

– dozorca skarżył mi się – rozpałił w parku ogromne ognisko z taśm perforowanych. Tak że... – docent znacząco zacisnął pełne, czerwone wargi, żalobnie ocienione wąsami – wszystko mogło się zdarzyć. A przez co to wszystko? Przez to, że chciał się wybić i przeciągał się pracą ponad miarę. Bywało i tak, że o jakiegokolwiek porze wychodziłoby się z Instytutu, u Kriwoszeina we wszystkich oknach iluminacja. Wielu pracowników Instytutu wyśmiewało się z tego. Kriwoszein, powiadali, nie doktorat chce zrobić, a od razu odkrycie... No i naodkrywał się.

– Jasne – Onisimow znowu zerknął na papierek. – Wspomnieliście, że Kriwoszein był w bliskich stosunkach z kobietą. Znać ją?

– Helenę Kołomyjec? A jakże! Takich kobiet, wiecie, w naszym mieście niewiele, przystojna, elegancka, miła, słowem, taka... – Harry Charitonowicz wyraził nie dający się ująć w słowa zachwyty nad zaletami Heleny Kołomyjec falistymi ruchami rąk. Jego piwne oczy zabłyśły. – Dziwiłem się nieraz, inni zresztą też, co ona w nim widzi? On przecież – oczywiście, de mortuis aut bene, aut nihil – ale co tu kryć: sami widzieliście, jaką miał powierzchowność. Ubrać się odpowiednio nie umiał, utykał... Ona przychodziła do niego, nasze domy w osiedlu stoją obok siebie, więc widziałem. Ale ostatnio jakoś się nie pokazywała. Rozeszli się pewnie jak statki na morzu, he, he! A wy sądzicie, że ona też jest w to zamieszana?

– Ja na razie nikogo nie podejrzewam, tylko wyjaśniam. – Onisimow podniósł się z ulgą. – No, dziękuję. Mam nadzieję, że nie trzeba uprzedzać was o konieczności zachowania tajemnicy, ponieważ...

– A czy ja sam nie wiem? A dziękować nie ma za co, to mój obowiązek, zawsze jestem do dyspozycji...

Po wyjściu „docenta Onisimow podstawił głowę pod wentylator, kilka minut siedział bez ruchu nie myśląc o niczym. W głowie, jak brzęczenie muchy, rozlegał się głos Chiłoboka.

„Chwileczkę! – Onisimow potrząsnął głową, żeby otrzeźwieć. – Przecież on nic nie wyjaśnił. Bitą godzinę rozmawialiśmy, przez cały czas niby na temat – i nic. Sekretarz naukowy, docent, doktor nauk – czyżby kręcił? Oj, coś tu nie tak!”

Zadzwonił telefon.

– Onisimow, słucham.

Przez kilka sekund w słuchawce słychać było tylko urywany oddech, jakby rozmówca nie mógł złapać tchu.

– Towarzyszu... kapitanie... tu Hajewoj.., melduje się... No więc... zatrzymany zbiegł!

– Zbiegł?! Jak to zbiegł? Meldujcie szczegółowo!

– No więc... wieźliśmy go „gazikiem”, Timofiejew za kierownicą, a ja razem z tym... – dudnił w słuchawce głos milicjanta. – Tak jak zawsze wozimy zatrzymanych. Wy przecież, towarzyszu kapitanie, nie uprzedzaliście, żeby pod specjalnym nadzorem, no, a ja myślałem sobie: gdzież on się podzieje, skoro dokumenty u was? No a kiedy przejeżdżaliśmy koło parku miejskiego, on w pełnym biegu wyskoczył, przez płot – i chodu! No to my z Timofiejewem za nim. Tylko że on w biegu na przełaj jest dobry... No, a ognia nie otwierałem, bo nie było rozkazu. No więc... to wszystko.

– Jasne. Zameldujcie się w Komendzie, złóżcie raport na ręce dyżurnego. Źle pracujecie, Hajewoj!

– No to... może jakieś kroki przedsięwziąć, towarzyszu kapitanie? – zabrzmiało ponuro w słuchawce.

– Bez was to zrobimy. Wracajcie szybko, weźmiecie udział w

pościgu. To wszystko! – Onisimow rzucił słuchawkę.

„Ależ to artysta, po prostu artysta! A ja jeszcze miałem wątpliwości! On, oczywiście, że on. No więc tak: dokumentów nie ma, pieniędzy też. Na sobie ma tylko spodnie i koszulę, tyle co nic. Daleko nie ucieknie. Ale jeżeli ma współników, to gorzej...”

W dziesięć minut później pojawił się jeszcze bardziej zgarbiony pod ciężarem winy Hajewoj. Onisimow zebrał grupę pościgową, rozdał fotografie, przekazał słowny rysopis i znaki szczególne. Grupa operacyjna wyszła na miasto.

Potem zadzwonił daktyloskopista. Oznajmił, że niektóre odciski palców zdjęte w pracowni mogą być zidentyfikowane z kontrolnymi odciskami laboranta. Reszta należy do kogoś innego. Ani jedno, ani drugie nie są podobne do odcisków znajdujących się w kartotece recydywistów.

– Ten drugi to denat, jasne... No, no, sprawa zaczyna wyglądać poważniej. Na zwykłe kryminalne przestępstwo to nie wygląda... Zresztą do niczego to wszystko nie jest podobne przez ten przeklęty szkielet! I co z nim zrobić?

Onisimow z rozpaczą wyjrzał przez okno. Cienie drzew na asfalcie wydłużyły się, ale upał nie ustępował. Koło przystanku trolejbusowego stał tłum dziewczyn w kolorowych sukienkach i ciemnych okularach. „Na plażę jadą...” Najbardziej denerwujące było to, że Onisimow dotychczas nie miał roboczej wersji zajścia.

Pod koniec dnia, kiedy wypisywał wezwania na dzień następny, wszedł komendant miejskiego oddziału. „No, tak...” Onisimow wstał z uczuciem przygnębienia.

– Siadajcie – pułkownik ciężko opadł na krzesło. – Co to za

komplikacje macie: zwłok nie ma, zatrzymany zbiegł, co to się dzieje? Opowiedzcie.

Onisimow opowiedział.

– Hm... – komendant zmarszczył krzaczaste siwe brwi. – No, tego zucha oczywiście złapiemy. Lotnisko, kolej i autobusy pod obserwacją?

– Oczywiście, poleciłem natychmiast, towarzyszu pułkowniku.

– A więc nigdzie z miasta nie ucieknie. A co do zwłok... rzeczywiście dziwne. Diabli wiedzą co! A nie pokręciliście przypadkiem tam na miejscu czegoś? – Spojrzał na Onisimowa małymi mądrymi oczkami. – Może... pamiętacie, jak u Gorkiego, w „Klimie Samginie” jeden tak mówił: „A może chłopca wcale nie było?” Co?

– Ale przecież... lekarz pogotowia stwierdził zgon.

– I lekarze czasem się mylą. Do tego lekarz to nie ekspert, przychyny zgonu nie ustalił. I zwłok nie ma. A ze szkieletu naszemu Zubato trochę trudno... Decydujcie zresztą sami, nie chcę nic narzucać, ale jeśli nie wyjaśnicie, w jaki sposób zwłoki w ciągu kwadransa zamieniły się w szkielet, a jeszcze do tego, czyje to były zwłoki i jaka przyczyna zgonu – żaden sąd takiej poszlaki nie weźmie pod uwagę. Teraz nawet prostsze sprawy sądy odsyłają celem uzupełnienia dochodzenia albo i umarzają z braku dowodów... To oczywiście bardzo dobrze, że prawo działa surowo i ostrożnie, tylko... – westchnął głośno. – Trudna sprawa, co? Koncepcję macie?

– Zarys mam – powiedział nieśmiało Onisimow – tylko nie wiem, towarzyszu komendancie, jak wam się spodoba. Moim zdaniem to nie jest sprawa kryminalna. Według zeznania sekretarza naukowego Instytutu w Stanach Zjednoczonych bardzo się interesują

problemem, który opracowywał Kriwoszejn, to po pierwsze. Laborant Krawiec zachowaniem swoim i, powiedzmy, poziomem kulturalnym nie przypomina ani studenta, ani kryminalisty. Uciekł po mistrzowsku, to następna sprawa. Po trzecie, jego odcisków palców nie ma w kartotece recydywistów. No więc, może... – Onisimow zamilkł i pytająco spojrzął na szefa.

– ...zephnąć sprawę do Bezpieczeństwa? – z żołnierską prostotą zakończył komendant jego myśl i pokręcił głową. – Oj, nie spieszcie się! Jeśli my, milicja, wykryjemy przestępstwo z zagranicznym, powiedzmy, akcentem, to ani nam, ani społeczeństwu to nie zaszkodzi, tylko wszyscy skorzystają. No, a jeśli organa za nas wykryją zwykłą sprawę kryminalną albo naruszenie BHP, to... sami rozumiecie. I bez tego w ostatnim półroczu procent wykrywalności mamy najgorszy w okręgu – z dobrodusznym wyrzutem spojrzął na Onisimowa. – Ale nie załamujcie się! Nie darmo mówią, że najtrudniejsze do rozwiązania są sprawy najprostsze. Może wszystko się komplikuje przez ten Instytut. Sami wiecie, tematy, problemy, tytuły, stopnie, terminy rozmaite... sam diabeł się nie rozezna. Nie spieszcie się z wyborem wersji, sprawdźcie wszystkie możliwości, może i u was okaże się, jak u Kryłowa: „a szkatułka otwierała się prosto”... No, życzę powodzenia – komendant wstał, wyciągnął rękę – wierzę, że dacie sobie radę!

Onisimow też wstał, uścisnął wyciągniętą dłoń i odprowadził pułkownika rozjaśnionym wzrokiem. Zaufanie przełożonych to wielka rzecz!

Rozdział trzeci

Ci, którzy uważają, że życie ludzkie w stosunku do dawnych czasów zmieniło się tylko powierzchownie, przyrównują ognisko, przy którym spędzali wieczory troglodyci, do telewizora, umiłającego czas współczesnym. Porównanie to jest dyskusyjne, ponieważ ognisko i świeci, i grzeje, telewizor zaś tylko świeci, a i to z jednej strony.

K. Prutkow – Inżynier, myśl nr 111

Pasażerkę pociągu pospiesznego Nowosybirsk – Dnieprowsk, pulchną błękitnooką blondynkę w średnim wieku, niezwykle zainteresował młody człowiek z górnego miejsca. Miał ogorzałą twarz o grubych, choć regularnych rysach, kręcone ciemne włosy, mocno przyprószone siwizną, silne opalone ręce z grubymi palcami i śladami odcisków na dłoniach, a jednocześnie uśmiechał się miękko, był uprzejmy (z własnej chęci ustąpił jej dolne miejsce, kiedy wsiadła w Charkowie) i wyrażał się jak człowiek inteligentny. Chłopak leżał położywszy kwadratowy podbródek na dłoniach, wpatrywał się w migające drzewa, domki, rzeczki, znaki drogowe i uśmiechał się. „Interesujący.”

- Pewnie rodzinne strony? – zapytała.
- Tak.
- Dawno pan wyjechał?

– Rok temu.

Poznawał: oto przemknęła pod nasypem szosa, po której pędził z Leną na motocyklu... a teraz zagajnik dębowy, dokąd mieszkańcy miasta wyjeżdżają w wolne dni... Starorzecze, miejsce bezludnych plaż, czystego piasku i spokojnej wody... chutor Wytrebeńki – oho, co za budownictwo! Pewnie zakłady chemiczne... Uśmiechał się i chmurzył do swoich wspomnień.

...Właściwie nigdy nie jeździł z Leną na motocyklu ani nie był w tym zagajniku, ani na plażach – wszystko to działo się bez niego. Po prostu odbyła się kiedyś rozmowa, w której, jeśli wyrażać się precyzyjnie, również nie brał udziału osobiście.

– Zastosowanie? Proszę bardzo: warianty życia ludzkiego. Popatrz: „Stocznia we Władywostoku poszukuje inżyniera elektryka do prac montażowych w terenie. Mieszkanie zapewnione.” Alboż nie jestem inżynierem elektrykiem? Prace montażowe w terenie, cóż może być piękniejszego? Oceaniczna fala zalewa armaturę. Ciągniesz kabel, zlizujesz słone bryzgi z warg – jednym słowem, pokonujesz żywioł.

– Tak, ale...

– Dobrze, rozumiem przedtem to było niemożliwe. Przedtem! W końcu jesteśmy ludźmi obowiązku: nie potrafimy po prostu rzucić pracy i pojechać, żeby zaspokoić włóczęgowskie skłonności. Zawsze tak zostajemy i razem z nami pozostaje żal po miejscach, w których nie byliśmy i nigdy nie będziemy, po ludziach, których nie spotkamy, po sprawach i wydarzeniach, w których nie weźmiemy udziału. Zagłuszamy ten żal książkami, kinem, marzeniami – nie można przecież przeżyć kilku żyć jednocześnie. A teraz...

– A teraz tak samo. Ty pojedziesz do Władywostoku zlizywać bryzgi, a ja zostanę ze swoim niezadowolaniem.

– Ale... możemy się przecież wymieniać. Raz na pół roku, nikt nie zauważy... Ale nie, bzdura: przecież będziemy się różnić o pół roku własnych doświadczeń...

– Otóż to właśnie. Człowiek, który poszedł określoną drogą życiową, staje się inny, niż byłby wybierając inną.

...Mimo wszystko jednak zgłosił się właśnie do Władywostoku. Pojechał nie po to, aby zagłuszyć niezadowolenie, tylko uciekł od lęków przeszłości. Uciekłby i dalej, ale dalej był ocean. Co prawda, wolny etat przy pracach montażowych w portach okazał się zajęty, ale koniec końców wysadzanie skał podwodnych, oczyszczanie miejsc dla postoju statków to też niezła praca. Romantyki nie brakowało: zanurzał się z akwalungiem w turkusową głębię, widział własny kotłyszający się cień na wygładzonych przez przybój głazach na dnie, wiercił otwory w skale, zakładał ładunki wybuchowe, podpalał lont – i płosząc ryby, które chwilę później wynurzały się brzuchami do góry, odpływał co sił ku dyżurującej łodzi. A potem, stęskniwszy się za pracą inżyniera, wprowadził udar elektrohydrauliczny, bezpieczniejszy i efektywniejszy od dynamitu. Jednak jakiś ślad po sobie pozostawił.

– A z daleka pan jedzie? – przerwała te wspomnienia towarzysza podróży.

– Z Dalekiego Wschodu.

– Na zaciąg pan jeździł czy tak po prostu?

Chłopak spojrzał w dół szarymi oczami i uśmiechnął się z lekka.

– Na leczenie...

Towarzyszka podróży pokiwała głową z trwożnym współczuciem. Straciła ochotę do rozmowy. Wyciągnęła z torby książkę i zagłębiła się w lekturze.

...Tak, tam zaczęło się leczenie. Chłopcy z brygady byli zadziwieni jego odwagą. Istotnie, nie bał się: siła, zręczność, dokładne obliczenie – i żadnej fali głębinowej można się nie obawiać. Tam miał swoje życie we własnych rękach, czegoż miał się bać? To, co najstraszniejsze, przeżył tu, w Dnieprowsku, kiedy Kriwoszejn był panem jego życia i śmierci. I to nie jednej śmierci, a wielu. Kriwoszejn nie rozumiał, że to, co z nim wyczyniał, było gorsze niż torturowanie związanego.

Mimo woli napięty mu się mięśnie. Przebiegł go dreszcz złości. Tak wiele wywiały z niego przez rok oceaniczne monsuny: przygnębienie, paniczny lęk, nawet uczucia do Leny. A to pozostało.

„Może nie warto było wracać? Ocean, przy którym czujesz się mały i prosty, dobrzy koledzy, trudna i ciekawa praca. Ogólny szacunek. Tam stałem się sobą. A tu... kto wie, jak potoczyły się jego sprawy?”

...Ale nie mógł nie powrócić, tak jak nie potrafił zapomnieć tego, co było. Najpierw – w przerwie na papierosa, po pracy, w wolne dni, kiedy całą brygadą pływali do Władywostoku – nieprzerwanie dręczyła go myśl: „A Kriwoszejn pracuje. Jest sam...” Potem przyszła koncepcja.

Pewnego razu oczyszczali dno w bezimiennej zatoczce w Kraju Chabarowskim, gdzie z urwistego pobrzeża tryskały ciepłe źródła mineralne. Zeskoczywszy z łodzi trafił w strumień wody i o mało nie krzyknął, tak gwałtowna była pamięć ciała. Smak wody był smakiem tamtej cieczy, nieopisana ciepła łagodność kryła w sobie tamtą dawną groźbę: rozpuścić, zniszczyć, wygasić świadomość. Rzucił się przed siebie – chłodna fala oceanu otrzeźwiła go i uspokoiła. Ale wrażenie pozostało. Do wieczora przekształciło się w myśl, i to jąka: można ustawić odwrotny eksperyment!

I ratując się przed wspomnieniami przeszłości „zachorował” na koncepcję. Ożyła wyobraźnia badacza. Jakie to było piękne: obmyślać eksperyment, przewidywać ogromne wyniki, które może przynieść... Praca minera wydawała mu się szarą vegetacją. Teraz bez obaw, szczegółowo i planowo przemyślał nad wszystkim, co z nim się działo, odtwarzał w myśli różnorakie warianty doświadczenia... Nie mógł tam pozostać z tą koncepcją: przecież Kriwoszejn i do dziś prawdopodobnie do niej nie doszedł. Do takiej koncepcji nie można dojść drogą teoretycznych rozważań – trzeba przeżyć wszystko tak, jak on sam to przeżył.

Jednak nieubłagana logika ich problemu doprowadziła do tego, że w ślad za koncepcją doświadczenia przyszła inna myśl: no dobrze, znajdują nową metodę wzbogacenia człowieka informacją. I cóż ona da? Ta myśl była trudniejsza od poprzedniej; w drodze z Władystoku do Dnieprowska nieraz powracał do niej, ale ani razu nie przemyślał jej do końca.

Przed oknem wagonu, odbijając stukot kół, mignęła kratownica mostu: pociąg przejeżdżał przez Dniepr. Chłopak oderwał się na chwilę od swoich myśli, przyjrzał się poduszkowcowi leżącemu nad błękitną wodą w dół rzeki i zielonym stokom na prawym brzegu. Most skończył się, znów zaczęły migać domki, ogrody, żywoplot wzdłuż nasypu.

„Wszystko sprowadza się do problemu: w jaki sposób i jaką informacją można udoskonalić człowieka? Cała reszta jest jego rozwinięciem. Dany jest układ: mózg ludzki i wejścia – oczy, uszy, nos i inne. Trzy potoki informacji docierają do mózgu: życie codzienne, nauka i sztuka. Należy wydzielić informację najefektywniej

oddziaływającą na człowieka i tak ukierunkowaną, aby doskonaliła i uszlachetniała. Najefektywniejsza jest oczywiście informacja, którą przynosi życie codzienne: jest konkretna i realna, formuje doświadczenie życiowe człowieka. Samo życie, co tu dużo mówić. Istotne jest to, że współ działa z człowiekiem na zasadzie sprzężenia zwrotnego: życie oddziałuje na człowieka, ale i on swoim zachowaniem oddziałuje na życie. Ale efekt codziennego doświadczenia bywa różny: zmienia człowieka i na lepsze, i na gorsze. A więc nie to...

Rozpatrzmy informację naukową: też realna, obiektywna, ale abstrakcyjna. W istocie swojej jest uogólnionym doświadczeniem wynikającym z działalności człowieka. Dlatego jest stosowalna w wielu sytuacjach życiowych i dlatego też jej oddziaływanie na życie jest olbrzymie. Tu zresztą też istnieje sprzężenie zwrotne z życiem; wprawdzie nie indywidualne dla każdej jednostki, a ogólne: nauka rozwiązuje problemy życia, kształtując je w ten sposób, a ukształtowane przez nią życie stawia przed nauką nowe problemy. Znowu jednak wpływ nauki na życie w ogóle i na określonego człowieka w szczególności może być dodatni lub ujemny. Przykładów jest wiele. I jeszcze jedna wada: trudne przyswajanie przez człowieka. Tak, ciężka sprawa... Ale to nic, jeśli ciągle myśleć o tym samym, wcześniej czy później dojdzie się do czegoś... Najważniejsze, żeby myśleć według jakiegoś systemu..."

Uwagę jego odwróciło dochodzące z dołu pochlipywanie. Spojrzał: pasażerka, nie odrywając oczu od książki, wycierała chusteczką zaczerwienione oczy.

– Co pani czyta?

Spojrzała ze złością w górę, pokazując okładkę: „Trzej towarzysze” Remarque'a.

– A niech ich... – i znowu pogрузzyła się w lekturze.

„Tak... Umiera na gruźlicę dziewczyna, kochająca i subtelna. A moja syta i zdrowa sąsiadka współczuje jej jak samej sobie. Jednym słowem, nie ma co kombinować: widocznie informacja płynąca ze Sztuki to właśnie to! A w każdym razie ukierunkowana jest na wszystko najlepsze w człowieku. W Sztuce przez tysiące lat wyselekcjonowała się najwyższej jakości informacja o człowieku: myśli, opisy subtelnych drgnień duszy ludzkiej, silnych i szlachetnych uczuć, barwnych charakterów, pięknych i mądrych czynów... Wszystko to z dawien dawna nastawione jest na to, aby rozwijać w człowieku rozumienie bliźnich i życia, naprawiać obyczaje, budzić myśli i uczucia, wykorzeniać zwierzęce cechy charakteru. Przy tym ta informacja dociera do człowieka, mówiąc ściśle, jest wspaniale zakodowana, najlepiej, jak to tylko możliwe, przystosowana do opracowania przez maszynę matematyczną typu «Człowiek». Z tego punktu widzenia, ani codzienna, ani naukowa informacja nawet równać się nie może z informacją płynącą ze Sztuki.”

Pociąg zwolnił przejeżdżając przedmieścia Dnieprowska. Pasażerka odłożyła książkę, zaczęła się krzątać, wyciągnęła walizki spod ławek. Chłopak wciąż leżał i myślał.

„Tak, ale co z efektywnością? Przez tysiąclecia ludzie wysilali się... Co prawda, mniej więcej do połowy ubiegłego wieku Sztuka była dostępna tylko dla nielicznych. Ale potem przyszła technika: rozpowszechnienie druku, litografia, wystawy, zapis dźwięku, kino, radio, telewizja – informacja stała się dostępna dla wszystkich. Dla

współczesnego człowieka ilość informacji otrzymywanej z książek, filmów, audycji radiowych, czasopism ilustrowanych i telewizji jest współmierna z ilością informacji pochodzącej z życia codziennego i daleko większa niż ilość informacji naukowej. I cóż? Hm... oddziaływanie. Sztuki nie można zmierzyć przyrządem i sprawdzić w doświadczeniu. Pozostaje porównanie – dajmy na to! – oddziaływanie nauki i sztuki w ciągu ostatniego półwiecza. Boże, przecież o żadnym porównaniu tu nawet nie może być mowy.”

Pociąg wjechał na peron pełen oczekujących, bagażowych i lordziarzy. Chłopak zeskoczył ze swojego miejsca, zdjął plecak, przewiesił przez rękę niebieski płaszcz. Współpasażerka dreptała wokół trzech solidnych waliz.

– Ależ pani ma wielki bagaż, pomogę – chłopak chwycił największą walizkę.

– Nie, nie, dziękuję! – Dama szybko usiadła na jednej walizce, przełożyła toczoną nogę przez drugą i obiema rękami wczepiła się w trzecią, trajkocząc: – Nie, dziękuję. Nie, nie, dziękuję. Nie trzeba.

Uniosła twarz, w której nie pozostało nic sympatycznego. Policzki nie były pełne, ale tłuste, a oczy, wcale nie niebieskie, tylko wodniste – patrzyły z przerażeniem i wrogością. Brwi w ogóle znikły: zostały dwa spocone pasemka tuszu. Wydawało się, że wystarczy jeden ruch i kobieta zacznie krzyżeć.

– Przepraszam. – Chłopak cofnął rękę i wyszedł. Poczł obrzydzenie.

„No i proszę: przykładowe porównanie efektów informacji codziennego doświadczenia i Sztuki – myślał ze złością, idąc przez plac koło dworca. – Mało to ludzi mogło przyjechać z okolic nie tak

znowu odległych: zaopatrzeniowiec, działacz partyjny, sportowiec, rybak... Nie, musiała pomyśleć najgorsze i podejrzewać o nieuczciwe zamiary. Niezawodna zasada życia codziennego: lepiej nie uwierzyć, niż się omylić. Ale czy nie mylimy się przez to znacznie bardziej?”

W pociągu myślał z nudów. Teraz rozmyślał, aby się uspokoić, i wciąż o tym samym.

„Oczywiście, gdyby opowiedzieć o każdym człowieku w książce albo na ekranie, to ludzie zrozumieją, uwierzą w niego, przebaczą wady, pokochają za zalety. A w życiu wszystko jest bardziej złożone i powszednie... Zresztą, czy można mieć do niej pretensję, sam nie jestem inny. Kiedyś, w cielęcym wieku, nie wierzyłem ojcu. Kochałem, ale nie wierzyłem. Nie wierzyłem, że brał udział w rewolucjach, w wojnie domowej, że dowodził kompanią u Czapajewa, spotykał Lenina... Wszystko zaczęło się od filmu «Czapajew»: nie było w nim ojca. Był autentyczny Czapajew i inni bohaterowie, mocnymi głosami wygłaszali soczyste, urywane zdania... a taty nie było. I w ogóle, cóż on mógł mieć wspólnego z Czapajewem? Kłócił się z mamą. Mówił sepleniąc z powodu sztucznej szczęki, którą na noc wkładał do szklanki. Nieprawidłowo – inaczej niż w kinie – wymawiał słowa, a co trudniejsze przekręcał. A do tego w 1937 posadzili go... I kiedy opowiadał sąsiadkom na podwórku, jak za agitację bolszewicką na froncie w czasach Kiereńskiego stał dwie godziny w pełnym oporządzeniu na przedpiersiu okopu, jak przywoził Leninowi do Smolnego srebrne monety od żołnierzy frontowych na fundusz rewolucyjny, jak skazany przez Kozaków na śmierć siedział w stodole... a baby wzdychały, omdlewały z zachwytu, klaskały w dłonie: «A to ci bohater z naszego Karpycza, ojejjej!» – podśmiewałem się i nie

wierzyłem. Wiedziałem dokładnie, jacy są bohaterowie – z kina i z radia...”

Twarz przyjeźdnego zmarszczyła się od wspomnień.

„Zresztą, w końcu to nie byłem ja. Ale najważniejsze, że to było... Tak, chyba jednak w tym wspaniałym sposobie przekazu informacji – Sztuce – jest jakaś wada. Ludzie oglądają film czy przedstawienie, czytają książkę i mówią: «Podoba mi się» – a żyją, jak żyli: jedni nieźle, drudzy tak sobie, a jeszcze inni całkiem parszywie. Teoretycy sztuki szukają wad w odbiorcach informacji, powiadają: publiczność głupia, czytelnik nie dorósł... nie, nieprawda. I w ogóle zwałć wszystko na tępotę i ciemnotę ludzi to niekonstruktywne podejście... Ludzie potrafią wszystkiego się nauczyć i zrozumieć. W większości nie są ani tępi, ani ciemni. A więc lepiej szukać jednak winy w metodzie, tym bardziej że ta metoda jest mi potrzebna do eksperymentu...”

Wzrok przyjeźdnego zatrzymał się na budce telefonicznej. W pierwszej chwili spojrzął nieprzytomnie, czyżby miał tu coś do zrobienia? Potem przypomniał sobie. Westchnął głęboko, wszedł do budki, wykręcił numer pracowni nowych układów. Czekał na odpowiedź czuł, jak zaczęło mu bić serce, w ustach wyschło. „Denerwuję się. Źle ze mną...” Nikt się nie zgłaszał. Wahając się, zadzwonił do dyżurnego Instytutu Systemologii:

– Czy mógłby mi pan pomóc odnaleźć Kriwoszeina? Może jest na urlopie?

– Kriwoszein? On... nie, nie na urlopie. A kto mówi?

– Jeśli pojawi się dziś w Instytucie, bardzo proszę powiedzieć, że przyjechał... Adam.

– Adam? A nazwisko?

- On będzie wiedział. Bardzo proszę niech pan nie zapomni.
- Dobrze, będę pamiętał.

Przyjezdny wyszedł z budki z ulgą: dopiero w tej chwili zrozumiał, że jest do tego spotkania zupełnie nie przygotowany. „No, nic nie poradzę, sikoro już przyjechałem... A może jest w domu?”

Wsiadł do trolejbusu. Otulone granatowym mrokiem ulice nie interesowały go: wyjechał latem i powrócił latem, wszystko w zieleni, jakby się nic nie zmieniło.

„No dobrze, więc jak w końcu zastosować informację Sztuki w naszej pracy? I czy w ogóle można ją zastosować? Całe nieszczęście polega na tym, że informacja ta nie staje się ani doświadczeniem życiowym, ani nauką, a właśnie na doświadczeniu i nauce budują ludzie swoje postępowanie. W zasadzie powinno być tak: przeczytałeś książkę i zaczynasz rozumieć siebie i znajomych; drań obejrzał przedstawienie, przeraził się i stał się uczciwym człowiekiem, tchórz poszedł do kina i wyszedł odważny. I żeby na całe życie, a nie na pięć minut. Pewnie o takim właśnie działaniu swojej informacji marzą pisarze i malarze. A dlaczego tak się nie dzieje? Zastanówmy się. Informacja Sztuki budowana jest na wzór codziennego doświadczenia. Jest konkretna, zawiera tylko ukryte i nie całkiem ściśle uogólnienia, ale nie jest realna, a jedynie prawdopodobna. Na tym chyba polega jej słabość. Nie może być zastosowana w taki sposób jak informacja naukowa: na to, aby człowiek mógł na jej podstawie projektować i planować swe życie, jest zbyt ogólna i mało obiektywna. Nie można również kierować się nią tak, jak codziennym doświadczeniem, a to właśnie z powodu jej konkretności, która

nigdy nie przystaje całkowicie do konkretnego życia danego odbiorcy.

Zresztą, jeśli by nawet przystawała, któż zechce żyć przez kalkę? Skopiować fryzurę ostatecznie można, ale powielić zalecany przez masowy nakład sposób życia... Widocznie idea «wychowywania na wzorcach literackich» zrodziła się z myśli, że człowiek pochodzi od małpy i po niej odziedziczył instynkt naśladownictwa. Ale człowiek już dawno jest człowiekiem, cały milion lat. Obecnie charakterystycznymi jego cechami są: potrzeba samopotwierzenia się i oryginalność zachowania; i on sam wie, że tak jest słuszniej.”

– Osiedle Uniwersyteckie! – zachrypiął w głośniku głos kierowcy.

Przyjezdny wysiadł i od razu przekonał się, że jechał na próżno. Dwa rzędy standardowych czteropiętrowych bloków, zbiegające się w perspektywie, spoglądały na siebie oświetlonymi oknami. Ale w domu nr 33 w oknach narożnego mieszkania na czwartym piętrze było ciemno.

Uczucie ulgi, że nieprzyjemne spotkanie z Kriwoszeinem odwlecze się jednak, przemieszało się z irytacją: nie ma gdzie przenocować. Wrócił trolejbusem do śródmieścia i rozpoczął wędrówkę po hotelach. Miejsc oczywiście nigdzie nie było.

Znowu pochłonęły go myśli, które teraz łągodziły mu bezskuteczne poszukiwania noclegu.

„Im dłużej żyjemy, tym bardziej przekonujemy się o wielości sytuacji życiowych, do których nie można zastosować rozwiązań opisanych w książkach czy przedstawionych w filmie. I zaczynamy percepować informację zawartą w Sztuce jako niby-życie, w którym

wszystko jest nie tak, jak naprawdę. Można przeżyć w nim ryzykowną przygodę z tragicznym finałem, wykazać pryncypialność, nie narażając się na nieprzyjemności służbowe... jednym słowem, poczuć się, choć na krótko, kimś innym: mądrzejszym, piękniejszym, śmielszym. Nie darmo ludzie, którzy żyją jednostajnym porządnym życiem, uwielbiają powieści awanturnicze i kryminały...”

Wyszedł na jarzący się światłami ulicznych latarni i neonów prospekt Marksa.

„I stosujemy tę wielką informację do głupstw: dla rozrywki, dla zabicia czasu.. Albo żeby dziewczynę oczarować odpowiednim wierszykiem... To nie jest twoja własna informacja. Nie sam doszedłeś do rozwiązań i prawd. Siedź i patrz albo czytaj, jak za przezroczystą ścianką toczy się wymyślone życie – sam jesteś tylko «odbiornikiem informacji». Bywały co prawda przypadki, że «odbiorniki» nie wytrzymały i próbowały działać: na przykład ojciec opowiadał kiedyś, jak pewien czerwonoarmista w Samarze «rąbnął z gwera» do aktora, występującego w roli Kołczaka w sztuce wojennej, a jeszcze przedtem w Niżnym Nowgorodzie publiczność zbiła wykonawcę roli Jagona za zbyt przekonującą grę aktorską... Sama koncepcja rozbicia szklanej ściany i oddziaływania jest zdrowa... Coś w niej jest...”

W głowie przyjezdnego dojrzewała myśl, jeszcze nie uformowana w słowa, niejasna jak przecucie. Lecz w tym momencie ktoś delikatnie dotknął jego ramienia. Obejrzał się: tuż przy nim stało trzech mężczyzn w cywilnych, ubraniach. Jeden z nich niedbale machnął mu przed oczyma czerwoną legitymacją:

– Proszę o dokumenty, obywatelu.

Przyjezdny wzruszył ramionami, postawił plecak na asfalcie i wyciągnął z kieszeni dowód osobisty. Funkcjonariusz przeczytał pierwszą stronę, spojrział na fotografię, potem na twarz, potem znowu na fotografię i zwrócił dowód.

– Wszystko w porządku. Przepraszam.

„Ufff.” Chłopak podniósł plecak i starając się nie przyspieszać kroku poszedł w stronę hotelu „Teatralnego”. Nastrój mu się popsuł. „Może nie warto było przyjeżdżać?”

Trzech mężczyzn podeszło do kiosku z papierosami. Tam oczekiwał na nich ubrany również po cywilnemu Hajewoj.

– No i co? Mówiłem przecież – rzekł tonem zwyczajcy.

– Nie ten... – westchnął funkcjonariusz. – Jakiś Kriwoszejn Walentin Wasiliewicz. A z fotografii i rysopisu słownego zupełnie Krawiec.

– Rysopis, rysopis... i co on wart ten rysopis? – rozzłościł się Hajewoj. – Ja go przecież widziałem, eskortowałem go: tamten nie był siwy, dziesięć lat młodszy i do tego szczuplejszy.

– Idziemy na dworzec, chłopcy – zaproponował drugi funkcjonariusz. – Rzeczywiście, co on, wariat, żeby po prospekcie spacerować?

Wiktor Krawiec w tym czasie rzeczywiście przemykał się ciemną pustą uliczką.

...Wyskoczywszy wtedy w biegu z samochodu milicyjnego, przedostał się przez park nad Dniepr, gdzie leżał w krzakach i czekał, aż się ściemni. Chciało mu się palić i jeść. Niskie słońce złociło nakrapiany pstrymi grzybami parasoli piasek Wyspy Płazowej,

widać było mrowiących się tam plażowiczów. Maleńki holownik, rozpuściwszy wodne wąsy od brzegu do brzegu, spieszył w górę rzeki, ku portowi towarowemu po następną barkę. W dole, u podnóża urwiska, hałasowały na bulwarze tramwaje i samochody.

„No i doigraliśmy się... Wszystkośmy przemyśleli: metodykę, warianty zastosowania metody, nawet jej oddziaływanie na sytuację w świecie, tylko tego nie przewidzieliśmy. Żeby tak rąbnąć z wysoko, prosto pyskiem w błoto: z pracowników naukowych ni z tego, ni z owego stać się przestępcami. Mój Boże, cóż to za cholerna praca: jedno nieudane doświadczenie i wszystko diabli biorą. Ja przecież zupełnie nie jestem przygotowany do tej zabawy w policjantów i złodziei, piśmiennictwo mam w bibliotece studiować, czy co? Ten – kodeks karny i co tam jeszcze takiego? Kodeks postępowania karnego czy jak to się nazywa... Nie znam prawideł gry i mogę ja bardzo łatwo przegrać, a właściwie już przegrałem. Biblioteka... jaka tam teraz biblioteka...”

Wieże chłodnicze elektrowni po drugiej stronie Dniepru buchały gęstymi kłębamii pary – wydawało się, że produkują chmury. Słońce dotykało ich dolną krawędzią.

„I co teraz zrobić? Wrócić do Komendy, opowiedzieć wszystko ze skrucą i w obrzydliwy sposób wydać wszystko to, czego strzeżliśmy przed niepowołanymi oczami? Zdradzić nie dla ratowania pracy, ale siebie? Bo pracy tym się i tak nie uratuje: jeszcze dwa, trzy dni i w pracowni wszystko zacznie gnić, i niczego się już nie udowodni, nikt nie uwierzy i nie dowie się, co tam było... Siebie też nie uratuje: przecież Kriwoszejn nie żyje. Jak to się mówi – obciąża

mnie... Może pójść do Azarowa i wszystko wyjaśnić? Nie, teraz już się nic nie da wyjaśnić. Dla niego już nawet nie jestem studentem na praktyce, tylko podejrzanym osobnikiem z fałszywymi dokumentami. Oczywiście na pewno zawiadomili go o mojej ucieczce, a on jako lojalny administrator winien współpracować z milicją... To właśnie jest problem człowieka w całej okazałości. Wszystkie nieszczęścia stąd się biorą. A ściślej z tego, że nie chcieliśmy pogodzić się z tym, że nie można go rozwiązać sposobem laboratoryjnym. Bp jak to: my? My, którzy osiągnęliśmy takie wyniki? My, którzy trzymamy w ręku niesłychane możliwości syntezy informacji? Też coś... A tymczasem do tego problemu nie dorośliśmy, najwyższy czas się przyznać. A bez tego cała reszta po prostu nie ma sensu.”

Słońce zachodziło. Krawiec wstał, otrzepał spodnie i poszedł w górę ścieżką, nie wiedząc ani dokąd, ani po co. W kieszeniach dzwięczał bilon. Przeliczył: wystarczy na paczkę papierosów i bardzo skromną kolację. A co dalej? Dwie studentki, które rozsiadły się na ławce w zaroślach, aby przygotowywać się do egzaminów, z zainteresowaniem, spojrzały na przystojnego chłopaka, potrząsnęły głowami odpędzając grzeszne myśli i zagłębiły się w notatkach. „Hmm... No tak, chyba nie zginę. Może pójść do Leny? Nie, ją też pewnie śledzą, przyskrzynią mnie...”

Ścieżka wyprowadziła go na cichą, pustą uliczkę. Zza płotów zwisały się gałęzie, ciężkie od czerwieniejących wiśni. W dali na niebie widać było podświetlony od dołu rudy obłok.

Ściemniało się. Chłód wieczoru wślizgiwał się pod koszulę naciągniętą na gołe ciało. Po przeciwnej stronie ulicy w pewnej

odległości od Wiktora pojawiło się dwu mężczyzn w czapkach mundurowych. Milicja! Krawiec rzucił się w najbliższą przecznicę. Przebiegł kawałek i zatrzymał się, aby złapać oddech.

„Doczekałem się. Przez dwadzieścia lat nie uciekałem przed nikim. Jak chłopiec z cudzego sadu... – Z bezradności i poniżenia strasznie chciało mu się palić. – Gra przegrana. Trzeba przyznać się do tego otwarcie i wycofać się... W końcu bywają sytuacje, w których każdy z nas miałby ochotę uciec, zboczyć z drogi. Teraz moja kolej, do diabła. Cóż więcej mogę zrobić?”

Uliczka wyprowadziła go w blask błękitnych świateł. Na ich widok Wiktor poczuł napad zwierzęcego głodu: nie jadł prawie dobę. „Hm... tam jeszcze można coś zjeść. Pójdę. Na prospekcie Marksa szukać mnie chyba nie będą.”

...Betonowe słupy wygięty nad asfaltem wężowe głowy jarzeńówek. Za szybami wystaw stały w swobodnych pozach eleganckie manekiny, lśniły odbiorniki radiowe, telewizory, garnki, celowały szyjkami w przechodniów lufy szampana, piętrzyły się góry konserw, poukładane w przemyślne spirale. Pod tańczącą reklamą świetlną „Wszystko to możesz wygrać za 30 kopiejek” widniała lodówka „Dniepr”, maszyna do szycia „Dnipro”, magnetofon „Dniepr-12” i samochód „Sławutycz-409”. Nawet podstrzyżone krótko lipy, stojące wzdłuż szerokich chodników, wyglądały jak wyroby przemysłowe.

Wiktor wyszedł w największy tłok, na promenadę między restauracją „Dynamo” i kinem „Dniepr”. Po ulicy snuły się tłumy spacerowiczów. Sztywnym krokiem kroczyli rozczochrani na wzór artystycznej bohemy młodzieńcy o szklanym spojrzeniu. Statecznie

przechadzały się pary starszków. Objąwszy dziewczyny, szli w stronę miejskiego parku fircykowaci gogusie. Szybkim krokiem kluczyli w tłumie „urodzeni w niedzielę”, młodzi ludzie z grzywkami nad bystrymi oczyma. Dziewczyny ostrożnie niosły na głowach wymyślne fryzury. Były najrozmaitsze: „po tyfusie”, „po babskiej kłótni”, „pokochaj mnie za charakter” i inne arcydzieła sztuki fryzjerskiej. Przemykali się samotni młodzieńcy, rozdierani wewnętrznymi żądzą i nieśmiałością.

Krawiec początkowo szedł z obawą, ale stopniowo zaczęła ogarniać go złość.

„Chodzą, chodzą. Siebie pokazać, innych pooglądać... Dla nich jak gdyby czas się zatrzymał, nic się nie dzieje. Chodzili jeszcze po Gubernatorskiej – skakali po drewnianych chodnikach, oglądali faetony i siebie nawzajem. Chodzili po wojnie – od ruin kina «Dniepr» do ruin restauracji «Dynamo», pod kiwającymi ię żarówkami na drewnianych słupach, plując łupinami słonecznika. Potem prospekt wyasfaltowano, ubrano w wielopiętrowe budynki z betonu, szkła i aluminium, oświetlono, posadzono drzewa i kwiaty, a oni wciąż chodzą jak gdyby nigdy nic; żują irysy, grają na tranzystorach, paplają. Potwierdzenie niezniszczalności mieszczańskiego ducha. Siebie pokazać – innych pooglądać, innych pooglądać – siebie pokazać. Przelecieć się, zajść do barku kawowego, zeżreć ciastko pod wodę sodową, skręcić do supernowoczesnego pisuaru za urzędem pocztowym, odlać się, przelecieć się, doczepić, poznać kogoś, przelecieć się... Owadzie życie...”

Ominął tłum, który zebrał się na rogu prospektu i ulicy Engelsa, koło nowości: automatu, sprzedającego losy na loterię. Automat, wykonany na podobieństwo maszyny cybernetycznej, grał, radiowym głosem wzywał do wykupywania losów i za dwie

piętnastokopiejkówki wyrzucał z wnętrza „szczęśliwy” los wściekle kręcąc kołem z niklu i szkła. Krawiec zgrzytnął zębami.

„A my, zarozumiali idioci, umyśliliśmy sobie, żeby przekształcać ludzi za pomocą techniki laboratoryjnej. A co z tymi drobnomieszczanami? Czy to ma dla nich znaczenie, że zamiast dorożkarzy pojawiły się taksówki, zamiast harmonii – magnetofony na tranzystorach, zamiast rozmów na ucho – telefon, zamiast nowych kaloszy, wkładanych w piękną pogodę. – płaszcze z włókien syntetycznych? Siedzieli przy samowarze, teraz spędzają wieczory przy telewizorach.”

Z tłumu dolatywały urywki zdań:

– Między nami, powiem szczerze: mężczyzna to mężczyzna, a kobieta to kobieta.

– ..On mówi: „Wala?” A ja: „Nie.” On: „Lusia?” A ja: „Nie.” On: „Sonia?” A ja: „Nie.”

– Abram wyjechał na delegację, a żona...

– Nauczcie się korzystać z chwili, dziewczyny.

„I cóż zmieni się wskutek postępu nauki i techniki? Powiedzmy, wystawy będą ugięły się pod górami syntetycznych futer ze srebrnego lisa, wiecznych atomowych zegarków na rękę, lodówek półprzewodnikowych i radio-klipsów... Samobieżne taśmy chodników z luminującego plastyku będą przenosiły spacerowiczów od trójwymiarowej cineramy «Dniepr» do automatycznej restauracji «Dynamo», nawet nogami nie trzeba będzie przebierać... Będą spacerowali z mikrotelenadajnikami, żeby nie trzeba było odwracać głowy do towarzyszki, i nie męcząc krtani będą prowadzili te same puste rozmowy:

– Między nami, powiem szczerze: robot to robot, a antresola to antresola.

- Abram wybrał się w antyświat, a żona...
- Nauczcie się korzystać z bieżącej mikrosekundy.

A na rogu ulicy automat zbudowany na podobieństwo statku kosmicznego będzie sprzedawał pocztówki «Pozdrowienia z Wenus»: panorama kosmoportu na Wenus w otoczeniu całujących się gołąbków... I co?»

Nie opodal przeszedł Chiłobok. U jego ramienia wisiąca, skręcając się ze śmiechu, dziewczyna – docent zabawiał ją i nie zauważył zbiegłego studenta, który uskoczył w cień lipy. „Harry znowu nową poderwał” – uśmiechnął się za nim Krawiec. Kupił w kiosku papierosy, zapalił i poszedł dalej. W tym momencie ogarnęła go taka złość, że odechnęło mu się jeść. Gdyby w takim stanie trafił w objęcia milicji, wściekłość wyładowałaby się we wspnianym mordobiciu.

W hotelu „Teatralnym” miejsc również nie było. Przyjezdny szedł po prospekcie Marksa w stronę Domu Kołchoźnika i ponuro przyglądał się spacerującej publiczności.

„Chodzą, chodzą... We wszystkich miastach na świecie są ulice, po których wieczorami – odtąd dotąd – spacerują tłumy, gromady jednostek. Pokazać siebie – pooglądać innych, pooglądać innych – pokazać siebie. Chodzą, chodzą, a planeta zatacza się im pod nogami. Co to za zbiorowy instynkt, który ciągnie ich jak łososie na miejsce tarła? A inni siedzą przy telewizorach, rzną na podwórkach w durnia, grają w oko w zadymionych pokojach, podpierają ściany w tancbudach... Iluż ich jest tych zapóźnionych, którzy samych siebie skazują na wegetację? «Umiemy coś tam robić, zarabiamy nieźle,

wszystko mamy, żyjemy nie gorzej niż inni – i dajcie nam święty spokój.» Samotni, którzy boją się pozostać sam na sam ze sobą, gubią się w złożoności życia i już nie zastanawiają się nad nim więcej... Znają tylko jedną niezawodną zasadę: żeby mieć powodzenie w życiu, trzeba być takim jak wszyscy. Więc chodzą, patrzą: jacy są wszyscy? Czekają na objawienie...”

Za przejrzystymi chmurami wędrował powoli księżyc, odepchnięty przez iluminowaną wspaniałość prospektu. Nikt się nim nie interesował.

„A w dzieciństwie i oni marzyli, aby żyć barwnie, ciekawie, aby żyć z celem, poznać świat... Nie ma człowieka, który by o czymś takim nie marzył. I teraz też zresztą marzą, słodko i bezsilnie. No więc w czym rzecz? Nie starczyło im siły, aby zamienić marzenia w życie? A po co? Po co folgować własnym marzeniom i silnym uczuciom – nie wiadomo jeszcze, do czego to doprowadzi! – jeśli można je sobie kupić, jeśli można bezpiecznie żerować na cudzej uczcie – życiu wymyślonych bohaterów. I przeżarli się, rozmienili na drobne, pozostało tylko tyle, ile trzeba, żeby spacerować po prospekcie...”

Tuż obok przeszedł docent Chiłobok z dziewczyną. „Harry znówu nową poderwał” – powitał go w myśli przyjezdny.

Spojrzał za nim; może dogonić i zapytać o Kriwoszeina? „E, nie, od Chiłoboka lepiej trzymać się z daleka.”

Przyjezdny i Krawiec weszli na ten sam odcinek ulicy.

„...Kiedyś mały człekokształtne rozdzieliły się: jedne wzięły w łapy kamienie i pałki, zaczęły pracować, myśleć, inne w dalszym

ciągu huśtały się na gałęziach. Teraz na Ziemi rozpoczęło się nowe przejście, gwałtowniejsze i potężniejsze niż zlodowacenie: przeskok świata w nowy stan jakościowy. Ale co ich to obchodzi? Z góry godzą się, żeby pozostać przy swoim, przy telewizorach, przy pomocy techniki zaspokajać nieskomplikowane potrzeby – wściekał się w myśli Krawiec. – Co ich obchodzą wszystkie nowe możliwości – nauki, techniki, produkcji? Co ich obchodzi nasza praca? Dodać im rozumu, zręczności, zdolności – i co? Będą uczyć się nie dla osiągnięcia mistrzostwa i zaspokojenia ciekawości, ale po to, aby więcej dostać za swą wiedzę, za lekką pracę, aby wywyżżyć się nad innych swoim poziomem. Będą wciąż nabywać i gromadzić, żeby wszyscy widzieli, jak dobrze im się powodzi, żeby zapełnić wewnętrzną pustkę troską o rzeczy. No i na czarną godzinę, która może nie nadejść, ale przez którą wszystkie dni są szare... Nudno. Ucieknę do Władystostoku. Sam, zanim wyślą mnie przymusowo... Wtedy praca umrze śmiercią naturalną. Praca, która i tak w niczym im nie pomoże: przecież, żeby wykorzystać takie możliwości, trzeba stawiać sobie wielkie cele, mieć siłę ducha, być wewnętrznie niezaspokojonym. A «ni bywają niezadowoleni tylko z otoczenia: z warunków, znajomych, życia, rządu, ze wszystkiego oprócz siebie. No więc niech sobie spacerują. Nauka tu, jak to się mówi, jest bezsilna.»

W tej chwili dzielił ich tylko budynek poczty.

Gniewne myśli Krawca znikły, zostało tylko jakieś nieuchwytnie poczucie winy w stosunku do ludzi, którzy przechodzili koło niego.

„Ktoś powiedział: nikt tak nie gardzi tłumem jak wywyższająca się nad nim miernota... Kto to był? – zmarszczył czoło. – Zaraz, przecież to ja sam mówiłem tak o kimś innym. Oczywiście, że o kimś innym, przecież nie o sobie... – Poczł obrzydzenie do siebie. – Przecież opluwając ich, opluwam samego siebie. Sam niedaleko od nich odszedłem, niedawno byłem taki sam... Zaraz, zaraz. Więc wygląda na to, że po prostu mam ochotę zwiać? Prysnać? I żeby nie było głupio, żeby nie utracić szacunku dla samego siebie, podbuduję to ideologicznie? Nikogo nie zdradziłem, wszystko w porządku, nauka jest bezsilna, tak musi być... Boże, jakże podłe i służalcze mogą być myśli inteligenta. (Nawiasem mówiąc, to też mówiłem albo myślałem, i też o kimś innym. Wszystkie prawdy stosujemy do bliźnich, tak po prostu łatwiej jest żyć.) A to właśnie ja jestem tym inteligentem. Wszystko uruchomiłem: i niechęć do tłumy, i rozważania teoretyczne... No, tak! – zaczerwienił się, zrobiło mu się gorąco. – Oto do czego może doprowadzić niepowodzenie. No dobrze, ale cóż ja mogę zrobić?”

Nagle nogi jak gdyby przykleiły mu się do asfaltu: naprzeciw zamasyście kroczył chłopiec z plecakiem i płaszczem na ręku. „Adam?” Krawcowi zrobiło się zimno, serce zamarło mu w piersiach – jakby nie człowiek zbliżał się do niego, ale ucieleśniony wyrzut sumienia. Oczy Adama były zamyślane i złe, kąciki ust niechętnie opuszczone w dół. „Zaraz zobaczy mnie i pozna...” – Wiktor odwrócił oczy, aby się nie zdradzić, ale ciekawość była silniejsza: spojrzął prosto na tamtego. Nie, teraz Adam nie sprawiał wrażenia „niewolnika”, lecz człowieka pewnego siebie, silnego i zdecydowanego... W pamięci ożył obraz: rozczochrana głowa na tle ciemnych ścian,

rozszerzone z nienawiści źrenice, pięciokilogramowa żelazna hantla, uniesiona nad jego twarzą.

Przyjezdny minął go. „Oczywiście, skądże miałby mnie poznać? – westchnął z ulgą Krawiec. – Ale po co wrócił? Czego chce?”

Spoglądał za oddalającym się chłopcem. „Może dogonić go, opowiedzieć, co się stało? Zawsze jakaś pomoc... Nie. Kto tam wie, co go tu przyniosło. – Znowu opanowała go rozpacz. – Doigraliśmy się, doeksperymentowali. niech to... Chowamy się przed sobą. Zaraz... przecież jest jeszcze jeden wariant. Tylko czy to coś da?” – Wiktor w napięciu zagryzł wargi.

Adam znikł wśród spacerowiczów.

„No, dość tej rozterki – potrząsnął głową Krawiec. – Nie sam pracuję. I uciekać też nie wolno, trzeba ratować pracę...”

Wyciągnął z kieszeni drobne, przeliczył, przełknął ślinę z głodu i wszedł na pocztę.

Pieniądzy wystarczyło zaledwie na krótką depeszę: „, Moskwa, Uniwersytet, Wydział Biologii, Kriwoszejn. Przyjeżdżaj natychmiast. Walentin”.

Wysławszy depeszę, Krawiec wszedł na prospekt, doszedł do rogu i skręcił w ulicę prowadzącą do Instytutu Systemologii. Przeszedł kawałek i obejrzał się, czy go kto nie śledzi. Ulica była pusta. Tylko z budynku domu towarowego patrzyła na niego piękna dziewczyna oświetlona metrowymi literami neonu: „Przechowujcie pieniądze w kasie oszczędności”. Dziewczyna trzymała w ręku książeczkę oszczędności, a jej wzrok obiecywał, że pokocha tych, co oszczędzają.

Nad okienkiem recepcji w Domu Kołchoźnika widniał napis:
Miejsce dla człowieka – 60 kop.
Miejsce dla konia – 1 rb. 20 kop.
Przyjezdny z Władywostoku westchnął i wyciągnął dowód osobisty.
– Proszę za sześćdziesiąt...

Rozdział czwarty

To, co niemożliwe, jest niemożliwe. Na przykład, niemożliwe jest poruszanie się szybciej od światła... Zresztą, gdyby nawet było to możliwe – czy warto się wysilać? I tak nikt tego nie dojrzy i nie oceni.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 17

Rankiem następnego dnia dyżurny Komendy Miejskiej przekazał oficerowi dochodzeniowemu Onisimowowi raport milicjanta, który pilnował opieczętowanej pracowni. Milicjant meldował, że w nocy – między pierwszą a drugą – nieznany mężczyzna w jasnej koszuli próbował wtargnąć do pracowni przez okno. Spłoszony okrzykiem milicjanta zeskoczył z parapetu i skrył się w parku.

– Jasne! – Onisimow z zadowoleniem zatarł ręce. – Ciągnie go na miejsce przestępstwa...

W dniu wczorajszym wysłał wezwanie do obywatela Azarowa i obywatelki Kołomyjec. Na pojawienie się profesora Azarowa Onisimow oczywiście nie liczył, chciał jednak mieć grzbiet wezwania,

który mógłby posłużyć do własnej obrony. Natomiast Helena Kołomyjec, inżynier z biura Konstrukcyjnego, sąsiadującego z Instytutem Systemologii, przybyła punktualnie o dziesiątej.

Gdy pojawiła się w gabinecie, Onisimow zrozumiał znaczenie fałszywych ruchów rąk Chiłoboka: stała przed nim piękna kobieta. „Dobra!” – pomyślał. Każdy szczegół jej postaci oddzielnie wyglądał całkiem zwyczajnie: ciemne włosy – jak włosy, nos – jak nos (nawet lekko zadarty) i owal twarzy też zupełnie zwyczajny – a wszystko razem miało tę harmonię, której nie trzeba analizować, ale po prostu zachwycać się i podziwiać wielkie po, czucie miary natury.

Onisimow przypomniał sobie postać zmarłego Kriwoszeina i poczuł czysto męskie oburzenie. „Słusznie, to nie był dla niej partner, miał rację Chiłobok. Co ona w nim takiego widziała? Szukała oparcia, czy co? A może męża z dobrą pensją?” Podobnie jak większość mężczyzn, których powierzchowność i wiek nie pozostawiają nadziei na liryczne sukcesy, Onisimow miał niezbyt dobre mniemanie o pięknych kobietach.

– Proszę, niech pani siada. Czy mówią pani coś nazwiska: Kriwoszeina Walentin Wasiliewicz...

– Tak – głos miała głęboki, śpiewny.

– ...i Krawiec Wiktor Witaliewicz?

– Wiktor? Tak – Helena Kołomyjec uśmiechnęła się ukazując równe zęby. – Tylko nie wiedziałam, że on jest Witaliewicz. A o co chodzi?

– Co pani może powiedzieć o stosunkach między Kriwoszeinem a Krawcem?

– No... pracowali razem... Wiktor zdaje się jest Wali... to znaczy Kriwoszeina, jakimś dalekim krewnym. Wydaje mi się, że byli za przyjaźnieni... A co się stało?

– Pani wybaczy, ale tutaj ja zadaję pytania – Onisimow miał nadzieję, że wytrącona z równowagi powie więcej, i nie spieszył się z wyjaśnieniem sytuacji. – Czy łączyły panią bliskie stosunki z Kriwoszeinem?

– Tak...

– Z jakiego powodu rozstaliście się?

Oczy Heleny Kołomyjec stały się zimne, na policzkach pojawił się i znikł rumieniec.

– To nie ma nic wspólnego ze sprawą!

– A skąd pani wie, co ma, a co nie ma związku ze sprawą? – ożywił się Onisimow.

– Dlatego że... bo... bo to nie może mieć żadnego związku z niczym. Rozstaliśmy się i koniec.

– Jasne... no, dobrze, pozostawmy na razie tę sprawę. Proszę powiedzieć, gdzie mieszkał Krawiec?

– W internacie dla młodych specjalistów w osiedlu akademickim, tak jak wszyscy praktykanci.

– A dlaczego nie u Kriwoszeina?

– Nie wiem. Widocznie tak było im wygodniej...

– Pomimo pokrewieństwa i przyjaźni? Jasne... A jak Krawiec odnosił się do pani? Okazywał zainteresowanie pani osobą? – Onisimow próbował wycisnąć ze swojej wersji wszystko.

– Okazywał. – Helena Kołomyjec przygryzła wargę, ale nie wytrzymała. – Myślę, że i pan by okazywał, gdybym pozwoliła.

– Aha, to znaczy że Krawcowi pani pozwalała? Proszę powiedzieć, czy Kriwoszein nie był zazdrosny o Krawca?

– Może i był... tylko nie rozumiem, co pana to obchodzi? – Kobieta spojrzała na Onisimowa z ostrą niechęcią. – Co to za aluzje?

Co się stało, może pan mi wreszcie wyjaśni!

– Spokojnie, obywatelko!

„Może jej wyjaśnić? Ale czy to warto? Pytanie, czy jest zamieszana w tę sprawę... Pewnie, że ładna, może się podobać, tylko... środowisko naukowe nie pasuje do poważnych przestępstw seksualnych. Statystyka przemawia na ich korzyść. Uczony przez dziewczynę głowy nie straci... Ale Krawiec...”

Rozmyślenia Onisimowa przerwał dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę.

– Słucham, Onisimow.

– Wyszliśmy na poszukiwanego, towarzyszu kapitanie – zameldował funkcjonariusz. – Chcecie być przy zatrzymaniu?

– Oczywiście!

– Czekamy przy dworcu lotniczym, samochód 57-28 DNA.

– Jasne! – Onisimow wstał, wesoło spojrzął na kobietę. – Chyba innym razem dokończymy, Heleno Iwanowno. Podpiszę pani wezwanie, proszę się nie denerwować, nie mieć pretensji. Wszyscy mamy nerwy – i pani, i ja...

– Ale co się stało?

– Prowadzimy dochodzenie. Na razie nie mogę nic powiedzieć. No, życzę powodzenia!

Onisimow odprowadził kobietę, wyciągnął z szuflady pistolet, zamknął pokój i pobiegł na wewnętrzne podwórze komendy do samochodu.

Śnieżnobiały IŁ podkołował do budynku dworca lotniczego punktualnie o 13.00. Podjechał błękitny trap. Tęgi, niewysoki mężczyzna w wąskich zielonych spodniach i pstrej wypuszczonej

koszuli zbiegł pierwszy po schodkach i wymachując wzorzystą torbą turystyczną szedł po sześciokątnych płytach betonowych ku ogrodzeniu. Mężczyzna rozglądał się energicznie szukając kogoś w tłumie oczekujących, wreszcie znalazł i rzucił się na spotkanie.

– No, cześć! Co to za gwałt w okresie urlopowym, co to za „przyjeżdżaj natychmiast?!” Pokaż no się! O, poprawiłeś się, nawet wyprzystojniałeś, słowo daję! Co to jednak znaczy cały rok nie widzieć człowieka! I oblicze ci jakoś wyszlachetniało, i nawet na szczękę mogę patrzeć bez odrazy....

– Tyś się też poprawił na doktoranckim chlebie – witający ogarnął go krytycznym spojrzeniem. – Dorobiłeś się!

– Bracie, to nie jest taki zwykły dorobek, to jest rezerwa informacyjno-materialna. Potem ci opowiem, nawet zademonstruję. To jest, Walek, zupełny przewrót... Ale zacznijmy od ciebie: czemu sięgnąłeś mnie przed terminem? Nie, chwileczkę! – Pasażer samolotu wyciągnął z kieszeni notes, a z niego kilka czerwonych banknotów. – Zwracam dług.

– Jaki dług? – witający odsunął rękę z pieniędzmi.

– Na miłość boską, przestań! – pasażer protestująco podniósł rękę. – Wiedziałem, wiem, z góry już się spodziewałem: taki roztrągniony uczony, który nie zniża się do zapamiętywania jakichś trywialnych drobiazgów... Nie trzeba. Już ja cię znam: nie zapominasz nawet o groszowych długach. Trzymaj pieniądze, nie wyglupiaj się!

– Nie, nie – uśmiechnął się miękko tamten – mnie nic nie jesteś winien. Widzisz... – Zająknął się pod badawczym spojrzeniem pasażera.

– Co za cholera! – niespokojnie rzucił przyjezdny. – Zaczęłeś włosy farbować, ty, pseudoszatynie? A blizna? Blizna nad prawą brwią gdzie się podziała? – głos jego nagle ściszył się do szeptu. – Człowieku... kto ty jesteś?!

W międzyczasie tłum przybyłych i witających rozproszył się. Pięciu mężczyzn, którzy nikogo nie witali i nigdzie się nie spieszyli, rzuciło papierosy i szybko otoczyło rozmawiających.

– Tylko spokojnie! – uprzedził Onisimow wpychając się między laboranta i wytrzeszczającego oczy pasażera, który ścisnął w rękę pieniądze. – Przy próbie oporu będziemy strzelać.

– Co... – oszołomiony pasażer cofnął się o krok, lecz natychmiast został mocno chwycony pod rękę.

– Nie „co”, ale milicja, obywatelu... Kriwoszejn, jeśli się nie mylę? – Onisimow uśmiechnął się z maksymalną uprzejmością. – Was też trzeba będzie zatrzymać. Rozprowadzić do samochodów!

...Wiktor Krawiec, rozsiadając się na tylnym siedzeniu „Wołgi” między Onisimowem a drugim milicjantem, uśmiechał się zmęczonym, spokojnym uśmiechem.

– Nawiasem mówiąc, na waszym miejscu nie uśmiechałbym się – zauważył Onisimow. – Za takie żarty wyrok rośnie.

– E, co tam wyrok! – Krawiec beztrąsko machnął ręką. – Najważniejsze, że chyba zrobiłem właściwy krok.

– Nie spodziewałem się zupełnie, że mój powrót zacznie się epizodem kryminalnym – odezwał się pasażer samolotu, kiedy wprowadzono go do gabinetu Onisimowa. – No cóż, raz w życiu to może być interesujące.

Nie oczekując na zaproszenie usiadł na krześle i rozejrzał się.

Onisimow nie odzywając się usiadł naprzeciwko: walczyły w nim sprzeczne uczucia: triumf („To się nazywa operacja! To dopiero sukces! Dwóch naraz, i to chyba na gorącym uczynku!”) i niepokój. Do chwili obecnej dochodzenie opierało się na fakcie, że w pracowni zmarł lub został zabity Kriwoszejn. Tymczasem... Onisimow uważnie przyjrzał się zatrzymanemu: wysokie czoło z zatokami, wypukłe łuki brwiowe, czerwono-siną blizną nad prawą brwią, piegowata, twarz z pełnymi policzkami, szeroki zadarty nos, krótko ostrzyżone rudawe włosy – bez wątplenia siedział przed nim Kriwoszejn. „No, to mi się udało!... Ale kogo oni tam, do diabła, załatwili? No, teraz wreszcie wyjaśnię wszystko do końca!”

– A to co? Aluzja? – Kriwoszejn pokazał na zakratowane okna.
– Żeby się szybciej przyznawali?

– Nie, hurtownia tu kiedyś była – oficer przypomniał sobie, że tą samą odpowiedzią rozpoczął wczorajsze przesłuchanie laboranta i uśmiechnął się. ~– Od tego czasu kraty pozostały... No, jak samopoczucie, Walentinie Wasiliewiczu?

– Dziękuję... przepraszam, nie znam waszego nazwiska... nie skarzę się. A wasze?

– Tak samo – skinął głową Onisimow. – Z tym, że moje samopoczucie nie ma bezpośredniego związku ze sprawą.

Uśmiechali się do siebie szeroko i z napięciem, jak bokserzy przed mordobiciem.

– A moje niby ma? Już sobie pomyślałem, że to taki zwyczaj: pytać o samopoczucie pasażerów, których ni z tego, ni z owego łapienie na lotnisku. No więc, jaki właściwie związek ma moje zdrowie z waszą sprawą?

– My nie łapiemy, obywatelu Kriwoszein, ale zatrzymujemy – ostro poprawił go Onisimow. – A moje zainteresowanie waszym zdrowiem jest całkowicie uzasadnione, ponieważ posiadam świadectwo lekarskie oraz zeznania świadków, stwierdzające wasz zgon.

– Mój zgon?! – Kriwoszein z odrobiną kokieterii obejrzał samego siebie. – No cóż, jeśli macie takie informacje, to proszę mnie przewieźć do sali sekcyjnej... – Nagle coś sobie uświadomił: uśmiech znikł. Spojrzał na Onisimowa chmurnie i niespokojnie: – Posłuchajcie, towarzyszu, jeśli żartujecie, to bardzo głupio. Co to za historia?

– Na miłość boską, jakie znów żarty! – Onisimow szeroko rozłożył ręce. – Przedwczoraj wasze zwłoki zostały znalezione w pracowni, sam widziałem... to znaczy, oczywiście, nie wasze, ponieważ widzę, że cieszyście się dobrym zdrowiem, tylko bardzo podobnego do was osobnika. Zwłoki zostały przez wszystkich zidentyfikowane jako wasze.

– O, cholera! – Kriwoszein zgarbił się, potarł dłońmi policzki. – Możecie pokazać mi te zwłoki?

– No... przecież sami dobrze wiecie, że nie. Przecież pozostał tylko szkielet. Bardzo nieładny kawał, paskudny... Bardzo różnie można to tłumaczyć.

– Szkielet?! – Kriwoszein podniósł głowę, w jego zielonych, rudonakrapianych oczach pojawił się niepokój. – Jak to? Gdzie?

– To stało się tam, na miejscu przestępstwa, jeśli rzeczywiście wam są potrzebne wyjaśnienia ode mnie na ten temat – odpowiedział z naciskiem Onisimow. – Może jednak sami lepiej byście to wyjaśnili?

– Były zwłoki, został szkielet... – mruknął marszcząc w zamyśleniu czoło Kriwoszeina. – Ale... aha, wobec tego to nie wygląda tak strasznie! On tutaj czasu darmo nie tracił... widocznie coś mu nie wyszło. Uff, cholera, a ja już... – uspokoił się, ostrożnie spojrzął na Onisimowa. – Kręcicie wy tu coś, towarzyszu, nie wiadomo po co. Zwłoki tak ni z tego, ni z owego w szkielety się nie, zmieniają, trochę się na tym znam. A poza tym w jaki sposób udowodnicie, że to są moje zwłoki... a właściwie podobnego do mnie człowieka, skoro znikły? Coś tu nie gra.

– Być może. Dlatego właśnie chcę, żebyście sami wyjaśnili. Tym bardziej że zajście miało miejsce w powierzonej wam pracowni.

– W powierzonej mi?... Hm... – Kriwoszein uśmiechnął się, pokręcił głową. – Boję się, że z tego wyjaśnienia nic nie wyjdzie. Sam musiałbym się dopiero zorientować.

„Ten też zacznie się wypierać!” – westchnął ze smutkiem Onisimow, przysunął sobie arkusz papieru i otworzył wieczne pióro.

– Wobec tego zacznijmy od początku. Nazywacie się Kriwoszein Walentin Wasiliewicz?

– Tak.

– Wiek 35 lat? Rosjanin? Kawaler?

– Zgadza się.

– Mieszkacie w Dnieprowsku, jesteście kierownikiem pracowni nowych systemów w Instytucie Systemologii?

– Co to, to już nie. Mieszkam w Moskwie, jestem na studiach doktoranckich przy Wydziale Biologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Proszę! – Kriwoszein wyciągnął przez stół dowód osobisty i legitymację służbową.

Dokumenty były dość sfatygowane. Wszystko, nawet czasowe

zameldowanie w Moskwie na okres trzech lat, zgadzało się z oświadczeniem Kriwoszeina.

– Jasne – Onisimow schował je do szuflady. – Szybko to się w Moskwie robi, patrzcie no tylko! Jeden dzień!

– Co chcecie przez to powiedzieć? – Kriwoszein podrzucił głowę, wojowniczo uniósł prawą brew.

– To chcę powiedzieć, że te wasze dokumenty to lipa. Taka sama lipa, jak u waszego wspólnika, któremu na lotnisku chcieliście przekazać pieniądze. Alibi sobie montujecie? Próżny trud. Sprawdzimy i co wtedy?

– Proszę bardzo, sprawdzajcie.

– Sprawdzimy, sprawdzimy. U kogo pracujecie na Uniwersytecie? Kto jest waszym kierownikiem?

– Profesor Wano Aleksandrowicz Androsjaszwili, kierownik katedry fizjologii, członek korespondent Akademii Nauk.

– Jasne – Onisimow wykręcił numer. – Dyżurny? Mówi Onisimow. Szybciućko połączcie się z Moskwą. Niech pilnie doprowadzą do operacyjnego wideotelefonu... zapiszcie: Wano Aleksandrowicz Androsjaszwili, profesor, kieruje katedrą fizjologii na Uniwersytecie. Szybko! – triumfalnie spojrzął na Kriwoszeina.

– Wideotelefon operacyjny, ależ to pełny komfort! – cmoknął Kriwoszein. – Widzę, że techniką śledztwa sięga granic fantastyki. A czy to będzie prędko?

– Kiedy będzie, to będzie, nie spieszcie się. Mamy jeszcze o czym porozmawiać. – Jednak pewność siebie Kriwoszeina wywarła na Onisimowie wrażenie. Zaczął mieć wątpliwości. „A może rzeczywiście jakiś głupi zbieg okoliczności? Sprawdzę jeszcze”. – Czy znacie Helenę Iwanownę Kołomyjec?

Twarz Kriwoszeina utraciła wyraz spokoju – napiął się, spoglądając ponuro i wyczekująco na Onisimowa.

– Tak. A co takiego?

– Blisko?

– A co?

– Z jakiego powodu rozstaliście się z nią?

– Bardzo was przepraszam, towarzyszu, ale to już zupełnie nie wasza sprawa! – W głosie Kriwoszeina zabrzmiała wściekłość. – Do moich prywatnych spraw nie pozwolę się mieszać ani Bogu, ani diabłu, ani milicji!

– Jasne – skinął głową Onisimow zachowując zimną krew. „On! Nie ma co: o n ! Tylko po co ciągle kręci, na co liczy?” – Dobrze, zadam łatwiejsze pytanie: kto to jest Adam?

– Adam? Pierwszy człowiek na Ziemi. A co takiego?

– Dzwonił wczoraj do Instytutu... ten pierwszy człowiek, interesował się, gdzie jesteście, chciał się z wami zobaczyć.

Kriwoszein obojętnie wrzucił ramionami.

– A kim jest ten człowiek, który spotkał was na lotnisku?

– Ten, którego niezbyt dowcipnie nazwaliście moim współnikiem? To... – Kriwoszein w zamyśleniu uniósł i opuścił brwi. – Boję się, że to nie ten, za którego go wziąłem.

– Otóż właśnie i mnie się zdaje, że to nie ten! – ożywił się Onisimow. – Zupełnie nie ten! No, więc kto to jest?

– Nie wiem...

– Znowu chcecie się wykręcić! – płaczącym głosem zawołał Onisimow i rzucił pióro. – Przestańcie zwracać głowę, obywatelu Kriwoszein, nie wypada po prostu! Dawaliście mu przecież

pieniądze, czterdzieści rubli dziesiątkami. I co, nie wiedzieliście, komu dajecie?

W tym momencie do gabinetu wszedł młody człowiek w białym fartuchu i spojrzawszy z wyraźną ciekawością na Kriwoszeina położył na stole formularz i wyszedł. Onisimow spojrzął na dokument: był to wynik analizy daktyloskopijnej zatrzymanego. Kiedy podniósł wzrok na Kriwoszeina, na twarzy miał współczująco-triumfalny uśmiech.

– No więc właściwie to już wszystko. Możemy nie czekać na konfrontację z profesorem z Moskwy, zresztą na pewno jej i tak nie będzie. Odciski waszych palców, obywatelu Kriwoszein, są całkowicie identyczne z odciskami, pobranymi przeze mnie na miejscu przestępstwa. Możecie się sami przekonać, proszę! – Wyciągnął przez stół formularz i lupę. – Tak że skończmy już tę zabawę. I weźcie pod uwagę – głos Onisimowa stał się surowy – że to wasze pociągnięcie z lotem do Moskwy i fałszywymi dokumentami bardzo was obciąża... Za premedytację i próbę wprowadzenia w błąd organów ścigania sąd dodaje od trzech do ośmiu lat.

Kriwoszein w zamyśleniu wysunął dółną wargę wpatrywał się w formularz.

– A powiedzcie, dlaczego nie można by przypuścić – powiedział spojrzawszy na Onisimowa – że istnieje dwu ludzi o jednakowych odciskach palców?

– Dlaczego? Choćby dlatego, że przez sto lat istnienia daktyloskopii czegoś takiego jeszcze nie było.

– No, wielu rzeczy dawniej nie bywało... sputników nie było, bomb wodorowych, maszyn elektronowych, a teraz są.

– A co tu mają do rzeczy sputniki? – wzruszył ramionami

Onisimow. – Sputniki sputnikami, a odciski palców – to odciski palców, dowód nie do obalenia. No więc, będziecie odpowiadać?

Kriwoszejn przenikliwie, zamyślonym wzrokiem spojrział na oficera i miękko uśmiechnął się.

- Jak się nazywacie, towarzyszu?
- Nazywam się Matwiej Apollonowicz Onisimow, a co takiego?
- Wiecie co, towarzyszu Onisimow: rzućcie wy lepiej tę sprawę.
- Jak to, rzućcie?
- Zwyczajnie – zamknijcie. Jak to się tam u was formuluje: „z braku dowodów” czy „z braku cech przestępstwa”. I „przekazano do archiwum dnia tego a tego”

Onisimowa po prostu zatkało. Pierwszy raz w całej swojej praktyce milicyjnej zetknął się z podobną bezczelnością.

- Widzicie, towarzyszu Onisimow... będziecie kontynuować tę różnorodną i w normalnych przypadkach z pewnością pożyteczną działalność: przesłuchania, zatrzymania, identyfikacje, porównywanie odcisków palców, będziecie niepokoić różnych bardzo zajętych ludzi wezwaniami do wideotelefonu... – Kriwoszejn rozwijał myśl gestykulując prawą ręką. – I przez cały czas będzie się wam wydawało, że – jeszcze trochę – i będziecie mieli rozwiązanie, że sprzeczności ułożą się w fakty, fakty w poszlaki, że uczciwość zatriumfuje, a zło dostanie wyrok z dodatkiem za premedytację... – westchnął ze współczuciem. – W żadne fakty te sprzeczności się nie ułożą, to nie ten przypadek. I rozwiązania też nie znajdziecie, po prostu dlatego, że poziomem myślenia nie dorośliście jeszcze do niego...

Onisimow nachmurzył się, z urazą zacisnął wargi.

– Nie, nie! – zamachał rękami Kriwoszein. – Nie pomyślcie tylko, że chcę was obrażać, powątpiewać w wasze zdolności detektywistyczne! Widzę przecież, że pracujecie z uporem i dokładnie. Tylko, jak by to powiedzieć? – popatrzył zmrużonymi oczyma na zalany słońcem prospekt za zakratowanym oknem. – Aha, weźmy taki przykład. Sześćdziesiąt lat temu, jak z pewnością wiecie, maszyny w fabrykach były napędzane parą albo dieslami. Przez hale biegł wał transmisyjny, od niego do maszyn biegły pasy napędowe, wszystko to kręciło się, warczało, klaskało i radowało swą barbarzyńską wspaniałością oko dyrektora albo właściciela. Potem przysła elektryczność, w chwili obecnej wszystkie te urządzenia zastąpiły silniki elektryczne, które wbudowuje się bezpośrednio w maszynę...

Znów, tak jak wczoraj w czasie przesłuchania laboranta, Onisimowa ogarnęły wątpliwości: coś tu nie jest w porządku! Przez jego gabinet przewinęło się wielu ludzi, polerowali krzesło, wierząc się wskutek niemiłych pytań: ponurzy młodzieńcy, którzy przez głupotę wplątali się w podejrzaną historię, płaczliwe spekulantki, przypochlebnie swobodni w zachowaniu pracownicy aparatu gospodarczego zdemaskowani w czasie kontroli, zahartowani, znający wszystkie przepisy recydywiści... I wszyscy oni, wcześniej czy później, pojmowali, że gra jest przegrana, że nastąpiła chwila, kiedy trzeba się przyznać i starać, żeby w protokole wyraźnie była uwidoczniiona szczerłość przyznania się. A ten... siedzi jakby nigdy nic, macha ręką i starannie, na dobrym popularnym poziomie wyjaśnia, dlaczego należy zamknąć sprawę. „Znowu ten brak gry miesza mi szyki! No,

nie, dwa razy w tym samym miejscu się nie pośliznę!”

Onisimow był doświadczonym pracownikiem dochodzeniowym i wiedział dobrze, że liczą się nie wątpliwości i wrażenia, ale fakty. Te zaś – ciężkie i niewątpliwe – przemawiały przeciw Kriwoszei i Krawcowi.

– ...Teraz wyobraźcie sobie, że w jakiejś dawnej fabryce zamiana mechanicznego napędu maszyn na elektryczny zaszła nie w ciągu lat, ale od razu, przez noc – ciągnął Kriwoszein. – Co pomyśli sobie właściciel fabryki, kiedy przyjdzie rano na halę? Oczywiście, że ktoś ukradł maszynę parową, wał transmisyjny, pasy i koła. Aby pojąć, że to nie kradzież, ale przewrót techniczny, musiałby znać fizykę, elektrotechnikę, elektrodynamikę... Otóż wy, towarzyszu Onisimow, mówiąc obrazowo, jesteście właśnie w sytuacji takiego właściciela.

– Fizykę, elektrotechnikę, elektrodynamikę... – w roztertaniu powtórzył Onisimow patrząc na zegarek: długo łączą tę Moskwę! – I teorię informacji, teorię modelowania procesów losowych też trzeba znać, co?

– Oho! – Kriwoszein odchylił się w krześle i spojrzał na Onisimowa z nieukrywanym zachwytem. – To i o tych naukach też wiecie?

– My wszystko wiemy, obywatelu Kriwoszein.

– No, widzę, że z wami łatwo nie pójdzie...

– Nie radzę nawet próbować. No, więc jak: będziemy liczyć na nielegalne zamknięcie sprawy czy powiemy całą prawdę?

– Uff... – Kriwoszein wytarł chusteczką czoło i policzki. – Gorąco tu u was... No, dobrze. Umówmy się tak, towarzyszu Onisimow: ja sam się zorientuję w tym zajściu, a potem powiem wam.

– Nie – pokręcił głową Onisimow. – Tak to my się nie będziemy umawiać. Nie ma takiego zwyczaju, żeby podejrzany sam prowadził dochodzenie w swojej sprawie. W ten sposób żadnego przestępstwa by się nie wykryło.

– A, niech to szlag trafi!... – zaczął Kriwoszejn, ale otworzyły się drzwi i młodziutki porucznik oznajmił:

– Towarzyszu Onisimow, Moskwa!

Onisimow i Kriwoszejn weszli na piętro, do pokoju łączności.

...Profesor Androsjaszwili przybliżył twarz do ekranu wideotelefonu tak gwałtownie, jakby chciał przebić od wewnątrz ekran kineskopu swym drapieżnym, orlim nosem. Tak, poznaje swego doktoranta Walentina Wasiliewicza Kriwoszeina. Tak, w ciągu ostatnich tygodni widywał go codziennie, a dat wcześniejszych spotkań nie podejmuje się określić, albowiem nie są to święta kalendarzowe. Tak, doktorant Kriwoszejn opuścił Uniwersytet na pięć dni za jego osobistym zezwoleniem. Armatnie „r” profesora wstrząsało głośnikiem wideotelefonu... Czuje się głęboko rozgoryczony i oburzony, że oderwano go od egzaminów dla jakiejś dziwacznej procedury. Jeśli milicja – mówiąc to Androsjaszwili skierował gorące spojrzenie swych granatowoczarnych oczu na Onisimowa – przestanie wierzyć w dowody osobiste, które sama wydaje, to on najprawdopodobniej będzie zmuszony przekwalifikować się z biologa na eksperta od ustalania tożsamości wszystkich swoich doktorantów, studentów, krewnych, a ponadto także i wszystkich członków rzeczywistych i członków korespondentów Akademii Nauk, których ma honor znać!

Ale w tej sytuacji może powstać pytanie: kimże jest on sam, profesor Androsjaszwili, i czy dla potwierdzenia jego wątpliwej tożsamości nie należałoby dostarczyć samochodem milicyjnym rektora uniwersytetu albo – jeszcze lepiej – prezesa Akademii Nauk?

Wypowiedziawszy wszystko to jednym tchem, profesor na pożegnanie kiwnął głową; „Niedobrze! Wierzyć trzeba!” – i znikł z ekranu. Mikrofon przekazał do Dnieprowska trzaśnięcie zamykanych drzwi. Na ekranie ukazał się łysy grubas z odznakami majora na niebieskiej koszuli, który z miną męczennika oświadczył:

– Co wy tam, towarzysze, sami nie możecie sobie poradzić? Koniec!

Ekran zgasł.

„A profesor wciąż jeszcze jest na mnie obrażony – myślał Kriwoszejn schodząc po schodach przed sapiącym wściekle Onisimowem. – Zresztą nic dziwnego: zlitował się nade mną, przyjął na studia doktoranckie poza konkursem, a ja się odwróciłem do niego plecami i coś ukrywam. Gdyby mnie nie przyjął, nic by z tego nie wyszło. Na egzaminach pociłem się jak pierwszorocznik. Z filozofią i językiem jeszcze jakoś mi poszło, a z kierunku... Oczywiście, czyż przeczytane w pośpiechu podręczniki mogą zamaskować brak systematycznej wiedzy?”

...Było to rok temu. Po egzaminie z biologii Androsjaszwili zaprosił go do swojego gabinetu, usadowił w skórzanym fotelu, sam stanął przy oknie i zaczął mu się przyglądać, przechyliwszy na prawe ramię wielką łysiejącą głowę.

- Ile pan ma lat?
- Trzydzieści cztery.

– Na granicy... W przyszłym roku będzie pan obchodził w kręgu przyjaciół trzydzieste piąte urodziny i postawi pan krzyżyk na dziennych studiach doktoranckich. A zaocznie... one istnieją nie po to, aby się uczyć, ale żeby mieć dodatkowy płatny urlop, nie będziemy zresztą o tym mówić. Przeczytałem pana autoreferat: dobry, dojrzały, przeprowadza pan ciekawe porównania między pracą ośrodków nerwowych i układów elektronicznych. Postawiłem „celująco”. Ale... – profesor podniósł kartę, spojrzął – egzaminu pan nie zdał, drogi panie! To znaczy zdał pan na trójkę, co sprowadza się do tego samego: z „dostatecznym” z kierunku nie przyjmujemy.

Twarz Kriwoszeina widocznie zmieniła się, ponieważ profesor zaczął mówić współczującym głosem.

– Niech pan powie, po co to panu potrzebne, przechodzić na studia doktoranckie? Przeglądałem pańskie dokumenty: pracuje pan w interesującym instytucie, ma pan dobre stanowisko, pan jest cybernetykiem?

– Systemotechnikiem.

– Dla mnie to niczym się nie różni. No więc po co?

Kriwoszein był przygotowany na takie pytanie.

– Właśnie dlatego, że jestem systemotechnikiem i systemologiem. Człowiek jest najbardziej złożonym i najwyżej zorganizowanym układem spośród wszystkich znanych. Chcę go zanalizować w pełni: jak zbudowane jest wszystko w ustroju ludzkim, jak powiązane, co na co oddziałuje. Mówiąc z grubsza, chcę poznać współdziałanie elementów.

– Żeby wykorzystał te zasady do tworzenia nowych układów elektronowych? – Androsjaszwili ironicznie skrzywił wargi.

– Nie tylko... a właściwie nie tyle. Widzi pan, panie profesorze...

kiedyś wszystko było inaczej. Upał i mróz, wytrzymałość w pogoni za zdobyczą lub w ucieczce przed niebezpieczeństwem, głód lub prymitywne jedzenie w rodzaju surowego mięsa, silne przeciążenia mechaniczne przy pracy, wałka, w której wytrzymałość czaszki sprawdzana była uderzeniami pałki, słowem, otoczenie stawiało kiedyś człowiekowi takie wymagania, jak... powiedzmy, jak instytucje wojskowe stawiają obecnie sprzętowi raketowemu. (Profesor chrząknął, ale nic nie powiedział.) Takie środowisko przez setki tysięcy lat uformowało homo sapiens, Rozumnego Ssącego Kręgowca. Ale przez ostatnie dwieście lat, licząc od wynalazku maszyny parowej, wszystko zmieniło się. Stworzyliśmy sztuczne środowisko: silniki elektryczne, materiały wybuchowe, środki farmakologiczne, taśmy produkcyjne, komunalne systemy usługowe, transport, podwyższona radiacja atmosferyczna, maszyny elektronowe, szczepienia profilaktyczne, drogi asfaltowe, benzyna, wąska specjalizacja zawodowa... słowem, życie współczesne. Jako inżynier, ja również biorę udział w tworzeniu tego sztucznego środowiska, które obecnie określa życie człowieka w dziewięćdziesięciu procentach, a wkrótce będzie określać je w stu – przyroda pozostanie tylko na spacerzy niedzielne. Jednak jako człowiek sam odczuwam pewien niepokój... – Po chwili ciągnął dalej: – To sztuczne środowisko pozbawia człowieka wielu cech i funkcji, nabytych w ciągu procesu ewolucyjnego. Siła, zręczność, wytrzymałość obecnie kulturowane są tylko w sporcie, umiejętność logicznego myślenia, dumę starożytnych Greków – przejmuje maszyna. Natomiast nowych jakości człowiek nie nabywa – zbyt szybko zmienia się środowisko, ustrój biologiczny nie nadąża. Postępowi technicznemu towarzyszy uspokajający, ale

niezbyt przekonujący bełkot, że człowiek zawsze będzie stał na wysokości zadania. Nawiasem mówiąc, niektóre konkretne jednostki już teraz nie stoją, a co dopiero będzie w przyszłości. Przecież ogromnej liczby ludzi nie stać na to, aby panować nad współczesnym życiem: wiele wiedzieć, wiele umieć, szybko uczyć się nowego, pracować twórczo, optymalnie regulować swe zachowanie.

– I jak pan chce im pomóc?

– Jak pomóc, nie wiem, ale warto choćby tylko należycie zbadać problem niewykorzystywanych przez człowieka zdolności organizmu. Na przykład, zanikające funkcje: powiedzmy, umiejętność naszych dalekich przodków przeskakiwania z drzewa na drzewo albo spania na gałęzi. Teraz to już nie jest potrzebne, ale odpowiednie struktury nerwowe pozostały. Albo weźmy „gęsią skórę” na skórze, na której prawie nie ma włosów. Ten odruch jest realizowany przez niezwykle złożoną sieć nerwową. Może uda się przebudować, prze-programować stare odruchy do nowych potrzeb?

– No tak! A więc marzy pan o modernizacji i racjonalizacji człowieka? – Profesor wysunął głowę do przodu. – Będzie już nie homo sapiens, ale homo modernus rationalis, co? A nie wydaje się panu, drogi panie systemotechniku, że drogą racjonalizacji można by człowieka zmienić w skrzynkę z jednym palcem do naciskania guzików? Można zresztą i bez palca, ze sterowaniem prądami bioelektrycznymi mózgu...

– Jeśliby zupełnie zrjonalizować, to można i bez skrzynki – wtrącił Kriwoszejn.

– I to też racja! – profesor przechylił głowę na ramię, patrząc z zaciekawieniem na Kriwoszeina.

Wyraźnie podobali się sobie.

– Nie racjonalizować, ale wzbogacać: o tym myślałem.

– Wreszcie! – profesor szybko przeszedł się po gabinecie. – Wreszcie do szerokich kręgów techników, pogromców przyrody nieożywionej, twórców „sztucznego środowiska” zaczęła docierać myśl, że i oni są ludźmi! Nie nadludźmi, którzy za pomocą intelektu, tablic i nomogramów mogą pokonać wszystko i wszystkich, ale po prostu ludźmi. Czegóż to nie staramy się zbadać i pojąć: cząstki elementarne, próżnia, promienie kosmiczne, antyświaty, tajemnice Atlantydy... Tylko siebie nie chcemy zbadać ani zrozumieć. To, widzicie, trudne, nieciekawe, nie można tego uchwycić... Eche, świat może zginąć, jeśli każdy będzie się zajmował, tylko tym, co łatwo daje się uchwycić! – Głos profesora zadźwięczał bardziej gardłowo niż zwykle. – Człowiek odczuwa biologiczne zainteresowanie samym sobą tylko wtedy, kiedy musi iść do szpitala albo kiedy mu potrzebne zwolnienie... Pewnie, jeśli dalej tak pójdzie, to można będzie się obejść i bez skrzynki. Jak to się mówi: załatwią nas maszyny na cacy! – Zatrzymał się przed Kriwoszeinem, pochylił głowę i fuknął: – Ale z pana jest jednak dyletant, drogi systemotechniku! Jak prosto to u pana wychodzi: przeprogramować stare odruchy... Ach, żeby to było takie łatwe jak przeprogramowanie maszyny matematycznej! Tak... z drugiej strony, pan jest inżynierem, z koncepcją, ze świeżym spojrzeniem na zagadnienie, do tego odmiennym od naszego czysto biologicznego... Ojej, co ja zresztą wygaduję! Po co rozbudzam nierealne nadzieje, że coś z pana będzie! – Profesor odszedł pod okno. – Przecież pracy doktorskiej pan i tak nie napisze i nie obroni, zresztą i plany ma pan zupełnie inne. Czyż nie tak?

– Inne – przyznał Kriwoszein.

– Widzi pan. Powróci pan do swojej systemologii, a mnie się dostanie od rektora, że nie wychowałem młodych kadr... E tam, biorę! – bez żadnego przejścia zakończył Androsjaszwili. Podszedł do Kriwoszeina. – Tylko trzeba się będzie uczyć, przejść pełny kurs biologii. W przeciwnym razie żadnych możliwości w człowieku pan nie znajdzie, jasne?

– Oczywiście! – z radością zgodził się tamten. – Po to przyjechałem.

Profesor krytycznie spojrzął na niego, przyciągnął za ramię.

– Zdradzę panu tajemnicę: sam się uczę. Na wieczorowych studiach, na wydziale techniki elektronicznej MIE, na trzecim roku. Na wykłady chodzę i ćwiczenia Odrabiam, i nawet z dwóch przedmiotów jestem „do tyłu”: z elektroniki przemysłowej i fizyki kwantowej. Też chcę się dowiedzieć, co i jak, będzie mi pan pomagał... tylko ani słowa!

Powrócili do gabinetu Onisimowa. Kapitan zaczął chodzić od ściany do ściany. Kriwoszein spojrzął na zegarek: po piątej – nachmurzył się żałując straconego czasu.

– No, towarzyszu Onisimow, moje alibi zostało potwierdzone. Oddajcie mi, proszę, dokumenty i rozstaniemy się.

– Nie, chwileczkę! – Onisimow, wściekły i niepewny, biegał po pokoju.

Matwiej Onisimow był, jak wspomniano wyżej, doświadczonym pracownikiem śledczym i w chwili obecnej rozumiał doskonale, że

wszystkie fakty tej przekłętej sprawy zwróciły się przeciw niemu. Kriwoszein żyje, więc stwierdzona i zaprotokołowana śmierć Kriwoszeina jest pomyłką. Tożsamości zmarłego czy zabitego nie ustalił, przyczyny zgonu lub zabójstwa również i nawet nie wyobraża sobie, jak się do tego zabrać... Motywów przestępstwa nie zna, cała wersja się wywraca, zwłok nie ma! Wszystkie fakty świadczą o tym, że oficer dochodzeniowy Onisimow przeprowadził śledztwo w sposób skandaliczny. Próbował zebrać myśli. „Profesor Azarow rozpoznał w zmarłym Kriwoszeina. Profesor Androsjaszwili rozpoznał żywego Kriwoszeina i potwierdził jego alibi. A wiec albo jeden, albo drugi zeznał fałszywie. Kto – nie wiadomo. Trzeba więc włączyć obu do śledztwa. Tylko... włączyć do śledztwa takich ludzi, narazić ich na podejrzenie, a potem znowu okaże się, że nie trafiłem! Nie pozbięram się!”

Słowem, Onisimow jasno zdawał sobie sprawę z jednego: w żadnym wypadku nie można Kriwoszeina wypuścić z rąk.

– Nie, poczekajcie! Nie uda się wam, obywatelu Kriwoszein, powrócić do waszych ciemnych sprawek! Myślicie, że jeśli... ucharakteryzowaliście zabitego, a potem zlikwidowaliście zwłoki, to wszystko wam się uda? Jeszcze sprawdzimy, kto to jest ten Androsjaszwili i dla jakich motywów was broni! Poszlaki przeciw wam istnieją nadal: odciski palców, kontakt ze zbiegłym, próby wręczenia pieniędzy...

Kriwoszein hamując rozdrażnienie podrapał się w brodę.

– Właściwie nie bardzo wiem, co mi inkryminujecie: że zostałem zabity czy że jestem zabójcą?

– Wyjaśnimy, obywatelu! – tracąc resztki opanowania uciął Onisimow. – Wszystko wyjaśnimy! Tylko nie może być, żebyście nie mieli z tą sprawą nic wspólnego... to jest niemożliwe!

– Niemożliwe, co? – Kriwoszein zbliżył się do Onisimowa, jego twarz naląła się krwią. – Sądzicie, że skoro pracujecie w milicji, to wiecie, co jest możliwe, a co że „niemożliwe”!

Nagle twarz jego zaczęła się zmieniać: nos wysunął się do przodu, zgrubiał, nabrał koloru liliowego i zagiął się w dół, oczy rozszerzyły się i z zielonych stały się czarne, włosy nad czołem posiwiały i cofnęły się, ukazując łysinę, na górnej wardze pojawiły się siwe wąsiki, szczeka skróciła się... Po chwili na wstrząśniętego Onisimowa patrzyła gruzińska twarz profesora Androsjaszwili z zaczerwienionymi białkami oczu, potężnym nosem o gniewnie rozdętych nozdrzach i sinymi od zarostu policzkami.

– Myślisz, kaco, że skoro pracujesz w milicji, to wiesz, co jest możliwe, a co niemożliwe?!

– Przestańcie! – Onisimow cofnął się ku ścianie.

– Niemożliwe! – szalał Kriwoszein. – Ja wam pokażę „niemożliwe”!

Ostatnie zdanie zakończył śpiewnym, głębokim głosem, a twarz jego zaczęła szybko przybierać rysy Heleny Kołomyjec: zadarty miły nosek, różowe okrągłe policzki, wygięte łuki gęstych brwi, oczy świecące szarym blaskiem...

„No, jeśli teraz ktoś wejdzie...” – przeleciało przez rozpaloną głowę Onisimowa: rzucił się, żeby zamknąć drzwi na klucz.

– Ej! A to co znowu?! – Kriwoszein, przybrawszy swój poprzedni

wygląd, stał na środku pokoju w postai wie bokserskiej.

– Nie, ja... pan mnie źle zrozumiał... – półprzytomnie mamrotał Onisimow idąc w kierunku biurka. – Co pan robi?!

– Uff., tylko niech wam do głowy nie przyjdzie telefonować! – Kriwoszejn dysząc usiadł; twarz mu błyszczała od potu. – Bo mogę zamienić się w was. Chcecie?

Nerwy zupełnie zawiadły Onisimowa. Otworzył szufladę.

– Nie trzeba... uspokójcie się... przestańcie... nie trzeba... Proszę, oto wasze dokumenty.

– No, tak to już lepiej... – Kriwoszejn wziął dokumenty i podniósł z podłogi torbę. – Kiedy mówiłem po dobru, że tą sprawą lepiej się nie interesować, to nie uwierzyliście. Mam nadzieję, że teraz was przekonałem. Żegnajcie... majorze Pronin!

Wyszedł. Onisimow stał w prostracji, przysłuchując się jakiemuś stukaniu, które rozlegało się w pokoju. Po chwili zrozumiał, że to stukają jego zęby. Ręce też mu się trzęsły. „Co się ze mną dzieje?! – chwycił za słuchawkę, cisnął ją, usiadł na krześle i bezsilnie oparł głowę o chłodną płytę biurka. – Niech szlag trafi taką robotę...”

Drzwi otworzyły się szeroko, na progu pojawił się Zubato z drewnianą skrzynką w rękach.

– Słuchaj, Matwiej, to rzeczywiście jest kryminalistyczna sensacja stulecia! Gratuluję! – zakrzyczał od progu. – Och, cholera, to dopiero! – Z hukiem postawił skrzynkę na stole, otworzył, zaczął wyrzucać na podłogę watę. – Dopiero co dostarczyli mi to z pracowni rzeźbiarskiej... Patrz!

Onisimow podniósł wzrok. Przed nim stała wyrzeźbiona z plasteliny głowa Kriwoszeina – ze spadzistym czołem, zadartym grubym nosem i szerokimi policzkami.

Rozdział piąty

Najprostszy sposób ukrycia chromania na lewą nogę to chromać i na prawą. Nabiera się wówczas wyglądu wilka morskiego, chodzącego kołyszącym się krokiem.

K. Prutkow – inżynier

„Poradnik pocztukującego detektywa”

„Bałwan skończony, groszowy bohater! – wymyślał sobie Kriwoszeina – też znalazłem zastosowanie dla odkrycia: milicję straszyc... Przecież i tak by mnie wypuścił, nic by mi nie zrobił.”

Mięśnie twarzy i tułowia bolały go tępo. Wewnątrz powoli mijał bolesny świąd gruczołów. „Jednak trzy transformacje w ciągu kilku minut to za dużo. Przesadziłem. Co tam, nic mi się nie stanie. Na tym polega cała sztuka, że nic mi się nie może stać...”

Niebo ponad domami szybko granatowało. Neony nad sklepami, kawiarniami i kinami zapalały się z lekkim syczeniem”. Myśli doktoranta powróciły do spraw moskiewskich.

„Androsjaszwili nic po sobie nie dał poznać, nawet się nie zainteresował, dlaczego mnie zatrzymali. Rozpoznał i tyle. Jasne: skoro Kriwoszeina ukrywa przede mną swoje sprawy, to nie zyczę sobie o

nich nic wiedzieć. Obraził się stary... Było zresztą za co, przecież właśnie w rozmowie z nim sprecyzowałem cel doświadczeń. Jaka tam zresztą rozmowa. Po prostu kłótnia... Tylko że nie z każdym można się pokłócić i w efekcie wzbogacić koncepcyjnie...”

...Profesor wciąż go obserwował, przyglądał się z ironicznym zainteresowaniem, jakimi to odkryciami zadziwi świat biolog-dyletant? Kiedyś, w grudniowy wieczór, Kriwoszejn dopadł go w gabinecie i wypowiedział wszystko, co myśli o życiu w ogóle, a o człowieku w szczególności. To był udany wieczór: siedzieli, palili, rozmawiali, a za oknem wyła i ciskała w szyby śnieżną krupą moskiewska grudniowa zamieć.

– Każda maszyna jest jakoś zbudowana i coś robi – mówił Kriwoszejn. – W maszynie biologicznej o nazwie „Człowiek” również można wyeksponować dwie strony: podstawową i operacyjną. Operacyjna – narządy zmysłów, mózg, nerwy ruchowe, mięśnie szkieletowe – zasadniczo poddaje „Się świadomości ludzkiej. Oczy, uszy, narząd przedsionkowy, segmenty czuciowe skóry, zakończenia czuciowe języka i nosa, receptory nerwowe bólu i temperatury przyjmują bodźce ze środowiska zewnętrznego, zmieniają je w impulsy elektryczne (zupełnie jak układy wejściowe w maszynie elektronicznej), mózg i rdzeń analizują impulsy według zasady „pobudzenie – hamowanie” (podobnie jak układy impulsowe maszyny), zamykają i otwierają obwody nerwowe, przesyłają rozkazy mięśniom szkieletowym, które wykonują wszelkie działania, znowu na podobieństwo elementów wykonawczych maszyny.

Ta operacyjna część organizmu może być przez człowieka sterowana, nawet odruchy bezwarunkowe (na przykład bólowy) mogą być hamowane wysiłkiem woli. Natomiast część podstawowa, zawiadująca podstawowym procesem, od którego zależy życie – przemianą materii – wymyka się spod kontroli człowieka. Płuca wciągają powietrze, serce pędzi krew po ciemnych zakamarkach ciała, przetyk kurcząc się przepycha kęsy pokarmu do żołądka, trzustka wydziela hormony i enzymy, żeby rozłożyć pokarm na składniki, które mogą zostać wchłonięte przez jelita, wątroba wydziela do krwi glukozę... Tarczyca i przytarczyczki wytwarzają swoje dziwaczne substancje: tyroksynę i paratyreoidynę; one to decydują, czy człowiek wyrośnie i zmądrzeje, czy też pozostanie karłem i kretynem, czy będzie miał mocny szkielet, czy też będzie mu można kości zawiązywać w węzeł. Marny wyrostek na podstawie mózgu – przysadka mózgowia – za pomocą swych wydzielin dyryguje całą tajemniczą kuchnią wydzielenia wewnętrznego, a ponadto jeszcze reguluje pracę nerek, ciśnienie krwi oraz umożliwia pomyślne rozwiązanie ciąży... I nad tą częścią ustroju, która b u d u j e człowieka – decyduje o jego budowie, kształcie czaszki, psychice, zdrowiu i sile – świadomość nie ma władzy.

– Wszystko w porządku – uśmiechnął się Androsjaszwili. – W pańskiej części operacyjnej łatwo rozpoznać działanie „animalnej” czy raczej somatycznej części układu nerwowego, w podstawowej – zakres działania ośrodków wegetatywnych. Te nazwy powstały jeszcze w osiemnastym wieku, po łacinie „animalis” oznacza zwierzęcy, a „vegetativus” – roślinny. Osobiście nie uważam, aby terminy te były trafne. Może na poziomie dwudziestego wieku pańskie

techniczne nazwy są bardziej odpowiednie. Ale niech pan mówi dalej.

– Maszynę, nawet elektroniczną, konstruuje i wytwarza człowiek. Wkrótce zajmą się tym same maszyny, zasada jest jasna – ciągnął Kriwoszejn. – Ale czemu człowiek nie miałby konstruować sam siebie? Przecież przemiana materii jest regulowana przez ośrodkowy układ nerwowy: od mózgu ku gruczołom, naczyniom i jelitom biegną takie same nerwy, jak ku mięśniom i narządom zmysłów. Dlaczego człowiek nie miałby kierować tymi procesami, tak jak ruchami palców? Dlaczego świadomy udział człowieka w przemianie materii przejawia się tylko zaspokajaniem głodu, pragnienia i niektórych odwrotnych potrzeb? Przecież to śmieszne: homo sapiens, król przyrody, korona stworzenia, twórca niebywale złożonej techniki, dzieł sztuki, a w podstawowych procesach życiowych różni się od krowy i dżdżownicy tylko tym, że używa widelca, łyżki i napojów alkoholowych!

– A czemu panu tak zależy na tym, żeby wydzielać do krwi cukier, enzymy i hormony konieczne wysiłkiem myśli i woli? – Profesor uniósł krzaczaste brwi. – Po co, niech pan mi łaskawie wyjaśni, poza wszystkimi problemami i kłopotami w katedrze mam sobie łamać bez przerwy głowę, ile mam wydzielić adrenaliny i insuliny i dokąd je kierować? Układ wegetatywny sam kieruje przemianą materii, nie obciążając człowieka dodatkowymi problemami, no i bardzo dobrze!

– Czy naprawdę tak dobrze, panie profesorze? A choroby?

– Choroby... więc tu pana boli: choroby jako wyraz błędnej pracy podstawowego systemu konstrukcyjnego. – Brwi profesora wygięły się w sinusoide. – Uszkodzenia, które próbujemy naprawiać

pigułkami, okładami, szczepionkami, zabiegami operacyjnymi i to bynajmniej nie zawsze z powodzeniem. Ale... choroby to przecież wynik tych oddziaływań otoczenia, do których ustrój nie jest przystosowany.

– A czemu nie jest przystosowany? Przecież na ogół wiemy, co jest szkodliwe, na tym opiera się profilaktyka, technika bezpieczeństwa i higieny pracy, ochrona pracownika. Ale niech pan zwróci uwagę, jakie to pasywne słowa: profilaktyka, bezpieczeństwo, ochrona... słowem, byle dalej od nieszczęścia! A środowisko podrzuca nam coraz to nowe zagadki: to promienie Roentgena, to łuk spawalniczy, to izotopy...

– Dobrze! – Profesor podniósł rękę. – Domyślam się, że ma pan gotową koncepcję na ten temat i że nie może się pan doczekać, kiedy rozmówca szeroko otworzy oczy i z trwożną nadzieją zapyta: „No więc dlaczego?” Zgadzam się! Niech pan uważa: otwieram szeroko oczy” – wesoło błysnął przekrwionymi białkami – i zadaje to oczekiwane pytanie: więc dlaczego człowiek nie potrafi świadomie sterować przemianą materii?

– Ponieważ zapomniał, jak się to robi! – wypalił Kriwoszejn.

– Ha! – profesor z zadowoleniem klepnął się po kolanach. – Wiedział, tylko zapomniał? Tak jak numer telefonu? A to ciekawe!

– Należy pamiętać, że w mózgu ludzkim znajduje się ogromna ilość nieczynnych komórek nerwowych: dziewięćdziesiąt dziewięć procent, a u niektórych nawet dziewięćdziesiąt dziewięć z ułamkiem. Jest nieprawdopodobne, aby istniały one tak po prostu, na zapas; przyroda nie znosi nadmiaru. Można z dużym prawdopodobieństwem

przypuścić, że komórki te zawierały informację, która została utracona. Niekoniecznie informację słowną – tej w naszym układzie nerwowym jest i dziś niewiele, poza tym jest za mało precyzyjna i ogólna – ale biologiczną, wyrażającą się w obrazach, odczuciach, wrażeniach...

– Stop, dalej już sam wiem! – z zachwytem zawołał profesor. – Marsjanie! Nie, nawet lepiej niż Marsjanie – przecież do Marsa tylko patrzeć, jak dotrzemy, można będzie sprawdzić – ale powiedzmy, mieszkańcy istniejącej kiedyś między Marsem a Jowiszem planety, która rozpadła się na asteroidy. Żyły tam sobie kiedyś wysoko zorganizowane istoty, miały sztuczne, bardzo urozmaicone środowisko i umiały sterować swymi ustrojami, aby móc się do niego przystosować, a także dla zabawy. I ci mieszkańcy, czując, że ich ojczysta planeta za małą chwilę się rozleci, przeprowadzili się na Ziemię..

– Może i tak było – skinął głową Kriwoszejn z niezmałym spokojem. – W każdym razie, można przypuszczać, że człowiek miał wysoko rozwiniętych przodków niezależnie od tego, skąd się wzięli. Przodkowie ci zdziczeli, trafiwszy w dzikie, prymitywne środowisko i ciężkie warunki życia ery kenozoicznej. Upał, dżungle, błota, zwierzęta – i żadnych wygod. Życie sprowadzało się do walki o przetrwanie, cały wysublimowany układ nerwowy okazał się nieprzydatny. I w ciągu wielu pokoleń utracili wszystkie umiejętności: od pisania do sterowania przemianą materii... Przecież, panie profesorze, gdybyśmy obecnie umieścili mieszcucha w dżungli, to stałoby się z nim to samo!

– Efektowne! – cmoknął z zadowoleniem Androsjaszwili. – I te nadliczbowe komórki w mózgu pozostały razem z wyrostkiem

robaczkowym i owłosieniem pod pachami? Teraz rozumiem, dlaczego mój dobry znajomy, profesor Walerno, nazywa fantastykę „intelektualną rozpustą”.

– Dlaczego? I co tu ma...

– A dlatego, że zamiast trzeźwych rozważań podsuwa efektywną grę wyobraźni.

– No, wie pan – rozzłościł się Kriwoszejn – u nas, w systemologii, hipotez roboczych nie podważa się cytatami z wypowiedzi znajomych. Każda koncepcja jest do przyjęcia, jeśli jest płodna.

– A u nas w biologii, towarzyszu doktorancie – wrzasnął nagle profesor, wytrzeszczywszy oczy – u nas, w biologii, mój drogi, do przyjęcia są tylko koncepcje oparte na trzeźwym podejściu materialistycznym! A nie na odłamkach fantastycznej planety! My mamy do czynienia ze zjawiskiem ważniejszym niż technika – z życiem! I ponieważ pan w tej chwili znajduje się nie „u was”, ale „u nas”, radzę o tym pamiętać! Byle dyletant... eche! – i natychmiast uspokoił się, przeszedł na spokojniejszy ton. – Dobrze, przyjmijmy, że rozbiiliśmy po talerzu. Teraz poważnie: dlaczego pańska hipoteza, łagodnie mówiąc, jest wątpliwa? Po pierwsze, „nieczynne” komórki mózgu to określenie z żargonu technicznego, całkowicie niesosowalne do obiektów biologicznych. Komórki żyją, a więc są czynne. Po drugie, dlaczego te miliony komórek nie miałyby istnieć jako rezerwa?

Androsjaszwili wstał i spojrzał z góry na Kriwoszeina.

– Ja, drogi towarzyszu doktorancie, też trochę znam się na technice, ostatecznie jestem studentem wieczorowego MIE! – i wiem, że u was... hm! – u was w systemotechnice istnieje też pojęcie i problem niezawodności. Niezawodność systemów elektronicznych

zabezpiecza się rezerwą elementów podzespołów, a nawet zespołów. Czemu więc nie przypuścić, że przyroda stworzyła w człowieku taką właśnie rezerwę dla zabezpieczenia niezawodnej pracy mózgu? Przecież komórki nerwowe nie regenerują.

– Strasznie duża ta rezerwa! – pokręcił głową doktorant. – Przeciężny człowiek zadowala się milionem komórek z miliardów możliwych.

– A u ludzi utalentowanych pracują dziesiątki milionów! A u genialnych... zresztą u nich jeszcze nikt nie mierzył – może i setki milionów. Być może, mózg każdego z nas zaplanowany jest, powiedzmy, na genialną działalność? Jestem skłonny przypuszczać, że właśnie genialność, a nie przeciętność jest naturalnym stanem człowieka.

– Efektownie powiedziane, panie profesorze.

– O, widzę, że pan się złości... Ale jakkolwiek by było naprawdę, te argumenty mają nie mniejszą wartość niż pańska hipoteza o zdziczałych Marsjanach. No, a jeśli wziąć pod uwagę, że jestem pańskim kierownikiem, a pan – moim doktorantem, to nawet większą wartość. – Profesor usiadł. – Ale wróćmy do podstawowego problemu: dlaczego człowiek dzisiejszy nie panuje nad układem wegetatywnym i przemianą materii we własnym ustroju? Wie pan dlaczego? Po prostu jeszcze do tego nie doszedł.

– Ach, tak!

– Tak. Środowisko uczy organizm ludzki tylko w jeden sposób. Odruchowo-warunkowym „wkuwaniem”. Wie pan przecież, że do wytworzenia odruchu warunkowego trzeba wielokrotnie powtarzać sytuację i bodziec. Tak właśnie powstaje doświadczenie życiowe. A

po to, by powstało doświadczenie dziedziczone w postaci odruchów bezwarunkowych, wiele pokoleń musi wkuwać przez tysiące lat... Słusznie pan wspomniał o biologicznej, nie dającej się wyrazić słowami informacji w organizmie. Odruchy warunkowe i bezwarunkowe – to właśnie ta informacja. A nad odruchami świadomość panuje, co prawda w ograniczonym zakresie. Przecież nie uświadamia pan sobie od początku do końca, jakie mięśnie należy uruchomić, kiedy zapala pan papierosa, tak jak nie planuje pan całego chemizmu skurczu mięśniowego... Świadomość daje polecenie: zapalić! A dalej włączają się odruchy – zarówno specyficzne, nabyte przez nadużywanie tego złego przyzwyczajenia: ugnieść papierosa, zaciągnąć się – jak i przekazane przez dalekich przodków nieswoiste: odruch chwytania, odruch oddechowyy...

Androsjaszwili – nie wiadomo, dla demonstracji czy z potrzeby – zapalił papierosa i wypuścił w górę dym.

– Zmierzam do tego, że świadomość kieruje wtedy, kiedy jest czym kierować. W operacyjnej części ustroju, gdzie końcowym efektem, jak podkreślił to jeszcze Sieczenow, jest czynność mięśniowa... no, pamięta pan? – Profesor odchylił się w fotelu i z rozkoszą zacytował: – „Śmiech dziecka na widok zabawki, uśmiech Gari-baldiego wypędzonego za nadmierną miłość ojczyzny, drzenie dziewczyny na pierwszą myśl o miłości, stworzenie przez Newtona praw fizyki i zapisanie ich na papierze – wszędzie tu końcowym efektem jest ruch mięśniowy...” Ach, jak pięknie pisał Sieczenow! No więc w tej części operacyjnej świadomość ma czym kierować, ma co wybrać z niezliczonych milionów odruchów warunkowych i bezwarunkowych na każdą nieszablonową sytuację. A w części

konstrukcyjnej, tam gdzie, pracuje wielka chemia organizmu, świadomość nie ma czym kierować. No, niech pan się sam zastanowi, jakie ma pan odruchy warunkowe związane z przemianą materii?

– Pić albo nie pić, poproszę jeszcze trochę chrzanu, nie noszę wieprzowiny, palenie i... – Kriwoszejn zaciął się – no jeszcze, powiedzmy, mycie się, mycie zębów...

– Można wymienić jeszcze z dziesięć podobnych – skinął głową profesor – ale przecież to są wszystko małe, na wpół chemiczne, na wpół mięśniowe, powierzchowne refleksiki. A głębiej w ustroju odruchy bezwarunkowe są powiązane tak jednoznacznie, że i sterować nie ma czym: zmniejsza się zawartość tlenu we krwi – oddychaj, brak paliwa dla mięśni – jedz, wydalileś wodę – pij. I żadnych wariantów... A przecież nie można powiedzieć, że życie nie uczyło ludzi reakcji metabolicznych. Przeciwnie, uczyło i to bardzo surowo. Epidemiami – jak dobrze byłoby za pomocą świadomości stwierdzić, które drobnoustroje zabijają człowieka, i wydusić je jak pluskwy! Głodem – zapaść by w sen jak niedźwiedź, a nie puchnąć czy umierać! Ranami i obrażeniami w najrozmaitszych walkach – można by zregenerować oderwaną rękę albo wybite oko! Ale to wszystko za mało... Najważniejsza jest szybkość działania. Reakcje mięśniowe zachodzą w ciągu dziesiątych i setnych części sekundy, a najszybsza z reakcji metabolicznych – wyrzut adrenaliny z nadnerczy – w ciągu sekundy. A wydzielanie hormonów przez przysadkę i inne gruczoły daje o sobie znać dopiero po latach i to na całe życie. Więc – uśmiechnął się delikatnie – tych wiadomości ustrój nie utracił, ale po prostu jeszcze nie przyswoił. Bardzo trudno jest człowiekowi

„wykuć” taką lekcję...

– ...I dlatego na opanowanie przemiany materii we własnym ustroju trzeba będzie czekać miliony lat?

– Obawiam się, że nawet dziesiątki milionów – westchnął profesor. – My, ssaki, jesteśmy „bardzo młodymi mieszkańcami Ziemi. Trzydzieści milionów lat – co to za wiek! Wszystko jest jeszcze przed nami.

– Niczego nie będzie przed nami, panie profesorze – zaperzył się Kriwoszejn. – Obecne środowisko zmienia się z roku na rok, co tu można mówić o wkuwaniu przez miliony lat, gdzie powtórka materiału? Człowiek zszedł z naturalnej drogi ewolucji, dalej musi sam coś wymyślić.

– Toteż wymyślamy.

– Co? Pigułki, proszki, czopki, lewatywy i reżim łóżkowy! Jest pan pewien, że w ten sposób ulepszamy gatunek? A może go psujemy?

– Wcale nie namawiam pana, żeby się pan zajmował „pigułkami” i „proszkami”, jeśli życzy pan sobie w ten sposób nazwać opracowywane u nas nowe antybiotyki – twarz profesora stała się chłodna i nadęta. – Życzy pan sobie zajmować się tą koncepcją, cóż, niech się pan na to porywa. Ale wyjaśnienie nierealności i nieproduktywności takiego wyboru tematu pracy doktorskiej jest moim prawem i obowiązkiem.

Profesor wstał, wysypał niedopałki z popielniczki do kosza.

– Niech pan wybaczy, panie profesorze, nie chciałem pana urazić – Kriwoszejn też wstał, rozumiejąc, że rozmowa skończona, i to skończona niezręcznie. – Ale... panie profesorze, są przecież interesujące fakty.

– Jakie fakty?

– No... na przykład w ubiegłym wieku w Indiach żył niejaki Ramakrishna, „człowiek-bóg”, jak go nazywano. Otóż kiedy w jego obecności kogoś bito, na ciele Ramakrishny pojawiały się blizny. Albo oparzenia sugestią”: odpowiednio wrażliwego człowieka można dotknąć ołówkiem i wmówić mu, że został dotknięty żarzącym się papierosem. Przecież w tych przypadkach sterowanie przemianą materii odbywa się bez wkuwania, prawda?

– Niech pan posłucha, uparty młody człowieku – zmrzyzył oczy profesor – ile pan może zjeść za jednym posiedzeniem zasuvek okiennych?

– Hmm... – Kriwoszejn, oszołomiony, wyduł wargi – obawiam się, że ani jednej. A pan?

– Ja też. A jeden mój pacjent w bardzo odległych czasach, kiedy praktykowałem w klinice psychiatrycznej imienia Pawłowa, połknął bez specjalnej szkody dla siebie... – profesor, przypominając sobie, odrzucił głowę do tyłu – „zasuvek okiennych – pięć, łyżeczek do herbaty, aluminiowych – dwanaście, łyżek stołowych – trzy, szkła tłuczonego – dwieście czterdzieści gramów, nożyczek chirurgicznych małych – dwie pary, widelec – jeden, gwoździ różnych – czterysta gramów...” Niech pan zwróci uwagę, że cytuję nie protokół sekcji, ale historię choroby – sam robiłem resekcję żołądka. Pacjent wyleczył się z tendencji samobójczych, żyje prawdopodobnie po dziś dzień. A więc – profesor spojrział na Kriwoszeina z wyżyn swej erudycji – w sprawach naukowych raczej nie należy przyjmować orientacji ani na fanatyków religijnych, ani na świeckich psychopatów... Nie, nie! – podniósł rękę ujrzawszy w oczach Kriwoszeina

chęć zaprzeczenia. – Dość tej dyskusji. Niech pan się porywa, nie będę się sprzeciwiał. Nie wątpię, że zechce pan regulować przemianę materii jakimiś maszynowymi, elektronicznymi metodami...

Profesor w zamyśleniu spojrzął na doktoranta zmęczonym wzrokiem i uśmiechnął się.

– Chwytać żar-ptaka gołymi rękami – czy może być coś piękniejszego! A i cel święty: człowiek bez chorób, bez starości – starość to też skutek zaburzeń przemiany materii... Dwadzieścia lat temu na pewno dałbym się porwać takiej idei. Ale dziś... dziś muszę robić tylko to, co można zrobić na pewno. Choćby to nawet były pigułki...

Kriwoszejn skręcił w przecznicę, prowadzącą do Instytutu Systemologii, i o mało nie zderzył się z roslym mężczyzną w granatowym, niestosownym do pogody, ciepłym płaszczu. Zaskoczeni, próbowali się wyminąć, ale okazało się to niełatwe: Kriwoszejn odstąpił w lewo, aby go przepuścić, a tamten zrobił krok w prawo. Potem obaj zrobili krok w stronę przeciwną. Mężczyzna ze zdumieniem spojrzął na Kriwoszeina i znieruchomiał.

– Przepraszam – wybąkał wreszcie i poszedł dalej.

Ulica była cicha, pusta; po pewnym czasie Kriwoszejn usłyszał kroki za plecami i obejrzał się: mężczyzna w płaszczu szedł w pewnym oddaleniu za nim. „Patrzcie go, tego Onisimowa – rozweselił się. – Śledzić mnie kazał, uparciuch!” Na próbę przyspieszył kroku i usłyszał przyspieszony krok tamtego. „E, niech go tam... Tego tylko brakowało, żebym ślady za sobą zacierał.” – Szedł więc spokojnie, kołysząc się z boku na bok. Czuł jednak za plecami obecność

tamtego. Myśli powróciły do rzeczywistości.

„Widocznie Wala zrobił jeszcze jedno doświadczenie, a może i nie jedno? Nie wyszło: zwłoki, które zmieniły się w szkielet... Ale co ma do tego milicja? I gdzie on sam się podział? Czmychnął widocznie nasz Wala na motorze, byle dalej, póki nie ucichnie. A może jest w pracowni?”

Kriwoszejn podszedł do monumentalnej, zdobionej żelaznymi wykrętami bramy Instytutu. Kamienne pylony, na których zawieszona była brama, były tak obszerne, że w jednym mieściło się biuro przepustek, w drugim portiernia. Otworzył drzwi. Stary Wachtiorycz, odwieczny strażnik nauki, kiwał się za barierką.

– Dobry wieczór! – skinął głową Kriwoszejn.

– Wieczór, panie inżynierze – odpowiedział stary, wyraźnie nie mając ochoty sprawdzać przepustki: w portierni przyzwyczajono się już do tego, że kierownik pracowni nowych systemów odwiedza Instytut o najróżniejszych porach dnia i nocy.

Kriwoszejn wchodząc do parku obejrzał się: dryblas w płaszczu dreptał pod bramą. „Widzisz, kochany? – pomyślał sobie. – System przepustek ma jednak uzasadnienie.”

Okna w pawilonie były ciemne. Przed drzwiami w ciemności czerwieniał ogienek papierosa. Kriwoszejn przykucnął pod drzewem i na jaśniejszym tle nieba zobaczył czapkę mundurową na głowie palącego. „Nie, na dziś mam dość milicji. Trzeba iść do domu... – uśmiechnął się i poprawił: – Do jego domu.”

Skręcił w stronę bramy, ale przypomniał sobie o osobniku w płaszczu i zatrzymał się. „To byłoby niezgodne z regułami gry:

śledzony nie wychodzi naprzeciw śledzącemu. Niech sobie popracuje.” Kriwoszein skierował się w przeciwległy koniec parku, gdzie gałęzie starego dębu zwisały nad żelaznymi ostrzami ogrodzenia. Zeskoczył z gałęzi na chodnik i poszedł w stronę osiedla.

„Ale co się tam właściwie stało? I kto to jest ten chłopak, który czekał na mnie na lotnisku? Jakże zmylił mnie ten telegram: wziąłem go za Walę! Ale przecież podobny był, i to bardzo. Czyżby? Wala wyraźnie nie zasypiał gruszek w popiele. Szkoda, że nie pisywaliśmy do siebie. Swoją drogą, przesadziliśmy z ambicjami. Każdy chciał pokazać, że obejdzie się bez drugiego, a po roku zastrzeli go własnymi wynikami! Właśnie własnymi! Wyższa forma własności... No i zastrzeliliśmy. Przez głupie drobiazgi psujemy wielką sprawę. Przez drobiazgi, nieprzemyślanie, strach... Trzeba było nie rozjeżdżać się w różne strony, ale od początku przyciągać ludzi, którzy coś sobą reprezentują, takich jak Androsjaszwili na przykład. Tak, tylko że wtedy go nie znałem, a teraz, kiedy przechodzi, łypiąc na mnie złym okiem, nawet próbować nie warto...”

...Wszystko to stało się na wiosnę, pod koniec marca, kiedy Kriwoszein dopiero zaczął opanowywać sposób sterowania przemianą materii w swoim organizmie. Zajęty sobą, nie zauważał nadchodzącej wiosny, zanim nie został do tego zmuszony; z dachu czteropiętrowego budynku zakładu chemii spadł na niego kilkunastokilogramowy soplel. Gdyby spadł kilka centymetrów w lewo, nastąpiłby gwałtowny koniec doświadczeń nad przemianą materii w jego organizmie, podobnie zresztą jak i samego organizmu. Na szczęście

sopel przeciął mu tylko prawe ucho, złamał obojczyk i zwałił z nóg.

– Oj, co za nieszczęście! Oj, jakie nieszczęście!... – usłyszał, kiedy wróciła mu przytomność. Był to Androsjaszwili, który klęcząc nad nim obmacywał mu głowę i rozpiął płaszcz. – Zabiję tego kierownika, śniegu nie sprzątają! – potrząsnął z wściekłością pięścią. – Może pan iść? – pomógł Kriwoszeiniowi wstać. – Nic, głowa względnie cała, obojczyk zrośnie się w ciągu kilku tygodni, mogło być gorzej... Niech pan się trzyma, odprowadzę pana do ambulatorium.

– Dziękuję, panie profesorze, ja sam – odpowiedział Kriwoszeini nadrabiając miną, chociaż w głowie mu huczało. Udało mu się nawet uśmiechnąć. – Dojdę, przecież to blisko...

Szybko, prawie biegiem ruszył przed siebie. Krwawienie z ucha udało mu się zatrzymać natychmiast. Jednak prawa ręka zwisała bezwładnie.

– Zadzwoń, żeby przygotowali elektroszywacz! – zawołał za nim profesor. – Może zacerują panu to ucho!

W swoim pokoju przed lustrem Kriwoszeini ściągnął taśmą obie połówki rozerwanej wraz z chrząstką małżowiny i startł tamponem zaschlą krew. Z tym poradził sobie szybko: w ciągu dziesięciu minut na miejscu rany pozostała tylko różowawa szrama z kropelkami wydzieliny, a po półgodzinie i to znikło. Jednak zrośnięcie złamane-go obojczyka wymagało leżenia w łóżku przez cały wieczór i wyciężonego wydawania poleceń naczyniom, gruczołom i mięśniom. Kość była znacznie mniej aktywna biologicznie niż tkanki miękkie.

Rano zdecydował, że pójdzie na wykład profesora. Przyszedł na salę jak najwcześniej, aby zająć dalekie, niewidoczne z katedry

miejsce, i natknął się na profesora, który pokazywał studentom, gdzie rozwiesić tablice. Kriwoszein cofnął się, ale było za późno.

– Co pan tu robi? Dlaczego nie w klin... – profesor urwał, nie odrywając wytrzeszczonych oczu od ucha doktoranta i jego prawej ręki, w której Kriwoszein trzymał zeszyt. – Co to takiego?!

– A pan mówił: dziesiątki milionów lat, panie profesorze – nie wytrzymał Kriwoszein. – A jednak można nie tylko wkuwaniem.

Więc... wychodzi?! – wyrzucił z siebie Androsjaszwili. – Jak?!

Kriwoszein przygryzł wargę.

– Mmm... może później, panie profesorze – wybąkał niezręcznie. – Sam jeszcze muszę to wszystko zanalizować...

– Sam? – podniósł brwi profesor. – Nie chce pan mówić? – twarz jego stała się zimna i wyniosła. – No, jak pan chce... przepraszam bardzo! – i wrócił na katedrę.

Od tego dnia kłaniał się doktorantowi z lodowatą uprzejmością, ale sam nie zaczynał rozmowy. Kriwoszein zaś, aby przytłumić wyrzuty sumienia, zagłębił się w doświadczeniach nad sobą. Istotnie, wiele rzeczy jeszcze musiał się dowiedzieć.

„Przecież sam bardzo chciałem zademonstrować odkrycie: przeżyć zainteresowanie, zachwyty, sławę... – krocząc aleją kasztanową usprawiedliwiał się Kriwoszein przed sobą samym i przed nieobecny profesorem. – Przecież w przeciwieństwie do psychopatów mogłem wszystko wyjaśnić... Wprawdzie metody na razie do innych

zastosować nie można, bo są inaczej skonstruowani. A najważniejsze, że udowodniona została możliwość, jest informacja... Tak, ale żeby odkrycie ograniczało się tylko do możliwości szybkiego gojenia własnych ran, złamań czy likwidowania chorób! Całe nieszczęście, że przyroda nigdy nie daje akurat tyle, ile potrzeba dla dobra ludzi: zawsze albo za mało, albo za dużo... Ja dostałem za dużo. Mógłbym na pewno zmienić się w zwierzę czy nawet w potwora... To jest możliwe. Wszystko jest możliwe i to jest właśnie przerażające” – Kriwoszein westchnął.

...Okno i oszklone drzwi balkonu na czwartym piętrze były słabo oświetlone – wyglądało, że świeci się lampa na biurku. „Więc on jest w domu?” – Kriwoszein wszedł pó schodach, przed drzwiami mieszkania z przyzwyczajenia zaczął szukać po kieszeniach, ale przypomniał sobie, że wyrzucił klucz rok temu. Zaklął – tak efektownie można byłoby nagle wejść: „Proszę o dokumenty, obywatelu!” Dzwonka przy drzwiach nie było w dalszym ciągu, trzeba było pukać.

W odpowiedzi usłyszał szybkie, lekkie kroki – serce zaczęło mu bić szybciej – potem szczęknięcie zamka: w przedpokoju stała Lena.

– Och, Walka, żywy, zdrowy! – objęła go ciepłymi rękami za szyję, szybko przyjrzała mu się, pogładziła po włosach, przytuliła się i rozplakała. – Wala, kochany... a ja już myślałam... Takie rzeczy mówili, takie straszne rzeczy! Dzwonię do pracowni – nikt się nie zgłasza... dzwonię do Instytutu, pytam: gdzie jesteś, co się z tobą dzieje? – odkładają słuchawkę. Przyszłam tutaj, a ciebie nie ma... A mówili, że ty... – ze złością pociągnęła nosem. – Bałwany!

– No, Len, wystarczy, nie trzeba... no, co ty? – Kriwoszeiniowi zachciało się nagle przytulić ją, ledwie się powstrzymał.

Jak gdyby nic się nie zmieniło: nie było odkrycia numer 1, nie było roku morderczej pracy w Moskwie, gdzie odrzucił od siebie całą przeszłość...

Nieraz dla spokoju ducha chciał wymazać z pamięci obraz Leny. Wiedział, jak się to robi: rzut krwi z podwyższoną zawartością glukozy do kory mózgowej, niewielkie sterowane nasilenie utleniania w nukleotydach określonego obszaru mózgu – i informacja zostanie wymazana z komórek nerwowych na zawsze. Ale nie zdecydował się... a może nie mógł? „Chcieć” i „móc” – jak rozgraniczyć w sobie te dwa pojęcia? I oto teraz ukochana kobieta płacze na jego ramieniu, płacze z niepokoju o niego...Trzeba ją uspokoić.

– Przestań, Lena. Sama widzisz, że wszystko w porządku.

Spojrzała na niego w górę. Oczy miała mokre, radosne i pełne poczucia winy.

– Wal... Nie gniewasz się na mnie? Nagadałam ci wtedy głupstw, sama nie wiem, skąd mi się to wzięło, jak głupia. Obraziłeś się, prawda? Ja też pomyślałam sobie, że... wszystko skończone, a kiedy dowiedziałam się, że coś się z tobą stało... – uniosła brwi – nie potrafiłam. Przybiegłam tutaj... Zapomnij, dobrze? Zapomnimy, co?

– Dobrze – odpowiedział szczerze Kriwoszeini. – Chodźmy do pokoju.

– Och, Walka, nie wyobrażasz sobie, jak ja się przeraziłam – trzymała go cały czas za ramię, jakby bała się stracić. – I ten milicjant... i pytania takie...

- Ciebie też wzywał?
- Tak.
- No, jasne: cherchez la femme!

Weszli do pokoju. Wszystko było tu jak dawniej: szary tapczan, tanie biurko, dwa krzesła, biblioteka, na której zwalone były czasopisma aż pod sufit, szafa na ubrania z przykręconym z boku lustrem. W kącie przy drzwiach leżały skrzyżowane nantie.

– Posprzątałam trochę, czekając na ciebie. Kurzu nawiało, balkon, trzeba zamykać dokładnie... – Lena znowu zbliżyła się do niego. – Wal, co to się stało?

„Żebym to ja wiedział!” – westchnął Kriwoszeim.

- Nic strasznego. Tyle, że hałasu dużo.
- A po co milicja?
- Milicja? No... wezwali milicję, no to przyjechała. Jakby wezwali straź pożarną, to też by przyjechała.
- Oj, Walka... – położyła ręce na ramionach Kriwoszeina i jak dziewczynka zmarszczyła nos. – No powiedz, dlaczego ty jesteś taki?

– Jaki? – zapytał czując, że gwałtownie głupieje.

– No, taki: niby dorosły, a niesolidny. I ja, kiedy jestem z tobą, też się zachowuję jak smarkata... Wal, a gdzie Wiktor, co z nim? Słuchaj – otworzyła szeroko oczy z przestachem – to prawda, że on jest szpiegiem?

– Wiktor? Jaki znowu Wiktor?

– No, co ty?! Witia Krawiec, twój daleki krewny, laborant.

– Krewny... laborant... – Kriwoszeim na chwilę stracił głowę. – Ach, rozumiem! Więc to tak...

Lena klasnęła w dłonie.

– Walka, co ci jest? Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się tam u was stało?

– Przepraszam, Len... tak, zaćmiło mnie na chwilę. No oczywiście, Pietia... to znaczy Witia Krawiec, mój wierny laborant, daleki krewny... bardzo sympatyczny chłopiec, a jakże... – Dziewczyna wciąż patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. – Ty się nie dziw, Lena, to po prostu chwilowe zaburzenie pamięci, tak zawsze bywa po... po wstrząsie elektrycznym... Przejdzie, nic strasznego... Więc mówisz, że zaczęli plotkować, że on jest szpiegiem? Och, ta Akademia Nauk!

– Więc to prawda, że u ciebie w pracowni była... katastrofa?! Czemu, powiedz, czemu ty coś ukrywasz przede mną? Przecież mogłeś... – zatkała sobie usta dłonią – nie!

– Przestań, na miłość boską! – powiedział z rozdrażnieniem Kriwoszejn. Odszedł, usiadł na krześle. – Mogłeś – nie mogłeś, było – nie było! Jak widzisz, wszystko w porządku. („Chciałbym, żeby okazało się, że rzeczywiście w porządku!”) Nie mogę nic opowiadać, póki sam nie będę wiedział wszystkiego, jak należy. I w ogóle – postanowił przejść do ataku – co ty tak przeżywasz? Jednego Kriwoszeina na świecie więcej, jednego mniej, wielkie nieszczęście! Młoda jesteś, ładna, dzieci nie masz, znajdziesz sobie kogoś innego, lepszego niż taki podstarzały dureń jak ja. Choćby nawet ten Pietia... Witia Krawiec: czego mu brakuje?

– Ty znowu o tym? – uśmiechnęła się, podeszła do niego z tyłu, oparła głowę Kriwoszeina na piersi. – No i po co ty ciągle o tym Witku? Wcale go nie potrzebuję. Może sobie być jeszcze przystojniejszy, ale i tak nie jest tobą, rozumiesz? I inni też. I tyle. Teraz to

już wiem na pewno.

– Hm?! – Kriwoszein wyprostował się.

– Co: hm! Głupi zazdrośnik! Przecież nie siedziałam jak zakon-
nica w domu. Zapraszali mnie, podrywali bardzo interesująco, mia-
łam nawet poważne propozycje... Ale wszyscy oni są jacyś inni! –
powiedziała z triumfem w głosie. – Nie tacy jak ty – i już! I tak przy-
szłabym do ciebie...

Kriwoszein czuł ciepło jej ciała, czuł miękkie dłonie na oczach i
doświadczał nieporównywalnej z niczym rozkoszy. „Siedzieć by
sobie tak po prostu: przyszedłem zmęczony z pracy, a ona tu jest... i
nic takiego nie było... Jak to nie było?! – przeraził się. – Wszystko
było! Tutaj zdarzyło się coś poważnego! A ja siedzę i kradnę jej
pieszczoty!”

Uwolnił się, wstał.

– No, dobra, Len. Nie gniewaj się, ale nie odprowadzę cię. Po-
siedzę trochę i pójdę spać. Nie bardzo się czuję po tej... historii.

– To co, zostać?

Było to na wpół pytanie, na wpół twierdzenie. Na moment Kri-
woszeina ogarnęła wściekła zazdrość. „Zostać?” – pytała Lena, a on
oczywiście zgadzał się. Albo sam mówił: „Zostań dzisiaj, Lenok” – i
Lena zostawała...

– Nie, Len, idź – uśmiechnął się z przymusem.

– Więc ciągle jesteś zły, o to, tak? – spojrzała na niego z żalem i
rozzłościła się. – Dureń z ciebie. Walka! Dureń skończony, a niech
cię! – i odwróciła się ku drzwiom.

Kriwoszein stał na środku pokoju i słuchał: zgrzytnął zamek,

obcasiki Leny, kroki na asfalcie. Rzucił się na balkon, żeby zawołać – wieczorny wiatr otrzeźwił go. „No, proszę, zobaczyłem i rozkleiłem się. Ciekawe, co ona mu nagadała? Dobra, do diabła z tymi zeszlórocznymi przeżyciami! – wrócił do pokoju. – Trzeba wszystko wyjaśnić... Stop! Przecież on musiał mieć dziennik. Oczywiście.”

Kriwoszejn wyciągał szuflady i wyrzucał na podłogę czasopisma, teczki, skoroszyty, szybko przeglądał zeszyty. „Nie to, nie to...” Na dnie dolnej szuflady zobaczył szpulę magnetofonową, w jednej czwartej zapełnioną taśmą, i na moment zapomniał o poszukiwaniach. Zdjął z szafy przenośny magnetofon, startł kurz, założył taśmę i włączył odtwarzanie.

– Zgodnie z prawem odkrywców – po krótkim syczeniu odezwał się w głośniku lekko zachrypnięty głos, niedbale wymawiający końcówki – bierzemy na siebie odpowiedzialność za badanie i wykorzystanie odkrycia pod nazwą...

– ...”Sztuczna biologiczna synteza informacji” – rzeczowo wtrącił drugi (choćby identyczny) głos. – Nie brzmi to zbyt pięknie, ale za to konkretnie.

– Dobra... „Sztuczna biologiczna synteza informacji”.

Rozumiemy, że odkrycie to związane jest z życiem ludzkim jak żadne inne i może stać się niezwykle niebezpieczne albo też może przynieść ludzkości wielką korzyść. Zobowiązujemy się uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby zastosować to odkrycie dla polepszenia życia ludzi...

– Zobowiązujemy się, że póki nie zbadamy wszystkich możliwości odkrycia...

– ...i póki nie ustalimy, jak wykorzystać je z korzyścią dla

ludzkości w maksymalnie niezawodny sposób...

- ...nie przekazemy go w obce ręce...
- ...i nie opublikujemy danych o nim.

Kriwoszeim stał, przymknąwszy oczy. Czuł się, jak w tamtą majową noc, kiedy składali tę przysięgę.

– Przysięgamy, że nie oddamy naszego odkrycia ani za dobrobyt, ani za sławę, ani za nieśmiertelność, dopóki nie będziemy pewni, że nie można obrócić go na szkodę ludzkości. Raczej zniszczymy wyniki naszej pracy, niż dopuścimy do tego.

– Przysięgamy! – trochę nieskładnie odezwały się oba głosy chórem. Taśma skończyła się.

„Zapaleńcy z nas byli wtedy... Tak, dziennik powinien być w pobliżu.” Kriwoszeim znowu dał nura w papiery, poszukał w dolnej szufladzie i po chwili trzymał w rękach zeszyt w żółtej kartonowej okładce, duży i gruby jak książka. Na okładce nic nie było napisane, jednak Kriwoszeim przekonał się natychmiast, że znalazł to, czego szukał: rok temu, po przyjeździe do Moskwy, kupił sobie identyczny zeszyt w żółtej okładce, aby prowadzić dziennik.

Usiadł przy biurku, przysunął sobie lampę, zapalił papierosa i otworzył zeszyt.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

Względność wiedzy to wielka rzecz. Twierdzenie „2 plus 2 równa się 13” jest względnie bliższe prawdy niż twierdzenie „2 plus 2 równa się 41”. Można nawet stwierdzić, że przejście od drugiego do pierwszego jest przejawem dojrzałości twórczej, aktem odwagi naukowej i niesłychanym postępowaniem w nauce – jeśli oczywiście nie wiecie, że 2 plus 2 równa się cztery.

W arytmetyce jest to oczywiste, ale nie triumfujemy przedwcześnie. Na przykład w fizyce 2 plus 2 to mniej niż cztery – zjawisko ubytku masy. A w tak subtelnych naukach, jak socjologia czy etyka, nawet nie 2 plus 2, ale 1 plus 1 – to albo przyszła rodzina, albo spiszek w celu ograbienia banku.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 5

„22 maja. Dzisiaj odprowadziłem go na pociąg. W restauracji dworcowej goście przyglądali się dwu dorosłym braciom-

bliźniakom. Ja nie czułem się najlepiej. On był w błogim stanie ducha.

– Pamiętasz, jak piętnaście lat temu wyjeżdżałem... a właściwie ty wyjeżdżałaś walczyć o miejsce na wydziale fizyki? Było zupełnie tak samo: odrobina alienacji, wolność, niepewność...

Pamiętałem. Miał rację – było tak samo. Ten sam kelner z wyrazem chronicznego niezadowolenia na tłustym obliczu obsługiwał maturzystów, którzy wyrwali się na wolność. Wydawało nam się wtedy, że wszystko jest przed nami; tak zresztą było rzeczywiście. Teraz poza nami niemało – i chwile radosne, i nijakie, i takie, że strach się obejrzeć, a przecież wciąż się wydaje, że to, co najlepsze, najbardziej interesujące, jest jeszcze przed nami.

Wtedy piliśmy najtańsze wino. Teraz kelner podał nam koniak. Wypiliśmy po jednym.

W restauracji panował ruch i hałas. Ludzie jedli i pili w pośpiechu.

– Popatrz tam – ożywił się dubel. – Mama karmi bliźniaki. Czolem, koledzy! O, jakie oczka... Jak myślisz, co z nich wyrośnie? Na razie opiekuje się nimi matka – proszę, nawet kaszą zdołali wysmarować się jednakowo. Ale za parę lat weźmie się za nich inna opiekunka – Życie. Jeden z nich, powiedzmy, złapie za ogon kurę, wyrwie jej wszystkie pióra i uzyska pierwszy zestaw niedostępnych drugiemu wrażeń, bo dla drugiego piór już nie starczy. Drugi za to zgubi się ze strasznym wrzaskiem w sklepie – i to znowu będzie to jego własne, indywidualne przeżycie. A jeszcze po roku mama spuści mu lanie za konfiturę, którą nie on zeżarł. I znow różne doświadczenia – jeden pozna pierwszą w życiu niesprawiedliwość, drugi – bezkarność występku... Oj, mammo, uważaj, jeśli rzeczywiście tak będzie, to z jednego wyrośnie zastraszony pechowiec, a z drugiego

spryciarz, który zawsze wykręci się sianem. Napłaczysz się, matko... I my dwaj jesteśmy jak te bliźniaki.

– No, nas niesprawiedliwe lanie nie sprowadzi na manowce, nie ten wiek.

– No, to wypijmy!

Ogłoszono przyjazd pociągu. Wyszliśmy na peron. Dubel ciągnął dalej.

– Ciekawe, co teraz będzie z żelazną tezą: «Co komu pisane, to go nie minie»? Przypuśćmy, że było ci coś «pisane», w szczególności, jednoznaczne przemieszczenia w czasie i przestrzeni, awanse służbowe i tak dalej. I raptem – brzdęk! – jest dwóch Kriwoszeinów. I żyją sobie odmiennie w różnych miastach. Co teraz z boskim programem życiowym? A może Bóg przewidział dwa warianty? A jeśli nas będzie dziesięciu? Zresztą jeśli nie będziemy chcieli, to nie będzie...

Jednym słowem, obaj udawaliśmy, że wszystko odbywa się normalnie: «Odprowadzający proszeni są o sprawdzenie, czy nie pozostały u nich bilety odjeżdżających!» Nie pozostały. Pociąg powiózł go do Moskwy.

Umówiliśmy się, że będziemy pisać do siebie w razie konieczności (mogę się założyć, że on taką konieczność odczuje nieprędko) i spotkamy się w lipcu przyszłego roku. A przez ten czas będziemy podchodzić do problemu z dwu stron: on z biologicznej, ja z systemologicznej. No cóż, zobaczymy...

Po odjeździe pociągu poczułem, że będzie mi go brakowało. Pewnie dlatego, że po raz pierwszy zdarzyło mi się być z innym człowiekiem, jak... jak ze samym sobą – inaczej tego nie można określić. Nawet między mną a Lenką zawsze jest coś nie dopowiedzianego, nie zrozumianego, czysto osobistego. A z nim... zresztą

między nim a mną również się nagromadziło co nieco podczas miesiąca wspólnego życia. Ciekawie poczyną sobie z nami ta matka – Życie!

Wracając z dworca, rozklejony od wypitego koniaku, wpatrywałem się chciwie w życie, w ludzi. Kobiety o zatroskanych twarzach wchodziły do sklepów. Chłopcy wiozą na motocyklach przytulone dziewczyny. Przy kioskach ustawiają się kolejki – tylko patrzeć, jak przywiozą «Wieczór»... Twarze ludzkie – jakże różne, jakże zrozumiałe i niezrozumiałe! Nie umiem wyjaśnić, jak to się dzieje, ale czuję, jak gdybym o wielu z tych. twarzy coś wiedział – kąciki ust, głębokie albo mało widoczne zmarszczki, fałdy na szyi, dołeczki w policzkach, zarys szczęki, osadzenie głowy i oczy – zwłaszcza oczy! – wszystko to są znaki informacji przedślownej. Pewnie jeszcze z tych czasów, kiedy byliśmy małpami.

A tak niedawno tego wszystkiego po prostu nie zauważałem. Nie zauważałem na przykład, że ludzie czekający w kolejce są nieładni. Pospolitość i błahość tego zajęcia, obawa, że nie starczy, że jakiś cwaniak wepchnie się bez kolejki, nadają ich twarzom paskudny wyraz. Brzydzący są także pijani i awanturnicy.

Popatrzcie za to na zakochaną dziewczynę śmiejącą się z żartu swojego chłopaka. Na matkę karmiącą piersią. Na majstra wykonującego precyzyjną pracę. Na człowieka pogrążonego w zadumie... Ci są piękni, mimo szpecących krost, fałdów, zmarszczek.

Nigdy nie umiałem doszukać się piękna w zwierzętach. Moim zdaniem piękny bywa tylko człowiek, i to tylko wtedy, gdy jest człowiekiem.

Oto prowadzony przez matkę malec zagapił się na mnie jak na jakie dziwo, klapnął na chodnik i czując się pokrzywdzony przez

ciążenie ziemskie rozplakał się głośno. Matka oczywiście dodała mu też od siebie... Niepotrzebnie się głuptasowi dostało, bo i cóż ze mnie za dziwo? Po prostu tęgawy mężczyzna o przygarbionej sylwetce i pospolitej twarzy.

A może malec ma rację, może rzeczywiście jestem dziwem? Może każdy człowiek jest dziwem?

Cóż my wiemy o ludziach? Co ja sam wiem o sobie? W zadaniu o nazwie «życie» ludzie są wartością daną, która nie wymaga dowodu. A jednak każdy, operując danymi wyjściowymi, dowodzi czegoś, własnego. Na przykład dubel. Wyjechał – i nieoczekiwane, i logiczne...

Ale nie. Stop! Jeżeli już zaczynać, to od początku.

Aż śmiesznie pomyśleć... W zasadzie moje zamiary były jak najprostsze – chciałem zrobić doktorat.

Jednakże zrobienie czegoś miernego – jakiejś kompilacji – (na przykład w duchu proponowanego przez mojego byłego szefa, profesora Woltampernowa, tematu «Niektóre charakterystyczne właściwości projektowania diodowych układów pamięciowych») było i nudne, i przeciwne mojej naturze. Jestem przecież żywym człowiekiem – chciałoby się, żeby to był jakiś problem nie rozwiązany, żeby się w niego wgryźć, z pomocą przemyśleń, maszyn i przyrządów siłą wydobyć z natury to4 o czym nikt jeszcze się nie dowiedział. Albo wymyślić coś, do czego nikt jeszcze nie doszedł. I jeszcze żeby w czasie obrony padały pytania, na które byłoby przyjemnie odpowiadać. I żeby potem znajomi mówili: «No, ale im dołożyłeś!»

Tym bardziej że stać mnie na to. W obecności innych nie wypada mówić, ale w dzienniku tak – stać mnie na to. Świadczy o tym pięć

wynalazków i dwie zakończone prace badawcze. No i to odkrycie... Ej, nie, Kriwoszejn, nie spiesz się z zaliczeniem tego do swoich osiągnięć intelektualnych! W tym zagubiłeś się i po dziś dzień nie możesz się odnaleźć.

Słowem, ten duchowy niepokój popchnął mnie w labirynt tego kierunku światowej systemologii, gdzie głównym czynnikiem nie jest wzór, algorytm i nawet nie program, lecz przypadek.

Z racji ograniczenia naszego umysłu uwielbiamy przeciwstawiać: fizyków – lirykom, fałę – cząsteczce, rośliny – zwierzętom, maszyny – ludziom... W życiu jednak i w przyrodzie wszystko to nie przeciwstawia się sobie, ale nawzajem uzupełnia. Dokładnie tak samo logika i przypadek uzupełniają się wzajemnie w poznaniu, w poszukiwaniu istoty rzeczy. Można znaleźć (i znajduje się) wiele nie udowodnionego i dowolnego w konstrukcjach matematycznych i logicznych. Można znaleźć także logiczne prawidłowości w zdarzeniach losowych.

Na przykład, wróg koncepcji poszukiwań losowych, doktor nauk technicznych Woltampernow, nigdy nie pomijał okazji, żeby odciąć się żartem od mojej propozycji zajęcia się w zakładzie modelowaniem procesów losowych: «Ależ to będzie, że tak powiem, modelowanie na fusach kawowych!» Czyż to nie najlepszy przykład tego typu uzupełniania!?

A sprzeciwić się było trudno. Osiągnąć w tej dziedzinie było mało, wiele prac kończyło się niepowodzeniem, a koncepcje... z koncepcjami nie można było wyjść. Tutaj, zupełnie jak na Dzikim Zachodzie, liczyły się tylko nagie fakty.

Przemysliwałem już nad tym, czy – za przykładem Walerki Iwanowa, mojego przyjaciela i byłego kierownika laboratorium – nie

plunąć na Instytut i nie przenieść się do innego miasta. Ale – otóż i ten przypadek-dowód! – z zupełnie uzasadnionych przyczyn budowlani nie przekazali w terminie nowego budynku, z równie uzasadnionych przyczyn nie wydano pieniędzy zgodnie z równie uzasadnionymi paragrafami i Azarow ogłasza «konkurs» na wydanie z sensem osiemdziesięciu tysięcy rubli. Jestem pewien, że w takiej sytuacji najżarliwszy obrońca determinizmu starałby się nie marnować okazji.

W tym czasie moja koncepcja już się zarysowała – zbadać, jak będzie się zachowywała maszyna elektronowa «karmiona» nie przętym, sprowadzonym do układu dwójkowego programem, lecz zwykłą – przemyślaną i dowolną – informacją. Maszyny pracujące według programu wykazują efektywność, która wprawia w zachwyt reporterów. («Nowe osiągnięcia nauki: maszyna projektuje oddział fabryczny w ciągu trzech minut!» – tylko że programiści w skromności swej przemilczają, ile miesięcy przygotowywali to «trzyminutowe» rozwiązanie.)

Co tu zresztą mówić: mój pomysł zrealizowany środkami elementarnymi stanowił dla każdego, choć trochę znającego się na rzeczy systemologa oczywistą bzdurę – maszyna w ogóle nie będzie się «zachowywać», po prostu zatrzyma się i na tym koniec! Rzecz jednak w tym, że nie chodziło mi o t a k ą realizację.

...Wydanie w okresie pięciu tygodni (do końca roku budżetowego) osiemdziesięciu tysięcy na wyposażenie laboratorium, nawet o tak luźnym profilu jak poszukiwania losowe, to sprawa poważna. Nie bez podstaw też geniusz zaopatrzeniowy w skali Instytutu, Alter Abramowicz, przy spotkaniach po dziś dzień znacząco i z szacunkiem ściska mi dłoń. Ale przecież zaopatrzeniowcy nie są w stanie

pojąć, że koncepcja wraz z nieodpartą potrzebą wyjścia w przestrzeń operacyjną mogą działać cuda.

Tak więc sytuacja była następująca: pieniądze są, a poza tym nic. Budowlanym za to, żeby lepiej wykończyli pawilon – pięć tysięcy. (Chcieli mnie podzuchać: «Kochany! I plan wykonamy, i premię dostaniemy... Dawaj»). Uniwersalna maszyna cyfrowa CWM-12 – następne trzynaście tysięcy. Wszelkie możliwe przetworniki informacji: mikrofony krystaliczne, giętkie czujniki tensometryczne, fototranzystory germanowe, analizatory gazowe, termistory, zestaw do elektromagnetycznej rejestracji prądów czynnościowych mózgu z układem ZCE-1 i czterema tysiącami elektrod, czujniki tętna, półprzewodnikowe czujniki wilgotności, «czytające» matryce zbudowane z fotoelementów... słowem wszystko, co przekształca dźwięki, obrazy, zapachy, zmiany ciśnienia, temperaturę, zmiany pogody, a nawet drgania duszy w impulsy elektryczne – za dalsze dziewięć tysięcy. Za cztery tysiące nakupiłem różnych odczynników, szkła laboratoryjnego i wszelkiego wyposażenia chemicznego – tu powodowały mną niejasne, niezbyt sprecyzowane zamiary zastosowania chemotroniki, o której coś słyszałem. (A jeżeli już być naprawdę szczerym, to dlatego, że łatwo to było zakupić na przelew. Chyba nie warto nawet wspominać, że gotówką z tych osiemdziesięciu tysięcy nie wydałem ani jednego rubla.)

Wszystko to było potrzebne, ale brakowało mi podstawowego elementu do przeprowadzenia doświadczenia. Dobrze wiedziałem, co jest potrzebne – urządzenie przełączające, które mogłoby komutować przypadkowe sygnały pochodzące z czujników i przekazywać je do «myślącej» maszyny, taki kawałeczek «mózgu elektronowego»

z luźnym układem połączeń kilku dziesiątków tysięcy przełączających się elementów... W sklepie czegoś takiego – nawet w obrocie bezgotówkowym – nie da się kupić. Nakupić detali, z których buduje się zwykle maszyny elektroniczne (diody, triody, oporniki, kondensatory itd.) i zamówić gotowy układ? Trwałoby to długo, i w ogóle jest nierealne – przecież w zamówieniu trzeba podać szczegółowy schemat, a to urządzenie z założenia nie powinno mieć ustalonego schematu.

Jednym słowem – mam iść nie wiadomo dokąd, żeby znaleźć nie wiadomo co.

I znów przyjaciel-przypadek podarował mi to «nie wiadomo co», a ponadto – Lenę... Nie, nie, stop! Tu nie zgodzę się na przypisywanie wszystkiego szczęściu. Spotkanie z Leną to oczywiście najprawdziwszy dar losu. Ale co się tyczy bloku krystalicznego... przecież jeżeli myśli się o czymś dniami i nocami, to zawsze w końcu coś się wymyśli, znajdzie, zauważy.

Słowem, sytuacja była następująca: do końca roku trzy tygodnie, pięćdziesiąt tysięcy «leży odłogiem», widoki na to, żeby znaleźć urządzenia komutujące – żadne, a ja jadę trolejbusem.

– Nakupili za pięćdziesiąt tysięcy układów scalonych, a teraz okazuje się, że mają niewłaściwe parametry! – oburzała się siedząca przede mną kobieta w brązowym futerku, zwracając się do swojej sąsiadki. – Do czego to podobne?

– Zwariować można – odpowiedziała druga.

– Teraz Pszembakow zwała wszystko na zaopatrzenie, a przecież sam je zamawiał!

– Coś takiego!

Słowa «pięćdziesiąt tysięcy» i «układy scalone» spowodowały, że wyteżyłem słuch.

– Przepraszam, a co to za układy?

Kobieta zwróciła ku mnie twarz tak piękną i gniewną, że aż się zmieszałem.

– «Nor» i przerzutniki bistabilne! – odpowiedziała w ferworze rozmowy.

– A parametry?

– Niskowolt... Przepraszam, ale dlaczego pan się wtrąca?

W taki sposób poznałem inżyniera z sąsiedniego Biura Konstrucyjnego, Helenę Kołomyjec. Następnego dnia inżynier Kołomyjec załatwiła inżynierowi Kriwoszeinowi przepustkę na swój oddział. «Dobroczyńca! Wybawca!» – otworzył ramiona kierownik oddziału Żałbek Bałbekowicz Pszembakow, gdy inżynier Kołomyjec przedstawiła mnie i wyjaśniła, że mogę odkupić od Biura Konstrucyjnego nieszczęsne układy scalone. Ja jednak zgodziłem się zostać dobroczyńcą i uratować Pszembakowa na następujących warunkach: a) wszystkie 38 tysięcy elementów będą ustawione na płytkach według załączonego szkicu, b) będą do nich dołączone przewody zasilania, c) od każdego elementu będzie wyprowadzone wyjście i d) wszystko ma być gotowe do końca roku.

– Moc przerobową macie większą, tak że dla was nie będzie to trudne.

– Za te pieniądze?! Przecież same tylko układy kosztują pięćdziesiąt tysięcy!

– Tak, ale dla was się nie nadają. Obniżycie cenę.

– Wyzyskiwacz ty jesteś, a nie dobroczyńca – ze smutkiem powiedział Żałbek i machnął ręką. – Niech pani to przygotuje, pójdzie

jako nasze zamówienie. I w ogóle powierzam pani całą tę sprawę.

Niech Allah błogosławi twoje imię, Żałbek Pszembakow!

...Po dziś dzień podejrzewam, że serce Leny podbiłem nie swoimi zaletami, ale tym, że kiedy wszystkie elementy były już zmontowane na płytkach, a ściany mikroelektronicznego sześcianu wyglądały jak łany różnokolorowych drucików, na jej niepewne pytanie: «Ale jak je teraz łączyć?» – odpowiedziałem dziarsko:

– Jak pani chce! Niebieskie z czerwonymi, żeby tylko było ładnie.

Kobiety pociąga brak rozsądku.

Tak się to wszystko zaczęło. A jednak przypadek odegrał tu swoją rolę...

(Wygląda na to, że podczas tej pracy zacząłem czcić przypadek! Fanatyzm neofity... Przedtem, szczerze mówiąc, byłem leń co się zowie, głosiłem przyziemne pogodzenie się z «nieszczęśliwym» przypadkiem [nic, jak to się mówi, nie poradzisz] i pogardę dla zaprzepaszczonego «szczęścia» [no cóż, trudno...]. Za takimi stwierdzeniami, jeśli rozważyć je dokładniej, zawsze kryje się duchowe lenistwo i opieszałość. Teraz zacząłem rozumieć, że przypadku – i w życiu, i w nauce – nie można sobie podporządkować samym tylko rozsądkiem. Potrzebna jeszcze szybkość i wytrwałość w myśleniu, inicjatywa, gotowość do zmiany planów... Ale i cześć, i pogarda dla przypadku są równie głupie. Przypadek nie jest ani wrogiem, ani przyjacielem, ani bogiem, ani diabłem. Jest po prostu przypadkiem – nieoczekiwanym wydarzeniem, i to wszystko. To, czy się go wykorzysta,

czy też zmarnuje, zależy od człowieka. Ci zaś, co wierzą, że sprzyja im szczęście, niech kupują losy na loterię!)

– Mimo wszystko jednak nazwa «pracownia poszukiwań losowych» może budzić zbyt wiele sprzeciwów – powiedział Azarow podpisując zarządzenie o powołaniu pracowni i mianowaniu inżyniera Kriwoszeina jej kierownikiem, z nałożeniem na wyżej wymienionego odpowiedzialności materialnej, przeciwpożarowej i wszelkich innych. – Nie należy dawać tematu do anegdot. Nazwiemy ją ostrożnie, powiedzmy, «pracownią nowych systemów». A potem się zobaczy.”

Oznaczało to, że zrobienie doktoratu wciąż pozostawało dla mnie problemem numer 1. W przeciwnym razie – «zobaczy się»... Problemu tego nie rozwiązałem do dzisiaj.”

Rozdział drugi

Jeżeli maszyna rozpoznająca – perceptron – na rysunek słonia odpowiada sygnałem „chała”, na podobiznę wielbłąda – również „chała”, i na portret wybitnego uczonego – znowu „chała”, niekoniecznie oznacza to, że jest niesprawna. Po prostu może być w nastroju filozoficznym.

K. Prutkow – Inżynier, myśl nr 30

„Oczywiście, w głębi duszy marzyłem, żeby mieć ciekawą pracę. Zresztą jak tu nie marzyć, jeśli władca umysłów w cybernetyce,

doktor neurofizjologii William Ross Ashby, rzuca coraz to bardziej nęcące pomysły, jeden ciekawszy od drugiego. Procesy losowe jako źródło rozwoju i zagłady dowolnych układów... Wzmocnienie zdolności myślowych ludzi i maszyn poprzez oddzielenie cennych myśli, znajdujących się w przypadkowych wypowiedziach, od głupstw i płątaniny... I wreszcie szum jako surowiec do wytwarzania informacji – tak, tak, ów «biały szum», to poważne zakłócenie, na którego usunięcie z układów półprzewodnikowych osobiście poświęciłem nie jeden rok pracy i niemało wysiłku umysłowego!

A w ogóle – jeśli już dokładnie – to za inicjatora tego ostatniego kierunku nie należy uważać doktora Ashby, ale pewnego – obecnie zapomnianego – reżysera Teatru Wielkiego w Moskwie, który jako pierwszy (dla wywołania wrażenia groźnego pomruku tłumu w «Borysie Godunowie») polecił wszystkim statystom powtarzać swój adres domowy i numer telefonu. Natomiast Ashby zaproponował odwrotne zadanie. Bierzymy jakikolwiek szum – szum przyboju, syczenie proszku węglowego w mikrofonie pod wpływem prądu czy coś podobnego – i podajemy go na wejście określonego urządzenia. Z tego chaosu szumu wyodrębnia się najsilniejsze impulsy uzyskując z nich sekwencję. A sekwencja impulsów to liczby w kodzie dwójkowym. Można je zamienić na liczby kodu dziesiętnego. Liczby zaś dziesiętne to numery: na przykład numery słów w słowniku przekładu maszynowego. A zbiór słów to zadanie. Co prawda na razie jeszcze wszystkie zdania – fałszywe, prawdziwe, nonsensowne – to informacyjny «surowiec». Lecz w następnym stopniu urządzenia spotykają się dwa potoki informacji: znanej ludziom i nieznaney –

tego właśnie «surowca». Następują operacje porównywania, sprawdzania koincydencji lub jej braku i wszystko, co jest bezsensowne, zostaje odfiltrowane, a co banalne, znosi się wzajemnie. I wreszcie zostają oddzielone nowe, oryginalne myśli, nie dokonane jeszcze odkrycia i wynalazki, utwory poetów i prozaików, którzy się jeszcze nie urodzili, wypowiedzi filozofów przyszłości... uff! Maszynamyśliciel.

Co prawda, czcigodny doktor nie powiedział, jak to чудо wykonać, na razie jego pomysł jest wcielony w kwadraciki, narysowane na kartce papieru i połączone ze sobą strzałkami. W ogóle zagadnienie «jak wykonać?» nie cieszy się szacunkiem akademickich myślicieli. «Jeśli pominąć trudności techniczne, to w zasadzie można sobie wyobrazić...» Dobrze, ale jak można je pominąć?

No i po co te wyrzekania? Po to właśnie jestem eksperymentatorem, aby weryfikować koncepcje. Po to mam właśnie pracownię: ściany pachną świeżą farbą olejną, brązowe linoleum jeszcze nie zdeptane, szumią urządzenia klimatyzacyjne, w szafie błyszczą naczynia i puszki z odczynnikami, na stole montażowym leżą nowiutkie narzędzia, pęki różnobarwnych przewodów i lutownice. z czerwonymi, jeszcze nie pokrytymi nagarem grotami. Na stołach lśnią idealnie gładkie, pokryte tworzywem przyrządy. Ich wskazówki nie są jeszcze pogięte, a skale nie pokryte kurzem. W szafie na półkach uformowały się w szeregi podręczniki, poradniki, monografie. Pośrodku pokoju wznoszą się w świetle niskiego styczniowego słońca prostopadłościanny maszyny cyfrowej, drukarki, ażurowy i pstry od przewodów sześcian bloku krystalicznego. Wszystko nowiutkie, czyste, bez zadrapań, wszystko promieniujące mądrą,

wypiełgnowaną przez pokolenia mistrzów i inżynierów racjonalną pięknnością.

Jakże więc nie poddać się marzeniom? A może się uda?! Zresztą moje osobiste marzenia były bardziej powściągliwe. Nie marzyłem o supermaszynie, która okaże się mądrzejsza od człowieka (taka koncepcja w ogóle mi nie odpowiadała, mimo że jestem systemotechnikiem), ale o maszynie, która rozumiałaby człowieka po to, aby lepiej wykonywać swoją pracę. Wtedy koncepcja ta wydawała mi się osiągalna. Bo w istocie, gdyby maszyna dzięki temu wszystkiemu, co będę do niej mówił, pokazywał jej itd., zaczęła się w określony sposób zachowywać, to problem byłby rozwiązany. Znaczyłoby to, że zaczęła poprzez swoje czujniki widzieć, słyszeć, odczuwać zapachy w zwykłym, ludzkim znaczeniu tych słów, bez cudzośłów i ograniczeń. A wtedy jej zachowanie można by przystosować do dowolnych celów i zadań – jest to przecież uniwersalna maszyna matematyczna.

Tak, wtedy, w styczniu, wydawało mi się to proste i osiągalne, niczego się nie bałem... Ach, ta budząca ufność moc przyrządów! Fantastyczne zielone pętle na ekranach, spokojne, budzące zaufanie brzęczenie transformatorów, ciągły szczełk przekaźników, błyskanie lampek sygnałowych na pulpicie, precyzyjne wahnięcia wskazówek... Wydaje się, że wszystko da się zmierzyć, osiągnąć, wykonać, i nawet zwykły mikroskop wpaja przekonanie, że już teraz (przy powiększeniu 400 i dwukrotnie spolaryzowanym świetle) uda się zobaczyć coś, czego nikt jeszcze nie widział!

Zresztą, co tu mówić... Który z badaczy nie marzył przed rozpoczęciem pracy, nie przymierzał się myślą i wyobraźnią do

największych problemów? Który z badaczy nie odczuwał tej usuwającej wszelkie przeszkody niecierpliwości, kiedy dążył – szybciej! szybciej! – do zakończenia nudnej pracy przygotowawczej – szybciej! szybciej! – ustalenia schematu doświadczenia, włączenia zasilania i rozpoczęcia!

A później... Później codzienne trudności laboratoryjne, codzienne błędy i kłopoty rozwiewają pierwotne marzenia. I człowiek zgadza się już na cokolwiek, byle tylko nie pracować daremnie.,

Tak też było ze mną.

Opisywanie niepowodzeń to ponowne ich przeżywanie. Dlatego będę się streszczał. A więc mamy następujące założenia eksperymentu: na wejście maszyny cyfrowej podłączamy blok krystaliczny składający się z 38 tysięcy elementów, a do wejść bloku – cały pozostały inwentarz mikrofony, czujniki zapachów, wilgotności, temperatury, czujniki tensometryczne, fotomatryce z nasadkami ogniskującymi, «czapkę Monomacha» do zapisu potencjałów czynnościowych mózgu. Źródło informacji zewnętrznej – to ja sam, to znaczy coś poruszającego się, wydającego dźwięki, zmieniającego kształty i swoje współrzędne w przestrzeni, coś o określonej temperaturze i charakterystycznych potencjałach nerwowych. Można mnie ujrzyć, usłyszeć, dotknąć czujnikami, zmierzyć temperaturę i ciśnienie krwi, zanalizować woń z ust, nawet zagłębić się w duszę i myśli – proszę bardzo! Sygnały z czujników powinny przechodzić do bloku krystalicznego, wzbudzać w nim różne elementy – blok krystaliczny formuje i grupuje sygnały w ciągi logicznych kombinacji dla maszyny cyfrowej, która rozprawia się z nimi jak ze zwykłymi zadaniami i

podaje na wyjściu coś sensownego. Żeby jej było łatwiej, wprowadziłem do pamięci maszyny wszystkie liczby-słowa ze słownika przekładu maszynowego od „A” do „Z”.

I nic. Silniki serwomechanizmów wodziły czujnikami i obiektami, gdy zmieniałem swoje położenie w pokoju. Kontrolne oscyloskopy wykazywały burzę impulsów biegnących od bloku krystalicznego do maszyny. Prąd płynął. Lampki kontrolne migotały. Jednak w ciągu pierwszego miesiąca dźwignie automatu perforującego nie drgnęły ani razu, aby wybić w taśmie choćby jeden znak.

Przyłączałem do bloku krystalicznego wszelkiego rodzaju czujniki. Śpiewałem i recytowałem wiersze, gestykułowałem, biegałem i skakałem przed obiektami, rozbierałem się i ubierałem, pozwalałem im się obmacywać (br... te zimne dotknięcia macek...). Nakładałem «czapkę Monomacha» i – o Boże! – starałem się maszynie coś «zasugerować»... Byłem gotów zgodzić się na jakąkolwiek abrakadabę.

Ale maszyna nie mogła stworzyć abrakadabry, bo na to nie pozwalała jej konstrukcja. Jeżeli żądanie ma rozwiązanie, rozwiąże je. Jeżeli nie – zatrzyma się. I zatrzymywała się. Sądząc po migotaniu lampek na pulpicie, coś się w niej przełączało, ale co pięć, sześć minut zapalał się sygnał «stop», a ja naciskałem przycisk kasowania informacji. I wszystko zaczynało, się od początku.

W końcu zacząłem się zastanawiać. Maszyna nie mogła nie przeprowadzać operacji arytmetycznych i logicznych na impulsach nadchodzących z bloku krystalicznego – cóż innego mogłaby robić? Czyli że po tych operacjach informacja jest na tyle surowa i sprzeczna, że maszyna, mówiąc obrazowo, nie może związać logicznego

końca z końcem, no i zatrzymuje się. To znaczy, że jeden cykl wyliczeń w maszynie to po prostu za mało. To znaczy... i tutaj, jak zawsze w podobnych sytuacjach, zrobiło mi się głupio, znaczy, że należy stworzyć sprzężenie zwrotne między maszyną (tymi jej blokami, w których krążą impulsy) a blokiem krystalicznym. No oczywiście, wtedy surowa informacja z maszyny wróci na wejścia tego sprytnego sześcianu, ulegnie tam ponownej obróbce, przejdzie do maszyny i tak dalej, aż do całkowitego wyjaśnienia.

Podniosłem się na duchu – nareszcie...! Teraz można zapomnieć o tym, jak spaliło się półtorej setki układów logicznych i z dziesięć matryc w maszynie, dlatego że parametry pracy maszyny i bloku były niezgodne (dym, smród, tranzystory strzelają jak naboje w piecu, a ja zamiast wyłączyć zasilanie, chwytam ze ściany gaśnicę), o tym, jak zdobywałem nowe podzespoły, montowałem układy dopasowujące, modyfikowałem parametry pracy wszystkich zespołów – wiadomo, trudności natury technicznej, normalna rzecz! Najważniejsze, że praca ruszyła z martwego punktu.

15 lutego w pracowni rozległo się od dawna oczekiwane postukiwanie – automat wyperforował na taśmie kilka cyfr! Wreszcie pierwsze zdanie maszyny (zanim je rozszyfrowałem, paląc papierosa chodziłem wokół stołu, na którym leżał kawałeczek taśmy, z uczuciem pustki w głowie i z bezmyślnym uśmiechem – maszyna zaczęła z a c h o w y w a ć s i ę...): «Pamięć 10^7 bitów».

Nie na to czekałem. Dlatego też nie od razu pojąłem, że maszyna «żąda» (mimo wszystko nie mogę tego słowa pisać bez cudzysłowu) zwiększenia pojemności pamięci.

Właściwie było to zupełnie logiczne – przez wejścia maszyna otrzymuje złożoną informację, którą gdzieś należy umieścić, a bloki pamięci są już wypełnione. Zwiększyć pojemność pamięci! Zwykle zadanie przy konstruowaniu maszyn.

Gdyby nie uznanie Altera Abramowicza, prośba maszyny nie zostałaaby spełniona. Jednakże dostałem od niego trzy bloki pamięci magnetycznej i dwa – krystalicznej. I tak się zaczęło. Po kilku dniach maszyna powtórzyła swoje żądanie, po następnych kilku – jeszcze raz i jeszcze... Maszyną zaczęła ujawniać poważne potrzeby...

Co wtedy czułem? Zadowolenie – wreszcie są jakieś wyniki. Przymierzałem je do przyszłej pracy doktorskiej. Zbijało mnie z tropu, że maszyna pracowała tylko «dla siebie».

Nieco później zaczęła konstruować sama siebie! To było logiczne – skomplikowaną informację należało opracowywać w bardziej złożonych układach niż standardowe bloki CWM-12.

Przybyło mi pracy. Automat perforujący wystukiwał kody i numery układów logicznych, podawał, gdzie i w jaki sposób należy je przyłączyć. Początkowo maszyna zadowalała się elementami typowymi. Montowałem je na dodatkowej płycie.

(Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że właśnie wtedy popełniłem, z akademickiego punktu widzenia, duży błąd metodologiczny. Należało się na tym etapie zatrzymać i przeanalizować, jakie obwoady i jaką logikę buduje sobie mój układ: czujniki – blok krystaliczny – CWM-12 ze zwiększoną pamięcią. I dopiero po zorientowaniu się w tym wszystkim ruszyć dalej... Zresztą można by się było i tym

zadowolić – maszyna konstruująca siebie bez wprowadzonego przedtem programu! Przecież to byłaby sensacyjna praca doktorska! Gdyby wszystko odpowiednio opracować, można by od razu robić habilitację.

Zwyciężyła jednak ciekawość. Układ wyraźnie starał się rozwiązać. Tylko po co? Żeby zrozumieć człowieka? Mało prawdopodobne – na razie maszynie wyraźnie wystarczyło, że ja ją rozumiem, że pilnie spełniam jej polecenia... Ludzie budują maszyny dla swoich celów, ale jaki cel mogła mieć maszyna?! Czy też może był to nie cel, lecz jakiś pierwotny «instykt gromadzenia», który, począwszy od pewnego stopnia komplikacji, jest właściwy wszystkim układom, niezależnie od tego, czy jest to robak, czy maszyna elektronowa? Jakie granice osiągnie w swym rozwoju układ?

Właśnie wtedy wypuściłem wodze z rąk i do tej pory nie umiem odpowiedzieć, czy zrobiłem dobrze, czy źle...

W połowie marca maszyna, najwidoczniej za pomocą «czapki Monomacha» przyswoiwszy sobie nowości z zakresu elektroniki, zaczęła «zamawiać» kriozary i kriotrony, tranzystory tunelowe, układy cienkowarstwowe, mikromatryce itd... Ani w głowie mi była analiza – grasowałem po Instytucie i po całym mieście, intrygowałem, podlizywałem się, wymieniałem, co się tylko dało, na te «moderne» nowości.

I wszystko na próżno! Po miesiącu maszyna «rozczarowała się» do elektroniki i... «zapaliła się» do chemii.

Prawdę mówiąc i w tym nie było niczego nieoczekiwanego. Maszyna wybrała najlepszy sposób konstruowania siebie. Przecież chemia to metoda przyrody, Przyroda nie dysponowała

lutownicami, dźwigami, warsztatami spawalniczymi ani silnikami, ani nawet łopata – po prostu mieszała roztwory, nagrzewała je i ochładzała, naświetlała, odparowywała... w ten sposób powstało wszystko, co żywe na Ziemi.

W tym właśnie rzecz, że w poczynaniach maszyny wszystko było konsekwentne i logiczne! Nawet jej żądania, abym wkładał «czapkę Monomacha» – a w miarę upływu czasu powtarzały się one coraz częściej – również były zrozumiałe. Zamiast opracowywać surową informację uzyskaną poprzez czujniki świetlne, dźwiękowe, zapachowe i wszelkie inne, lepiej wykorzystać opracowaną już przeze mnie. W nauce wielu tak robi.

Ale na Boga, jakich to odczynników maszyna nie żądała – od wody destylowanej do trójmetylodwuchloro-para-aminotetrachlorofenylosiarczanu sodowego, od DNA i RNA do benzyny marki «Gałosza»! A jakie złożone układy musiałem montować!

Laboratorium w oczach przekształcało się w pracownię średnio-wiecznego alchemika – zapelniły je butle, kolby, autoklawy, destylatory. Łączyłem je ze sobą rurkami gumowymi, szklanymi i innymi przewodami. Zapas odczynników i szkła wyczerpał się w ciągu pierwszego tygodnia, trzeba było zdobywać następne.

Szlachetne, miłe dla elektryka zapachy kalafonii i nagrzaney izolacji zostały wyparte przez błotniste wyziewy kwasów, amoniaku, octu i diabli wiedzą czego. Błąkałem się w tej chemicznej dżungli jak zagubiony. W aparatach destylacyjnych i węzłach gumowych coś bulgotano, pluskało i wzdychało. Mieszaniny w butlach i kolbach pieniały się, fermentowały i zmieniały barwę. Wypadały w nich jakieś

osady, rozpuszczały się i pojawiały znowu galaretowate, pulsujące kłębki kołyszących się szarawych nitek. Dolewałem i dosypywałem odczynniki według poleceń maszyny i niczego już nie rozumiałem...

Później maszyna niespodziewanie wystukała żądanie następnych czterech drukarek automatycznych. Ucieszyłem się, „że jednak interesuje się nie tylko chemią. Zacząłem działać, zdobyłem, podłączyłem... i poszło!

(Zapewne udało mi się wtedy uzyskać «wzmacniacz selekcji informacji» Ashby'ego albo coś w tym rodzaju... zresztą, licha wie! Właśnie wtedy zagubiłem się do reszty.)

W pracowni zrobiło się głośno jak w hali maszyn: pracowały drukarki. Wstęgi papierowych taśm z kolumnami cyfr kilometrami wypełzały z prostokątnych szczelin. Zwijąłem taśmy w rulony, wybierałem grupy cyfr, tłumaczyłem je na słowa, a z nich zestawiałem zdania.

Uzyskane w ten sposób «prawdy» były jakieś dziwne i zagadkowe. Na przykład: «...dwadzieścia sześć kopiejek, jak z Berdyczowa» – brzmiała jedna z pierwszych. Co to jest? – fakt, myśl? A może aluzja? Albo ha przykład tak: «Palica w mące milcząc marła»... – podobne do «Ulica mękę milcząc parła» Majakowskiego? Ale co to ma znaczyć? Co to jest – żałosna imitacja? Czy też może odkrycie poetyckie, do którego dzisiejsi poeci jeszcze nie doszli?

Rozszyfrowałem inną taśmę: «Łagodność charakterów, rozłożona w szereg Taylora, w przedziale od zera do nieskończoności, jest funkcją biharmoniczną». Świetnie powiedziane, prawda?

I tak dalej: albo niejasne urywki, fragmenty, albo coś «schizofrenicznego». Zamierzałem nawet pokazać kilka taśm lingwistom

matematycznym, w nadziei, że oni to rozgryzą, ale rozmyśliłem się w obawie przed skandalem. Tylko informacja z pierwszej drukarki była sensowna. «Dodać takich to a takich odczynników do kolb 1, 3 i 7», «Obniżyć o 5 woltów napięcie na elektrodach od 34 do 123» itd. Maszyna nie zapomniała o «odżywianiu» – czyli nie «zwarowała». A więc co?

Najbardziej męczyło mnie poczucie bezsilności. Bywało, że i we wcześniejszych doświadczeniach zdarzały się rzeczy niezrozumiałe. Wtedy jednak w najgorszym razie można było starannie powtórzyć eksperyment. Jeśli niezrozumiały efekt zniknął, to dobrze, jeśli nie – można było go zbadać. A tutaj nie można było zmienić rozpoczętej gry. Nie było także odwrotu. Nawet w snach nie widziałem nic poza wijącymi się białymi węzami, pokrytymi łuską cyfr, i wyęzłem się, bezsilnie próbując zrozumieć, co maszyna chce mi zakomunikować.

Nie wiedziałem już, co robić z rulonami taśm. W naszym Instytucie wykorzystuje się je dwojako – te, na których zarejestrowane są istotne wyniki, wędrują do archiwum, pozostałe zaś pracownicy wynoszą do domów, aby zużyć w charakterze papieru toaletowego. Bardzo praktyczne zastosowanie. Moimi taśmami można by zaspokoić potrzeby wszystkich mieszkańców naszego osiedla.

I pewnego pięknego kwietniowego poranka, kiedy po bezsennej nocy w laboratorium spełniałem wszystkie zachcianki maszyny: dolewałem, dosypywałem, regulowałem itd., z automatu nr 3 wyszła taśma zapisana zakodowaną informacją: «Streptocydowy strip tease z trzepotem streptokoków...» Wtedy zrozumiałem, że tą drogą dalej iść nie można.

Wyniosłem wszystkie taśmy na trawnik, rozwinąłem je i cisnąłem na kupę (zdaje się, że nawet przygadywałem «Streptocyd, co? Berdyczów, co? Łagodność charakterów?...» – dokładnie nie pamiętam) i podpaliłem. Siedziałem przy ognisku, grzałem się, paliłem papierosa za papierosem i myślałem, że eksperyment wziął w łeb. I to nie dlatego, że nie udało mi się nic uzyskać, ale dlatego, że wyszła «kasza»... Kiedyś z Walerką Iwanowem dla zabawy wytopiliśmy w piecu próżniowym «metalowo-półprzewodnikową kaszę» ze wszystkich materiałów, jakie były pod ręką. Powstała bryła o zachwycających barwach. Rozbiliśmy ją, żeby zbadać. W każdym okruchu stopu można było wykryć wszystkie efekty znane fizyce ciała stałego – od tunelowego do tranzystorowego, ale wszystkie chwiejne, nietrwałe i niepowtarzalne. Wyrzuciliśmy to wszystko do kubła.

Teraz było to samo. Istota rozwiązania naukowego polega na tym, że z mnóstwa właściwości i efektów przedmiotu, przyrody, układu czy czegokolwiek innego wyodrębnia się cechy poszukiwane, a pozostałe eliminuje. Tutaj to się nie udało. Maszyna nie nauczyła się przyjmować ode mnie informacji... Wstałem i poszedłem do pracowni, żeby wyłączyć zasilanie.

Gdy przechodziłem przez korytarz, wpadł mi w oczy zbiornik – okazałe naczynie z przezroczystego teflonu o rozmiarach 2 x 1,5 x 1,2 metra. Sprowadziłem go w grudniu razem z innym sprzętem, aby wykorzystać teflon jako materiał. Ale jakoś nie był potrzebny. Zbiornik ten naprowadził mnie na ostatni, zupełnie szalony pomysł. Wystawiłem na korytarz wszystkie drukarki, ustawiłem na ich miejsce zbiornik, doprowadziłem biegnące od maszyny wszystkie przewody, końcówki rur i węży gumowych, wylałem i

wsypałem do zbiornika resztki odczynników, całą tę cuchnącą masę zalałem wodą i wygłosiłem do maszyny następujące przemówienie:

– Koniec z cyframi! Świata nie można opisać w kodzie dwójkowym, rozumiesz? A nawet jeśli można, to po co? Teraz spróbuj inaczej: obrazami, czymś materialnym... Niech cię szlag trafi!

Zamknąłem pracownię i wyszedłem z niezłomnym zamiarem wypoczęcia i odzyskania równowagi. Mój stan wystarczająco wyjaśnia fakt, że przez ostatni tydzień po prostu nie mogłem spać.

...Było to dziesięć pięknych, spokojnych i przyjemnych dni. Wysypiałem się, po obudzeniu gimnastykowałem i szedłem pod prysznic. Jeździliśmy z Lenką motocyklem za miasto, chodziliśmy do kina, wałęsaliśmy się po ulicach, całowali się. «No, jak tam nasze układy scalone? – pytała. – Jeszcze się nie rozleciały?» Odpowiadałem jej w tym samym tonie i zmieniałem temat. «Nic mnie nie obchodzi żadne układy, maszyny ani doświadczenia – powtarzałem sobie. – Nie chcę, żeby któregoś dnia zabrali mnie z pracowni wesołutkiego, odzianego w wiadomy strój z długimi zaszytymi rękawami.»

Ale mimo to coś mnie gnębiło. Rzuciłem wszystko, uciekłem, a co teraz tam się dzieje? I co to właściwie było? (O eksperymencie myślałem już w czasie przeszłym: było...) Niewykluczone, że wprowadzając przypadkową informację uruchomiłem w układzie jakiś proces syntezy. Ale cóż to za idiotyczna synteza? I co się tam syntetyzowało?”

Rozdział trzeci

Kelner owinął butelkę serwetką i odkorkował. Salę wypełnił huk i dym, spoza którego wyłoniły się pod sufitem nie ogolone policzki i zielony turban.

- Co to jest?!
- To... to džinn.
- Przecież ja zamawiałem szampana! Proszę o książkę zażaleń.

Bajka współczesna

Asfaltową dróżką zbliżał się ku mnie człowiek. Za nim zieleń się drzewa i białe kolumny starego budynku Instytutu. Park wyglądał zwyczajnie, jak co dzień. Szedłem do księgowości po pensję. Człowiek szedł lekko kołyszącym się krokiem, wymachiwał rękami i nie tyle utykał, co po prostu stawiał prawą nogę nieco ostrożniej niż lewą. Zwłaszcza to ostatnie rzuciło mi się w oczy. Wiatr rozwiewał mu poły płaszcza i wicherzył rudą czuprynę.

Myśl pierwsza – skąd ja tego typa znam?

W miarę jak zbliżaliśmy się do siebie, coraz wyraźniej widziałem strome czoło z zatokami łysiny i silnie rozwiniętymi łukami brwiowymi, zapadnięte policzki pokryte rudą, tygodniową szczecina, szeroki nos, wyniośle zaciśnięte wargi, zmrużone, spoglądające ze znużeniem oczy... Tak, zdecydowanie musiałem go gdzieś widzieć, takiej aroganckiej gęby nie sposób zapomnieć. A szczeka – mój Boże! – za sam wygląd pięć lat...

Myśl druga – powiedziec mu dzień dobry czy przejść obojętnie?

W tym momencie całe otoczenie przestało dla mnie istnieć. Potknąłem się na równym asfalcie i stanąłem jak wryty. Naprzeciw siebie szedłem j a s a m .

Myśl trzecia (wyrażona słownie) – «No tak...»

Człowiek zatrzymał się przede mną.

– Cześć!

– Czcz...eść... – W panującym w mojej głowie chaosie zaświtało zbawcze przypuszczenie. – Pan z wytwórni filmowej?

– Z wytwórni?! Ach, ta moja zarozumiałość! – Usta mojego sobowtóra rozciągnęły się w uśmiechu. – Nie, Walek, filmu o nas jeszcze nie kręcą. Chociaż teraz... kto wie?

– Nie jestem dla pana żaden Walek, ale Walentin Kriwoszejn! Byle impertynent...

Tamten uśmiechnął się, wyraźnie ubawiony moim wybuchem złości. Czuję, że jest lepiej ode mnie przygotowany do spotkania i że upaja się tą swoją przewagą.

– I... może pan łaskawie wyjaśni, kim pan jest, skąd pan się wziął na terenie Instytutu i z jakiej racji ucharakteryzował się pan i przebrał za mnie?

– Łaskawie wyjaśnię – powiedział. – Jestem Walentin Kriwoszejn, kierownik pracowni nowych systemów. Oto moja przepustka. – I rzeczywiście okazał moją podniszczoną przepustkę. – A wzięłem się, oczywiście, z pracowni.

– Ach, ta-ak? – W takiej sytuacji najważniejsze jest zachowanie poczucia humoru. – Bardzo mi przyjemnie. Walentin, powiada pan, Kriwoszejn? Z pracowni? Tak, tak... aha.... hm...

I w tym momencie złapałem się na tym, że mu wierzę. Oczywiście nie dzięki przepustce – u nas nawet woźnego nie da się nabrać

na przepustkę. Trochę od rzeczy uprzytomniłem sobie, że blizna nad brwią i brunatne znamię na policzku, które w lusterku widzę po lewej stronie, w istocie powinny znajdować się po prawej, właśnie tak, jak u niego. Poza tym w samym jego zachowaniu było coś, co wykluczało myśl o mistyfikacji... Przeraziłem się. Może z nadmiaru pracy zwariowałem i teraz spotkałem drugą część mojej rozdwojonej osobowości? «Żeby tylko nikt nie zobaczył... Ciekawe, czy ktoś z boku widziałby nas dwóch, czy tylko mnie?»

– Z pracowni, tak? – Próbowałem go przyłapać. – To czemu pan idzie od strony starego budynku?

– Byłem w kasie, przecież dziś dwudziesty drugi – wyciągnął z kieszeni plik pięciorubłówek i odliczył połowę – masz, to twoja część.

Machinalnie wziąłem pieniądze i przeliczyłem. Nagle spostrzegłem się.

– A dlaczego tylko połowa?

– O Boże! – westchnął głęboko. – Przecież teraz jest nas dwóch!

(To wymowne głębokie westchnienie... Nigdy w życiu już tak nie westchnę. Okazuje się, że samym westchnieniem można człowieka poniżyć. A ta dykcja – o ile dykcją można nazwać jej całkowity brak! Czy ja naprawdę tak samo pluję słowami?)

«Wziąłem od niego pieniądze, a więc on istnieje – myślałem. – Czy to też złudzenie? Niech to diabli, jestem badaczem i kicham na wrażenia zmysłowe, zanim nie zrozumiem, o co tu chodzi!»

– A więc utrzymuje pan, że... wziął się pan z zamkniętej i opieczętowanej pracowni?

– Otóż to – przytaknął. – Właśnie z pracowni. Ze zbiornika.

- W dodatku ze zbiornika. Niech pan po... Jak to ze zbiornika?!
- Właśnie ze zbiornika. Mógłbyś chociaż drabinkę założyć, le-
dwo udało mi się wyleźć...
- Słuchaj, skończ tę mowę! Chyba nie myślisz poważnie, że uda
ci się mnie przekonać, że ciebie... to znaczy mnie... nie, jednak cie-
bie, stworzyła maszyna?

Znowu westchnął ciężko i pogardliwie.

- Czuję, że długo jeszcze nie przywykniesz do faktu, że to się
stało. A powinienś był przewidzieć. Widziałeś przecież, że w kol-
bach pojawiła się żywa materia?

– Wielka rzecz! Pleśń też widziałem. W wilgotnych miejscach. I
wcale to jeszcze nie oznaczało, że byłem świadkiem narodzin ży-
cia... No dobrze, przypuśćmy nawet, że w kolbach powstało coś
żywego – nie wiem, ni jestem biologiem. Ale co ty masz z tym
wspólnego?

– Jak to – co ja mam z tym wspólnego?! – Teraz on się rozzło-
ścił. – A co według ciebie miała stworzyć maszyna – robaka? konia?
ośmiornicę?! Gromadziła i opracowywała informację o tobie,
oglądała ciebie, słyszała, wąchała i dotykała ciebie, zapisy-
wała prądy czynnościowe t w o j e g o mózgu! Patrząc na ciebie już
nie mogła! Teraz masz! Z części składowych motocykla można
zmontować tylko motocykl, a nie odkurzacz.

– Hm... no, przypuśćmy. A skąd buty, garnitur, przepustka,
płaszcz!?

– O Boże! Jeśli potrafiła stworzyć człowieka, to co dla niej zna-
czy płaszcz?

(Zwycięski błysk w oku, nieznośne gesty, zarozumiały ton... Czy
ja też jestem taki nieznośny, kiedy czuję swoją przewagę?)

– Płaszcz? – Dotknąłem tkaniny. Ciarki mnie przeszły – płaszcz był i n n y .

Rzeczy wielkie nie wchodzą do głowy od razu, w każdym razie do mojej. Pamiętam, że jako student towarzyszyłem delegatowi na festiwal młodzieżowy, młodemu myśliwemu z tajmyrskiej tundry. Oprowadzałem go po Moskwie. Chłopak obojętnie oglądał w muzeum posągi z brązu, ruchome schody w metro, rzekę samochodów, a o wieżowcu Uniwersytetu Moskiewskiego wyraził się: «Z żerdzi i skór można zbudować tylko mały czum, a z kamienia – wielki...» I nagle w hallu restauracji «Nord», gdzie wstąpiliśmy, żeby coś przekąsić, zderzył się nos w nos z wypchanym białym niedźwiedziem z tacą w łapach – i zamarł!

Coś podobnego stało się ze mną. Płaszcz sobowtóra był bardzo podobny do mojego, nawet plama z atramentu znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zrobiłem strzepując wieczne pióro. Ale tkanina była bardziej elastyczna i jak gdyby tłusta w dotyku, a guziki trzymały się nie na niciach, lecz na giętkich wyrostkach. Nie było szwów.

– Czy on jest przyrośnięty? Możesz go zdjąć?

Sobowtór wściekł się do reszty.

– Dosyć tego! Nie będziesz mnie rozbierał na takim wietrze, żeby sprawdzić, czy ja jestem tobą! Mogę ci tego dowieść w inny sposób. Blizna nad brwią – to po upadku z konia, kiedy ojciec uczył cię jazdy wierzchem. Zerwane więzadło w prawym kolanie – mecz o mistrzostwo szkoły! Co by ci jeszcze przypomnieć? Że w dzieciństwie po kryjomu wierzyłeś w Boga? Albo że na pierwszym roku chwaliłeś się chłopakom z pokoju, że miałeś niejedną kobietę, podczas gdy naprawdę straciłeś dziewictwo dopiero na praktyce

przeddyplomowej w Taganrogu?

(«Co za drań! Też sobie wybrał...»)

– No, tak... Wiesz, jeśli ty jesteś mną, to nie jestem sobą zachwycony.

– Ja też – burknął. – Uważałem siebie za inteligentnego człowieka... – Twarz jego nagle zastygła. – Ćśś... nie odwracaj się!

Za plecami usłyszałem kroki.

– Witam pana, panie inżynierze! – usłyszałem głos Chiłoboka. docenta, doktora, sekretarza i pozeracza serc niewieścich na skalę Instytutu.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Mój sobowtór wyszczerzył zęby w uśmiechu i skłonił się.

– Dzień dobry, panie docencie!

Odprowadził uśmiechem przechodzącą parę. Pulchniutka czar-nowłosa dziewczyna dziarsko stuknęła szpilkami po asfalcie, a Chiłobok starając się iść z nią w rytmie, drobił, jak gdyby miał na sobie wąską spódnicę.

– ...Być może niezupełnie dobrze panią zrozumiałem – szemrał jego baryton. – Ale ja, z uwagi na niepełne porozumienie, przedstawiam tylko swoje poglądy...

– Harry znowu nową poderwał – stwierdził sobowtór. – No, sam widzisz: nawet Chiłobok mnie poznaje, a ty masz wątpliwości. Idziemy do domu!

Tylko stanem całkowitej rozterki mogę wytłumaczyć fakt, że pokornie powlokłem się za nim.

Po przyjsciu do domu z miejsca władował się do łazienki. Usłyszałem szum wody z natrysku, a potem zobaczyłem, jak wychyla się przez drzwi.

– Hej, ty! Egzemplarz numer jeden, czy jak ci tam! Jeśli chcesz upewnić się, że ze mną wszystko w porządku, to proszę. Przy okazji umyjesz mi plecy.

Poszedłem. Był to żywy człowiek. Ciało jego dokładnie przypominało moje własne. Nawiasem mówiąc, nie spodziewałem się, że mam tak potężne fałdy tłuszczu na brzuchu i bokach. Trzeba częściej ćwiczyć hantlami!

Podczas kiedy on się mył, ja chodziłem po pokoju, paliłem i starałem się przywyknąć do faktu, że maszyna stworzyła człowieka. Odtworzyła mnie... O, bogowie, czy te możliwe?! Ciemna średnio-wieczna idea homunkulusa... Myśl Wienera, że informację zawartą w człowieku można by «rozwinąć» w ciągu impulsów, przekazać na dowolną odległość i ponownie «zapisać» w postaci człowieka, jak obraz na ekranie telewizora... Dowód Ashby'ego, że między pracą mózgu, a pracą maszyny nie ma zasadniczych różnic. O tym samym mówił zresztą wcześniej Siczonow... Ale to wszystko były uczone dyskusje, gimnastyka umysłowa – czy można na ich podstawie cokolwiek zrealizować.

A jednak można! Tam za drzwiami pluska się i głośno parska nie Iwanow, nie Pietrow, nie Sidorow – ich bym wyrzucił – ale «ja»... A te taśmy z cyframi? Coś mi się wydaje, że spaliłem «papierowego siebie»?!

Z kombinacji cyfr wybierałem krótkie fragmenty, łatwo zrozumiałe stwierdzenia, a maszyna sięgnęła głębiej. Gromadziła informację, kombinowała ją tak i owak, porównywała, korzystając z pętli sprzężeń zwrotnych, wyławiała i wzmacniała istotną informację i wreszcie, na jakimś poziomie komplikacji, «odkryła» Życie!

A później rozwinęła je do poziomu człowieka. Tylko po co? Dlaczego? Przecież nie o to mi chodziło.

Teraz, po spokojnym przemyśleniu, mogę powiązać ze sobą poszczególne fakty. Tak, powstało właśnie to, o co «chodziło»! Chciałem, żeby maszyna rozumiała człowieka, to wszystko. «Rozumie mnie pan?» «O, tak!» – odpowiada rozmówca i obydwoj zadowoleni z siebie rozchodzą się każdy w swoją drogę. W rozmowie to nie ma znaczenia. Ale w doświadczeniach z automatami logicznymi nie powinienem być tak łatwo mieszać pojęć rozumienia i zgodności. Dlatego (lepiej późno niż wcale) należy rozważyć, czym jest rozumienie.

Istnieje rozumienie praktyczne (czyli celowe). Do maszyny wprowadza się program, ona go rozumie i wykonuje to, czego od niej się oczekuje. «Tobik, bierz go!» – i Tobik z radością chwytą przechodnia za nogawkę. «Wista!» – i konie zawracają w prawo. «Hetta!» – zawracają w lewo. Takie prymitywne rozumienie typu «wišta-hetta» dostępne jest wielu układom ożywionym i nieożywionym. Dowodem tego jest osiągnięcie celu. Im mniej skomplikowany układ, tym prostsze i szczegółowiej programowane powinno być zadanie.

Ale istnieje również drugi rodzaj rozumienia – zrozumienie wzajemne, czyli pełne przekazanie własnej informacji innemu układowi. Do takiego rozumienia niezbędne jest, aby układ przyswajający informację pod żadnym względem nie był mniej skomplikowany od układu przekazującego... Nie dałem maszynie celu. Czekałem, aby skończyła konstruowanie i podnoszenie stopnia własnej komplikacji. Ona zaś nie kończyła, co zresztą było zrozumiałe: jej «celem» stało się całkowite zrozumienie zawartej we mnie informacji, nie tylko słownej, ale i wszelkiej innej. («Cel» maszyny – to też pojęcie dowolne i nie należy go nadużywać. Po prostu układy informacyjne

zachowują się zgodnie z prawami, pod pewnym, względem przypominającymi zasady termodynamiki. I mój system – «czujniki – blok krystaliczny – CWM-12» – powinien być dojść do równowagi informacyjnej z otoczeniem, tak jak kęs surówki w piecu hutniczym powinien dojść do równowagi termicznej z wnętrzem pieca. Takie właśnie rozumienie jest rozumieniem wzajemnym. Nie można go osiągnąć ani na poziomie prostych układów, ani prostych organizmów.)

I tak właśnie się stało. Do wzajemnego zrozumienia z człowiekiem zdolny jest tylko człowiek. Do dobrego zrozumienia – bardzo bliski człowiek. Do idealnego – tylko on sam. I mój sobowtór jest produktem równowagi informacyjnej między maszyną a mną. Nawiasem mówiąc, równowaga informacyjna i tak jiie była całkowita – nie było mnie wtedy w pracowni i nie zetknąłem się ze świeżo stworzonym dublem nos w nos jak z odbiciem w lustrze. A później nasze sprawy potoczyły się zupełnie różnymi drogami.

Słowem, tak ustawiłem doświadczenie, że nic, tylko usiąść i płakać. Tyle tu tylko mojego, że przyszło mi do głowy wprowadzić sprzężenie zwrotne...

Nieraz warto się zagalopować. Gdybym prowadził eksperyment ściśle logicznie, z namysłem, gdybym odrzucał wszystkie wątpliwe warianty – czy uzyskałbym taki wynik? Nigdy w życiu! Wyszedłby dobry doktorsko-habilitacyjny pewniak, i tyle. Przecież w nauce zasadniczo bada się zjawiska przeciętne, a ja również nauczyłem się obcować z przeciętnością.

A więc wszystko w porządku? Skąd w takim razie te wątpliwości i niezadowolenie? Czemu wciąż wracam myślą do potknięć i błędów? Przecież udało się... Że nie według reguł? A czy istnieją

reguły odkryć? Wiele jest tu przypadku i nie można wszystkiego przypisać własnej «dalekowzroczności naukowej». A odkrycie Galwaniego, a promienie X, a radioaktywność, a emisja elektronów, a... w każdym zresztą odkryciu, zapoczątkowującym jakąś gałąź nauki, istnieje element przypadku. A że nie rozumiem? To tak jak i inni, nie ma się czym przejmować.

Skąd więc to wewnętrzne rozdarcie?

Chodzi chyba o coś innego: obecnie tak pracować nie można. Dziś nauka jest znacznie poważniejszą sprawą niż w czasach Galwaniego czy Roentgena. W taki sposób, prawie nie myśląc, można by odkryć sposób błyskawicznego zniszczenia Ziemi – ze znakomitym potwierdzeniem doświadczalnym...

Dubel wyszedł z łazienki zaróżowiony; ubrał się w moją piżamę, stanął przed lustrem i zaczął się czesać. Podszedłem do niego i stanąłem obok. Z lustra patrzyły dwie identyczne twarze. Tylko jego mokre włosy były nieco ciemniejsze.

Wyciągnął z szafy i włączył maszynkę do golema. Obserwowałem, jak się goli. Ruchy jego były tak swobodne, że czułem się prawie jak gość.

Nie wytrzymałem.

– Słuchaj, a czy ty chociaż odczuwasz niezwykłość sytuacji?
– Co? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Nie przeszkadzaj! – Wyraźnie był po «przeciwnej» stronie faktu...”

Doktorant odsunął dziennik i pokręcił głową: nie, Walka-oryginał nie umiał czytać myśli!

...On też był wstrząśnięty. Wedle tego, co pamiętał, obudził się w zbiorniku, rozumiejąc wszystko – gdzie się znajduje i jak powstał. Właściwie jego odkrycie zaczęło się już wtedy... A zachowywał się grubiańsko, bo był zakłopotany. A może również dlatego, że szukał takiej linii postępowania, która by nie sprowadziła go do poziomu wzorców eksperymentalnych.

Znowu zabrał się do czytania.

„... – Ale przecież narodziłeś się w maszynie, a nie z łona matki! W maszynie, rozumiesz!?”

– No to co? A narodzić się z łona matki to według ciebie takie proste? Narodziny człowieka to o wiele bardziej tajemnicze zjawisko niż moje pojawienie się. Tu można odnaleźć następstwo logiczne, a tam? Czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka? Do taty będzie podobne czy do mamy? Czy wyrośnie z niego mądry człowiek czy dureń? Kompletna mgła! Dla nas jest to zwyczajne tylko dlatego, że stykamy się z tym na co dzień. A tu maszyna zarejestrowała informację, a potem ją odtworzyła. Jak magnetofon. Oczywiście, lepiej byłoby, gdyby odtworzyła mnie, powiedzmy, z Einsteina... no, ale co zrobić! Przecież jeśli na taśmie magnetofonowej mamy zapisaną piosenkę ludową, to trudno spodziewać się symfonii Czajkowskiego.

No, nie. Aż takim chamem nie jestem. Najwidoczniej silnie odczuwał drażliwość sytuacji związanej ze swym pojawieniem się na świecie i nie chciał, żebym to zauważył. Ale cóż tu jest do zauważenia: powstał w kolbach i butlach, jak średniowieczny homunkulus, i szaleje... Często zdarzało mi się stwierdzić, że ludzie odczuwający

swoją niższość czy niepełnowartościowość, zawsze są bardziej chamscy i brutalni od innych.

Starął się zachowywać z prostotą noworodka. Noworodek też nie upaja się wagą wydarzenia (Narodził się człowiek!), ale od razu zaczyna rozrabiać, ssać pierś i paskudzić w pieluszki...”

Kriwoszeim westchnął tylko i przewrócił kartkę.

„– No, a czujesz się normalnie?

– Absolutnie! – Odświeżał twarz wodą kolońską. – Dlaczego nie miałbym się czuć normalnie? Maszyna to twór pozbawiony fantazji. Już widzę, jak by narozrabiała, gdyby miała wyobraźnię! A tak – wszystko w porządku: nie jestem potworem o dwu głowach, jestem młody, zdrowy, tętno dobre. Teraz zjem kolację i pojadę do Lenki. Stęskniłem się za nią.

– Co-o-o-o? – skoczyłem do niego.

Patrzył na mnie z zainteresowaniem. W jego oczach pojawiły się figlarne iskierki.

– Tak, przecież jesteśmy teraz rywalami. Wiesz, ty jakoś prymitywnie do tego podchodzisz. Zazdrość jest uczuciem niskim. To przeżytek. Ale w ogóle czego zazdrościć, sam pomyśl – jeśli Lena będzie ze mną, czy to będzie oznaczać, że cię zdradza? Zdradzić można tylko z innym mężczyzną, odmiennym, bardziej atrakcyjnym na przykład. A dla niej ja jestem tobą... Nawet jeśli będę z nią miał dziecko, to nie będziesz mógł powiedzieć, że ci przyprawiła rogi. Jesteśmy zupełnie jednakowi – i wszystkie nasze geny, i chromosomy... No, no, ostrożnie

Został zmuszony do ukrycia się za drzwiami szafy. Schwyciłem z podłogi hantlę i rzuciłem się ku niemu.

– Zabiję drania! Logiką próbujesz... ja ci pokażę logikę, homunkulusie! Ja ciebie stworzyłem i ja cię też zabiję, rozumiesz!/? Nie śmiej o niej myśleć!

Dubel bez lęku wystąpił zza szafy. Kąciki jego ust były opuszczone.

– Słuchaj no, ty, Taras Bulba! Odłóż hantlę! Jeżeli już zacząłeś w ten sposób, to może wyjaśnimy wszystko do końca. «Homunkulusa» i «zabiję» pozostawiam bez komentarza, jako wytwory twojego histerycznego usposobienia. Co się zaś tyczy cytatu «ja ciebie stworzyłem», to wiedz, że nie ty mnie stworzyłeś. Istnieję nie dzięki tobie, a co do mojej zależności, to chciałbym wy” prowadzić cię z błędu.

– Że jak, proszę?

– A tak. Odłóż hantlę, mówię serio. Ściśle rzecz biorąc, powstałem wbrew twoim zamierzeniom, po prostu dlatego, że nie zakończyłeś w porę doświadczenia. Później zaś choćbyś nawet chciał, było za późno. Słowem – tu uśmiechnął się złośliwie – sytuacja jest taka sama jak wtedy, kiedy wskutek nieostrożności rodziców... przyszedłeś na świat.

(Wszystko wie, patrzcie go! Rzeczywiście, kiedyś mama, po jakiejś mojej dziecięcej psocie, aby nakłonić mnie do posłuszeństwa, powiedziała:

– Chciałam zrobić skrobankę, ale się rozmyśliłam. A ty...

Nie powinna była tego mówić. Byłem dzieckiem niechcianym. Mogło mnie nie być! Mogłem się w ogóle nie urodzić!)

– ...Tylko w odróżnieniu od mamy nie nosiłeś mnie w swoim

łonie, nie rodziłeś w mękach, nie karmiłeś i nie odziewałeś – ciągnął dubel. – Nawet życia mi nie uratowałeś, przecież ja istniałem i przed tym eksperymentem – byłem tobą. Nie zawdzięczam ci ani życia, ani zdrowia, ani wyższego wykształcenia technicznego. Niczego! A więc pozostajemy na równych prawach.

– A z Leną też na równych?

– Z Leną... nie wiem, co zrobić z Leną. Ale ty, ty... – sądząc z wyrazu twarzy chciał coś jeszcze dodać, ale powstrzymał się i odetchnął głęboko. – Ty powinieneś szanować moje uczucia, tak jak ja szanuję twoje, rozumiesz? Przecież ja także Kocham Lenkę. I wiem, że ona jest moja. Znam jej ciało, zapach skóry i włosów, jej oddech... wiem, jak mówi: «Ależ z ciebie niedźwiedź, naprawdę!» I jak marszczy nos...

Nagle urwał. Popatrzyliśmy na siebie rażeni jedną myślą.

Pierwszy skoczyłem po płaszcz.

– Do pracowni!”

Rozdział czwarty

Jeśli chcesz jechać taksówką, a los zsyła ci autobus, wybierz autobus, albowiem kursuje on według rozkładu.

K. Prutkow – Inżynier, myśl nr 90

„Biegliśmy przez park na przelaj. W uszach świstał wiatr. Niebo było pokryte ołowianymi chmurami.

W pracowni wisiała woń ciepłego błota. Pod sufitem majaczyły

zamglone lampki. Przechodząc obok stołu nadepnąłem na węża gumowego, którego tu przedtem nie było, i poderwałem gwałtownie nogę – wąż zaczął się wić!

Kolby i butle pokrył miękki, szary nalot pleśni. Trudno było się zorientować, co się w nich dzieje. Z destylarek ściekały strumyczki wody, szczękały przełączniki w termostatach. W odległym kącie, zastawionym przez gęstwinę splecionych przewodów i węży, pulpit kontrolny maszyny cyfrowej migał zapalającymi się i gasnącymi lampkami.

Węży było teraz znacznie więcej niż poprzednio. Przedzieraliśmy się przez nie jak przez gęstwą lian. Niektóre węże kurczyły się przepychając jakieś gruzły. Ściany zbiornika również pokrywała pleśń. Starłem ją rękawem.

...W mętno-złocistym płynie zarysowała się sylwetka człowieka. «Jeszcze jeden dubel?! Nie...» Wpatrzyłem się z napięciem. W zbiorniku uwidaczniały się kontury kobiecego ciała, którego nigdy nie pomyliłbym z żadnym, innym. Tuż przed moją twarzą kołysała się głowa bez włosów.

Była jakaś szaleńcza logika w tym, że właśnie w momencie, w którym ściałem się z dublem z powodu Leny, maszyna starała się rozwiązać i to zadanie. Odczułem lęk i wewnętrzny protest.

– Ale... przecież maszyna jej nie zna!

– Ty ją za to znasz. Maszyna odtwarza ją według tego, co o niej zapamiętałeś.

Nie wiadomo czemu rozmawialiśmy szeptem.

– Patrz!

W obrębie widmowego konturu ciała Lenki zaczął pojawiać się szkielet. W zarysach stóp pojawiły się człony palców, stawy. Zaznaczyły się kości udowe i piszczele. Wygiął się kręgosłup, podobny

do olbrzymiego kolczastego robaka. Jak gałązki wyrosły z niego żebra, pojawiły się skrzydełka łopatek. W czaszce zarysowały się szwy, zaznaczyły kontury oczodołów... Trudno powiedzieć, żeby to był przyjemny widok – szkielet ukochanej kobiety – nie mogłem jednak oderwać oczu. Oglądaliśmy to, czego nie oglądał jeszcze nikt na świecie: maszyna stwarzała człowieka!

«Co o niej zapamiętałem, co o niej zapamiętałem... – myślałem gorączkowo. – Ale to przecież za mało. Czy też może maszyna przyswoiła sobie ogólne prawa budowy ciała ludzkiego? Ale skąd, przecież ja sam ich nie znam!»

Kości w zbiorniku zaczęły pokrywać się przezroczystopurpurowymi pasmami i splotami mięśni, a te z kolei pokryły się żółtawym tłuszczem. Czerwona sieć naczyń krwionośnych przesyłała ciało. Wszystko to kołysało się w roztworze, zmieniając kształty. Nawet twarz Leny z opuszczonymi powiekami, za którymi widniały wodniste oczy, szpeciły grymasy. Maszyna jak gdyby zastanawiała się, jak najlepiej skonstruować człowieka.

Zbyt słabo znam anatomię człowieka w ogóle, a anatomię kobiecego ciała w szczególności, żeby ocenić, czy maszyna buduje Lenę prawidłowo, czy nie. Wkrótce jednak poczułem, że dzieje się coś złego. Zarysy jej ciała zaczęły się zmieniać. Ramiona, jeszcze przed chwilą okrągłe, stały się kanciaste i szerokie... Co u licha?!

– Nogi! – dubel boleśnie ścisnął mnie za rękę. – Spójrz, nogi!

W dolnej części zbiornika ujrzałem stopy rozmiaru czterdzieści dwa i zrozumiałem, oblałem się zimnym potem: maszyna wyczerpała moją informację o Lenie i uzupełnia ją informacją o mnie!

Obróciłem się do dubla – jego czoło też lśniło od potu.

- Trzeba ją zatrzymać!
- Jak? Wyłączyć prąd?
- Nie można, to by starło pamięć w maszynie. Ochłodzić ją?
- Żeby zahamować proces? Nic z tego, ma duży zapas ciepła...

Tymczasem zniekształcona sylwetka w zbiorniku przybierała coraz wyraźniejsze zarysy. Wokół ciała zakołysało się przejrzyste okrycie – poznałem skromną sukienkę, w której Lena najbardziej mi się podobała. Maszyna z rzetelnością idioty ubierała swój twór...

Trzeba rozkazać maszynie, zasugerować... tylko jak?

– Właśnie! – dubel podbiegł do szklanej szafki i wyjął «czapkę Monomacha», nacisnął na niej przycisk «Translacja» i podał mi ją. – Wkładaj i wzbudź w sobie nienawiść do Lenki! Myśl o tym, że chcesz ją zlikwidować... Szybko!!

W pierwszej chwili chwyciłem błyszczący kołpak, pokręciłem w rękach i oddałem mu.

- Nie mogę... Nie dam rady...
- Mięczak! A co robić? Przecież za chwilę «to» otworzy oczy i...

Mocno naciągnął kołpak na głowę i zaczął krzyczeć, w zapamiętaniu wymachując rękami.

– Zatrzymaj się, maszyno! Zatrzymaj się natychmiast, słyszysz? Tworzysz nie makietę, nie egzemplarz doświadczalny, ale człowieka! Zatrzymaj się, kretynko! Zatrzymaj się, póki proszę!

– Zatrzymaj się, słyszysz! – zbliżyłem się do mikrofonów. – Zatrzymaj się, bo cię zniszczymy!

Niedobrze mi się robi, gdy wspominam tę scenę. Przyzwyczajeni do zatrzymywania lub zmieniania dowolnych procesów naciśnięciem przycisku lub obrotem dźwigni, krzyczeliśmy, tłumaczyli... i to komu? – zbiorowisku kolb, układów elektronowych i węży. Tfu! To była panika.

Wrzeszczeliśmy jeszcze coś zachrypłymi głosami, aż węże dochodzące do zbiornika nagle zadrgały od gwałtownych skurczów i zniekształcony obraz zasnuła biała mgiełka. Zamilkliśmy. Po trzech minutach mgiełka znikła. W złocistym roztworze nie było nic. Tylko od środka ku brzegom rozchodziły się zafalowania i odbłyski.

– Uff... – odezwał się dubel. – Przedtem jakoś nie trafiało do mnie, że człowiek w siedemdziesięciu procentach składa się z wody. Dopiero teraz...

Dobrnęliśmy do okna. Od wilgotnego zaduchu całe ciało miałem pokryte lepkim potem. Rozpiąłem koszulę, dubel zrobił to samo. Nadciągał wieczór. Niebo było teraz czyste, znikły chmury. Szyby stojącego naprzeciw budynku Instytutu odbijały purpurowe światło zachodzącego słońca, odbijały je tak, jak każdego pogodnego wieczoru: wczoraj, miesiąc, rok temu, kiedy t e g o jeszcze nie było. Było tak, jak gdyby nic się nie stało.

Przed oczyma wciąż miałem obraz szkieletu pokrywającego się przezroczytymi włóknami.

– Te szczegóły anatomiczne, te grymasy... Brr! – powiedział dubel siadając na krześle. – Jakoś odechciało mi się spotkania z Lenką.

Sam też to pomyślałem. Teraz wszystko już minęło, ale... Wiedzieć nawet dość dokładnie, że twoja kobieta to człowiek z krwi i kości, to całkiem co innego, niż zobaczyć to na własne oczy.

Wyciągnąłem z szuflady dziennik laboratoryjny przejrzałem ostatnie zapisy, skąpe i bez treści. Kiedy doświadczenie udaje się albo kiedy do głowy przychodzi dobry pomysł, pisze się szczegółowo. A tu czytałem:

«8 kwietnia. Rozkodowywałem cyfry, 860 wierszy. Bez powodzenia.

9 kwietnia. Rozkodowałem wrywkowo pięć taśm. Nic nie rozumiałem. Szaleństwo jakieś.

10 kwietnia. Rozkodowywanie z podobnym wynikiem. Dodałem do kolb i butli nr 1, 3 i 5 gliceryny po 21; nr 2 i 7 – roztworu tiomocznika po 200 ml, do wszystkich wody destylowanej po 2–3 l.

11 kwietnia. Streptocydowy strip tease... Koniec...»

A teraz wezmę długopis i zapiszę: «22 kwietnia. Układ odtworzył mnie, W. Kriwoszeina. Kriwoszeina nr 2 siedzi obok i drapie się w podbródek». Komedia!

I nagle ogarnęła mnie fala szatańskiej dumy. Przecież to odkrycie, i to jakie! Obejmuje i systemologię, i elektronikę, i bionikę, i chemię, i biologię – wszystko, czego chcecie, i jeszcze coś więcej. A dokonałem go ja! Jak – to inna sprawa. Ale najważniejsze, że ja! JA!!! Teraz należałoby poprosić tu komisję państwową i zademonstrować powstawanie w zbiorniku nowego dubla... Ależ by mieli miny! A znajomi powiedzą: «No, aleś im zasunął!» albo «Kriwoszeina, no, no...!» I Woltampernow przyleci popatrzeć... Poczuję nieopisaną chęć zachichotania, powstrzymała mnie jedynie obecność drugiej osoby.

– Co tam znajomi czy Woltampernow – usłyszałem swój głos i nie od razu rozumiałem, że powiedział to dubel. – Walka, przecież to Nobel!

«Oczywiście że Nobel! Zdjęcia we wszystkich gazetach... I Lenka, która teraz traktuje mnie trochę z góry – oczywiście, ona jest piękna, a ja nie! – zrozumie wreszcie... I pospolite nazwisko Kriwoszejn (kiedyś szukałem w encyklopedii sławnych ludzi o tym samym nazwisku, lecz na próżno; Kriwoszłykow jest, Kriwonogow jest, ale Kriwoszejnów jeszcze nie ma) będzie dźwięczeć jak grom: Kriwoszejn! Ten Kriwoszejn!...»

Głupio mi się zrobiło od tych myśli. Pełne pychy marzenia znikły. Rzeczywiście, co teraz będzie? Co robić dalej z tym odkryciem?

Zamknąłem dziennik.

– No więc jak? Będziemy produkować podobnych sobie? Zarzucimy świat Kriwoszejnami. Zresztą można także innymi, jeśli się utrwali ich w maszynie... Niech to diabli! Jak to... W żaden sposób nie można tego sklasyfikować!

– No tak. A tak było spokojniutko... – dubel pokręcił głową.

Właśnie, tak było spokojniutko... «Piękna pogoda, prawda? Pani w którą stronę?» «W przeciwną!» «Ja właśnie też, a jak pani na imię?» «A co to pana obchodzi?» – i tak dalej i dalej, do pałacu ślubów, do kliniki położniczej, porcji pasów za zabitego z procy kota i spaloną po ukończeniu siódmej klasy znieawidzoną «Zoologię». Jak pięknie sformułował to w swoim artykule kierownik dniewrowskiego Urzędu Stanu Cywilnego: «Rodzina jest środkiem przedłużenia gatunku i zwiększenia zaludnienia państwa». I nagle – niech żyje nauka! – pojawia się środek konkurencyjny, wsypujemy i wlewamy odczynniki z katalogu Głównictwa, wprowadzamy przez układ czujników informację i otrzymujemy człowieka. W dodatku ukształtowanego, gotowego: z mięśniami i wyższym wykształceniem technicznym, z nawykami i doświadczeniem życiowym... «Wygłąda na

to, że robimy zamach na coś, co jest najbardziej ludzkie w człowieku: na miłość, ojcostwo i macierzyństwo, na dzieciństwo! – Przebiegł mnie dreszcz. – W dodatku jest to bardzo wygodne. Bardzo wygodne – i to jest najstraszniejsze w naszych racjonalistycznych czasach!»

Dubel podniósł głowę. W jego oczach ujrzałem lęk i niepewność!

– Słuchaj, ale dlaczego to ma być straszne? Po prostu pracowaliśmy, ściślej mówiąc, ty pracowałeś. Zmontowałeś układ doświadczalny i wyszło odkrycie: sposób przekształcenia informacji w człowieka – odwieczne marzenie alchemików. Rozszerzenie naszych wiadomości o człowieku jako układzie informacyjnym... No i dobrze! Niegdyś królowie szczerze płacili za takie prace... Co prawda później ścinali głowy pechowym badaczom, ale jeśli się zastanović, to mieli rację – nie pchaj się, jak nie potrafisz. Ale nam nic nie będzie. Raczej przeciwnie. No, dlaczego więc to ma być straszne?

«Dlatego, że to nie średniowiecze – odpowiadałem sobie – I nie ubiegły wiek. A nawet nie początek dwudziestego wieku, kiedy wszystko było jeszcze przed nami. Wtedy odkrywcy mieli moralne prawo rozłożyć ręce i powiedzieć: bardzo nam przykro, ale nie przewidzieliśmy, że tak fatalnie wyjdzie... My, ich szczęśliwi potomkowie, takiego prawa nie mamy. Bo już wiemy. Bo wszystko już było.

...Wszystko było: opracowane naukowo ataki gazowe, opracowane naukowo Majdanek i Oświęcim, opracowane naukowo Hiroszima i Nagasaki. Opracowane naukowo z zastosowaniem matematyki plany totalnej zagłady. Ograniczenie wojen – też opracowane

naukowo... Minęły dziesiątki lat od ostatniej wojny światowej, usunięto ruiny i zgliszcza, zbudowano wszystko od nowa, resztki pięćdziesięciu milionów ofiar rozpadły się i przemieszały z ziemią, narodziły się i dorosły setki milionów ludzi, a pamięć o tym, co było, nie słabnie. Strasznie jest pamiętać o tym wszystkim, ale jeszcze straszniej zapomnieć. Dlatego że nie wszystko stało się przeszłością. Pozostała świadomość, do czego zdolny jest człowiek.

Odkrywcy i badacze to tylko specjaliści w swojej dziedzinie. Aby wyrzeć przyrodzie jej tajemnice, muszą poświęcić tyle trudu i pomysłowości, że na rozmyślania ogólne – co z tego wyjdzie w życiu – nie starcza im ani sił, ani czasu. I wtedy zbiegają się inni: mali ludzie, dla których każdy wynalazek i każde odkrycie to tylko nowy sposób osiągnięcia starych celów – władzy, bogactwa, wpływów, sławy i dających się kupić przyjemności. Jeżeli oddamy im naszą metodę, dojrzą w niej tylko jedno: korzyść! Dublować słynnych śpiewaków, aktorów i muzyków? Nie, nie opłaca się – lepiej wytwarzać płyty i pocztówki. Warto natomiast wypuszczać w nakładzie masowym ludzi dla określonych celów: wyborców dla zwycięstwa nad przeciwnikiem politycznym (lepiej, niż wyrzucać setki milionów na kampanię wyborczą), kobiety do domów publicznych, pracowników w deficytowych zawodach, żołnierzy służby nadterminowej... a można też specjalistów grzecznych i wąsko ukierunkowanych, żeby pracowali nad następnymi wynalazkami i nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Cóż może być gorszego niż człowiek do określonych celów, człowiek-narzędzie!? A co robi się z maszynami, które spełniły swoje zadanie, wysłużyły

się? Na przetop, do ognia, pod prasę, na złom. Z ludźmi-narzędziami można robić to samo.»

– E, to może u nich... – dubel wykonał nieokreślony ruch ręką. – U nas społeczeństwo do tego nie dopuści.

«A czy u nas nie ma ludzi, którzy gotowi są wykorzystać wszystko – od idei komunizmu do kłamliwych audycji radiowych, od stanowiska służbowego do cytatów z klasyków – aby zdobyć dobrobyt, wyższe stanowisko, a później jeszcze większy dobrobyt i jeszcze, i jeszcze, za każdą cenę? Ludzi, którzy najmniejszy zamach na swoje przywileje próbują interpretować jako ogólną katastrofę?»

– Są – przytaknął dubel. – A jednak ludzie zasadniczo są dobrzy, bo inaczej świat dawno przekształciłby się w zgraję gryzących się nawzajem bydła i zginąłby bez żadnej wojny termojądrowej. I mimo to... jeśli pominąć drobne naturalne nieprzyjemności w rodzaju powodzi, trzęsień ziemi czy epidemii wirusowych – wszystkim swoim nieszczęściom, nawet i tym najgorszym, winni są sami ludzie. Bo podporządkowywali się temu, czemu podporządkowywać się nie należało, bo zgadzali się z tym, czemu powinni się byli sprzeciwić, bo uważali, że to do nich nie należy. Bo wykonywali pracę, za którą lepiej płacono, a nie tę, która jest potrzebna wszystkim... Gdyby większość ludzi na świecie dostosowała swoje sprawy i zajęcia do interesów ludzkości, nie musielibyśmy obawiać się tego odkrycia. Ale tak nie jest. I dlatego odkrycie może stać się postrachem, jeśli wpadnie w ręce choćby tylko jednego wpływowego i obrotnego łajdaka.

Przecież zastosowanie odkryć naukowych jest sprawą czysto techniczną. Technika powstała kiedyś, by pomagać człowiekowi

w walce z przyrodą. Ale teraz łatwo ją przystosować do walki człowieka z człowiekiem. A tu technika żadnych problemów nie rozwiązuje, ale wręcz przeciwnie – stwarza je. Ileż problemów naukowych, technicznych i społecznych zrodziło jedno odkrycie dokonane dwadzieścia lat temu – synteza helu i wodoru? Oddamy nasze odkrycie innym – i życie stanie się jeszcze straszniejsze. A «sława» przypadnie nam i wszyscy będą dokładnie wiedzieli, kogo i za co przeklinać.

– Słuchaj, a może by tak... – powiedział dubel. – Niczego nie widzieliśmy, niczego nie wiemy. Dostyc już strasznych, odkryć, niech ludzie uporają się choć z tymi, które już są. Wyłączymy zasilanie, zakręcimy krany... Co?

«I nic nie było. Ze zużytych odczynników jakoś się rozliczę, z pracy skłecę jakieś sprawozdanie i zajmę się czymś prostszym, bardziej niewinnym...»

– A ja wyjadę do Władywostoku, będę montował instalacje portowe – powiedział dubel.

Umilkliśmy. Za oknem nad czarnymi sylwetkami drzew płonęła Wenus. W oddali kot płakał głosem dziecka. W ciszę parku wplątało się wysokie wycie – w Biurze Konstrukcyjnym Leny na hamowni badano nowy silnik odrzutowy. «Pracują. No cóż, wszystko w porządku, rok czterdziesty pierwszy nie powinien się powtórzyć... – Myślałem, jak odwlec chwilę decyzji. – W głębokich szybach wybuchają bomby plutonowe i wodorowe – wysoko opłacani uczeni i inżynierowie muszą ulepszać broń jądrową... A na betonowych platformach i w betonowych studniach we wszystkich zakątkach planety patrzą w niebo ostronose rakiety. Każda wycelowana w swój cel, elektronika „na chodzie”, urządzenia kontrolne nieustannie szukają,

czy nie ma jakiejś niesprawności. I gdy tylko upłynie określony badaniem na niezawodność czas pracy bloku elektronicznego, technicy w mundurach odłączają go, wyjmują i szybko, sprawnie, tak gdyby już zaczynała się wojna, którą trzeba wygrać, zakładają nowy blok. Praca idzie».

– Bzdura! – powiedziałem. – Ludzkość nie dojrzała jeszcze do wielu rzeczy: do o energii jądrowej, do lotów kosmicznych, no i co z tego? Odkrycie jest obiektywną rzeczywistością i nie ma na to rady. Jeśli nie zrobimy tego my, to wpadną na to inni. Koncepcja eksperymentu jest prosta. Myślisz, że oni zrobią z tego lepszy użytek? Ja nie sądzę... Dlatego trzeba pomyśleć o tym, co zrobić, żeby odkrycie nie stało się groźbą dla człowieka.

– Trudna sprawa... – westchnął dubel. – Zobaczą, co się tam dzieje w zbiorniku.

Wrócił po chwili. Twarz jego była zmieniona nie do poznania.

– Walka, tam... tam tata!

Radiotechnicy świetnie wiedzą: jeżeli skomplikowany układ elektroniczny zaczyna działać od razu po zmontowaniu, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Jeśli nawet próby przejdą pomyślnie, to układ skompromituje konstruktorów przed komisją odbioru technicznego. Jeśli przejdzie pomyślnie komisję, to w produkcji seryjnej jedna po drugiej zaczną się ujawniać usterki. Partactwo zawsze wyjdzie na jaw.

Maszyna zamierzała dojść do równowagi informacyjnej już nie ze mną, bezpośrednim źródłem informacji, lecz z całym środowiskiem informacyjnym, które poznała przeze mnie, z całym światem.

Dlatego właśnie powstawała Lena, dlatego pojawił się ojciec.

Dlatego miało miejsce to wszystko, nad czym razem z dublem biedziliśmy się bez odpoczynku przez cały tydzień. Ta działalność maszyny była kontynuacją poprzedniej logicznej linii rozwojowej. Technicznie była to jednak próba dokonana przy użyciu niewłaściwych środków. Zamiast «modelu świata» w zbiorniku rodziły się majaki...

Nie mogę opisywać sceny pojawienia się ojca – było to zbyt straszne. Wyglądał tak jak w dniu śmierci, nalany, ciężki starzec z szeroką wygoloną twarzą, z wyblakłą siwizną włosów. Maszyna wybrała moje najcięższe, ostatnie wspomnienie o nim. Umierał przy mnie, już przestał oddychać, a ja wciąż starałem się ogrzać jego stygnące ciało...

Potem wielokrotnie powtarzał się ten sam sen: co sił rozcieram chłodne już ciało ojca, które powoli rozgrzewa się, ojciec zaczyna oddychać, najpierw nierówno, jak w agonii, później normalnie, wreszcie otwiera oczy i podnosi się na łóżku. «Zasłabłem troszkę, synku – mówi przeproszającym tonem. – Ale już dobrze.» Było to jakby odwrócenie śmierci.

A teraz maszyna tworzyła go, aby umarł przy nas jeszcze raz. Rozumieliśmy oczywiście, że to nie jest wcale ojciec, tylko kolejny hybryd informacyjny, do którego powstania nie można dopuścić – nie wiadomo przecież, co to będzie – zwłoki, szalejący stwór czy jeszcze coś innego. Ale ani dubel, ani ja nie mogliśmy zdecydować się, aby nałożyć «czapkę Monomacha» i rzucić maszynie rozkaz: «Nie!» Staraliśmy się nie patrzeć ani na zbiornik, ani na siebie.

Wreszcie podszedłem do pulpitu i szarpnąłem dźwignię wyłącznika. Na chwilę w laboratorium stało się ciemno i cicho.

– Co ty wyprawiasz?! – dubel doskoczył do pulpitu i włączył zasilanie.

Kondensatory filtrów nie zdążyły rozładować się w ciągu tej chwili. Maszyna pracowała, ale w zbiorniku nic już nie było.

Później oglądałem w zbiorniku cały chaos swojej pamięci: nauczycielkę botaniki z piątej klasy, Elizawietę Mojsiejewnę; małą Kławę, przedmiot chłopięcych uczuć z tego okresu; jakiegoś dawnego znajomego o profilu poety; woźnicę Mołdawianina, którego widziałem przelotnie na bazarze w Kiszyniowie... nawet nie chce się wyliczać. Nie był to «model świata» – wszystko, co powstawało, było mętne, fragmentaryczne, takie właśnie, jakie zachowuje niedoskonała ludzka pamięć. W nauczycielce na przykład udały się tylko małe, groźne oczka pod zawsze nachmurzonymi brwiami, a z Mołdawianina została tylko wielka barania czapa, naciągnięta aż po wąsy...

Spać chodziliśmy na zmianę. Jeden z nas musiał stale dyżurować przy zbiorniku, żeby w porę nałożyć «czapkę Monomacha» i wydać maszynie rozkaz «Nie!»

Dubel pierwszy wpadł na pomysł, żeby do roztworu w zbiorniku włożyć termometr (przyjemnie było patrzeć, w jakie zadowolenie wprawił go pierwszy samodzielny akt twórczy!). Termometr wskazywał czterdzieści stopni.

– Bredzi w malignie...

– Trzeba jej dać coś przeciwgorączkowego – wypaliłem półzartem.

Jednak po zastanowieniu się postanowiliśmy do wszystkich

kolb i butli, zawierających roztwory odżywcze, dosypać chininy. Temperatura obniżyła się do trzydziestu dziewięciu stopni, ale bredzenie trwało nadal. Maszyna komponowała teraz obrazy jak w męczącym śnie – twarz kierownika pierwszego oddziału Instytutu Johanna Klappa płynnie przechodziła w twarz Azarowa, na której nagle wyrastały wąsy Chiłoboka.

Kiedy temperatura spadła do trzydziestu ośmiu stopni, w zbiorniku zaczęły pojawiać się płaskie, jak na ekranie, podobizny działaczy politycznych, aktorów filmowych, przodowników pracy wraz ze zmniejszoną tablicą honorową, wizerunki Łomonosowa, Faradaya i znanej w naszym mieście śpiewaczki estradowej Marii Trapezunt. Te dwuwymiarowe cienie – już to barwne, już to czarno-białe – pojawiały się błyskawicznie, utrzymywały przez kilka sekund i zniknęły. Prawdopodobnie moja pamięć wyczerpywała się.

Na szósty czy siódmy dzień (straciliśmy rachubę czasu) temperatura złościgo płynu obniżyła się do 36,5 stopnia. – Norma! – I powlokłem się do domu, żeby się przespać.

Na dyżurze pozostał dubel.

W nocy obudził mnie.

– Wstawaj! Chodź do pracowni, maszyna oczka robi.

Wyrwany ze snu posłałem go do diabła. Oblał mnie wodą. Trzeba było iść.

...Z początku wydawało mi się, że w zbiorniku pływają jakieś pęcherze. Ale to były oczy – białe kulki ze źrenicami i barwnymi tęczówkami. Powstawały w głębi zbiornika, wypływały, gromadziły się u przezroczystych ścianek i śledziły nasze ruchy, a także migotały nie lampką na pulpicie maszyny; były to oczy niebieskie, szare,

piwne, zielone, czarne, rude, a także ogromne końskie – z fioletowymi źrenicami, i kocie, odbijające światło, z ciemną pionową szczeliną, czarne paciorki ptasich oczu... Zgromadziły się tu zapewne wszystkie oczy ludzkie i zwierzęce, jakie zdarzyło mi się w życiu oglądać. Brak powiek i rzęs nadawał im wyraz zdziwienia.

Z nadejściem poranka oczy zaczęły pojawiać się także poza zbiornikiem. Na ożywionych węzłach ukazywały się mięsiste wyrostki, zakończone powiekami i rzęsami. Powieki unosiły się. Nowe oczy przyglądały się nam bacznie i jak gdyby z oczekiwaniem. Czuliśmy się nieswojo pod tymi niezliczonymi, milczącymi spojrzeniami.

A później... Później ze zbiornika, kolb i węży, szybko, jak pędy bambusa, zaczęły wyrastać macki i ssawki. Było coś naiwnego i dziecięco wzruszającego w ich ruchach. Splatały się, dotykały ścianek kolb, przyrządów i ścian pracowni. Jedna z macek wyciągnęła się w kierunku nie izolowanych zacisków zasilania, dotknęła ich i obwisła zwęglona.

– No, zaczyna się na serio – rzekł dubel.

Tak, to było już serio. Maszyna przechodziła od biernego do czynnego sposobu gromadzenia informacji i w tym celu tworzyła swoje własne czujniki i własne mechanizmy wykonawcze... W ogóle, niezależnie od tego, jak by nazwać jej rozwój – dążeniem do równowagi informacyjnej, samokonstruowaniem czy biologiczną syntezą informacji – nie można było nie zachwycać się niezwykłą uporczywością i potęgą tego procesu. Jeśli nie tak, to inaczej – byle się nie zatrzymywać!

Ale po wszystkim, co już widzieliśmy, byliśmy dalecy od zachwyty i akademickiej ciekawości. Domyślaliśmy się, czym się to może skończyć.

– Dość! – wziąłem ze stołu «czapkę Monomacha». – Nie wiem, czy uda się nam zmusić ją, żeby robiła to, co chcemy...

– W tym celu nieźle byłoby wiedzieć, czego chcemy – wtrącił dubel.

– ...ale najpierw powinniśmy ją zmusić, żeby nie robiła tego, czego nie chcemy.

«Zlikwidować oczy! Zlikwidować macki! Przerwać realizację informacji! Zlikwidować oczy! Zlikwidować macki! Przerwać...» – powtarzaliśmy z maksymalnym napięciem myślowym poprzez «czapkę Monomacha» i nawoływaliśmy do mikrofonów.

A maszyna jak poprzednio wodziła żywymi mackami i wytrzeszczała na nas setki najrozmaitszych oczu. Przypominało to pojedynek.

– No, doczekaliśmy się! – powiedział dubel.

– Tak?! – Uderzyłem pięścią w ściankę zbiornika. Wszystkie macki drgnęły i wyciągnęły się w moim kierunku. Odsunąłem się. – Walka, zakręcaj wodę! Odłącz przewody!

Zginiesz, maszyno! Zginiesz z pragnienia i głodu, jeśli nie porządkujesz się...

Oczywiście było to brutalne i niewyszukane, ale co mieliśmy robić? Dubel powoli zakręcał zawór doprowadzający wodę. Dźwięk strumyczków z destylarek zmienił się w odgłos kapania kropel. Ja zamykałem węże zaciskami... I macki, drgnąwszy, bezsilnie zwisły! Zaczęły się kurczyć i wciągać z powrotem do zbiornika. Zamgliły się, załzawiły i zmarszczyły baloniki oczu.

Po godzinie wszystko znikło. Płyn w zbiorniku był jak poprzednio złocisty i klarowny.

– No, tak to już lepiej! – zdjąłem «czapkę» i zwinąłem przewody.

Wznowiliśmy dopływ wody, zdjęliśmy zaciski z węży i czekaliśmy w pracowni do późnej nocy paląc i rozmawiając o byle czym. Nie wiedzieliśmy już, czego się bardziej obawiać: nowych majaceń maszyny czy też tego, że zamęczony przez nas układ rozpadnie się i przestanie istnieć jako całość.

Pierwszego dnia jeszcze mogliśmy dyskutować, czy by nie zlikwidować odkrycia? Teraz ogarniała nas obawa na myśl, że może się ono zlikwidować samo, oszołomić niezwykłością i niebывałymi perspektywami i zniknąć.

Na zmianę z dublem podchodziliśmy do zbiornika, wężąc z obawą, czy nie poczujemy woni rozkładu lub gnicia. Nie dowierając wskazaniom termometru dotykaliśmy rękami ścianek zbiornika i ciepłych, żywych węży – czy nie stygną lub czy nie pałają znowu gorączkowym żarem.

Ale nie, powietrze w pokoju pozostawało ciepłe, wilgotne i rześkie, jak gdyby znajdowało się tu wielkie, czyste zwierzę. Maszyna żyła. Po prostu niczego bez nas nie podejmowała. Podporządkowaliśmy ją sobie!

O godzinie pierwszej w nocy spojrziałem na swego sobowtóra jak w lustro. Zmęczony mrugał zaczerwienionymi powiekami i uśmiechał się.

– Chyba wszystko w porządku. Idziemy się przespać, co?

W tej chwili to nie był już sztuczny dubel. Obok mnie siedział towarzysz pracy, tak samo zmęczony i szczęśliwy, jak ja sam. A przecież – dziwna rzecz! – wcale nie odczuwałem zachwyty podczas naszego spotkania w parku, nie bawiły mnie też urojenia pamięci

oglądane w zbiorniku... teraz jednak odczuwałem spokój i radość.

Jednak najważniejszą dla człowieka rzeczą jest poczucie panowania nad sytuacją!”

Rozdział piąty

Czy w uporczywych poszukiwaniach związków przyczynowych nie wyraża się ludzki instynkt posiadania? Przecież i tu szukamy, co do czego należy.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 10

„Wyszliśmy do parku. Była ciepła noc. Ze zmęczenia obaj zapomnieliśmy, że nie wolno nam pokazywać się razem i przypomnieliśmy sobie o tym dopiero przechodząc przez portiernię. Staruszek Wachtorycz wpatrywał się w nas swoimi trochę sennymi, błękitnymi oczkami. Zamarliśmy.

– O, pan inżynier! – nagle ucieszył się dziadek. – Już po dyżurze?

– Tak... – odpowiedzieliśmy chórem.

– No i dobrze. – Wachtorycz podniósł się ciężko i otworzył drzwi wyjściowe. – No i nic się z tym Instytutem nie stanie, i nikt go nie ukradnie, a ja tu muszę, siedzieć jak głupi. Ludzie się bawią, a ja muszę siedzieć, tak to już jest.

Wyskoczyliśmy na ulicę i szybkim krokiem oddalili się.

– No i masz! – W tym momencie zauważyłem, że fasada

nowego budynku Instytutu ozdobiona jest różnobarwnymi lampkami. – Który dzisiaj jest?

Dubel policzył na palcach.

– Pierwszy... nie, drugi maja. Najlepsze życzenia, Wala!

– Nawzajem, spóźnione... O, cholera!

Przypomniałem sobie, że byłem umówiony z Leną.

Pierwszego maja mieliśmy wybrać się do jej znajomych, a drugiego pojechać motocyklem za Dniepr. Oklapłem zupełnie. Obrazi się teraz na śmierć.

– A Lena teraz tańczy... gdzieś, z kimś... – powiedział dubel.

– A ciebie cc to obchodzi?

Umilkliśmy. Ulicami jeździły umajone zieloną trolejbusy. Na dachach budynków świeciły dekoracje w kształcie startujących rakiet. Za otwartymi na oścież oknami ludzie tańczyli, śpiewali, wznosili toasty...

Zapałem i zacząłem analizować obserwacje maszyny-matki (tak nazwaliśmy ostatecznie cały kompleks). Po pierwsze nie jest to ani maszyna-wyrocznia, ani maszyna-myśliciel i nie dokonuje żadnego wyboru informacji. Są tylko kombinacje – niekiedy sensowne, niekiedy nie. Po drugie, można nią sterować nie tylko drogą energetyczną (zaciskać węże, zamykać dopływ wody i energii – jednym słowem, chwytać za gardło), lecz także drogą informacyjną. Co prawda, na razie reaguje tylko na rozkaz: «Nie!», ale początki są zawsze trudne. Wydaje się, że najwygodniej jest sterować nią za pośrednictwem «czapki Monomacha» prądami czynnościowymi mózgu... Po trzecie, maszyna-matka, chociaż bardzo skomplikowana, jest tylko maszyną – sztucznym tworem nie posiadającym własnych celów. Dążenie do stabilizacji, do równowagi informacyjnej

oczywiście nie jest dla niej celem, a tylko właściwością, tak samo jak na przykład w przypadku wagi analitycznej. Po prostu przejawia się ono w bardziej złożony sposób: syntezą żywej materii z informacji zewnętrznej. Celem jest zawsze rozwiązanie zadania. Maszyna nie miała żadnego zadania i dlatego wygłupiała się z nadmiaru możliwości. Ale...

– ...jej zadania powinien wyznaczać człowiek – podchwycił dubel. Przestała już mnie dziwić jego zdolność do myślenia równoległe ze mną. – Podobnie jak i zadania dla wszystkich innych maszyn. I co za tym idzie, mówiąc językiem oficjalnym, cała odpowiedzialność spoczywa na naszych barkach.

O odpowiedzialności nie chciało mi się myśleć. Człowiek pracuje, pracuje, nie oszczędza się, a w dodatku musi ponosić całą odpowiedzialność. A ludzie tymczasem się bawią... Zmarnowaliśmy święto, durnie. Całe nasze życie minie w tym śmierdzącym laboratorium...

Skręciliśmy w kasztanową aleję, wiodącą do osiedla. Przed nami powoli szło dwoje ludzi. Obu nas, trzeźwych, głodnych i samotnych, aż coś ścisnęło za serca, tak pięknie wyglądali ci dwoje na tle rozświetlonej latarniami alei. On, wysoki i elegancki, obejmował ją w pól. Ona lekko skłoniła swoją pięknie uczesaną główkę na jego ramię. Mimo woli przyspieszyliśmy kroku, aby ich wyprzedzić i nie rozjrzeć się lirycznym widokiem.

– A teraz posłuchamy magnetofonu, Tanieczka! Mam takie nagrania, że palce lizać! – doleciał do nas szemrzący głos Chiłoboka i obaj potknęliśmy się. Zachwył gwałtownie się ulotnił.

– Harry znowu nową poderwał – stwierdził dubel.

Zbliżywszy się do nich rozpoznaliśmy dziewczynę. Jeszcze

niedawno przychodziła na praktykę do Instytutu w szkolnym fartuszkach. Później zaczęła pracować chyba jako laborantka u obliczeniowców. Podobała mi się – zmysłowe wargi, miękki zarys nosa, wielkie piwne oczy, rozmarzone i ufne.

– A kiedy Azarow wyjeżdża na urlop albo w delegację zagraniczną, to o wielu rzeczach decyduję za niego ja – puszył się Harry jak paw. – Zresztą nawet jak jest, to też tak samo. Oczywiście, to bardzo ciekawe, a jakże!

Idzie Tanieczka, wsparłszy głowę o tergalowe ramię Chiłoboka, i wydaje się jej docent Harry rycerzem nauki radzieckiej. Może nawet cierpi na chorobę popromienną, jak główny bohater filmu «Dziewięć dni jednego roku»? A może zmarnował zdrowie pracą naukową jak bohater filmu «Wszystko zostaje dla ludzi»? I omdlewa, i sama siebie widzi w roli godnej partnerki, idiotka... Zdrów jest twój uczony kawaler, Tanieczka, nie bój się. Nie zmęczył się nauką. A ciebie prowadzi właśnie teraz prościutką drogą do pierwszego wielkiego rozczarowania życiowego. W tym to on jest prawdziwy artysta...

Dubel zwolnił kroku i odezwał się półgłosem.

– A może by mu dać po mordzie? Nic łatwiejszego – ty idziesz teraz do znajomych, zapewniasz alibi. A ja...

Wyprzedził mnie o sekundę. W ogóle starał się mnie wyprzedzić, utwierdzając w ten sposób swoje poczucie niezależności – wiedział przecież, że myślimy jednakowo... Ale ponieważ wyprzedził mnie, zadziałał u mnie inny przejaw poczucia niezależności – przeciwstawianie się cudzym myślom.

– Przez dziewczynę, coś ty? Niech ją... Nie ta, to inna się narwie.

– I przez nią, i w ogóle za wszystko. Dla spokoju ducha. Co, nie pamiętasz, jak napaskudził nam w pracy? – Zmrużył oczy. – Zapomniałeś?

Nie zapomniałem. Pracowałem wtedy u Walerki Iwanowa. Opracowywaliśmy bloki pamięciowe do urzędzeń wojskowych. Sytuacja na świecie była poważna, harowaliśmy nie pamiętając o niedzielach i świętach. Pracę oddaliśmy pół roku przed wyznaczonym terminem... I wkrótce instytutowe, życzliwe dusze przekazały nam komentarz Chiłoboka: «W nauce ten, kto wykonuje badania przed terminem, to albo karierowicz, albo blagier, albo i jedno, i drugie!» Powiedzenie to zyskało popularność – wielu mamy takich, którym podobne zarzuty nie grożą. Ambitny i w gorącej wodzie kąpany Walerka długo szykował się, żeby pogadać szczerze z Chiłobokiem, ale potem pokłócił się z Azarowem i odszedł z Instytutu.

Na myśl o tym ręce zacisnęły mi się w pięści. «Może naprawdę niech dubel zapewni alibi, a ja...?» I nagle zobaczyłem to z boku: trzeźwy, inteligentny mężczyzna w obecności dziewczyny grzmoci drugiego mężczyznę... Nie, tak nie można! Potrząsnąłem głową, aby odpędzić ten obraz.

– Nie, mimo wszystko to nie to. Nie można ulegać niskim instynktom.

– A co jest «to»?

Rzeczywiście, co jest «to»? Nie wiedziałem.

– No to trzeba chociaż uchronić tę rozmarzoną dziewczynę przed spoconymi uściskami Chiłoboka... – Dubel w zamyśleniu zagryzł wargę i popchnął mnie w ceń drzewa. Znowu wykazał inicjatywę. – Panie docencie, czy można pana prosić na chwilkę?

Chiłobok i dziewczyna obejrzeni się.

– A, inżynier Kriwoszein! Proszę bardzo... – Docent zwrócił się do dubla. – Tanieczka, zaraz panią dogonię.

Odgadłem jego zamiar i krótkimi skokami zacząłem przekradać się w cieniu drzew. Wszystko się udało. Tanieczka doszła do rozwidlenia alei, zatrzymała się, obejrzała i zobaczyła tego samego człowieka, który przed chwilą odwołał jej adoratora.

– Tania – powiedziałem – docent bardzo przeprasza, ubolewa i tak dalej, ale nie będzie mógł wrócić. Rzecz w tym, że wróciła jego żona i... A pani dokąd? Odprowadzę panią!

Ale Tanieczka już pędziła z twarzą zasłoniętą rękami prosto w kierunku przystanku trolejbusowego. Poszedłem do domu.

Po kilku minutach przyszedł i dubel. – Poczekaj – powiedziałem, zanim otworzył usta. – Powiedziałeś mi, że Tania jest dziewczyną twojego kolegi, znanego boksera?

– I mistrza judo. A ty jej – o żonie?

– Zgadza się. Znalazło się przynajmniej jedno pożyteczne zastosowanie naszego odkrycia...

Rozebraliśmy się, umyli i zaczęli przygotowywać do snu. Posłałem sobie na kanapie, a on na rozkładanym łóżku.

– Wracając jeszcze do Chiłoboka. – Dubel usiadł na łóżku. – Dlaczego nic mi nie mówisz, że na najbliższym posiedzeniu Rady Naukowej będzie dyskutowany nasz temat? Gdyby Chiłobok łaskawie mi o tym nie wspomniał, żyłbym w nieświadomości. «Czas, czas, inżynierze, pół roku już pan pracuje, a do tej pory nie było jeszcze dyskusji. Oczywiście, poszukiwania losowe to dobra rzecz, ale zamówienia na sprzęt i materiały pan składa, a do mnie z

księgowości wciąż dzwonią i pytają, jak zaksięgować. A w Instytucie gadają, że Kriwoszejn robi, co chce, a inni muszą wykonywać plany i zamówienia... Ja oczywiście rozumiem, że panu to jest potrzebne do doktoratu, ale trzeba sformułować temat i włączyć do naukowego planu Instytutu...» Od razu sobie, świnia, o pracy przypomniał, jak mu wspominałem o bokserze.

– Według Chiłoboka sens nauki polega na tym, żeby urzędnikom nie robić kłopotu.

Wyjaśniłem dublowi, o co chodzi. Kiedy z maszyny zaczęły sypać się niezrozumiałe cyfry, zadzwoniłem w rozpacz do Azarowa, że chciałbym się z nim skonsultować. Jak zwykle nie miał czasu i powiedział, że lepiej będzie przedyskutować temat na Radzie Naukowej i że poprosi Chiłoboka o zorganizowanie posiedzenia.

– A tymczasem nasionko, które dobrze byłoby zachować na później, zakiełkowało interesującym wynikiem – podsumował dubel. – Więc co, referujemy? W sprawie otwarcia przewodu doktorskiego. Chiłobok też uważa, że trzeba...

– A na obronie ja będę demonstrował ciebie, co?

– Kto kogo będzie demonstrował, to inna sprawa – odpowiedział wymijająco. – Ale ogólnie rzecz biorąc... nie można! – pokręcił głową. – Nie, absolutnie nie można!

– Masz rację, nie można – zgodziłem się ponuro. – Ani patentu nie można zgłosić, ani Nagrody Nobla się nie dostanie... Same straty mam na razie z całej tej historii.

– Dobrze, oddam ci te pieniądze, oddam... ależ z ciebie sknera! Posłuchaj... a po co ci Nobel? – zmrużył oczy. – Jeżeli maszyna-

matka tak łatwo tworzy człowieka, to cóż dla niej banknoty...

– Nic prostszego! Z prawdziwym rysunkiem, ze znakami wodnymi... co?!

– Każdy kupi sobie trzypokojowe mieszkanie spółdzielcze – dubel w rozmarzeniu oparł się o ścianę.

– No i samochód...

– I po dwie wille: jedną na Krymie – na urlopy, drugą nad Bałtykiem dla reprezentacji.

– Zrobimy jeszcze kilku Kriwoszeinów. Jeden będzie pracował, żeby ludzi nie drażnić...

– ...a reszta będzie próżnowała, ile dusza zapagnie...

– I to z gwarantowanym alibi. Co?

Umilkliśmy i popatrzyli na siebie z obrzydzeniem.

– Boże, cóż z nas za ponurzy drobnomieszczanie! – Chwyciłem się za głowę. – Ogromne odkrycie przymierzamy do diabli wiedzą czego: do doktoratu, willi, premii, mordobicia z gwarantowanym alibi... Przecież to Sposób Syntezy Człowieka! A my...

– To nic, zdarza się. Parszywe myśli miewa każdy. Ważne jest tylko, żeby nie przekształciły się w parszywe uczynki.

– Na razie widzę właściwie tylko jedną dobrą stronę odkrycia: patrząc z boku dostrzega się w sobie to, co zwykle łatwiej zauważyć u innych: własne niedostatki.

– Tak, ale czy po to tylko warto podważać zaludnienie Ziemi?

Siedzieliśmy w samych spodenkach naprzeciw siebie. Miałem wrażenie, że siedzę przed lustrem.

– Dobrze. Do rzeczy. Czego właściwie chcemy?

– I co możemy?

– I co o tym wiemy?

– Zaczniemy od tego, że zanosilo się na to od dawna. Koncepcje Sieczenowa, Pawłowa, Wienera, Ashby'ego, wychodząc z różnych założeń, zbiegają się w jednym: mózg to maszyna. Doświadczenia Petrucchi'ego nad sterowanym rozwojem ludzkiego zarodka to krok następny. Dążenie do coraz większej złożoności i uniwersalności układów w technice – weź choćby tylko projekty mikroelektroników, dotyczące stworzenia maszyn, dorównujących pod względem komplikacji mózgowi.

– A więc nasze odkrycie to nie przypadek. Przygotował je cały dotychczasowy rozwój myśli i środków technicznych w nauce. Nie tą, to inną drogą, nie teraz, to za lata lub dziesiątki lat, nie my, to kto inny doszedłby do tego. A zatem zagadnienie sprowadza się do problemu...

– ...co możemy i powinniśmy zrobić przez ten czas – może rok, może dziesiątki lat, trudno przewidzieć, lepiej jednak liczyć na krótszy termin – o który wyprzedziliśmy innych?

– Tak.

– Jak to bywa zwykle? – Dubel podparł dłońią policzek. – Inżynier ma jakiś pomysł albo po prostu chciałby stworzyć coś, co po nim pozostanie. Szuka więc zleceniodawcy. Albo zleceniodawca szuka inżyniera, w zależności od tego, kto komu jest bardziej potrzebny. Zleceniodawca określa zadanie techniczne: «Wykorzystując swoje pomysły i wiedzę opracujcie takie to a takie urządzenia lub taką to a taką technologię. Urządzenie powinno mieć takie to a takie parametry i przejść pomyślnie takie to a takie próby wytrzymałościowe... technologia powinna zapewniać produkcję wyrobów o przewidzianej jakości w procencie nie mniejszym niż... Suma taka i

taka, termin wykonania taki a taki. Sankcje odpowiednio do aktualnych przepisów». Podpisuje się umowę – i do roboty... My mamy takie urządzenie i chcemy dalej je ulepszać. Ale jeśli teraz przyjdzie zleceniodawca z ciężką forszą i powie: «Tu są pieniądze, proszę udoskonalać wasz sposób niezawodnego masowego dublowania ludzi, a do czego mi to potrzebne, nie wasza sprawa» – tej umowy nie podpiszemy, prawda?

– No, jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Metoda nie przebadana, nie dopracowana, co to za produkcja! Może i ty za parę miesięcy rozsypiesz się, nie wiadomo...

– Nie rozsypię się. Na to nie licz.

– A żyj sobie, co mnie to obchodzi?!

– Dziękuję ci uprzejmie! Ależ z ciebie cham! Aż ręce opadają! Chętnie bym ci przyłożył.

– Dobra, dobra, bez dygresji. Źle mnie zrozumiałeś. Zmierzam do tego, że nie znamy jeszcze wszystkich stron i możliwości naszego odkrycia. Jesteśmy dopiero w stadium początkowym. Gdyby porównać to na przykład z radiem, to jesteśmy na etapie fal Hertza i iskrowego nadajnika Popowa. Co dalej? Trzeba badać dalsze możliwości.

– Słusznie. Ale to niczego nie zmienia. Badania, które można zastosować do człowieka i społeczeństwa, należy prowadzić z określonym celem. A my nie mamy nikogo, kto by nam wręczył dwie strony maszynopisu z tematem zlecenia. I bardzo dobrze. Sami musimy określić, jakie cele stoją obecnie przed człowiekiem.

– No... Dawniej cel był jasny – przeżycie i przedłużenie gatunku. Do osiągnięcia tego trzeba było uganiać się za zwierzyną, zdzierać skóry dla okrycia ciała, pilnować ognia... opędząć się maczugą

od zwierząt i znajomych, ryć w glinie jednoizbową jaskinię bez wygod i tak dalej. Ale we współczesnym społeczeństwie problemy te zasadniczo zostały rozwiązane. Można pracować byle gdzie i na życie się zarobi. W każdym razie z głodu nie zginie się. Nawet dzieci można sobie zafundować, w najgorszym razie wychowa je państwo... A zatem ludzie powinni mieć teraz nowe dążenia i potrzeby.

– O, tych jest mnóstwo! Dążenie do komfortu, do rozrywek, do interesującej i czystej pracy. Potrzeba dobrego towarzystwa, środków zaspokajania próżności – stanowisk, tytułów, odznaczeń. Potrzeba eleganckiej odzieży, dobrego jedzenia, trunków, wylegiwania się na plaży, nowinek, czytania książek, potrzeba śmiechu, upiększania się, modnych fatałaszków...

– Ale, do diabła, to wszystko nie jest najważniejsze! Nie może być najważniejsze. Ludzie nie chcą, zresztą nie mogą powrócić do dawnego prymitywnego bytowania, więc naturalne jest, że wyciskają wszystko ze współczesnego środowiska. Jednak w tych ich dążeniach i potrzebach powinien być jakiś cel. Nowy cel istnienia...

– Krótko mówiąc, na czym polega sens życia? Niezwykle świeży problem, nieprawdaż? No, pogadaliśmy sobie. Wiedziałem, że do tego dojdziemy! – Dubel wstał, wykonał kilka rozluźniających ćwiczeń gimnastycznych i znów usiadł.

I tak, początkowo półżartem, a później coraz poważniej, przeprowadziliśmy tę najważniejszą dla naszej pracy rozmowę. Niejednokrotnie zdarzało mi się przy koniaku albo po prostu w przerwie na papierosa – dyskutować o sensie życia, o strukturze społeczeństwa czy o losach ludzkości. Inżynierowie i uczeni tak samo lubią

rozprawiać o świecie, jak gospodynie domowe o drożyźnie i upadku obyczajów. Gospodynie czynią to, aby utwierdzić się w przekonaniu o swojej gospodarności i zaletach charakteru, a tamci aby popisać się szerokimi horyzontami umysłowymi... Ale nasza rozmowa była nieporównanie trudniejsza od tego mielenia językiem – dźwigaliśmy każdą myśl jak ciężką bryłę. Wszystko sprowadzało się do odpowiedzialności: po rozmowie miały nastąpić czyny – czyny, w których nie wolno się pomylić.

Odechciało nam się spać.

– Dobrze. Założmy, że sens życia to zaspokojenie potrzeb. Wszystkich, jakich dusza zapagnie. Ale jakie potrzeby i żądania ludzi można zaspokoić, tworząc nowych ludzi? Przecież ci sztucznie stworzeni będą mieli własne potrzeby i dążenia! Błędne koło.

– Nie, nie chodzi o to. Sensem życia jest samo życie. Życie pełne, barwne, swobodne, interesujące, twórcze. Albo przynajmniej dążenie do tego... No, i co?

– «Pełne życie!»! «Sens życia!»! «Dążenie!»! – Dubel zerwał się z łóżka i przebiegł się po pokoju. – «Zainteresowania», «potrzeby»... Matko jedyna, jakież to wszystko mętne! Dwieście lat temu takie przybliżone pojęcia może byłyby dobre, ale teraz... Jak, do diabła, może wyglądać temat zlecenia, jeżeli brak dokładnych danych o człowieku!? Jakim wektorem oznaczać dążenia? W jakich jednostkach mierzyć zainteresowanie?

Onieśmiało nas to wtedy – onieśmiała i teraz. Przywykliśmy do ścisłych pojęć, takich jak parametry, gabaryty, pojemność informacyjna w bitach, szybkość przeprowadzania operacji w mikrosekundach – a zetknęliśmy się z przerażająco nieprecyzyjną wiedzą o człowieku. Do pogawędek to się nadaje. Ale jak, na miłość boską,

kierować się takimi pojęciami w badaniach doświadczalnych, w których rządzi proste i surowe prawo: jeżeli wiesz coś niezbyt dokładnie, to znaczy, że tego nie wiesz.)

– Uff... zazdroszczę wynalazcom bomby atomowej – dubel oparł się o framugę drzwi balkonowych. – «To urządzenie, panowie, może zlikwidować sto tysięcy ludzi!» – i od razu wiadomo, że należy budować Oak Ridge i New Hanford *... A nasze urządzenie, panowie, może tworzyć ludzi!

Oak Ridge i New Hanford – badawczo-przemysłowe ośrodki w USA, w których podczas drugiej wojny światowej wyprodukowano bombę uranową i plutonową (przyp. aut.).

– Jedni ludzie badają uran... drudzy budują fabryki, w których wzbogaca się uran w odpowiedni izotop... inni konstruują bombę... jeszcze inni wydają rozkaz działając w imię wyższych celów politycznych... następnii zrzucają bombę na innych, na mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki... jeszcze inni... Czekać, czekać, w tym coś jest!

Dubel popatrzył na mnie z ożywieniem.

– Rozumiesz, rozpatrujemy to ściśle logicznie, a jednak nie możemy uwolnić się od paradoksów i mętnych pytań w rodzaju «Co to jest sens życia?» A wiesz dlaczego? Na Ziemi nie istnieje Człowiek, ale wielu ludzi o dążeniach różnych, często przeciwstawnych. Powiedzmy, ktoś chce wygodnie żyć i w tym celu buduje narzędzia zabijania. Albo na przykład smarkaczowi marzy się kariera wielkiego uczonego, ale nie chce mu się wgryzać w granit nauki, bo mu nie smakuje. I ci różni ludzie żyją w różnych warunkach, znajdują się w różnych sytuacjach, marzą o jednym, dążą ku czemuś drugiemu, a osiągną trzecie... A my ich wszystkich chcemy mierzyć jedną miarą.

– Ale jeśli zaczniemy rozpatrywać jednostki i do tego z uwzględnieniem wszystkich okoliczności... – dubel nachmurzył się.

– Nie wybrniemy.

– A ty byś chciał, żeby wszystko było proste jak przy projektowaniu bloków pamięciowych do komputera pokładowego? Tak? W tym przypadku to niemożliwe.

– Wiem, że niemożliwe. Nasze odkrycie jest złożone jak sam człowiek – niczego nie da się odrzucić ani pominąć dla ułatwienia pracy. Dobrze, ale jakie konstruktywne wnioski wynikają z twojej rewelacyjnej myśli, że ludzie są różni? Właśnie konstruktywne, robocze?

– Robocze, powiadasz. Trudna sprawa...

Rozmowa wygasła. Na dole, przed domem, szumiały na wietrze topole. Ktoś pogwizdując zbliżał się do bramy. Od balkonu ciągnęło chłodem.

Dubel bezmyślnie patrzył na lampę, a potem wsadził głęboko palec do nosa. Twarz jego przybrała wyraz błęgiego zadowolenia. I mnie w prawym nozdrzu coś przeszkadzało, ale on mnie wyprzedził... Patrzyłem na siebie dłubiącego w nosie i nagle zrozumiałem, dlaczego nie poznałem dubla podczas spotkania w parku. W rzeczywistości nikt nie zna siebie samego. Nie widzimy siebie, nawet przed lustrem nieświadomie korygujemy własną mimikę, przybieramy bardziej interesujący wyraz, upiększamy się. Nie słyszymy siebie, gdyż drgania własnej krtani dochodzą do błon bębenkowych nie tylko poprzez powietrze, lecz także poprzez tkanki głowy. Nie obserwujemy samych siebie z boku.

Dlatego też każdy w głębi duszy jest przekonany, że jest inny niż wszyscy, odrębny. Otaczający go ludzie to inna sprawa, co do nich

wszystko jasne. Ale jeśli chodzi o niego samego – jest całkiem odmienny. Coś w nim jest... i tu nikt nie da się oszukać, wie bardzo dobrze. A tymczasem wszyscy jesteśmy i inni, i tacy sami.

Dubel oczyścił nos, potem wytarł palec, popatrzył na mnie i roześmiał się, czytając moje myśli.

– No więc jacy są w końcu ludzie – różni czy jednakowi?

– I różni, i jednakowi. Można nawet wysnuć jakąś obiektywną prawdę, oczywiście nie z twoich paskudnych manier. Chodzi o techniczne wytwarzanie nowego układu informacyjnego – Człowieka. Technika produkuje również inne układy: maszyny, książki, narzędzia... Wspólna dla takich wyrobów-układów jest powtarzalność. We wszystkich książkach danego nakładu wszystko jest jednakowe, łącznie z błędami drukarskimi. W przyrządach danej serii także – i wskazówki, i skala, i klasa dokładności, i okres gwarancyjny. Różnice są zupełnie nieistotne – w jednej książce druk jest odrobinę czytelniejszy niż w innej, na jednym z przyrządów zadrapanie albo, na przykład, przy wysokich temperaturach jego wskazania są obciążone minimalnie większym błędem niż innego...

– ...ale w granicach klasy dokładności.

– Oczywiście. W języku nauki można powiedzieć, że ilość indywidualnej informacji w każdym takim sztucznym układzie jest tak mała, że można ją pominąć, w porównaniu z ilością informacji wspólnej dla wszystkich układów danej klasy. A z człowiekiem – zupełnie inna sprawa. W ludziach zawarta jest informacja ogólna: biologiczna, ogólne wiadomości o świecie, ale w każdym człowieku jest ogromna ilość informacji osobistej, indywidualnej. Pominąć jej nie można, bez niej człowiek nie byłby człowiekiem. To znaczy, że

ludzie nie są standardowi. To znaczy...

– ...że wszystkie próby znalezienia optymalnych «parametrów» człowieka z dopuszczalnym błędem nie wyższym na przykład „od pięciu procent są zbędną stratą czasu. Znakomicie! Ulżyło ci?

– Nie. Ale taka jest okrutna rzeczywistość.

. – A zatem w naszej pracy nie sposób uwolnić się od tych strasznych i mętnych pojęć: sens życia, zainteresowania człowieka, charakter, pragnienia, dobro, zło... a może nawet dusza? Dziękuję. Nie skorzystam

– Skorzystasz. Ale, ale, czy te pojęcia są znowu takie zagadkowe? Przecież w życiu wszyscy wiedzą, w czym rzecz. Na przykład ktoś potępia jakiś brzydki czyn i mówi: «Przecież to łajdactwo». I wszyscy się z tym zgodzą.

– Wszyscy... z wyjątkiem łajdaka. Co, nawiasem mówiąc, jest zupełnie naturalne... – klepnął się po udach. – Nie, nie rozumiem cię! Mało ci było oparzyć się na prościutkim terminie «zrozumienie», a chcesz konstruować zadania na «dobro» i «zło»?! Maszyna podtekstów nie chwyta, dowcipów nie rozumie, zło i dobro jest dla niej obojętne... Czemu się śmiejesz?

W rzeczy samej ogarnął mnie śmiech.

– Nie rozumiem, jak właśnie ty możesz mnie nie rozumieć? Przecież jesteś mną!

– To nie ma znaczenia. Jestem przede wszystkim pracownikiem naukowym, a dopiero potem Kriwoszeinem, Sidorowem czy Pietrowem! – wyraźnie zapalił się do dyskusji. – Jak będziemy pracować, skoro nie mamy dokładnego rozeznania w istocie zagadnienia?

– A choćby i tak, jak pracowano w zaraniu elektrotechniki.

Wtedy wszyscy wiedzieli, co to jest flogiston, ale nikt nie miał pojęcia o napięciu, natężeniu ani indukcyjności. Ampère, Volta, Henry, Ohm – to wtedy były tylko nazwiska. Napięcie oceniano się językiem, tak jak dziś chłopcy sprawdzają baterie. Prąd mierzono ilością odłożonej miedzi na katodzie. Ale jakoś ludzie pracowali. I my... co ci jest?

Teraz dubel skręcał się ze śmiechu.

– Pomyślałem sobie, że za jakieś dwadzieścia lat będzie jednostka pomiaru czegoś tam – «kriwoszyja»... Oj, nie mogę!

Ja też opadłem na kanapę.

– I będzie «kriwoszyjometr», coś w rodzaju omomierza.

– I będą «mikrokriwoszyje»... albo, przeciwnie, «megakriwoszyje», w skrócie «megakry»... Oj, bo pękne!

Aż miło wspomnieć, jak rzeliśmy ze śmiechu. Stanowczo nie dorobiśmy do swego odkrycia. Wyśmialiśmy się i powróciła nam powaga.

– Przykłady historyczne oczywiście inspirują – powiedział dubel. – Ale nie o to chodzi. Galvani mógł mylić się co do «elektryczności zwierzęcej», Seebeck mógł z uporem twierdzić, że w termoparze powstaje nie prąd elektryczny, ale termomagnetyzm – charakter zjawisk przez to się nie zmieniał. Wcześniej czy później dochodziło do odkrycia prawdy, dlatego że wtedy najważniejsza była analiza informacji. Analiza! A my mamy do czynienia z syntezą... I tu przyroda nie może być człowiekowi wzorem: ona buduje swoje układy, a człowiek swoje. Jedyne, co się liczy w tej pracy, to możliwości i cel. Możliwości mamy. A cel? Celu nie możemy na razie sformułować...

- Cel jest prosty: żeby wszystko było dobrze.
- Znowu? – Dubel spojrzął na mnie. – I znowu zaczyna się to dziecięce gaworzenie na temat: «Co to jest zło, a co dobro?»
- Oj, tylko bez dziecięcego gaworzenia! – jęknąłem. – Będziemy operować tymi dowolnymi pojęciami, mimo że są nieściśle: dobro, zło, pragnienia, potrzeby, zdrowie, uzdolnienia, głupota, wolność, miłość, smutek, zasady – nie dlatego, że się nam podobają, ale dlatego, że po prostu innych nie ma. Nie ma i już!
- Trudno temu zaprzeczyć. Rzeczywiście, innych nie ma – westchnął dubel. – Och, czuję, co to będzie za robota!
- I omówmy to do końca. Istotnie, trzeba, żeby wszystko było dobrze. Trzeba, żeby wszystkie zastosowania, które da nasze odkrycie ludziom, światu... żebyśmy mieli co do nich pewność, że nie przyniosą ludzkości szkody, lecz tylko korzyści. A o tym, w jakich jednostkach mierzyć korzyść, porozmawiamy kiedy indziej. Ja nie wiem.
- W kriwoszyjach – nie wytrzymał dubel.
- Niech ci będzie! Ale wiem co innego: rola intelektualnego złoczyńcy na skalę światową nie odpowiada mi.
- Mnie też. Mam jednak małe pytanie: czy masz jakiś pomysł?
- Jaki pomysł?
- Pomysł takiego zastosowania maszyny-matki, aby dawała społeczeństwu ludzkiemu tylko dobro. Rozumiesz, że byłby to bezprecedensowy przypadek w historii nauki. Nic, co wynaleziono dotychczas i co nadal się wynajduje, nie ma takiej cudownej właściwości. Lekarstwem można otruć. Prądem elektrycznym można nie tylko oświetlać domy, ale i torturować. Albo wystrzelić raketę z głowicą

bojową. I tak jest ze wszystkim...

– Na razie nie mam konkretnego pomysłu. Za mało jeszcze wiemy. Będziemy badać maszynę-matkę i szukać takiego sposobu. Powinien istnieć. To, że nie ma precedensu w nauce, nie jest tak istotne – nasze odkrycie też nie ma precedensu. Przecież będziemy syntetyzować właśnie ten układ, który czyni i dobro, i zło, i cuda, i głupstwa – człowieka!

– Cóż, masz rację – pomyślawszy chwilę zgodził się dubel. – Znajdziemy ten wspaniały sposób albo i nie, ale bez takiego celu nie warto brać się do pracy. Na razie produkuje się ludzi i bez naszej pomocy...

– Więc może zakończymy posiedzenie jak należy i ustalimy zadanie naszej pracy – zaproponowałem. – Podobnie jak pisze się w umowie-zleceniu: my, niżej podpisani – Ludzkość, zwana dalej Zleceniodawcą, z jednej strony i kierownictwo Pracowni Nowych Systemów Instytutu Systemologii w osobach W. Kriwoszeina i W. Kriwoszeina, zwanych dalej Wykonawcą, z drugiej – zawarliśmy niniejszą umowę...

– Co tu będziesz kręcił z umową i tematem zlecenia. Przecież interesy zleceniodawcy tej pracy reprezentujemy my sami. Zróbmy to prościej!

Wstał, zdjął z szafy magnetofon «Astra-2», postawił go na stole i włączył mikrofon. I obaj – ja, Walentin Kriwoszein, lat trzydzieści cztery, i mój sztuczny sobowtór, który pojawił się na świecie przed tygodniem – dwaj pozbawieni nadmiernych sentymentów, krytycznie myślący ludzie – wypowiedzieliśmy tekst przysięgi.

Dla kogoś patrzącego z boku byłyby to z pewnością pompacyjne

i śmieszne. Nie brzmiały fanfary, nie łopotały sztandary, nie zamierały w pozycji na baczność szeregi. Bładło niebo przedświt, staliśmy przed mikrofonem w samych spodenkach i przeciąg z balkonu ziębił nam nogi... Ale przysięgę złożyliśmy uroczyście. I tak będzie. Inaczej być nie może.”

Rozdział szósty

Jeżeli po powrocie nocą do domu zamiast wody wypieś przez pomyłkę wywoływacz, wypij i utrwalacz, inaczej bowiem dzieło nie będzie doprowadzone do końca.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 21

„Następnego dnia zaczęliśmy w pracowni budować kamerę informacyjną. Wydzieliliśmy miejsce w pokoju o rozmiarach dwa na dwa metry, otoczyliśmy je płytami z getinaksu i zaczęliśmy tam znosić wszystkie mikrofony, analizatory, sondy, obiektywy – wszystkie czujniki, które poprzednio chaotycznie sterczały z różnych bloków maszyny-matki. Założenie było następujące: żywy obiekt, umieszczony w kamerze, myszkuje, pasie się, walczy z sobie podobnymi albo po prostu porusza się otoczony siecią czujników, które przekazują maszynie informację niezbędną do syntezy.

Żywe obiekty, czyli króliki, po dzień dzisiejszy spokojnie chrupią wczesną inspektową kapustę w klatkach na korytarzu. Między mną a dublem nieustannie wynikały spory – kto ma się nimi zajmować?

Dostałem je od bioników za oscylograf pętlicowy i lampę generacyjną GI-250. Jeden z królików (albinos Waśka) ma na głowie coś w rodzaju korony z brązu, utworzonej przez wszczepione w głąb czaszki elektrody do zapisu elektroencefalogramu.

Siódmego maja zdarzył się drobny, ale przykry incydent. Zwykle dość dokładnie koordynowaliśmy wszystkie sprawy, tak żeby nie pokazać się razem w obecności innych i nie powtarzać się. Ale ta przeklęta pracownia aparatury naukowej każdego by wyprowadziła z równowagi!

Jeszcze zimą złożyłem tam zamówienie na uniwersalny układ czujników biologicznych. Przygotowałem rysunki techniczne, schemat montażowy, pobrałem z magazynu wszystkie potrzebne materiały i detale; pozostał tylko montaż. A oni do tej pory nic nie zrobili! Układ jest niezbędny do uruchomienia kamery, a nie zanoszą się na to, abyśmy go dostali w najbliższym czasie... Rzecz w tym, że kierownicy tej pracowni zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jeden przekazuje sprawę, drugi przyjmuje, oczywiście w takich warunkach trudno pracować. Później nowy kierownik zapoznaje się z sytuacją, przeprowadza reformy i zmiany organizacyjne (nowa miotła dobrze miecie) – i nadal nikt nie pracuje. Tymczasem rozwścieczeni pracownicy innych oddziałów awanturują się, wreszcie idą ze skargą do Azarowa – i nowy kierownik przekazuje sprawę następnemu, który... i wszystko zaczyna się od początku. Oddziaływałem również bezpośrednio na majstrów, starałem się przekupić ich spirytusem, kombinowałem dla nich deficytowe tranzystory P657 do kieszonkowych odbiorników. Wszystko na próżno.

Wreszcie rezerwy kandydatów na stanowisko kierownika tej pechowej pracowni wyczerpały się i zabrał się do niej Chiłobok. Nie na piękne oczy, a na pół etatu, rzecz jasna.

To jest właśnie cały Chiłobok – będzie kierował czymkolwiek, organizował cokolwiek, kręcił się, koordynował – byle tylko nie stanąć oko w oko z przyrodą, z tymi przerażającymi przyrządami, którym nie można nic nakazać ani zakazać, a które wskazują to, co jest i na „czym trzeba się znać.

Tego dnia ponownie zadzwoniłem do majstra Gawruszczeni. Znowu usłyszałem mętne głędzenie o braku przewodu montażowego, o łączówkach. Wściekłem się ostatecznie i popędziłem zrobić awanturę Chiłobokowi.

W zapale nie zauważyłem, że docent jest jakby oszołomiony, i wygarnąłem mu wszystko. Zagroziłem, że zamówienie przekażę uczniom i w ten sposób ostatecznie skompromituję pracownię...

Po powrocie zastałem swego kochanego dubla – chodził po pokoju dla uspokojenia wzburzonych nerwów. Okazało się, że pięć minut przede mną był u Chiłoboka i przeprowadził z nim dokładnie taką rozmowę.

Uff... dobrze chociaż, żeśmy się tam nie spotkali.

Zdecydowaliśmy, że w pierwszych doświadczeniach obejdziemy się bez układu. Dla królików wystarczą te czujniki, które już mamy. A kiedy znowu zajmiemy się obiektem homo sapiens... może wtedy pojawi się już w pracowni aparatury naukowej jakiś sensowny kierownik.

Rada Naukowa zebrała się 16 maja. W przeddzień, wieczorem, jeszcze raz przemyśleliśmy, o czym należy, a o czym nie należy mówić. Zdecydowaliśmy omówić i uzasadnić teoretycznie

pierwotną koncepcję, że maszyna elektronowa, wyposażona w przełączające się losowo elementy, może i powinna zmienić swoją strukturę pod wpływem dowolnej informacji. Praca stanowić będzie doświadczalną próbę weryfikacji tej koncepcji. Dla określenia granic, do jakich maszyna może dojść w konstruowaniu samej siebie, niezbędne są takie a takie urządzenia, materiały, przyrządy – wykaz w załączeniu.

– Dla wstępnego przygotowania umysłów, a także dla działu zaopatrzenia powinno wystarczyć – powiedziałem. – Dobrze, więc tak to zreferuję.

– A dlaczego właściwie ty? – dubel bojowo uniósł prawą brew. – Do sprzątania po królikach to ja, a na Radę Naukową – ty? Cóż to za dyskryminacja sztucznych ludzi! Żądam losowania!

...I tak się stało, że bez powodu oberwałem naganę za nietaktowne zachowanie się podczas posiedzenia Rady Naukowej Instytutu oraz za impertynencję w stosunku do profesora, doktora nauk technicznych H. Woltampernowa».

Nie, to naprawdę przykre. Żeby to choć na mnie rzucił się eks-orzeł elektroniki lampowej, zasłużony działacz w zakresie nauki i techniki, doktor nauk technicznych, profesor Hipolit Woltampernow (ach, czemu nie zostałem konferansjerem!) ze słowami: «A czy wiadomo inżynierowi Kriwoszeiniowi, który proponuje nam powierzenie maszynie, aby dowolnie, że tak powiem, bez steru i żagla, jak jej się podoba, konstruowała siebie, czy wiadomo mu, jaki ogromny i, pozwolę sobie powiedzieć, przemyślany – tek, właśnie przemyślany! – wysiłek wkładają najbardziej wykwalifikowani specjaliści naszego Instytutu w projektowanie urządzeń liczących? W opracowanie

bloków tych urządzeń! I elementów tych układów?! A czy ma pojęcie wulgaryzujący tu przed nami zagadnienie inżynier choćby o metodyce, że tak powiem, optymalnego projektowania triggera na lampie 6N5? I czy nie wydaje się inżynierowi Kriwoszeiniowi, że swoimi domniemaniami, jakoby maszyna, że tak powiem, miałyby dać sobie radę z optymalnym konstruowaniem lepiej niż specjaliści, że tymi domniemaniami znieważa znaczną liczbę pracowników naszego Instytutu, wykonujących, pozwolę sobie powiedzieć, ważne dla gospodarki narodowej zadania? Czy inżynier mógłby mi odpowiedzieć na pytanie, co to da...» – przy czym za każdym razem słowo «inżynier» brzmiało w profesorskich ustach jak coś pośredniego pomiędzy «student» a «sukinsyn».

Żeby to choć ja w swojej odpowiedzi przypomniał szanownemu profesorowi, że widocznie podobnego typu odczucia kierowały jego piórem w przeszłości, gdy pisał swoje demaskatorskie artykuły o «reakcyjnej pseudonauce cybernetyce», a później zmiana kierunku wiatru zmusiła go do zajęcia się pracą. Jeżeli profesor obawia się, że w przypadku zrealizowania mojej koncepcji zostanie bez pracy, to bezpodstawnie, w ostateczności zawsze może powrócić do paranaukowej publicystyki. I w ogóle czas już zrozumieć, że postęp w nauce osiąga się przez rzeczowe dyskusje, a nie za pomocą demagogicznych naskoków cynicznych krzykaczy...

Właśnie po tych, utrwalonych w stenogramie z posiedzenia słowach Woltampernow zaczął kurczowo ziewać i gorączkowo sięgać do górnej kieszeni marynarki.

Ależ, obywatelu, przecież to nie byłem ja! Referat wygłaszał stworzony dokładnie według proponowanej metodyki mój sztuczny

sobowtór... Potem przez trzy dni chodził zły i zmieszany.

Ale właściwie można go zrozumieć.

Przypadkiem jednak w tej samej chwili, kiedy podpisana przez Azarowa nagana dotarła do kancelarii, w pobliżu znalazłem się właśnie ja. I to do mnie przy licznych audytorium zawołała, wyjrawszy przez drzwi, nieokrzesana kierowniczką kancelarii Agłaja Garaża.

– Towarzyszu Kriwoszejn, tu jest dla was nagana! Wejdźcie i pokwitujcie!

A ja potulnie wszedłem i pokwitowałem... Czyż to nie pech?

Zresztą co tam nagana. Najważniejsze, że temat został zatwierdzony! Popierał go sam Azarow. «Interesująca koncepcja – powiedział – i dość prosta, można spróbować.» «Ale przecież to zadanie się nie algorytmuje, panie profesorze» – sprzeciwił się docent Pryszczepa, najbardziej ortodoksyjny matematyk w naszym Instytucie. «To co, jak się nie algorytmuje, to znaczy, że go nie ma? – odparował profesor. (Słuchajcie, słuchajcie!) – W naszych czasach algorytm poszukiwania naukowego nie ogranicza się do zbioru reguł logiki formalnej.» No, no! Przecież Azarow zawsze patrzył niechętnym okiem na poszukiwania losowe – o tym to wiem dobrze. Co to może znaczyć? Czyżby dubel pokonał go logiką swojego referatu? A może w psychice szefa zrodziła się wreszcie naukowa tolerancja? Jeśli tak, to dogadamy się z nim.

Słowem, było osiemnaście «za», jedno (Woltampernow) «przeciw». Ostrożny Pryszczepa wstrzymał się od głosu. Dubel, jako nie posiadający stopnia ani tytułu naukowego, w głosowaniu udziału nie brał. Nawet Chiłobok głosował za. On również wierzy w powodzenie naszej pracy. Dobrze, Harry, nie nawalimy!

Przy okazji dubel przyniósł wstrząsającą nowinę – Chiłobok pi-sze pracę habilitacyjną!

– A na jakiz to temat?

– Temat utajniony. Rada Naukowa przyjęła porządek dzienny następnego posiedzenia, w którym był punkt «Ocena pracy na uzyskanie stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk technicznych H. Chiłoboka». Temat tajny, więcej – ściśle tajny. Jak widzisz, siedzimy w pracowni, a życie naukowe toczy się mimo nas.

– Temat tajny, to znakomite! – Odłożyłem z wrażenia lutownicę. Byliśmy w pracowni, montowaliśmy czujniki w kamerze. – Spryciarz! Ani jawnych publikacji, ani audytorium na obronie... tss, towarzysze, ściśle tajne! Wszyscy go obchodzą i zawczasu czują szacunek.

Wiadomość dotknęła mnie do żywego. Ja doktoratu nie mogę zrobić, a z tego robią docenta. I robią, technika znana: bierze się opracowywany (albo już opracowany) gdziekolwiek układ albo konstrukcję, owija się to w kompilacyjny bełkot z wykorzystaniem tajnych źródeł. Za rękę nikt go nie złapie...

– E, co tam. W końcu nie on pierwszy i nie ostatni! – zabrałem się znowu do lutowania. – Jeszcze nad nim się zastanawiać... mamy dość własnej pracy.

– Do tego jeszcze głosował za naszym tematem – podtrzymał mnie dubel. – Swój chłop! Oczywiście, można by spróbować go... tego... ale czy warto?

W ogóle było nam odrobinę nijako. Zawsze czuję się nijako, gdy obserwuję sukcesy pnącego się w górę cwaniaka. Odczuwam wtedy niezadowolenie i zaczynam gardzić sobą za «roztropną» bierność... Ale przecież rzeczywiście – gra nie warta świeczki. Mamy

przed sobą poważną pracę, a moja pozycja jest niezbyt mocna. Czy warto się mieszać? W dodatku zaczynać z Chiłobokiem... Kiedyś próbowaliśmy z Iwanowem przyłapać go na plagiacie. Walerka wystąpił na seminarium i wszystko wykazał. Jedynym sukcesem było to, że Rada Naukowa poleciła Chiłobokowi przepracować artykuł. Ależ dał nam potem szkołę...

I w ogóle te towarzyskie mordobicia z wciąganiem osób postronnych, rozróby, po których ludzie przestają się sobie kłaniać, to nie dla mnie. Kiedy dzieje się coś takiego, mam nieprzepatą ochotę uciec do laboratorium, włączyć przyrządy, notować wyniki pomiarów i w ten sposób przynosić jakiś pożytek... Żeby to można było chiłoboków zwalczać metodą laboratoryjną, wysiłkiem myśli inżynierskiej...

A warto by się zastanowić. Fakt, że woltampernowie i chiłobokowie wyjeżdżają na szeroki trakt nauki, świadczy o wyraźnym niedoborze mądrych ludzi. I to w nauce, gdzie intelekt jest podstawowym kryterium wartości człowieka. A gdzie indziej? Wywiesza się ogłoszenia: «Potrzebni tokarze...», «Poszukuje się inżynierów i techników, księgowych i zaopatrzeniowców...» A nikt nie napisze: «Potrzebni mądrzy ludzie. Mieszkanie zapewnione». Wstydzą się, czy co? A może nie mają mieszkań? Na początek można by i bez mieszkań... Przecież nie da się ukryć, że mądrzy ludzie są naprawdę potrzebni! I w grupie A, i w grupie B, i w nadbudowie. Są niezbędnymi do życia i rozwoju społeczeństwa.

– Trzeba... dublować mądrych ludzi! – wypaliłem. – Mądrych, energicznych, przywoitych! Ach, Walka, to murowane zastosowanie naszego odkrycia!

Spojrzał na mnie z nie skrywaną zawiścią.

– Ubiegł mnie, szelma...

– I dla tych ludzi będzie to jakby nagroda za życie – ciągnąłem.

– Jesteś potrzebny społeczeństwu, pracujesz twórczo, żyjesz uczciwie – dobrze, stworzymy jeszcze jeden egzemplarz! Albo nawet kilka, pracy starczy dla wszystkich. Wtedy chiłobokowie będą musieli się usunąć...

Myśl ta przywróciła nam szacunek do siebie. Znowu poczuliśmy się na wysokości zadania i przez cały ten dzień marzyliśmy o tym, jak będziemy rozmnażać utalentowanych uczonych, pisarzy, muzyków, wynalazców, bohaterów... To była niezła myśl!"

Rozdział siódmy

Fakt naukowy dźwięk „a” wymawia się bez napinania mięśni języka, po prostu dzięki samemu wydechowi. Jeżeli przy tym zamyka się i otwiera usta, uzyskuje się dźwięk: „ma...ma...” Takie jest pochodzenie pierwszego słowa dziecka.

Wynika z tego, że niemowlę idzie po linii najmniejszego oporu. Z czego więc cieszą się rodzice?

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 53

„Przez pierwsze tygodnie patrzyłem mimo wszystko na dubla z obawą – a nuż nagle rozpadnie się, rozsypie, zwariuje? Ostatecznie jest sztuczny, nic nie wiadomo... Ale gdzie tam! Wieczorami, zmęczony

pracą w laboratorium, łączywie żarł kielbasę z kefirem, z przyjemnością pluskał się w wannie, lubił zapalić przed snem, zupełnie jak ja.

Po incydencie z Chiłobokiem co rano dokładnie uzgadnialiśmy, gdzie który z nas pójdzie, czym się będzie zajmował, w jakiej kolejności pójdziemy da stołówki. Doszło nawet do tego, że ustaliliśmy, o której godzinie każdy z nas ma przechodzić przez portiernię, żeby Wachtiorycz zdążył zapomnieć, że jeden Kriwoszejn już przechodził. Wieczorami opowiadaliśmy sobie o spotkaniach i rozmowach.

Tylko o Lenie nie mówiliśmy. Tak jak gdyby jej nie było. Nawet jej fotografię schowałem do szuflady. A ona obrażona nie dzwoniła ani nie przychodziła do mnie. i ja nie dzwoniłem. I on też nie dzwonił... Ale Lena mimo wszystko istniała.

A maj uciekał, poetyczny południowy maj – z błękitnymi wieczorami, ze słowikami w parku i wielkimi gwiazdami nad koronami drzew. Osypały się świeczniki kasztanów, w parku zakwitła akacja. Jej słodki, odurzający zapach przenikał do pracowni, rozpraszał nas. Czuliśmy się obaj pokrzywdzeni. Ach, Leno, ukochana, gorąca, czuła, zapamiętała w miłości Leno, czemu ty jesteś tylko jedna?

No proszę, jakie młodzieńcze uczucia wzbudziło we mnie pojawienie się dubla-rywala! Dotychczas był to zwyczajny związek dwojga doświadczonych przez życie (ludzi. (Lena rok temu rozwiodła się. Ja przeżyłem kilka lirycznych rozczarowań, po których zdecydowanie postanowiłem pozostać kawalerem.) Taki związek rodzi się w wyniku nie tyle wzajemnego pociągu, ile z samotności. W takim związku nikt nie oddaje się partnerowi całkowicie.

Z przyjemnością spotykaliśmy się, staraliśmy się interesująco spędzać czas. Ona pozostawała u mnie albo ja u niej. Rano czuliśmy się trochę skrępowani i rozstawali się z ulgą. Później mnie znowu

ciągnęło do niej, ją do mnie... itd. Zachwyciałem się jej urodą (pochlebiało mi, gdy mężczyźni patrzyli na nią na ulicy lub w restauracji), ale nierzadko nużyły mnie rozmowy z nią. A ona... któż rozumie duszę kobiety?! Często miałem wrażenie, że Lena oczekuje ode mnie czegoś wielkiego, ale nie starałem się zrozumieć, czego właściwie... A teraz, kiedy zacząłem się obawiać, że mogę Lenę stracić, poczułem nagle, że jest mi niezwykle potrzebna, że bez niej moje życie stanie się puste. Wszyscy tacy jesteście!

Tymczasem montaż kamery posuwał się. W skomplikowanej pracy ważne jest, aby się wzajemnie rozumieć. Pod tym względem było idealnie. Nie potrzebowaliśmy wyjaśniać sobie niczego. Po prostu jeden zastępował drugiego i prowadził dalej montaż. Nie posprzecaliśmy się ani razu, jak ustawiać czujniki, gdzie umieszczać przełączniki i ekrany.

– Słuchaj, czy ciebie nie niepokoi ta nasza idylla? – zapytał kiedyś dubel zmieniając mnie w pracy.. – Żadnych pytań, żadnych wątpliwości. Jak tak dalej pójdzie, to i w pomyłkach będziemy wykazywać pełną zgodność poglądów.

– Cóż zrobić! Mamy przecież cztery ręce, cztery nogi, dwa żołądki, ale tylko jedną głowę na dwóch – jednakowe wiadomości, jednakowe doświadczenie życiowe...

– Bywało tak, że nie zgadzaliśmy się ze sobą!

– Po prostu wspólnie rozmyślaliśmy. Spór można prowadzić nawet z samym sobą. Myśli człowieka to tylko możliwe warianty postępowania, często ze sobą sprzeczne. Ale postępować chcemy jednakowo.

– Ta-ak – powiedział dubel w zamyśleniu. – To wszystko na nic! Teraz nie pracujemy, ale bezmyślnie orzemy: dodatkowa para rąk oznacza zwiększenie wydajności pracy. A nasze główne zajęcie to

przecież myślenie. I w tym... Słuchaj no, ty pierwowzorze, trzeba, żebyśmy się zaczęli różnić!

Nie wyobrażałem sobie, do jak poważnych następstw doprowadzi ta niewinna rozmowa. A następstwa, jak to się mówi, nie kazały na siebie długo czekać.

Zaczął się od tego, że dubel kupił na straganie z książkami, w pobliżu Instytutu, podręcznik fizjologii człowieka dla studentów wyższych szkół wychowania fizycznego. Nie podejmuję się odgadnąć, czy rzeczywiście postanowił stać się odmiennym ode mnie, czy też podobała mu się jasnozielona okładka ze złotym tłoczeniem, ale zaledwie otworzył książkę, zaczął mamrotać: «O, cholera!», «No, no...» – jak gdyby czytał pasjonujący kryminał, a potem zaczął nękać mnie pytaniami.

– Wiesz, że komórki nerwowe osiągają długość do jednego metra?

– Wiesz, czym kieruje układ nerwowy współczulny?

– Wiesz, co to jest hamowanie pozakresowe?

Oczywiście, nie wiedziałem. A on z całą żarliwością neofity tłumaczył, że układ współczulny reguluje czynności narządów wewnętrznych, że hamowanie pozakresowe rozwija się w komórkach nerwowych, kiedy siła bodźca przekracza dopuszczalną granicę...

– Rozumiesz, komórka nerwowa może przestać reagować na silny bodziec, aby nie ulec uszkodzeniu! Tranzystory tego nie potrafią!

Następnie nakupił całą masę książek i czasopism biologicznych, czytał je zapamiętane, cytował fragmenty, które mu się bardziej podobały, i obrażał się, że nie podzielam jego zachwyków... A dlaczego właściwie miałbym się zachwycać!”

Doktorant Kriwoszein odłożył dziennik. Tak, właśnie tak się wszystko zaczęło. Wśród suchych akademickich tekstów biologicznych książek i prac naukowych niespodziewanie odczuł to z e t k n i ę c i e z i s t o t ą r z e c z y , które wcześniej przeżywał tylko czytając dzieła wielkich pisarzy; kiedy, wnikając w przeżycia i uczynki wymyślonych postaci, nagle dowiadywał się czegoś o sobie samym. Wtedy nie uświadamiał sobie, dlaczego wiadomości z zakresu fizjologii tak do niego przemówiły. Ale rozczarowało go bardzo, że Kriwoszein-pierwowzór odniósł się do tego obojętnie. Jak to? Przecież byli jednakowi, a więc i to powinni przyjmować tak samo... A więc on, sztuczny Kriwoszein, jest i n n y ?

Był to pierwszy sygnał.

„...Po tym, jak siedząc nad książką do świtu, dwukrotnie zaspał i spóźnił się do pracy, nie wytrzymałem.

– Zainteresowałbyś się mineralogią albo ekonomią produkcji, jeżeli już tak bardzo chcesz być i n n y ! Przynajmniej chodziłbyś normalnie spać.

Rozmowa toczyła się w pracowni, gdzie dubel pojawił się o godzinie pierwszej w południe, zaspany i nie ogołony. Ja zdążyłem się oskrobać. Taka niezgodność wystarczyłaby, żeby zaskoczyć znajomych w Instytucie.

Zdziwiony spojrział na mnie z góry.

– Powiedz, co to za ciecz? – zapytał wskazując zbiornik. – Co się w niej znajduje?

– Związki organiczne, a bo co?

– Nie najlepiej. A do czego maszynie-matce był potrzebny amoniak i kwas fosforowy? Pamiętasz, maszyna wystukiwała wzory i

ilości, a ty latałeś jak szalony po sklepach i kupowałeś. Nie wiesz, po co? Mogę ci wyjaśnić: do syntezy kwasu adenozyntrojfosforowego i fosfokreatyny – źródeł energii mięśniowej. Teraz już wiesz?

– Wiem. A benzyna? A rodanek wapniowy? A fiolet metylowy? A jeszcze ze trzysta innych odczynników?

– Na razie nie wiem. Trzeba studiować biochemię...

– Aha... To teraz ja ci wyjaśnię, po co zdobywałem te wszystkie świństwa: spełniałem logiczne warunki eksperymentu, przestrzegałem reguł gry i tyle. Nic nie wiedziałem o tym twoim superfosfacie. A maszyna też na pewno nie wiedziała, że wzory, które wystukiwała w kodzie dwójkowym, tak się mądrze nazywają, dlatego że przyroda składa się nie z nazw, lecz ze związków o określonej strukturze. Niemniej jednak żądała amoniaku, kwasu fosforowego i cukru, a nie wódki czy strychniny. Własnym rozumem, bez podręczników doszła do tego, że wódka to trucizna. Ciebie zresztą zbudowała nie według podręczników czy encyklopedii medycznej, ale zgodnie z prawami przyrody...

– Niepotrzebnie tak się rzucasz na biologię. W niej właśnie jest to, co nam jest potrzebne – wiadomości o życiu, o człowieku. Na, przykład... – bardzo chciał mnie przekonać, widać to było z jego zapału – czy wiesz, że odruchy warunkowe powstają tylko wtedy, gdy bodziec warunkowy poprzedza bezwarunkowy? Przyczyna poprzedza skutek, rozumiesz? W układzie nerwowym przyczynowość świata jest utrwalona pełniej niż w pracach filozofów! W biologii używa się ściślejszych terminów niż w języku potocznym. No, jak to się pisze w powieściach? «Od nieuświadomionego lęku rozszerzyły mu się źrenice i szybciej, zaczęło bić serce». A cóż tu jest do uświadamiania, po prostu został pobudzony układ współczulny!

O, proszę... – pośpiesznie kartkował swoją zieloną biblię. – «...pod wpływem impulsów przebiegających w nerwach współczulnych zachodzi: a) rozszerzenie źrenicy wskutek skurczu włókien mięśnia promienistego tęczówki, b) przyspieszenie i zwiększenie siły skurczów serca...» O, to już bliższe prawdy, co?

– Nie ma dwóch zdań, że bliższe, tylko o ile? Czy nie sądzisz, że gdyby biolodzy doszli do poważnych osiągnięć w swojej dziedzinie, to oni zsyntetyzowałiby człowieka, a nie my?

– Ale na podstawie ich wiedzy możemy go zanalizować.

– Zanalizować! – Przypomniałem sobie «streptocydowy strip tease...», swoje bezpłodne, graniczące z szaleństwem wysiłki, ognisko z taśm perforowanych – i poniosło mnie. – Dobra! Rzucamy robotę, wkuwamy wszystkie podręczniki i poradniki recepturowe, nauczymy się mnóstwa terminów, dojdziemy do stopni naukowych, łysin i za trzydzieści lat powrócimy do naszej pracy po to, żeby poprzyklejać etykiety! To fosfokreatyna, to białko roślinne... sto miliardów nazw. Próbowałem już analizować twoje pojawienie się i zupełnie mi wystarczy. Diabli wiedzą, dokąd zaprowadziłyby nas ta analiza.

Jednym słowem, nie udało nam się porozumieć. Był to pierwszy przypadek, kiedy każdy z nas pozostał przy swoim zdaniu. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego on, inżynier, systemolog, elektronik... słowem, ja sam, zainteresował się biologią. Mamy przecież układ doświadczalny, jakiego w żadnej pracowni biologicznej się nie znajdzie; trzeba tylko przeprowadzać doświadczenia, porządkować wyniki i obserwacje, ustalać prawidłowości ogólne, właśnie ogólne, informacyjne! W porównaniu z tym biologia jest krokiem wstecz. Tak robią wszyscy. I tylko w ten sposób możemy nauczyć się, jak sterować maszyną-matką, przecież to jest przede wszystkim maszyna

informacyjna. Spory ciągnęły się przez następne dni. Gorączkowaliśmy się, atakowali wzajemnie. Obaj przytaczaliśmy argumenty dla poparcia własnych poglądów.

– Technika nie powinna kopiować przyrody, ale ją uzupełniać. Chcemy dublować porządnych ludzi. A jeżeli taki człowiek jest kulawy? Albo stracił rękę na froncie? Albo ma zniszczone zdrowie? Przecież na ogół wartość człowieka w społeczeństwie poznaje się, gdy jest on w dojrzałym wieku, a często jeszcze później – i zdrowie już nie takie, i psychika... I co, wszystko to mamy kopiować?

– Nie. Należy wynaleźć sposób naprawiania tych defektów w dublach. Żeby byli zdrowi, świetnie zbudowani, piękni...

– No widzisz!

– Co «widzisz»?

– No przecież, żeby poprawiać duble, musimy mieć informację biologiczną o prawidłowej budowie ciała, o przyzwoitym wyglądzie zewnętrznym. Biologiczną!

– A tego to już nie rozumiem. Jeżeli maszyna bez żadnego przygotowania biologicznego syntetyzuje całego człowieka, to po co jej ta informacja, gdy będzie budowała część człowieka? Przecież opierając się na biologii nie zbudujesz ani człowieka, ani jego ręki... Dziwaku, czy ty nie rozumiesz, że nie możemy wnikać we wszystkie szczegóły budowy organizmu ludzkiego? Nie możemy, zagubimy się w tym, przecież tych szczegółów są nieprzeliczone miliardy i nie ma nawet dwu jednakowych ludzi! Przyroda nie pracuje według norm przemysłowych. Dlatego poprawianie dubli powinno sprowadzać się do dostrajania maszyny-matki według uogólnionych cech zewnętrznych... mówiąc po prostu do regulacji pokrętłami!

– No, wiesz! – dubel rozkładał ręce i odchodził.

Ja też rozkładałem ręce i odchodziłem w innym kierunku.

Ta sytuacja zaczynała nam działać na nerwy. Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Rozbieżność poglądów co do dalszej pracy to nic strasznego; ostatecznie można próbować i tak, i owak, a wyniki rozstrzygną, kto miał rację. Niepojęte było, że my nie rozumieliśmy się! My – dwaj informacyjnie identyczni ludzie. Czy istnieje wobec tego w ogóle obiektywna prawda?

Zacząłem (wtedy, kiedy dubel pracował w laboratorium) zaglądać do zebranych przez niego dzieł biologicznych. Myślałem, że może naprawdę nie rozsmakowałem się w tej nauce, kierując się starą, sięgającą jeszcze czasów szkolnych niechęcią, a teraz przeczytam, zasmakuję i będę mamrotał z zachwytem: «No, no...» Ale nie, nie zasmakowałem. Nie ulega wątpliwości, że ta interesująca nauka zawiera dużo pouczających szczegółów (ale tylko szczegółów!) o pracy ustroju, że jest dobra dla ogólnego rozwoju, ale to nie to, czego potrzebujemy. Jest opisowa i nieprecyzyjna, jak geografia. Co on w niej widzi?

Jestem inżynierem; to wszystko wyjaśnia. Przez dziesięć lat pracy moja psychika zżyła się z maszynami i wśród nich czuję się pewnie. W maszynach wszystko podlega władzy rozumu i rąk, wszystko jest określone: tak to «tak», nie to «nie». A u ludzi jest inaczej: «Tak, ale...» – po czym następuje zdanie, przekreślające to «tak». A przecież dubel jest mną.

Unikaliśmy już tego męczącego sporu, pracowaliśmy w milczeniu. Może wszystko się jeszcze ułoży i zrozumiemy się nawzajem... Kamera informacyjna była prawie gotowa. Jeszcze dzień lub dwa i będzie można wpuścić do niej króliki. I wtedy zdarzyło się to, co wcześniej czy później musiało się zdarzyć: w laboratorium zadzwonił telefon.

Telefon dzwonił i przedtem. «Panie inżynierze, proszę do pierwszego czerwca dostarczyć wykaz zużytych odczynników, bo będziemy musieli wstrzymać wydawanie nowych z magazynu!» – to z księgowości. «Towarzyszu Kriwoszejn, wpadnijcie na pierwszy oddział» – od Johanna Klappa. «Staruszk, pożycz akumulator srebrowo-niklowy na tydzień!» – prosił miły chłopak, Fenia Zagrebniak. I tak dalej. Ale to był zupełnie inny telefon. Na twarzy dubla, gdy tylko podniósł słuchawkę i powiedział: «Słucham, Kriwoszejn», pojawił się wyraz cielejącego szczęścia.

– Tak, Lenko – nie powiedział, ale zagruchał. – Tak... No, co ty, malutka, nie, oczywiście... codziennie o każdej porze!

Z płaskoszczypami w ręce zamarłem obok kamery. W mojej obecności uwodzono moją ukochaną kobietę. Ukochaną! Teraz wiedziałem o tym doskonale. Zrobiło mi się gorąco. Kaszlnąłem ochryple. Dubel podniósł na mnie zamglone, nieprzytomne spojrzenie i opamiętał się. Spochmurniał.

– Sekundę, Lena... – i podał mi słuchawkę. – Masz. To właściwie do ciebie.

Chwyliłem słuchawkę i zawołałem:

– Słucham, Lenoczka, słucham...

Opis tego, o czym z nią rozmawiałem, jest zresztą zbędny. Okazało się, że wyjeżdżała w delegację i wróciła dopiero wczoraj. Oczywiście przykro jej było z powodu świąt. Czekala na mój telefon...

Kiedy odłożyłem słuchawkę, dubla w pracowni nie było. Ja też straciłem ochotę do pracy. Zamknąłem budynek i pogwizdując poszedłem do domu, ogolić się i przebrać.

Dubel pakował walizkę.

– Dokąd?

– Na wieś do ciotki, w głąszę, do Saratowa! Do Władystoku, zlizywać bryzgi! Nie twoja sprawa.

– Nie, bez żartów, dokąd? O co chodzi?

Podniósł głowę, popatrzył na mnie spode łba.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz, o co chodzi? No cóż, jasne, nie jesteś mną.

– Nie, dlaczego? Przecież ty jesteś mną, a ja jestem tobą. W każdym razie taka była sytuacja wyjściowa.

– Cała rzecz w tym, że nie – zapalił papierosa, zdjął z półki książkę. – «Wstęp do systemologii» biorę, ty będziesz mógł korzystać z biblioteki... Ty jesteś pierwszy, a ja drugi. Ty się urodziłeś, rosteś, rozwijałeś się, zająłeś jakieś miejsce w życiu. Każdy człowiek zajmuje jakieś miejsce w życiu, dobre czy złe, ale swoje własne. A dla mnie miejsca nie ma. Zajęte! Wszystko zajęte – i ukochana kobieta, i stanowisko służbowe, i tapczan, i mieszkanie...

– To śpij, do cholery, na tapczanie, czy ja cię wypędzam?

– Nie gadaj głupstw, nie chodzi o tapczan!

– Słuchaj, jeżeli to z powodu Leny, to... może jeszcze poeksperymentujemy i... możemy chyba sobie na to pozwolić?

– Stworzyć drugą Lenę, sztuczną? – uśmiechnął się ponuro. – Po to, żeby i ona drżała przez całe życie jak pasażer bez biletu... Nagroda za życie – też wymyśliliśmy, idioci! Najlepsi uczniowie w społeczeństwie zamiast medali dostają w nagrodę człowieka, takiego samego jak oni, tylko bez miejsca w życiu. Nie ma co, genialny pomysł. Ze mną nie będzie tak źle, jakoś się urządzę. A ci najlepsi uczniowie są rozpieszczeni i kapryśni. Wyobraź sobie na przykład dubla Azarowa – bez instytutu, którym kieruje, bez uposażenia, bez członkostwa Akademii, bez samochodu i bez mieszkania. Zupełnie bez niczego, tylko z zaletami osobistymi i miłymi wspomnieniami.

Co by się z nim stało? – Włożył do walizki ręcznik, szczoteczkę do zębów i pastę. – Jednym słowem, mam tego dość. Nie mogę dłużej prowadzić takiego podwójnego życia, obawiać się, żeby nas ktoś nie przyłapał, rozglądać się podejrzliwie w stołówce, brać twoje pieniądze, tak, właśnie t o j e pieniądze, zazdrościć ci Leny... Za jakie grzechy mam się tak męczyć? Jestem człowiekiem, a nie egzemplarzem doświadczalnym ani czymś tam dublem!

– A co będzie z pracą?

– A czy ja mówię, że chcę zostawić pracę? Kamera prawie gotowa, doświadczenia możesz prowadzić sam. Tutaj pożytku ze mnie niewiele, przecież mamy «jedną głowę na dwóch». Wyjadę, zajmę się zagadnieniem «człowiek a maszyna» od innej strony...

Przedstawił swój plan. Wyjeżdża do Moskwy na studia doktoranckie na Wydziale Biologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Praca pójdzie dwoma torami – ja badam maszynę-matkę i określam jej możliwości, on będzie badał człowieka i jego możliwości. Później – już odmiennie, z różnym doświadczeniem i różnymi koncepcjami – będziemy kontynuować pracę wspólnie.

– Ale dlaczego akurat biologia? – nie wytrzymałem. – Dlaczego nie filozofia, nie socjologia, nie psychologia albo na przykład literatura piękna? Przecież i one traktują o człowieku i społeczeństwie ludzkim. Dlaczego biologia?

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

– Wierzysz w intuicję?

– No, powiedzmy.

– No więc intuicja mi mówi, że jeżeli zlekceważymy badania biologiczne, to pominiemy coś bardzo ważnego. Nie wiem jeszcze konkretnie, co. Przez ten rok postaram się zrozumieć.

– A dlaczego moja intuicja nic takiego mi nie mówi?

– Licho cię wie, dlaczego! – westchnął znowu wymownie. Wracił mu dobry nastrój. – Może po prostu jesteś głupi jak but...

– No tak, oczywiście. A ty za to jesteś rozgarnięty jak ten pies, który wszystko odczuwa, tylko nie może tego wypowiedzieć!

Jednym słowem, pogadaliśmy sobie. Wszystko jest jasne – on powinien gromadzić indywidualną informację, stawać się samym sobą. Można tak, że przyjąć, że w tym celu nie powinien być razem ze mną, tylko gdzie indziej. Szczerze mówiąc, to nasza «podwójna» sytuacja i mnie zaczęła ciążyć Ale z tą biologią... tutaj nie rozumiem go zupełnie...”

Doktorant odchylił się na oparcie krzesła. Przeciągnął się.

– I nie mógł zrozumieć – powiedział na głos. On sam jeszcze wtedy nie rozumiał siebie.

Rozdział ósmy

Zamiast motto:

– Tematem dzisiejszego wykładu będzie pytanie: dlaczego student poci się na egzaminie? Proszę o spokój! Radziłbym notować – temat jest objęty programem... A więc rozpatrzmy fizjologiczne aspekty sytuacji, którą wszyscy tu obecni znają z doświadczenia. Odbywa się egzamin. Student za pośrednictwem płuc, krtani, języka i warg wywołuje drgania powietrza – odpowiada na pytanie z kartki. Jego analizatory wzrokowe kontrolują prawidłowość odpowiedzi według notatek i reakcji egzaminatora. Naszkicujmy łańcuch odruchowy: aparat wykonawczy drugiego układu sygnalizacyjnego

wypowiada zdanie – narząd wzroku odbiera bodziec, wzmacniająca (skinienie głową) – sygnał zostaje przekazany do mózgu i podtrzymuje pobudzenie komórek nerwowych we właściwym obszarze kory. Następne zdanie – skinienie... i tak dalej. Nierzadko towarzyszy temu wtórna reakcja odruchowa – student gestykuje, co ma uczynić jego odpowiedź szczególnie przekonującą.

W tym samym czasie automatycznie, prawidłowo i swobodnie przebiegają łańcuchy odruchów bezwarunkowych. Mięsień kapturowy i najszerszy grzbietu utrzymują tułów studenta w pozycji wyprostno-siedzącej – równie właściwej nam, jak naszym przodkom pozycja wyprost na. Mięśnie piersiowe i międzyżebrowe zapewniają rytmiczny oddech. Pozostałe mięśnie są napięte tylko na tyle, aby przeciwdziałać sile ciężenia. Serce pracuje spokojnie, układ wegetatywny zwolnił procesy trawienia, aby nie rozpraszać studenta... Wszystko w porządku.

I oto poprzez błonę bębenkową, ucho środkowe i wewnętrzne student odbiera nowy bodziec dźwiękowy – egzaminator zadał mu dodatkowe pytanie. Nigdy nie mogę napatrzeć się na to, co dzieje się później, i zapewniam was, że robię to bynajmniej nie dla sadystycznej przyjemności. Po prostu przyjemnie patrzeć, jak szybko, dokładnie, korzystając z milionów lat doświadczenia przodków, układ nerwowy reaguje na najmniejszy sygnał „niebezpieczeństwa! Proszę spojrzeć: nowe drgania powietrza wywołują przede wszystkim zahamowanie poprzedniej czynności odruchowo-warunkowej. Student milknie, często w pół słowa. Tymczasem sygnały pochodzące z komórek receptora słuchowego docierają do pnia mózgu, wywołują pobudzenie neuronów w tylnych wzgórkach czworaczych, które sterują bezwarunkowym odruchem orientacyjnym – student zwraca głowę ku egzaminatorowi, który wydał dźwięk! Jednocześnie impulsy

nerwowe kierowane są do międzymózgowia, a stąd do płatów skro-
niowych kory mózgowej, gdzie zaczyna się pospieszna analiza ode-
branych dźwięków akustycznych.

Chciałbym zwrócić uwagę na wysoką celowość takiej lokalizacji
obszarów słuchowych w korze mózgowej – w pobliżu uszu. Ewolu-
cja uwzględniła tutaj fakt, że dźwięk rozchodzi się w powietrzu
bardzo powoli – około trzystu metrów na sekundę, z szybkością
porównywalną z przebiegiem impulsów wzdłuż włókien nerwo-
wych. A przecież dźwięk może być spowodowany przez skradające-
go się tygrysa, może to być syczenie żmii albo – w naszych czasach
– odgłos samochodu, który wyjechał nagle zza węgła. Nie można
stracić ani ułamka sekundy na przewodzenie impulsów w mózgu!

Ale w tym przypadku student usłyszał nie skradanie tygrysa, ale
zadane spokojnym tonem pytanie. Eche! Niektórzy, być może, wole-
liby usłyszeć tygrysa! Nie muszę chyba wyjaśniać, że pod czas eg-
zaminu pytanie odbierane jest jako sygnał niebezpieczeństwa. Prze-
cież niebezpieczeństwo – w szerokim znaczeniu tego słowa – to
przeszkoda na drodze ku postawionemu celowi. W naszej ucywili-
zowanej epoce stosunkowo rzadko stykamy się z niebezpieczeń-
stwami, zagrażającymi podstawowym celom egzystencji człowieka –
zachowaniu zdrowia i życia, przedłużeniu gatunku, zaspokajaniu
głodu i pragnienia. Dlatego na pierwszy plan wysuwają się niebez-
pieczeństwa drugiego rzędu: zagrożenie godności, szacunku dla
„samego siebie, groźba utraty stypendium, możliwości uczenia się i
w następstwie zajęcia się interesującą pracą i tym podobne... Tak
więc reakcja bezwarunkowa na niebezpieczeństwo udała się studen-
towi znakomicie. Zobaczmy, jak sobie poradzi dalej.

Podczas wykładów z biochemii mówiono państwu o zadziwiają-
cej właściwości kwasu rybonukleinowego, obecnego we wszystkich

komórkach mózgu, mianowicie o zdolności do przegrupowywania układu zawartych w nim związków – tyminy, uracylu, cytozyny i guaniny pod wpływem czynności bioelektrycznej. Związki te to litery naszej pamięci. Ich sekwencjami zapisujemy w komórce nerwowej wszelkie informacje... Mamy więc obraz następujący: zanalizowane w płatach skroniowych kory pytanie wywołuje pobudzenie komórek nerwowych, zawiadujących w mózgu studenta myśleniem abstrakcyjnym. W sąsiednich okolicach kory, w odpowiedzi na pytanie powstają słabe impulsy: „Aha, coś o tym czytałem!” I oto pobudzenie koncentruje się na najbardziej obiecującej okolicy kory, ogarnia ją i – o zgrozo! – tam za pomocą tyminy, uracylu, cytozyny i guaniny w długich cząsteczkach kwasu rybonukleinowego zapisana jest taka oto informacja: „Losza, zostaw te notatki, potrzebujemy czwartego!” Proszę o ciszę.

I wtedy w mózgu zaczyna się cicha panika albo, mówiąc mniej obrazowo, uogólnione szerzenie się pobudzenia. Impulsy nerwowe pobudzają pola analizy logicznej (może uda się coś wykombinować!), komórki pamięci wzrokowej (a może coś takiego widziałem!) Wyostrza się wzrok, słuch, węch. Student z niezwykłą ostrością widzi płamę z atramentu na brzegu stołu, stos indeksów, słyszy szelest liści za oknem, czyjeś ciche kroki na korytarzu i nawet przygłuszony szept: „Słuchajcie, Aloszka wysiada...Ale nie dość na tym. Pobudzenie ogarnia wciąż nowe i nowe odcinki kory – niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo! – ogarnia okolice ruchowe kory, przenika do międzymózgowia, do rdzenia przedłużonego i wreszcie do rdzenia kręgowego... Przerwę teraz na chwilę tę dramatyczną opowieść, aby wyśpiewać hymn na cześć tego miękkiego białoszarego tworu półmetrowej długości, sięgającego w kanale kręgowym aż do okolicy krzyżowej – na cześć rdzenia kręgowego.

Rdzeń kręgowy... Mylilibyśmy się głęboko, uważając go tylko za ogniwo pośrednie między mózgiem i nerwami obwodowymi, podporządkowane mózgowi, zdolne tylko do kierowania najprostszych czynnościami fizjologicznymi: Prawdę mówiąc, nie bardzo wiadomo, kto kim rządzi! Rdzeń kręgowy jest starą strukturą, jeszcze bardziej godną szacunku niż mózg. Służył człowiekowi już wtedy, gdy głowa nie była na tyle rozwinięta, aby go można było nazwać człowiekiem. Rdzeń kręgowy przechowuje w sobie pamięć o paleozoiku, kiedy jaszczury – nasi dalecy przodkowie – brodziły, pełzały i latały wśród gigantycznych paprotników; o kenozoiku – erze pojawienia się pierwszych małp. Przechowuje w sobie zebrane i sprawdzone przez miliony lat walki o byt połączenia nerwowe i odruchy. Rdzeń kręgowy, można powiedzieć, jest ośrodkiem naszego rozumnego konserwatyzmu.

Nie da się zaprzeczyć, że w naszych czasach ten staruszek, który na skomplikowane wpływy współczesnej rzeczywistości umie reagować tylko z pozycji utrzymania życia i przedłużenia gatunku, nie ma takiego znaczenia, jak na przykład w erze mezozoicznej. Ale wpływa jeszcze na wiele spraw! Jestem gotów udowodnić, że to właśnie on często decyduje o naszych gustach filmowych i książkowych. Słucham? Nie, rdzeń kręgowy nie umie czytać ani nie dysponuje specjalnymi mechanizmami pozwalającymi mu na oglądanie filmów. Ale czemu tak często wybieramy powieści i filmy kryminalne, nawet jeśli są słabe? Dlaczego tak wielu z nas lubi historie miłosne – od anegdot i plotek do „Dekameronu” czytane na wrywki? Bo ciekawe? A dlaczego ciekawe? Dlatego właśnie, że trwale zapisane w rdzeniu kręgowym instynkty samoobrony i przedłużenia gatunku zmuszają nas do gromadzenia takich wiadomości, jak na przykład: od czego można zginąć – po to, by w razie czego móc się uratować. Jak i dlaczego rodzi się szczęśliwa miłość, uwieczniona potomstwem? Jak i dlaczego przemija – po to, aby samemu nie popełnić błędu. I nie jest ważne, że ten niebezpieczny przypadek w

naszym zorganizowanym życiu nie zdarzy się; nieważne, że miłość trwa i dzieci co niemiara. Rdzeń kręgowy twardo trzyma się swojej linii postępowania... Nie będę, wzorem krytyków literackich, określał takich gustów czytelników jako niskie czy nieszlachetne. Nie, dlaczego? Są to upodobania zdrowe, naturalne, krwiste, pełne życia. Jeśli krowy w procesie ewolucji nauczą się kiedyś czytać, to też zaczną od kryminałów i historii miłosnych.

Ale wróćmy do studenta, którego mózg spasował wobec pytania egzaminatora. „Ech, młode to i głupie” – zdaje się mówić rdzeń kręgowy swojemu młodszemu koledze, przyjąwszy paniczny sygnał pobudzenia, i zaczyna działać. Przede wszystkim kieruje impulsy do mięśni całego ciała, które napinają się w stanie gotowości. Źródła energii mięśniowej – kwas adenozyntrójfosforowy i fosfokreatyna odszczepiając kwas fosforowy rozkładają się na kwas adenozyndwufosforowy i kreatynę, przy czym wydzielają się pierwsze porcje ciepła... I tu znów chciałbym podkreślić biologiczną celowość podwyższenia napięcia mięśni. Przecież w przeszłości niebezpieczeństwo wymagało szybkich, energicznych ruchów – skoku, uderzenia, uniku, wdrapania się na drzewo. A ponieważ na razie nie wiadomo, w którym kierunku trzeba będzie odskoczyć lub zadać cios, w stan gotowości wprowadzane są wszystkie mięśnie.

Jednocześnie z mięśniami ulega pobudzeniu wegetatywny układ nerwowy, który kieruje całą kuchnią przemiany materii w organizmie. Sygnały tego układu pobudzają nadnercza, które wyrzucają do krwi adrenalinę, związek wykazujący zdolność pobudzania większości procesów fizjologicznych. Wątroba i śledziona niby gąbki wyciskają do naczyń rezerwową krew. Rozszerzają się naczynia mięśni, płuc i mózgu. Szybciej zaczyna bić serce przepompowując do wszystkich narządów ciała więcej krwi, a razem z nią więcej tlenu i glukozy. Rdzeń kręgowy i układ wegetatywny przygotowują organizm studenta do ciężkiej, nieubłaganej walki na śmierć i życie. Ale

egzaminatora nie można ogłuszyć maczugą ani nawet marmurowym kałamarzem. Ucieczka też nie jest wyjściem. Nie zadowoli egzaminatora także i to, że pełen energii mięśniowej student wycisnie stójkę na rękach na krawędzi stołu... Dlatego też cała ta skryta, burzliwa czynność organizmu studenta kończy się beużytecznym spalaniem glukozy w mięśniach, czemu towarzyszy wydzielanie ciepła. Termoreceptory różnych okolic ciała wysyłają do mózgu i rdzenia kręgowego rozpaczliwe sygnały o przegrzaniu, a mózg odpowiada na nie jedynym możliwym poleceniem: rozszerzyć naczynia skóry! Nośnik ciepła – krew kieruje się «io powłok skórnych (przy czym ubocznym efektem tego procesu jest odruchowe zaczerwienienie twarzy) i zaczyna ogrzewać powietrze między ciałem i ubraniem. Otwierają się ujścia gruczołów potowych, aby choć dzięki parowaniu pomóc studentowi. Łącuch odruchowy, uruchomiony pytaniem egzaminatora, nareszcie się zamknął!

Sądzę, że po tym wykładzie potrafią państwo sami zrozumieć znaczenie nauki dla prawidłowej regulacji organizmu ludzkiego w naszym skomplikowanym współczesnym środowisku, a także dla regulacji organizmu studenta w nadchodzącej sesji egzaminacyjnej.

Z wykładu „Podstawy fizjologii człowieka” profesora W. Androsjaszwili

...Tak, wyjeżdżał, aby stać się sobą samym, a nie tym Kriwoszeinem, który mieszka i pracuje w Dnieprowsku. Już w pociągu wyrzucił przez okno klucz od mieszkania, który Walka troskliwie wsunął mu do kieszeni. Wymazał z notesu adresy i telefony moskiewskich znajomych, nawet bliskiej krewnej, ciotki Łapanaldy. Nie ma ani znajomych, ani krewnych, ani przeszłości – tylko terażniejszość i przyszłość. Wszystko liczy się od momentu wstąpienia na Wydział Biologii. Znał prosty, ale pewny sposób na to, aby znaleźć swoje

miejsce w przyszłości. Ten sposób, który nie zawiodł go nigdy, to praca. Ale chodziło nie tylko o to.

...Niegdyś fizycy ulepszyli metody pomiaru prędkości światła – ot tak sobie, żeby uzyskać dużą dokładność.

Uzyskali. I wykryli skandaliczny fakt: prędkość światła nie zależy od prędkości ruchu jego źródła. „Niemożliwe! Przyrządy kłamią! Przecież to jest sprzeczne z mechaniką klasyczną...” Sprawdzili, zmierzili prędkość światła inną metodą – z takim samym wynikiem. I prawie doskonały, logicznie zbudowany wszechświat, oparty na układzie współrzędnych prostokątnych, runął wznosząc ogromną chmurę kurzu. Zaczął się „kryzys w fizyce”.

Umysł ludzki często dąży nie do głębszego poznania świata, lecz do pogodzenia znanych faktów. „Najważniejsze jest, żeby było prościej i logiczniej. A potem, nie wiadomo skąd, pojawia się złośliwy, nie uwzględniony wcześniej facyk, nie mieszczący się w idealnie dopasowanej konstrukcji, i wszystko trzeba zaczynać od nowa...

Oni również stworzyli sobie prosty i zrozumiały obraz tego, jak maszyna według informacji o człowieku tworzy człowieka. Maszyna-matka jak dziecko układała klocki – za pomocą impulsów elektrycznych montowała w płynnym środowisku cząsteczki w łańcuchy molekularne, łańcuchy w komórki, a komórki w tkanki, z tą tylko różnicą, że „informacyjnych klocków” były niezliczone miliardy. Fakt, że nie wyszedł z tego jakiś dziwoląg czy chociażby inny człowiek, ale on sam, informacyjny sobowtór Kriwoszejn, świadczył, że rozwiązanie było tylko jedno. Zresztą inaczej być nie mogło – z klocków przecież można ułożyć tylko ten obraz, którego fragmenty znajdują się na ich ścianach. Inne natomiast warianty (fragmentaryczna Lena, fragmentaryczny ojciec, „majaczenia” pamięci, oczy i macki) były po prostu tylko informacyjnym „śmieciem”, które nie mogło istnieć w oderwaniu od maszyny.

Obraz ten nie był błędny, ale po prostu powierzchowny. I wystarczyło im, dopóki fakty potwierdzały, że są identyczni i zewnętrznie, i w myślach, i w czynach. Ale gdy pojawiły się między nimi nie dające się usunąć różnice w poglądach na zastosowanie biologii w pracy, konstrukcję tę trzeba było odrzucić.

Tak, właśnie ta niemożność porozumienia, a nie tylko pociąg do biologii (który Kriwoszeiniowi II mógłby przejść nawet bez następstw), stała się dla odkrycia tym właśnie, czym niezmiennosc prędkości światła była dla teorii względności. Człowiek nigdy nie wie, co w nim jest banalne, a co oryginalne. Można to określić tylko porównując się z innymi. A Kriwoszeini-dubiel w odróżnieniu od zwykłych ludzi miał możliwość porównania się nie tylko ze znajomymi, lecz także ze swoim „wzorcem”.

Obecnie doktorant Kriwoszeini rozumiał jasno, na czym polegała różnica między nimi. Różniły się sposoby ich rozwoju. Walentin Kriwoszeini powstał ponad trzydzieści lat temu podobnie jak wszystkie żywe istoty – z zarodka, w którym dzięki określonej układzie cząsteczek białkowych i rodników zakodowany, był udoskonalany przez tysiące wieków i tysiące pokoleń program budowy organizmu ludzkiego. Natomiast maszyna-matka, która mimo że pracowała według indywidualnej, zawartej w Kriwoszeinie, ale jednak dość dowolnej informacji, musiała od nowa poszukiwać zarówno ogólnych reguł budowy, jak wszystkich szczegółów biologicznego układu informacyjnego. I znalazła w końcu inną niż przyroda drogę – „montaż” biochemiczny zamiast rozwoju embrionalnego.

Tak, teraz rozumie wiele. W ciągu roku przeszedł drogę od wrażeń do wiedzy, a od wiedzy do władania swoim organizmem. A

wtedy... Wtedy był tylko nieodparty pociąg do biologii i nie dająca się wyrazić słowami pewność, że należy szukać właśnie tu. Nawet Kriwoszeiniowi nie mógł niczego sensownie wytłumaczyć.

Do Moskwy przyjechał z niejasnym poczuciem, że jest z nim coś nie w porządku. Był zdrowy i fizycznie, i psychicznie, ale odczuwał potrzebę przeanalizowania swoich wrażeń. I upewnienia się, że wrażenia te to nie natręctwa myślowe, nie hipochondryczne urojenia, lecz rzeczywistość.

Pracował tak intensywnie, że dni spędzone w Instytucie w Dnieprowsku mógł wspominać jak urlop. Wykłady, laboratorium, prosektorium, biblioteka, wykłady, kolokwia, laboratorium, wykłady, klinika, biblioteka, laboratorium... W ciągu pierwszego semestru nie opuścił ani razu terenu Uniwersytetu. Tylko przed snem wychodził na taras nad stromym brzegiem rzeki Moskwy zaciągnąć się papierosem i popatrzyć na światła miasta, stapiające się na horyzoncie z wygwieżdżonym niebem.

Szarooka, nieco podobna do Leny studentka drugiego roku siedziała obok niego podczas wykładów. Pewnego razu zapytała: „Pan taki poważny... pewnie po wojsku?” „Po odsiadce” – odpowiedział, groźnie wysuwając szczękę. Dziewczyna przestała się nim interesować. Trudno, na dziewczyny trzeba mieć czas.

...I w każdym doświadczeniu, przy każdym pomiarze utwierdzał się we własnych przekonaniach. Tak, na przekroju pęczka nerwowego, biegnącego z mózgu do przysadki, rzeczywiście można naliczyć pod mikroskopem około stu tysięcy włókien. A więc naprawdę mózg precyzyjnie steruje czynnością przysadki. Tak, jeżeli małpie razem z papką bananową poda się izotop wapnia, emitujący promienie

beta, a następnie mierzy promieniowanie w jej wydalinach licznikiem Geigera, to rzeczywiście można stwierdzić, że tkanka kostna odnawia się w przybliżeniu dwukrotnie w ciągu roku. Tak, jeżeli wprowadzi się mikroelektrody do włókna nerwowego biegnącego do mięśnia, a wzmożone prądy czynnościowe skieruje do słuchawki, to można usłyszeć rytmiczne salwy lub drobne trzeszczenie impulsów nerwowych, a charakter tych dźwięków odpowiada temu, co się odczuwa! Tak, komórki naskórka rzeczywiście wędrują ku powierzchni, zmieniają swą strukturę i wreszcie giną, złuszczone i ustępują miejsca następnym.

Badał również swoje ciało. Pobierał próbki krwi i limfy, pobrał także z prawego uda wycinek tkanki mięśniowej i dokładnie zbadał go najpierw w mikroskopie świetlnym, a później i w elektronowym. Oczernił sam siebie po to, aby w klinice wykonano mu przykry zabieg pobrania płynu mózgowo-rdzeniowego dla rozpoznania kiły... I stwierdził, że jego organizm pod każdym względem jest w normie. Nawet ilość i przebieg nerwów w jego tkankach były takie same jak w preparatach prosektoryjnych. Nerwy biegły do mózgu, ale tam z pomocą techniki laboratoryjnej nie mógł się dostać: zbyt wielu elektrod wprowadzonych do mózgu i oscyloskopów musiałby użyć, aby poznać samego siebie. I czy to w ogóle możliwe? Czy nie wyszedłby znowu „streptocydowy strip tease”, tym razem zapisany nie w kodzie dwójkowym, ale w falistych krzywych elektroencefalogramu?

Fakt, że żywy człowiek bada żywe organizmy, ale nie może nawet z pomocą przyrządów sięgać po tajemnice swego własnego wnętrza, jest paradoksalny. Nie chodzi tu przecież o odkrycie niewidzialnych radiogwiazd ani o syntezę antymaterii – cała informacja

znajduje się już w człowieku. Trzeba tylko przełożyć kod cząstek, komórek i impulsów nerwowych na kod drugiego układu sygnałów – na słowa i zdania.

Słowa i zdania są konieczne (a i to nie zawsze) po to, aby jeden człowiek mógł zrozumieć drugiego. Ale czy są one konieczne, gdy trzeba zrozumieć samego siebie? Tego nie wiedział. Dlatego wykorzystał wszystko – badania z użyciem przyrządów, pracę wyobraźni, lekturę, analizę wrażeń subiektywnych, rozmowy z Androsjaszwilim i innymi wykładowcami, obserwacje chorych w klinice, sekcje...

Wszystkie argumenty, których Androsjaszwili użył w pamiętnej grudniowej rozmowie, były słuszne, gdyż opierały się na jego wiedzy o życiu i wierze w niezaprzeczną celowość wszystkiego, co stworzyła przyroda.

Jednego tylko profesor nie wiedział: że rozmawia ze sztucznym człowiekiem.

Nawet wątpliwości profesora co do powodzenia jego zamierzeń były całkowicie uzasadnione, gdyż Kriwoszejn zaczął właśnie od próby technicznego, „maszynowego” rozwiązania. Wtedy, w grudniu, zaczął przecież projektować „induktor wymuszonych potencjałów bioelektrycznych” – rozwinięcie koncepcji „czapki Monomacha”. Setki tysięcy mikroelektrod połączonych z matrycami uczące się automatu, na którym w pracowni bioniki modelowano odruchy warunkowe, miały przekazywać komórkom mózgu dodatkowe ładunki, wprowadzać do nich poprzez czaszkę sztuczne prądy czynnościowe i w ten sposób łączyć „myślówę” okolice kory z wegetywnym układem nerwowym.

Kriwoszejn uśmiechnął się: dziwak, tak prymitywnym urządzeniem

chciał udoskonalić swój organizm! Dobrze chociaż, że nie zarzucił badań fizjologicznych z tego powodu.

...Podczas sekcji zwłok ożywał je w myśli. Wyobrażał sobie, że to on sam leży na stole w sali sekcyjnej, że to jego białe włókna nerwowe skręcają się w wiązki nerwów, biegną ku kręgosłupowi, do rdzenia kręgowego i dalej do czaszki. Inne włókna biegną wśród mięśni i chrząstek ku fioletowemu, pokrytemu pasmami żółtego tłuszczu sercu, ku wodnistym gronom ślinianek podszczękowych, ku szarym strzępkom zapadniętych płuc. Po nich przesyłane są sygnały-rozkazy: niech się skurczą mięśnie, niech przyspieszy się praca serca, niech gruczoły ślinowe wycisną ślinę!

W stołówce studenckiej w taki sam sposób śledził wędrówkę każdego kęsa do żołądka, starał się wyobrazić i odczuć, jak tam, w ciemnej czeluści, pokarm jest powoli rozdrabniany przez mięśnie gładkie, rozkładany przez kwas solny i enzymy, jak wchłanianie się przez ściany jelit żółta, mętna, półpłynna masa – i niekiedy siedział po dwie godziny nad ostygłym sznyclem.

Były to właściwie wspomnienia. Dziewięć dziesiątych swojego odkrycia zawdzięczał temu, że przypomniał sobie i zrozumiał to, co wiedział już przedtem.

Maszyna-matka nie potrzebowała zaczynać od zarodka – dysponowała wystarczającą ilością materiału, aby „zmontować” dorosłego człowieka. O to zatroszczył się Kriwoszejn-pierwowzór. Początkowo w zbiorniku w nie zorganizowanym środowisku biologicznym krążyły tylko „prądy błędzące” i „wędrujące potencjały” z obwodów zewnętrznych. Te obrazowe pojęcia z zakresu elektrotechniki teoretycznej w tym przypadku ucieleśniły się w dosłownym znaczeniu.

Później powstały przezroczyste włókna i komórki nerwowe – przedłużenie układów elektronicznych maszyny. Poszukiwanie punktu równowagi informacyjnej ciągnęło się dalej. Sieć nerwowa stawała się coraz bardziej złożona i pojemna, warstwy komórek nerwowych utworzyły korę i podkorze. Tak powstał jego mózg i w tym „momencie zaczął istnieć on sam.

Mózg jego początkowo był również przedłużeniem maszyny. Ale teraz sam już przejmował informację zewnętrzną, wybierał i zestawiał różne warianty, poszukiwał możliwości zrealizowania informacji w środowisku biologicznym – konstruował siebie samego! W zbiorniku rozprzestrzeniała się – na razie jeszcze luźno zawieszona – sieć nerwów. Wokół nich zaczęły powstawać mięśnie, naczynia, kości, narządy wewnętrzne, w tym jeszcze półpłynnym stanie, w którym pod wpływem impulsów nerwowych wszystko to mogło się rozpuścić, przemieszać, zmienić strukturę... Nie, nie był to świadomy montaż według schematu. Nie było zresztą i schematu. Był to dalszy ciąg zabawy w klocki, analiza mnóstwa wariantów i wybór tego jedyne, który wiernie odtwarzał informację o Kriwoszeinie. Ale teraz, podobnie jak maszyna elektronowa za pomocą sygnałów elektrycznych w układzie dwójkowym ocenia każdy z wariantów rozwiązania, tak jego mózg-maszyna oceniał przebieg syntezy ciała w dwójkowej arytmetyce odczuć: „tak” – przyjemnie, „nie” – nieprzyjemnie. Nieudane układy komórek, nieprawidłowy układ narządów odzywał się w mózgu tęnym lub klującym bólem, udane i prawidłowe rozwiązania – błogim zadowoleniem.

I ta pamięć poszukiwań, pamięć o odczuciach powstającego ciała

pozostała w nim.

Życie tworzy ludzi mało różniących się między sobą fizycznie, lecz niezwykle różnorodnych pod względem psychiki, charakterów, wiedzy, wrażliwości duchowej lub jej braku. Maszyna-matka postąpiła odwrotnie. Dubel był tożsamy z Kriwoszeinem pod względem psychiki i intelektu, co zresztą było zrozumiałe – przecież te właściwości człowieka kształtują się w życiu właśnie tą samą metodą poszukiwania losowego i selekcji dowolnej uświadomionej informacji. Maszyna po prostu powtórzyła ten tok poszukiwań. Biologicznie natomiast różnili się między sobą tak, jak różni się gotowa książka od swego brudnopisu. A właściwie nawet nie jednego brudnopisu, ale wszystkich wariantów i szkiców, na podstawie których powstało dojrzałe, zakończone dzieło. Treść i tu, i tam jest taka sama, ale w brudnopisach poprawki, dopiski i skreślenia ukazują całą drogę poszukiwania i doboru słów.

„Nawiasem mówiąc, to porównanie też nie jest właściwe. – Nachmurzył się. – Brudnopisy powstają wcześniej niż książki, a nie na odwrót! A jeśli nawet udostępni się grafomanowi wszystkie brulionowe wersje «Wojny i pokoju», to czy dzięki temu stanie się on geniuszem? No, czegoś na pewno się nauczy... Zresztą dość już tych porównań!”

Człowiek przypomina sobie to, co wie, tylko w dwu przypadkach: kiedy musi sobie coś przypomnieć (przypominanie celowe) i gdy spotyka się z czymś przypominającym choćby odlegle zapis pamięciowy. Jest to przypomnienie asocjacyjne. Właśnie książki o biologii stały się bodźcem, który poruszył jego pamięć. Trudność polegała jednak na tym, że pamiętał nie słowa, a nawet nie obrazy,

lecz odczucia. Nawet teraz nie wszystko był w stanie oblec w słowa i pewnie nigdy nie potrafi...

Zresztą nie jest to najważniejsze. Ważne, że ta informacja istnieje. Przecież to właśnie ta pamięć odczuć zrodziła w nim jasno uświadomiony pomysł sterowania przemianą materii we własnym organizmie.

Pierwszy raz udało mu się to 28 stycznia wieczorem, w domu akademickim. Było zupełnie tak, jak z psami Pawłowa – wywołanie wydzielania śliny. W odróżnieniu jednak od psów nie myślał o jedzeniu (był po kolacji – kefir i kielbasa), ale o nerwowej regulacji wydzielania śliny. Zgodnie ze swoim zwyczajem starał się wyobrazić sobie i odczuć całą drogę impulsów nerwowych od receptorów smakowych języka poprzez mózg do ślinianek i nagle poczuł, że jama ustna wypełnia mu się śliną!

Niezupełnie jeszcze uświadomiwszy sobie, jak do tego doszło, natężył myśl w pełnym przerażenia proteście: „Nie!” – i natychmiast poczuł w ustach suchość.

Tego wieczoru powtarzał w myśli rozkazy: „Ślina!” i „Nie!”, aż do kurczu mięśni szczęk...

Przez następny tydzień siedział w swoim pokoju. Na szczęście była przerwa semestralna i nie odrywały go wykłady i ćwiczenia. Rozkazom myślowym podporządkowywały się także i inne narządy! Początkowo udawało mu się sterować nimi tylko z grubsza – z oczu ciekły strugi łez, na całej skórze obficie występował pot albo wysychał w mgnieniu oka, serce zamierało tak, że wpadał w stan półomdlenia, lub wściekle waliło sto czterdzieści uderzeń na minutę. A kiedy po raz pierwszy narzucił swoją wolę przewodowi pokarmowemu, ledwie zdążył dobiec do toalety, tak gwałtownej dostał

biegunki...Ale stopniowo nauczył się precyzyjnie sterować wydzielaniem gruczołów. Pewnego dnia udało mu się nawet „wytatuować” kroplami potu na skórze przedramienia napis: „Udaje się!”

Potem przeniósł się z doświadczeniami do laboratorium i przede wszystkim powtórzył na sobie znany efekt nakłucia Claude Bernarda. Tylko w tym przypadku nie potrzebował otwierać sobie czaszki i nakłuwać mózgu. Poziom cukru we krwi podnosił się na rozkaz myślowy.

Na ogół jednak z wydzielaniem wewnętrznym sprawa była znacznie trudniejsza. Rozkazy nie odnosiły skutku. Pokłutł sobie palce i mięśnie sprawdzając, czy na rozkaz mózgu wydzielą się do krwi adrenalina, insulina, glukoza, hormony. Znęcał się nad przefiltrowaniem pobierając zglębniakiem sok żołądkowy, kiedy świadomie zmieniał jego kwasotę... Wszystko się udawało i wszystko było bardzo skomplikowane.

Wtedy zrozumiał, że organizmowi należy wyznaczać cel ogólny: zrobić to czy tamto, dokonać takich czy innych zmian. Przecież przy chodzeniu nie wydaje się mięśniom rozkazów typu: „Zginacze uda – skurcz! Prostowniki uda – rozkurcz! Zginacze podudzia – skurcz! itd.” Świadomość wydaje polecenie ogólne: iść szybciej albo wolniej, ominąć słup, skręcić w bramę, a struktury ruchowe mózgu same określają zadania mięśni. Tak też powinno być i w tym przypadku – nie obchodzi go, które naczynia i gruczoły będą wykonywać poszczególne czynności. Mają tylko wykonać to, czego on chce!

...Przeszkadzały słowa, przeszkadzały obrazy. Usiłował wytułmaczyć szczegółowo: wątrobie – jak syntetyzować glikogen z aminokwasów i tłuszczów, jak rozkładać go do glukozy, wydzielić ją

do krwi; tarczycy – jak kurcząc swoje pęcherzyki wydzielić do krwi kropelki tyroksyny; układowi naczyniowemu – jak rozszerzyć włóśniczki w tkance mięśni piersiowych większych, kurcząc jednocześnie maksymalnie pozostałe naczynia, i nic nie wychodziło – mięśnie piersiowe nie rozrastały się. Przecież wątroba nie wiedziała o tym, że jest wątrową, tarczyca pojęcia nie miała o terminie „tyroksyna” i nie mogła wyobrazić sobie jej kropelek. Doktorant Kriwoszejn przeklinał siebie za marnowanie czasu na wykładach i w bibliotece. Ten wysiłek kończył się jedynie bólem głowy.

Wszystko polegało na tym, że w przypadku przemiany materii należało unikać liczb, terminów, a nawet obrazów, a myśleć tylko kategoriami odczuć. Zadanie sprowadzało się do tego, żeby przekształcić „wiedzę o odczuciach” w trzeci układ sygnałów, układ sterowania wydzielaniem wewnętrznym za pomocą odczuć.

...Najśmieszniejsze było to, że niepotrzebna była do tego ani aparatura, ani układy sterujące. Po prostu trzeba było położyć się w zaciemnionym pokoju, zamknąć oczy, zalepić uszy plasteliną i półdrzemiąc wsłuchiwać się w siebie. Z wnętrza dochodziły dziwne odczucia. Świerzbiała, odnawiając krew, śledziona, łaskotliwie kurczyły się jelita, pod zuchwą chłodziły ślinianki; radosnym dreszczem odpowiadały na impuls nerwowy nadnercza i porcja krwi, wzbogacona w adrenalinę i glukozę, ciepłą falą rozchodziła się po ciele jak łyk mocnego wina: lekkim pokłuwaniem dawały o sobie znać niesprawne komórki w mięśniach.

Można by powiedzieć, używając terminu technicznego, że „przedzwaniał” swoje ciało nerwami, podobnie jak technik po zmontowaniu

sprawdza układ elektroniczny próbnikiem.

Miał już dobrze opanowaną dwójkową arytmetykę odczuć „przyjemne” – „nieprzyjemne”. Przyszło mu wówczas do głowy, że najprostszym sposobem podporządkowywania świadomości procesów zachodzących w komórkach będzie oddziaływanie bólem. Bardzo możliwe, że przyczynił się do tego wypadek z sopelem lodowym. Wpadł na to dopiero wtedy.

Rzeczywiście komórki, które rozpadały się i ginęły z różnych przyczyn, dawały o sobie znać bardzo wyraźnie. Ćmiły, bolały, pokłuyały, jak gdyby wołały o pomoc. Organizm sam, bez „odgórnego” polecenia, rzucał im na pomoc leukocyty, rozgrzewał stanem zapalnym tkankę, mobilizował enzymy i hormony. Pozostawało tylko albo przyspieszać, albo hamować wysiłkiem świadomości te mikrobitwy o życie.

...Kłuł i nacinał wszystkie dostępne mięśnie igłą lub skalpelem. Wstrzykiwał sobie pod skórę śmiertelne dawki bakterii duru i cholery. Wdychał pary rtęci, pił roztwory sublimata i alkoholu metylowego (na szybciej działające trucizny, prawdę mówiąc, nie starczyło mu odwagi). Im dalej, tym sprawniej jego organizm dawał sobie radę z wszystkimi uświadomionymi niebezpieczeństwami.

Później wywołał u siebie raka. Wywołać u siebie raka! Każdy lekarz wyśmiałby go za takie oświadczenie. Wywołać w sobie raka – to rzecz nie do pomyślenia; do tego trzeba wszak wiedzieć, co jest jego przyczyną. Prawdę mówiąc, nie ryzykowałby twierdzenia, że zna tę przyczynę – po prostu dlatego, że nie sposób wyrazić słowami tych wszystkich wrażeń, jakie towarzyszyły przeobrażeniom komórek skóry na prawym boku... Zaczął od wypytywania chorych

poddawanych radioterapii, co odczuwają. Było to okrutne – wypytywać zrozpaczonych, krzywiących się z bólu ludzi o ich przeżycia, nie obiecując niczego w zamian – ale właśnie w ten sposób wcielał się w chorego na raka.

..Nowotwór rozrastał się i twardniał. Zaczął się rozgałęziać przybierając dziwaczne kształty barwy czerwonej kapusty. Ból wgrzyzał się w bok i w ramię. W przychodni studenckiej, dokąd udał się na badanie, chciano go prawie zatrzymać siłą, aby natychmiast operować. Wykręcił się kłamiąc, że chce najpierw spróbować leczenia promieniami gamma...

Doktorant zapalił papierosa i wyszedł na balkon. Była ciepła noc. Podmiejską szosą, wodząc światłami reflektorów, przemknął samochód. Od gwiazdozbioru Łabędzia ku konstelacji Liry pośpiesznie sunęły dwa światełka – czerwone i zielone. Za nimi ciągnął się ryk silników odrzutowych. Po niebie, jak zapalona zapalka, przemknął meteor.

...Kiedy jednak w swoim pokoju stojąc przed lustrem wyteżył wolę, nowotwór znikł w ciągu piętnastu minut. Po dwudziestu minutach pozostała tylko purpurowa plama wielkości spodka. Po dalszych dziesięciu skóra była czysta, pokryta gęsią skórką – w pokoju było dosyć chłodno.

Ale i tej wiedzy – jak likwidować raka – nie mógł na razie przedstawić w postaci recept czy zaleceń. To, co mógłby opisać słowami, nikogo nie uratuje, najwyżej takich jak on dubli. I cała jego wiedza może być wykorzystana tylko przez nich.

Z czasem zapewne uda się przełamać granicę między dublami a zwykłymi ludźmi. Różnice biologiczne są przecież nieznaczące, a

wiedzę już zdobył. Jeśli nie uda się jej wyrazić w słowach, można zapisać na taśmach magnetycznych oscylacje prądów czynnościowych, zarejestrować temperaturę ciała, opracować dane na maszynach matematycznych. Dziś medycyna jest przecież nauką ścisłą. I ludzie nauczą się wreszcie dokładnie zapisywać i przekazywać wrażenia. Słowa nie są konieczne. Dla chorego najważniejsze jest wyzdrowienie, a nie praca doktorska o jego ocaleniu. Nie o to przecież chodzi...

Błysk zapalanej zapalki przyciągnął uwagę doktoranta. Spojrzał w dół. Opierając się o słup latarni, zapalał papierosa ten sam barczysty drab w płaszczu, który śledził go poprzednio. Potem rzucił zapalną, zaczął się miarowo przechadzać po chodniku.

„Znalazł mnie jednak, niech go szlag trafi! Ależ się przyczepił!” Kriwoszejn zirytował się. Wrócił do pokoju, usiadł przy biurku i ponownie zabrał się do dziennika.

Rozdział dziewiąty

Życie jest krótkie – ledwo starcza go, aby popęlnić odpowiednią ilość błędów. A powtarzanie ich to już niedopuszczalny luksus.

K Prutkow – inżynier, myśl nr 22

Teraz doktorant czytając notatki doszukiwał się słabych punktów, z zazdrośnym zaciekawieniem śledził, co też udało się osiągnąć

tamtemu, który chciał „gałkami kręcić”.

„1 czerwca. Uff... nareszcie! Kamera informacyjna gotowa. Jutro zacznę doświadczenia z królikami. Zgodnie z przyjętą tradycją należałoby zacząć od żab... ale brać takie paskudztwo do ręki?! Nie, żabami niech się lepiej zajmuje mój dubel, biolog. To przecież pierwszy uczeń, powinien się przykładać! Ciekawe, co też tam u niego?”

„2 czerwca. Założyłem czujniki królikom i wpuściłem do kamery. Wszystkie naraz. Niech wprowadzają informację.”

„7 czerwca. Przez cztery dni króliki przebywały w kamerze. Żarły marchewkę i liście kapusty, ruszały nosami, gryzły się parzyły, spały. Dzisiaj rano przeprowadziłem pierwszą próbę. Nałożyłem «czapkę Monomacha», wydałem myślowy rozkaz «Można!» i maszyna-matka zaczęła pracować! Cztery króliki-duble w ciągu półtorej godziny.

Ciężar spadł mi z serca – maszyna działa.

Interesujący szczegół: pierwszą, uchwytną wzrokowo oznaką pojawienia się królików było ukazanie się układu krwionośnego. Sino-czerwone naczynia zarysowywały się w złocistej cieczy podobnie jak w żółtku wysiadywanego przez kurę jaja.

Króliki ożywały i wypływały na powierzchnię. Wyciągałem je za uszy, kąpałem – ciepłutkie i drżące – w miednicy, a potem wkładałem do klatek ze zwykłymi królikami. Spotkania naturalnych i sztucznych osobników były jeszcze bardziej zwyczajne niż moje spotkanie z własnym dublem. Wytrzeszczały na siebie oczy, obwąchiwały się i ponieważ nie miały drugiego układu sygnałów, żeby

sprawę wyjaśnić, zaczynały walczyć ze sobą. Kiedy się zmęczyły, zaczynało się ponowne obwąchiwanie, a potem następowało normalne królicze życie.

Najważniejsze, że maszyna pracuje według moich rozkazów, bez żadnych dodatków od siebie. Wystarczy nałożyć «czapkę», wyobrazić sobie (najlepiej wzrokowo), którego królika chce się zdublować, dać rozkaz myślowy – i po 25–30 minutach gotowy dubel pluska się w zbiorniku. Operację odwrotną – likwidację powstającego królika na rozkaz «Nie!» – maszyna wykonuje również bez zarzutu.

Za osiągnięcia i uległość dają jej sole, kwasy, glicerynę, witaminy i inne odczynniki według wykazu, zupełnie jak śledzie tresowanej foce.”

„20 czerwca. Jak coś idzie, to idzie. A jak nie, to choć głową o mur... Przez wszystkie te dni próbowałem zatrzymać syntezę królika na określonym etapie, Próbowałem różnych rozkazów – «Stop!», «Zatrzymaj się!», «Wystarczy!», «Zero!» – i myślowo, i głosem, ale wszystko bez skutku: albo synteza przebiega do końca, albo powstający królik rozpuszcza się.

Może maszyna pracuje jak przerezutnik, który ma tylko dwa stany równowagi, a w położeniu pośrednim utrzymać się nie może. Dobrze, ale skomplikowana maszyna powinna zachowywać się bardziej elastycznie niż byle układzik.

Spróbujemy jeszcze...”

„6 lipca. Życia zatrzymać nie można – w tym chyba tkwi przyczyna. Wszelkie zatrzymanie życia jest śmiercią. A śmierć to tylko jeden moment, po którym rozpoczyna się proces rozkładu, w tym przypadku – rozpuszczania. A ja syntetyzuję ż y w e układy. Zresztą

sama maszyna-matka jest właściwie żywym organizmem. Dlatego też nic w niej nie może zastygnąć.

A szkoda, byłoby to bardzo wygodne...

Dziś przyszedł na świat pierwszy miot pochodzący od sztucznego samca i zwykłej samicy – osiem bielutkich króliczków. To niewątpliwie bardzo ważne wydarzenie. Tylko że i bez tego królików mam już mnóstwo.

Do licha, w końcu maszyna powinna podporządkować się bardziej precyzyjnym rozkazom niż «Można!» i «Nie!» Powiniennem móc s t e r o w a ć procesem syntezy. W przeciwnym razie wszystkie moje zamiary wezmą w łeb...”

„7 lipca. Ach, więc to tak! Jakież to proste...”

Dzisiaj rozkazałem maszynie wykonać jeszcze raz dubla królika Waśki. Gdy już jako przezroczyista zjawa ukazał się we wnętrzu zbiornika, skupiłem uwagę na ogonku i wyobraziłem sobie, że jest dłuższy. Nic nie nastąpiło. Coś tu było nie tak. Pomyślałem ze złością: «Nie tak...» – i w tym momencie w króliku wszystko zaczęło się zmieniać! Kontury ciała zafalowały w powolnym rytmie. Tułów, uszy, łapy i ogon królika na przemian wydłużały się i grubiały, to znów stawały się krótsze i cieńsze. Narządy wewnętrzne pulsowały w tym samym rytmie. Nawet barwa krwi zmieniała się od ciemnowisniewej do jasnoczerwonej i odwrotnie.

Poderwałem się z krzesła. Królik «trząsł» się nadal. Kształty jego coraz bardziej deformowały się i karykaturalnie zmieniały. Oscylacje były coraz częstsze i intensywniejsze. Wreszcie albinos rozpułnął się w szaroliliowe zmętnienie i zniknął.

W pierwszej chwili przeraziłem się – obraz przypominał dawne

«majaczenia» maszyny! Tylko ten rytm... Wszystkie wahania rozmiarów i odcieni były zadziwiająco synchroniczne...

I wtedy zrozumiałem wszystko. Sam zrozumiałem, do diabła! – muszę to podkreślić.

Pierwotną informację o króliku maszyna otrzymała w postaci konkretnej i jednoznacznej. Potem zestawiała różne elementy, poszukiwała dokładnego wariantu. Ale czegokolwiek by szukała, i tak to, co było zapisane w jej pamięci, musiało być dokładnie odtworzone. Nie robi się odkurzacza z części motocyklowych.

I nagle nadbiega sygnał «Nie tak», ani potwierdzenie, ani zaprzeczenie – sygnał wątpliwości. Sygnał narusza informacyjną stabilność procesu syntezy królika, mówiąc ogólnie – zbija maszynę z tropu. Wtedy zaczyna ona szukać, co jest «tak» za pomocą prostych prób (trochę większe, trochę mniejsze), tak żeby nie zniszczyć układu... Ponieważ jednak nie wie, co jest «tak», i nie dostaje ode mnie potwierdzenia, doprowadza do całkowitego rozpadnięcia się i rozpuszczenia układu: nie tak, a więc źle...!

Wtedy (oto zaleta pracy naukowej: kiedy trafi się na złotą żyłę, można w ciągu dnia z pomocą kilku pomysłów wykonać robotę, na którą inaczej zeszyłyby całe lata!) znowu włożyłem «czapkę Monomacha» i wydałem rozkaz «Można!» Teraz już wiedziałem, co robić z dublem królika. Pojawił się. Skupiłem uwagę na jego ogonie (impulsy z siatkówki moich oczu z obrazem ogona króliczego dotarły do mózgu, stamtąd do «czapki Monomacha», a dalej do maszyny, w której nastąpiło porównanie i wybór informacji: maszyna zarejestrowała moją uwagę) i nawet zmarszczyłem się, aby wzmocnić wrażenie «Nie tak!» Do maszyny poszedł potężny, naruszający

równowagę, informacyjną impuls.

I ogonek zaczął się skracać. Odrobinkę...

«Nie tak!»

Ogonek drgnął, odrobinkę wydłużył się...

«To, to. Tak!»

Ogon zamarł. «Nie tak!» Wydłużył się jeszcze trochę...

«Tak!» Zamarł. «Nie tak! Tak! Nie tak! Tak» – i sprawa ruszyła z miejsca. Najtrudniejsza była synchronizacja z kierunkiem zmiany i jej wzmocnienie. Później przekazywałem maszynie już nie elementarne rozkazy «tak-nie-tak», ale po prostu milczącą aprobatę. Ogon wydłużył się, pojawił się w nim łańcuszek maleńkich kręgów, pokrył się włóknami mięśni, różową skórą, białą sierścią... Po dziesięciu minutach dubel-Waśka smagał się po bokach mokrym białym ogonem, niczym rozwścieczony tygrys.

Ja tymczasem siedziałem na krześle w «czapce Monomacha» na głowie, w której czułem nieopisany zamęt myślowy, jak zawsze, kiedy czegoś jeszcze nie można wyrazić słowami, ale się czuje: mam! zrozumiałem, już mi nie ucieknie! Twarz moja z pewnością wyrażała tępą błogość, jaką widuje się tylko u zaślinionego imbecyla.

To było wszystko. Żadnej mistyki. Maszyna-matka pracuje na takiej samej zasadzie «tak-nie» jak zwykłe maszyny matematyczne...”

– Słusznie – skinął głową doktorant. – Ale... to niezbyt precyzyjne sterowanie. Zresztą, jak na maszynę... Wszystko jedno. Zuch!

„...Psiakrew, jak to jednak fantastycznie wyszło! Na moje rozkazy: «tak!», «nie tak!», «nie!», maszyna tworzy komórki, tkanki, kości... Tylko żywe ustroje to potrafią, i to zresztą znacznie wolniej.

No, moja kochana, teraz się za ciebie wezmę!”

„15 lipca. No, wreszcie zgraliśmy się z maszyną. Ścisłej mówiąc, maszyna nauczyła się przyjmować, rozkodowywać i realizować rozkazy mojego mózgu bez rozbijania na elementarne «tak» i «nie tak». Zasada sprzężenia zwrotnego i treść rozkazów pozostały te same, tylko po prostu wszystko przebiegało bardzo szybko. Wyobrażałem sobie jedynie, co i jak należy zmienić w powstającym dublu królika. Tak jak gdybym go rysował czy lepił z plasteliny.

Teraz maszyna jest moją elektronowo-biochemiczną ręką. Jakie to wspaniałe – wysiłkiem myśli stwarzać króliki-potworki! Z sześcioma nogami, z trzema ogonami, o dwóch głowach, bez uszu albo przeciwnie – ze zwisającymi kudłatymi uszami spaniela. Co tam doktor Moreau ze swoim skalpelem i karbolem! Idealne narzędzie pracy to tylko «czapka Monomacha». Nie trzeba nawet pokręta.

Najciekawsze jest to, że te potworki żyją – drapią się czterema łapami naraz i żrą marchew dwoma pyszczkami...”

– Lekka robota – z zawiścią mruknął doktorant. Jak w kinie – siedzieć i patrzeć... Nic nie boli, nie ma się czego obawiać. Żadnych silnych emocji – zwykła praca inżyniera.

Westchnął, wspominając swoje przeżycia. Do bólu przy swoich różnych „autowiwisecjach” przywykł stosunkowo łatwo. Kiedy się

wie, że choroba minie, że rana zagoi się, ból staje się zwyczajnym bodźcem, czymś w rodzaju jaskrawego światła czy głośnego dźwięku – nie sprawiającym przyjemności, ale i nie groźnym. O ile się wie... A on wiedział. Zaczynał zawsze od niewielkich zmian; mógł przewidzieć w ten sposób, jak organizm zareaguje na większe. Na wszelki wypadek pod ręką zawsze miał leki, ampułki odtrutek i antybiotyków, telefon, przez który można było wezwać pogotowie. Było jednak jedno nieprzemysłane doświadczenie, w którym omal nie zginął... Właściwie nie było to nawet doświadczenie.

...Odbywały się fakultatywne zajęcia z radiobiologii. Studenci trzeciego roku obstąpili basen reaktora uranowego, służącego do ćwiczeń, i z szacunkiem patrzyli na zanurzony głęboko w wodzie ciemny, poprzewiercany kanałami cylinder, otoczony spokojnym zielonym świeceniem, na linki, niklowane drążki, dźwignie i pokręta sterowania.

– Ta piękna soczysta zieleń, świecąca wokół korpusu reaktora – mówił dźwięcznym barytonem profesor Walerno – nazywa się promieniowaniem Czerenkowa. Wywołują je przebiegające w wodzie elektrony powstające w wyniku rozpadu jąder uranu 235...

Kriwoszejn asystował mu, to znaczy siedział po prostu z boku, nudził się i czekał, kiedy profesor poleci mu, aby przeprowadził demonstrację. Szczerze mówiąc, Walerno mógłby tę „demonstrację” przeprowadzić sam albo poprosić o to studenta, ale człowiekowi na jego stanowisku przysługiwał kwalifikowany asystent. „Co za nudy...” – smętnie myślał Kriwoszejn. Potem przyszło mu do głowy, że nie doświadczył jeszcze na sobie choroby popromiennej. Ta myśl

zelektryzowała go i zaczął zastanawiać się, jak by to zrobić. „Trzeba by wziąć trochę wody z reaktora i na początek lekko się napromieniować... Przecież to nie żarty!”

– ...Obecność intensywnego promieniowania Czerenkowa świadczy o silnym promieniowaniu w pobliżu korpusu reaktora – ze znużeniem ciągnął Walerno. – Nie ma w tym nic dziwnego, bo zachodzi tam reakcja łańcuchowa. Wzrost jasności świecenia świadczy o wzroście intensywności promieniowania, zmniejszenie – o zjawisku odwrotnym. O, proszę popatrzeć – obrócił pokrętko na tablicy w prawo i w lewo. Zielone światło w basenie rozbłysło i przygasło.

– A jak się przekreśli do końca w prawo, to będzie wybuch? – z lękiem zapytał rudy piegowaty chłopak w okularach.

– Nie – ledwie kryjąc ziewnięcie, odpowiedział profesor (pytanie to padało na każdym ćwiczeniu). – O, tu jest ogranicznik. Oprócz tego przy projektowaniu reaktora wprowadza się samoczynną blokadę. Gdy tylko nasilenie reakcji łańcuchowej przekroczy dopuszczalną granicę, automat wsuwa do korpusu reaktora dodatkowe pręty grafitowe... o te tam, widzicie państwo. Grafit pochłania neutrony i hamuje reakcję... A teraz zapoznamy się z oddziaływaniem radiacji na żywy ustrój. Proszę bardzo, kolego.

Kriwoszejn podtoczył do brzegu basenu wózek z akwariem, w którym wił się i szczyrzył drobne zęby czarny, obramowany frędzlami płetw półmetrowy węgorz.

– Oto węgorz rzeczny, *Anguilla anguilla* – nie odwracając głowy powiedział Walerno – najżywotniejsza z ryb słodkowodnych.

Wrzucony do basenu węgorz, kierując się instynktem, natychmiast popłynął w głąb... hm... czego ja osobiście na jego miejscu nie robiłbym, jako że najwytrzymalsze egzemplarze po paru minutach powracają stamtąd brzuchem do góry. Sami państwo zobaczycie. Proszę mierzyć czas, kolego. Do dzieła.

Kriwoszeim odwrócił akwarium nad basenem i uruchomił stoper. Studenci pochylili się nad barierą. Czarna błyskawica pomknęła ku wyłożonemu szarymi kaflami dnu basenu, opisała krąg, potem drugi, przekreśliła zieloną poświatę nad cylindrem. Węgorz, chyba oślepiiony, uderzył w przeciwległą ścianę i rzucił się do tyłu.

Nagle wewnątrz basenu rozjaśniło się i w tym zielonym świetle Kriwoszeim zobaczył coś, od czego zdrętwiał: węgorz zaplątał się w linkach, na których wisiały pręty grafitowe hamujące reakcję, i szamotał się między nimi! Jeden z prętów wyskoczył z gniazda i jak zielona pałeczka odleciał w bok. Świecenie stało się jeszcze jaśniejsze.

– Cofnąć się! – szybko oceniwszy sytuację zakomenderował pობladły Walerno. – Wychodzić!

Alarmowy dźwięk dzwonka szarpnął nerwami. Szczęknięty styczniki blokady automatycznej. Świecenie w wodzie zamigotało jak przy spawaniu i stało się jeszcze jaśniejsze. Studenci osłaniając twarze rzucili się ku wyjściu, w drzwiach powstał ścisk.

– Proszę się nie bać! – pełnym już falsetem zapał, straciwszy głowę, Walerno. – Uranu 235 w reaktorze jest za mało, aby mógł nastąpić wybuch jądrowy! Będzie tylko eksplozja cieplna, jak w kotle parowym!

– O Boże! – wykrzyknął ktoś.

Drzwi zaczęły trzeszczeć. Krzyknęła panicznie jakaś dziewczyna. Ktoś zaklął. Piegowaty student-okularnik przytomnie chwycił ze

stołu trzydziestopięciokilogramowy synchroskop SI-8, wybił nim okno wraz z ramą i wyskoczył w ślad za nią... W ciągu kilku sekund sala opustoszała.

W pierwszym momencie, paniki Kriwoszeina rzucił się wraz z innymi do drzwi, ale opamiętał się, zatrzymał i podszedł do reaktora. Od cylindra leciały w górę gęsto wielkie, bąble, woda burzyła się. Zamiast spokojnego świecenia w basenie płonęło teraz zielone ognisko. Węgorz już przestał się szamotać, ale wyrwane przez niego pręty grafitowe przekrzywiły się i zaklinowały w otworach gniazd.

„Woda zacznie wrzeć i para radioaktywna pójdzie na całą okolicę – gorączkowo myślał Kriwoszein. – To niewiele lepsze niż wybuch jądrowy... A może...? Boję się... No, jazda! Diabła warte wszystkie moje doświadczenia, jeżeli się boję! A jeśli skończę jak ten węgorz... A niech to!”

Nawet w tej chwili Kriwoszein poczuł się nieswojo: jak mógł się zdecydować na coś takiego? Czy w zarozumiałości sądził, że nic mu już nie straszne? Czy też odezwała się w nim żyłka motocyklisty, wyobraził sobie, że przemyka między dwiema mijającymi się ciężarówkami: najważniejsze to nie zastanawiać się, tylko naprzód... Upajający moment niebezpieczeństwa, ryk silników i z walącym sercem wyskakuje się na wolną przestrzeń! Ale to przecież nie był żaden „moment”, równie dobrze mógł zostać w basenie w towarzystwie zdechłego węgorza.

Ogarnął go poryw motocyklowej brawury. Zrywając guziki, zrzucił ubranie, przełożył nogę przez barierę i – „Stop! Spokojnie, Walka!” – skoczył od basenu do stołu, naciągnął gumowe rękawice, hermetyczne okulary („Przydałby się teraz aparat tlenowy!...”

– przemknęło mu przez głowę). Nabrał powietrza w płuca i skoczył do basenu.

Nawet z dala od reaktora woda była ciepła. „Tysiąc jeden, tysiąc dwa...” – Kriwoszejn, instynktownie odwracając twarz, zrobił krok po śliskich płytkach w kierunku środka basenu. „Tysiąc sześć...” – po omacku zaczął szukać rękami we wzburzonej wodzie. Gumowe rękawice dotykały nie wiadomo czego, trzeba było jednak otworzyć oczy – węgorz, zwinięty w pętlę, wisiał między linkami trochę niżej. „Tysiąc dziesięć, tysiąc jedenaście...” – ostrożnie, żeby przypadkowo nie wyciągnąć pozostałych prętów, chwycił zwiotczałą rybę. „Tysiąc szesnaście...” Zaczęło go parzyć w ręce, odruchowo chciał je cofnąć, ale opanował się i powoli wypłatywał węgorza z sieci linek. Okulary okazały się niezbyt szczelne, strużki radioaktywnej wody spływały po powiekach. Zmrużył oczy. „Tysiąc dwadzieścia, tysiąc dwadzieścia jeden...” – nareszcie: wyciągnął! Zielony blask zamigotał, pręty bezdźwięcznie wślizgnęły się do gniazd. W basenie od razu zrobiło się ciemno.

„Tysiąc dwadzieścia pięć!” Energicznym pchnięciem odbił się ku ścianie, wynurzył po pas. Podciągnął się na barierze i wyszedł z wody. „Tysiąc trzydzieści...”

Miał jeszcze tyle przytomności umysłu, żeby poskakać w celu strząśnięcia z ciała śmiercionośnej cieczy, a nawet wytarzać się po podłodze. Spodniami wytarł do sucha twarz i oczy. „Żeby tylko nie oślepnąć, zanim dobiegnę.” Ubrał się byle jak i wybiegł z sali.

Ochryple zawył w przejściu monitor promieniowania. Zagradzając drogę wysunęły się rygle śluzy. Przeskoczył ponad nimi i

pobiegł wprost po świeżo skopanym trawniku w kierunku domu akademickiego.

„Tysiąc siedemdziesiąt, tysiąc siedemdziesiąt jeden...” – mózg machinalnie odliczał czas. Zmierzch ukrył go przed oczami znajomych. Tylko przy ogrodzeniu strefy „B” ktoś zawołał w ślad za nim: „Hej, Wala, dokąd tak pędzisz?” – chyba doktorant z sąsiedniej katedry, Nieczyporow. „Tysiąc osiemdziesiąt, tysiąc osiemdziesiąt jeden...” Poczul najpierw swędzenie skóry, a potem jakby ułtucia milionów igieł – to wyczulony w poprzednich doświadczeniach układ nerwowy sygnalizował, że protony i kwanty promieniowania gamma z rozpadłych atomów uranu rozbijają cząsteczki białek w komórkach naskórka, w zakończeniach nerwów skórnych, że przebijają ścianki naczyń krwionośnych, uszkadzając białe i czerwone krwinki. „Tysiąc sto... tysiąc sto pięć...” Teraz pokłuwanie objęło także i mięśnie, jamę brzuszną i czaszkę. W płucach zaczęło drapać jakby po zaciągnięciu się najmocniejszą machorką. To krew roznosiła rozbite atomy i cząsteczki białka po całym ciele.

„Tysiąc dwieście pięć... dwieście osiem... idiota, co ja narobiłem?! Uwieście dwanaście...” – myśli zaczęły się rwać, poryw minął, ogarnął go strach. Chciał żyć. Brzuchem zaczęły targać skurcze wymiotów, usta napełniły się śliną o metalicznym posmaku. Uderzając w biegę o masywne drzwi wejściowe, aż zahuczało. Kriwoszejn zrozumiał, że to zawrót głowy. W oczach pociemniało. „Dwieście czterdzieści jeden... czy zdążę dobiec?” Trzeba było wbiec na trzecie piętro. Uderzył się silnie ręką w jeden, potem w drugi policzek. W głowie przejaśniło się.

W ciemność pokoju razem z nim wpadła słaba poświata. W

pierwszej chwili rozluźniony krążył bezsensownie po pokoju. Strach, ten nie poddający się świadomości biologiczny strach, który pędzi zranione zwierzę do nory, omal go nie zgubił; zapomniał, co ma robić. Zrobiło mu się strasznie żal samego siebie. Ciało napełniła dygocąca słabość, świadomość odpływała. „No to giń, durniu” – pomyślał beznamiętnie i w tej chwili poczuł, jak ogarnia go gwałtowna złość na samego siebie. I to go właśnie uratowało.

Ubranie, pokryte zielonymi plamami, jak pnie starych drzew, poleciało na podłogę. W pokoju zrobiło się jaśniej. Świeciły nogi, na rękach jarzyły się włosy i zarysy żył. Kriwoszeim rzucił się do łazienki, odkręcił kran. Z szumem trysnęła zimna woda, trzeźwiła ściekając po głowie, po całym ciele. Na gumowej macie powstała mieniąca się szmaragdowymi odcieniami kałuża. Odzyskał siły na tych kilka sekund, które były niezbędne, aby zapanować nad myślami i wolą.

Jak strateg zaczął wydawać rozkazy w toczącej się w jego ciele bitwie o życie. Krew, krew, krew szalała w naczyniach! W skroniach odbijało się echem gorączkowe bicie serca. W miliardach włóśni-czek krew wypłukiwała ze wszystkich komórek mięśni i narządów uszkodzone cząsteczki. Białe krwinki szybko i płynnie pochłaniały je, rozkładały i unosiły do śledziony, do płuc, do wątroby, do nerek, jelit, wyrzucały do gruczołów potowych... „Zamknąć naczynia kostne!” – myślą nakazał nerwom, w porę przypomniawszy sobie, że radioaktywność może osiąść w szpiku, fabryce krwinek.

Minęło kilka minut. Teraz wydychał radioaktywne powietrze zawierające słabo świecącą parę wodną. Odpluwał świecącą ślinę, w której gromadziły się radioaktywne cząsteczki z uszkodzonych

komórek mózgu i mięśni głowy. Zmywał ze skóry zielonkawę krople potu i jednocześnie oddawał mocz piękną, szmaragdową strugą. Po godzinie wydaliny przestały świecić, ale pokłuwanie jeszcze nie ustąpiło.

W ten sposób spędził w łazience trzy godziny. Połykał wodę, obmywał się i wyrzucał z organizmu wszystko, co było uszkodzone promieniowaniem. Do pokoju wszedł po północy, słaniając się ze znużenia i wyczerpania fizycznego. Odepchnął w odległy kąt świecące strzępy odzieży i zwałił się na łóżko. Spać!...

Następnego dnia nieustannie chciało mu się pić. Wstąpił do pracowni pomiarów radioaktywności, wodził wokół siebie sondą licznika Geigera – aparat spokojnie potrzaskiwał rejestrując tylko nieliczne cząstki promieniowania kosmicznego.

– O, psiakrew, kiedy zdążyłeś tak schudnąć?! – zdumiał się spotkawszy go w sali wykładowej Nieczyporow...

„Tak, sądząc z wyników, był to duży eksperyment – uśmiechnął się doktorant. – Pokonać zabójczą dawkę promieniowania! Ale wykonanie... metodyka... Nie, takimi «doświadczeniami» chełpić się nie można. Lepiej już tak, jak ten tutaj.”

„27 lipca. Dubli i potworków mam mnóstwo – kontynuował czytanie dziennika. – Normalne króliki wypuszczam do parku, a potworki po jednym wynoszę z Instytutu w torbie turystycznej i wywożę za Dniepr do Czerwonego Gaju.

I to chyba wszystko. Euforia spowodowana nowością odkrycia minęła. Obrzydło mi już to natrząsanie się z przyrody. Choć to tylko króliki, ale przecież żywe stworzenia. Te głupio typiące na siebie z ukosa oczy w dwóch głowach na jednej szyi... brrr! A właściwie, o co mi chodzi, u diabła! Znalazłem sposób sterowania syntezą biologiczną, badałem i dopracowywałem go. W ostatecznym rozrachunku nauka stwarza metody – nie konstrukcje, nie rzeczy, nie przedmioty codziennego użytku, ale właśnie metody – sposób, jak to wszystko zrobić. I nikt, kto stworzył własną metodę, nie pominie możliwości wykorzystania jej do końca.

A wczoraj w stołówce Instytutu pojawiło się danie: «Królik pieczony z młodymi kartofelkami – cena 45 kopiejek» Hm! Przypuśćmy nawet, że to zbieg okoliczności. Ale możliwe jest i takie zastosowanie odkrycia: hodowla królików czy krów na mięso, ulepszanie ras... W produkcji wielkoprzemysłowej na pewno będzie to korzystniejsze od zwykłych metod hodowli...

Jutro wracam do doświadczeń nad syntezą człowieka. Metodyka jest jasna, nie ma co zwlekać. A jednak na myśl o tym ścisła mnie w dołku. Powrót do syntezy człowieka... Pojawienie się mojego dubla, prawie przypadkowe, tak zresztą jak i w życiu bywa, to jedna sprawa, świadome tworzenie człowieka tak jak królika, to zupełnie co innego. W istocie, nie będę «powracał», ale zaczynał od nowa...

Cóż to za stworzenie ten człowiek, że nie mogę pracować nad nim tak spokojnie jak nad królikami?!

Ustalmy skalę. W czarnej przestrzeni pływa gwiazdna chmura metagalaktyki. W jej wnętrzu pyłek kształtu ziarna soczewicy, utworzony z gwiazd – nasza galaktyka. Gdzieś na jej peryferiach

Słońce, a dookoła planety. Na jednej z nich – ani największej, ani najmniejszej – żyją ludzie. Wszystkiego trzy i pół miliarda, nie tak znów wiele. Gdyby wszystkich ustawić w czworobok, to z wieży Eiffla można by ogarnąć wzrokiem całą ludzkość. Gdyby ich odpowiednio poukładać, uzyskałoby się sześcian o jednokilometrowej krawędzi – i to wszystko. Kilometr sześcienny żywej i myślącej materii, drobinka w skali Wszechświata... No i co?

To właśnie, że ja sam jestem człowiekiem. Jednym z nich. Ani najwyższym, ani najniższym. Ani najmądrzejszym, ani najgłupszym, ani pierwszym, ani ostatnim. A wydaje się, że każdym z nich. I czuję ciężar odpowiedzialności za wszystko...”

Rozdział dziesiąty

W trosce o bliźniego najważniejsze jest, aby nie przedobrzyć.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 33

„29 lipca. Siedzę w kamerze informacyjnej w «czapce Monomacha» na głowie, otoczony czujnikami. Z braku lepszego zajęcia – piszę dziennik. Przez cały ten tydzień będę musiał także i nocować, w kamerze, na łóżku polowym.

Siedzę zatem i rozmyślam.

A więc człowiek. Najwyższa forma materii ożywionej.

Szkielet z rurowatych kości, podatne grudki białek, w których

zamknięte jest to, co uczeni i inżynierowie próbują zanalizować i odtworzyć w układach logicznych i modelach elektronicznych – Życie. Złożony, nieustannie działający i nieustannie zmieniający się układ. W każdej sekundzie miliony bitów informacji wnikają do naszego ciała poprzez receptory oczu, uszu, skóry, nosa, języka i są przekształcane w impulsy elektryczne. Jeżeli się je wzmocni, w głośniku można usłyszeć charakterystyczny dźwięk: drrr... drrr... – demonstrowali mi to kiedyś bionicy. Serie impulsów jak z karabinu maszynowego biegną po nerwach, wchodzi we wszystkie ich rozgałęzienia, wzmacniają lub wygaszają się wzajemnie, sumują, toną w molekularnych elementach pamięciowych. Ogromna rozdzielnia – mózg – sortuje je, porównuje z chemicznymi zapisami programu wewnętrznego, w którym jest zawarte wszystko: marzenia i pragnienia, obowiązki i cele. instynkt samozachowawczy i głód, miłość i nienawiść, nawyki i wiedza, przesady i ciekawość – a następnie wydaje polecenia narządom wykonawczym. I ludzie mówią, biegają, całują się, piszą wiersze i donosy, lecą w kosmos, drapią się w kark, strzelają, naciskają przyciski, wychowują dzieci, zamyślają się...

Cóż więc jest najważniejsze?

Opracowuję zarys metody sterowanej syntezy człowieka. Można będzie wprowadzać dodatkową informację i w ten sposób zmieniać kształt i treść człowieka. Tak będzie, wszystko ku temu zmierza. Ale jaką informację wprowadzać? Jakich poprawek dokonywać? Weźmy na przykład mnie. Przypuśćmy, że to właśnie mnie będzie maszyna syntetyzować (tak będzie zresztą w rzeczywistości): co chciałbym w sobie ulepszyć?

Trudno na to odpowiedzieć od razu. Przywykłem do siebie.

Otoczające mnie osoby interesują mnie znacznie bardziej niż ja sam. Otóż to, doskonale wiemy, czego wymagać od ludzi otaczających nas: żeby nie zatruwali nam życia. Wszyscy jesteśmy tacy. Ale czego chcemy od samych siebie?

Wczoraj prowadziłem z Lenką taką rozmowę:

– Powiedz, Len, jakiego chciałabyś mieć syna?

– Bo... co?

– No, jakim na przykład chciałabyś go widzieć już jako człowieka dorosłego?

– Chciałabym, żeby był przystojny, zdrowy, mądry, a nawet utalentowany... uczciwy i dobry. Może być twojego wzrostu... nie, lepiej trochę wyższy! I żeby na przykład został skrzypkiem, a ja chodziłabym na jego koncerty. I żeby był podobny do... ale, mój Boże, dlaczego zaczęłaś o tym mówić? Ach, rozumiem, zdecydowałaś się na oświadczyń! Tak? To ciekawe! Wobec tego zaczynaj zgodnie z wszystkimi regułami. Niewykluczone, że się zgodzę. No!

– M-m... ależ nie, ja tak... ogólnie...

– Ach. ogólnie! Abstrakcyjny syn, tak?

– Właśnie.

– Wobec tego powinieneś rozmawiać o tym z jakąś abstrakcyjną kobietą, a nie ze mną!

Kobiety przyjmują wszystko w zadziwiająco konkretny sposób.

Ale z tego, co powiedziała, można wyróżnić jedną cechę – mądrość. A na tym to ja się znam.

Z logicznym myśleniem u człowieka jest znacznie gorzej niż w układach elektronicznych. Szybkość opracowywania informacji jest mizerna: 15–20 bitów na sekundę, dlatego co chwilę trzeba włączać linię opóźniającą. Wystarczy zapytać kogoś znienacka o coś bardziej

skomplikowanego niż «Która godzina?», by w odpowiedzi usłyszeć «He!» albo «Czego?» Nie oznacza to bynajmniej, że rozmówca jest przygłuchy – po prostu w czasie, w którym powtarza się pytanie, w popłochu zastanawia się, co powiedzieć. Niekiedy i tego jest za mało i wtedy rozlega się: «M-m... Widzisz... e-e... jak by to powiedzieć... chodzi o to, że...»

Czas na papierosa. Zasiedziałem się. Na wolność!

Ranek jak śpiew skrzypiec. Świeża zieleń. Błękitne niebo, czyste powietrze...

Przez park do garażu idzie sobie Pasza Pukin, ślusarz, pijanica i krętacz. Po męsku dźwiga na swoich zgarbionych ramionach swój przekłety los. Zaraz sprawdzę na nim!

– Powiedz, Pasza, czego chciałbyś od życia w taki poranek?

– O, pan inżynier! – Ślusarz, jak gdyby czekał na to pytanie, patrzy na mnie przenikliwie i z zachwytem. – Powiem jak bratu: dziesięć rubli do pierwszego! Słowo daję, oddam!

Zaskoczony wyjmuję dziesiątkę, daję mu i dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że Pasza jeszcze nigdy i nikomu długu nie oddał. Takiego faktu jeszcze nie zarejestrowano.

– Dziękuję, panie inżynierze! Do grobowej deski!... – Pukin pośpiesznie chowa pieniądze. Na jego nalanej twarzy maluje się żal, że nie poprosił o więcej. – A czego pan chciałby od życia w taki poranek?

– H-m... właściwie... widzisz... n-no... na przykład, żebyś zwrócił ten dług.

– U mnie jak w banku! – i Pasza kroczy dalej.

No tak... I co? Zdaje się, że i u mnie z myśleniem logicznym nie najlepiej. Dziwne, w każdej chwili moja sieć nerwowa opracowuje całą Niagarę informacji, z jej pomocą wykonuję najbardziej złożone, niedostępne żadnej maszynie czynności (na przykład pisanie), i żeby w porę nie skojarzyć!... Słowem, należy przygotować maszyni-matce informację o tym, jak być mądrym, jak dobrze kojarzyć. Jeśli Bóg mnie tym nie obdarzył, to niech chociaż nowy dubel skorzysta. Niech będzie mądrzejszy ode mnie, może mnie nie wygryzie...”

„3 sierpnia. Tak, ale żeby do maszyny wprowadzić informację, trzeba ją przecież mieć! A ja jej nie mam.

Teraz dzielę swój czas między kamerę informacyjną i bibliotekę. Przerzuciłem już nie mniej niż tonę wszelakiej literatury i nic.

Można by zwiększyć objętość mózgu dubla – to nietrudne: widzę, jak powstaje mózg. Nie ma jednak związku między ciężarem mózgu a rozumem człowieka. Mózg Anatola France'a ważył kilogram, mózg Turgeniewa – dwa kilo, a mózg jakiegoś kretyna prawie trzy kilo, dokładnie 2850 gramów.

Można by także zwiększyć powierzchnię kory mózgowej, liczbę zakrętów – i to nie jest trudne. Jednak między liczbą zakrętów a intelektem również nie ma bezpośredniego związku.

Wiem, od czego zależy intelekt człowieka – od szybkości działania komórek nerwowych. Przecież to jasne. W maszynach elektrycznych największe znaczenie ma właśnie szybkość działania. Jeżeli maszyna nie zdąży rozwiązać zadania w tym krótkim czasie, w którym w startującej rakiecie spala się paliwo, rakietka zamiast wyjść na orbitę, wali się koziółkując na ziemię.

Większość głupstw, jakie popełniamy, ma podobny mechanizm. Nie nadążamy w niezbędnym czasie rozwiązać zadania, zbyt powoli kojarzymy. Zadania w życiu są nie mniej skomplikowane od wprowadzenia rakiety na orbitę. A czasu zawsze jest mało. Aż strach pomyśleć, ile głupstw popełnia się na całym świecie dlatego tylko, że w ciągu sekundy jesteśmy w stanie przerobić zaledwie dwadzieścia, a nie dwieście bitów informacji logicznej!

I cóż? Lawina artykułów, referatów, monografii na temat ulepszenia logiki i przyspieszenia pracy maszyn matematycznych (choć ich szybkość działania zbliża się już do 10 milionów operacji na sekundę) i nic na temat udoskonalenia logiki i szybkości myślenia człowieka. Szewc bez butów...

Jednym słowem, przykre to, ale z tym pomysłem trzeba poczekać...”

Doktorant Kriwoszejn w zamyśleniu drapał się w szyję. „Tak, rzeczywiście...” Nie zastanawiał się nad tym problemem, jakoś nie było okazji, a może dlatego, że z czasem było tak, jak ze stypendium doktoranckim – ledwo go starczało. Jedyne, czym się zajmował, to udoskonalenie własnej pamięci, a i to przyszło samo – zbyt wiele trzeba było pamiętać jednocześnie, aby przekształcić samego siebie. A kiedy kończył doświadczenie, zbędna informacja przeszkadzała w następnym. Musiał więc opanować chemię świadomego zapomnienia, „ścierał” w korze mózgowej te drobne szczegóły, do których bardziej się opłacało dochodzić od nowa, niż zapamiętywać.

Ale to już całkiem inna sprawa. O sprawności logicznej mózgu nie myślał. Poczul zakłopotanie. Zagłębił się w biologii, zapominając zupełnie, że przyszedł tam, jako inżynier-systemolog poszukiwać nowych możliwości w człowieku... Wygląda na to, że to nie on

przewodził pracę, ale praca jego. Robił tylko to, co się łatwo dawało uchwycić. „Ludzkość może zginąć z tego powodu, że każdy robi tylko to, co się łatwo daje uchwycić” – powiedział Androsjaszwili. I to bardzo łatwo.

„Ale niełatwo jest zbliżyć się do tego problemu – w ustroju ludzkim informację przenoszą jony, a ich nie sposób zmusić do takiej prędkości, jaką mają szybkie i lekkie elektrony w maszynach matematycznych... Ech, wygląda na to, że próbuję się usprawiedliwiać. Człowiek bardzo szybko rozwiązuje złożone zadania – porusza się, pracuje, mówi, a co się tyczy logiki, to może po prostu ma zbyt małe doświadczenie biologiczne. Zwierzęta w procesie ewolucji nie potrzebowały myśleć – we wszystkich sytuacjach musiały «podejmować kroki»: ugryźć, zawyć, skoczyć, podpełznąć – i to im szybciej, tym lepiej. A gdyby w walce o byt potrzebne im było rozwiązywanie układów równań, prowadzenie rozmów dyplomatycznych, handel lub zgłębianie zagadek przyrody, to można by się nie obawiać o rozwój ich logiki! Tutaj trzeba pomyśleć, zastanowić się.”

„4 sierpnia. Migotanie lampek na pulpicie maszyny uspokoiło się. A więc cała informacja o mnie została zapisana w maszynie-matce. I gdzie są teraz wszystkie moje marzenia, wady, budowa jelit, myśli i niezbyt interesujący wygląd zewnętrzny? W sześcianach pamięci magnetycznej? W elementach bloku krystalicznego? A może zostały rozpuszczone w złocistej cieczy zbiornika? Nie wiem. Zresztą to nieważne.

Jutro próbne odtwarzanie. Tylko próba i nic więcej.”

„5 sierpnia. Godzina czternasta zero pięć. «Można! » W zbiorniku, w płynie o barwie słońca, zacząłem powstawać nowy,

widmowy j a. Obraz taki sam jak podczas syntezy królika, poza tym że jednocześnie z układem krwionośnym w górnej części zbiornika tworzy się mglisty, szarawy zgęstek, który później przekształci się w mózg. Mózg, dla którego informacji korygującej nie mam. Chciałaby dusza...

Do godziny czwartej po południu proces kształtowania dubla doszedł do stadium nieprzezroczystości. Maszyna odziała go w spodenki i koszulę.

...Gdyby pół roku temu ktoś mi powiedział, że w zakres mojej pracy wejdą problemy życia i śmierci, moralności i prawa karnego, potraktowałbym to jako niedowarzony dowcip. Dzisiaj natomiast stałem przy zbiorniku i myślałem: «Zaraz ożyje, wynurzy się ze zbiornika... Po co? Co ja z nim zrobię?»

– Ja istniałem także p r z e d pojawieniem się w maszynie – powiedział mi pierwszy dubel. – Byłem tobą.

I był niezadowolony ze swojego losu. A teraz i z tym zaczął się rozkosze wspólnego życia: kłótnie o Lenkę, ukrywanie się, problem tapczanu... Najważniejsze zaś. że nie tego spodziewałem się po nowym doświadczeniu. Chcę sterować syntezą człowieka, a t o jest tylko próba. Próba udała się – maszyna mnie reprodukuje. Trzeba iść dalej.

Ale teraz jeżeli na rozkaz «Nie!» rozpuści się – czy to będzie śmierć? I, bardzo przepraszam, czyja śmierć? Moja? Nie, ja żyję. Dubla w zbiorniku? Przecież on jeszcze nie istnieje...

Czy moje eksperymenty nie są przypadkiem przestępstwem? Jeżeli w każdym doświadczeniu będę płodził swoje duble, czy nie będzie to nadużycie stanowiska służbowego? Miał rację doktorant – to rzeczywiście «ta robota»!

Wszystko to prawdopodobnie jest wynikiem słabości charakteru. W dzisiejszym świecie ludzie – w imię idei lub polityki – sami idą i posyłają innych, aby zabijali i umierali. Są idee i cele, które to uzasadniają. Ja także mam wielką ideę i wielki cel: udoskonalanie człowieka i społeczeństwa ludzkiego. Dla tego celu – gdyby to okazało się konieczne – poświęciłbym nawet siebie. Skąd więc ten lęk przez wydaniem rozkazu «Nie!» dla tego wielkiego celu? Skoro już wziąłem się do takiej pracy, muszę być twardszy.

Tym bardziej że mimo wszystko to nie jest śmierć. Śmierć jest unicestwieniem informacji o człowieku, zaś w maszynie-matce informacja nie ginie, przechodzi tylko z jednej postaci (impulsów i potencjałów elektrycznych) w inną, w człowieka. W każdej chwili mogę stworzyć nowego dubla...

Rozmyślałem tak, dopóki węże gumowe, odchodzące od zbiornika, nie zaczęły rytmicznie kurczyć się, wypompowując nadmiar płynu. Wtedy nałożyłem «czapkę Monomacha» i przekazałem maszynie rozkaz «Nie!» Przykry to widok: był człowiek i nie ma go, rozpuścił się. Jeszcze teraz mi głupio... To nic, stary, nie spiesz się. Zbuduję cię tak, aż miło będzie patrzeć. Wprawdzie rozumu nie mogę ci dać więcej, niż sam posiadam, ale za to wyglądać będziesz tak, że własnym oczym nie uwierzysz. Przecież teraz obaj mamy mnóstwo defektów: nogi krzywawe, zbyt grube uda, plecy przygarbione, tułów jak kłoc, mnóstwo zbędnego owłosienia na nogach, piersiach i plecach. A odstające uszy, a szczęka, nadająca mojej twarzy wyraz usłużnego tępaka, a czoło, nos... nie. Bądźmy samokrytyczni – to w ogóle żaden wygląd!”

„6 sierpnia. Druga próba: jeszcze gorzej! Dzisiaj zamierzałem za jednym zamachem poprawić całą powierzchowność dubla i

zblądziłem się tak, że aż wstyd wspominać.

Zacząłem doświadczenie, wiedząc doskonale, co w moim wyglądzie jest «nie tak» (szczerze mówiąc, wszystko. Ba, gdybym tylko mógł zmienić). Ale co jest «tak»? W doświadczeniach z królikami kryterium dla «tak» było to, co mi przyszło do głowy. Jednakże człowiek to nie królik. Wprawdzie mówi się, że co dwie głowy, to nie jedna, ale nikt nigdy nie rozumiał tego w sensie biologicznym.

Kiedy na rozkaz «Można» pojawił się zarys nowego dubla i pół-przezroczyste, liliowe mięśnie brzucha zaczęły pokrywać się żółtym nalotem tłuszczu, przekazałem sygnał «nie to!» Maszyna, podporządkowując się mojej woli, zlikwidowała tkankę tłuszczową tam, gdzie ją widziałem – na brzuchu i szyi. A na bokach i plecach tłuszcz pozostał...

Zauważyłem to nie od razu, bo wziąłem się do poprawiania twarzy. Mocą wyobraźni przydałem czółu dubla szlachetne zarysy, ale gdy spojrzałem z boku, ręce mi opadły – czaszka z tyłu nad karkiem spłaszczyła się! A i zarys czoła nie pasował do pozostałej części twarzy.

Straciłem głowę. Maszyna prawidłowo przyjęła to jako rozkaz całkowitego «Nie to!» i zlikwidowała dubla.

Znalazłem się w ślepym zaułku. «To» oznacza z pewnością piękno ludzkiego ciała. Istnieją klasyczne wzorce. Ale... przekształcenie w ciągu dwu godzin syntetyzowanego dubla w przystojnego mężczyznę o kształtach antycznej rzeźby – takie zadanie przekracza nie tylko moje siły, ale i możliwości najlepszego rzeźbiarza Związku Artystów ZSRR! Jedyna nadzieja, że maszyna zapamiętuje wszystkie poprawki dokonywane w dublu.

Wtedy jeszcze raz wydałem rozkaz «Można!» Tak, maszynamatka wszystko zapamiętuje – w powstającym dublu zachowały się

moje chaotyczne poprawki. Poczułem ulgę – będzie można pracować przez tyle seansów, ile trzeba.

Podczas tego seansu ostatecznie usunąłem zbędny tłuszcz z ciała dubla. Znikł pojawiający się poprzednio brzuszek, zaznaczyła się nawet talia, szyja wysmukłała... Na początek będzie dość. «Nie!» – i wszystko uległo rozpuszczeniu, a ja pobiegłem do biblioteki miejskiej.

Teraz przeglądam atlas anatomii plastycznej profesora G. Gize-scu (w zapasie mam jeszcze cztery bogato ilustrowane tomy o sztuce Odrodzenia), wnikam w proporcje ciała ludzkiego, dobieram dublowi powierzchowność jak garnitur. Kanony Leonarda da Vinci, Durera, proporcje Schmidta-Fritscha. Okazuje się, że u proporcjonalnie zbudowanego mężczyzny pośladki znajdują się dokładnie w połowie wysokości. Kto by pomyślał?

Boże, na co przyszło biednemu inżynierowi!

Za wzór przyjąłem Herkulesa Farnese. Przynajmniej jest pokazany w atlasie ze wszystkich stron.”

„14 sierpnia. Dwanaście prób – i wciąż jeszcze nie to. Niezgrabnie, prymitywnie. Albo jedna noga krótsza, albo ręce różne. Zmieniam wzorzec. Lepiej będzie przyjąć proporcje dürerowskiego Adama.”

„20 sierpnia. Proporcje właściwe. Za to twarz – aż płakać się chce. Martwy, pozbawiony oczu zlepek z rysami Kriwoszeina. Obfite, marmurowe zwoje rudego koloru zamiast włosów. Skończyło się dwudziestym pierwszym «Nie!»

Ktoś ostrożny i podejrzliwy, ukryty we mnie, wciąż zadaje pytanie: «No i co? Czy to właśnie t o ? Czy to jest właśnie t a metoda?»

Moim zdaniem tak. W każdym razie jest to krok w tym kierunku. Na razie syntetyzując człowieka wprowadzam wyłącznie informację o optymalnej budowie ciała. I właśnie w taki sposób można będzie (z czasem dojdziemy jeszcze, jak to zrobić) wprowadzać do maszyny-matki dowolną, nagromadzoną przez ludzkość informację o najwyższych jakościach człowieka i tworzyć ludzi nie tylko pięknych zewnętrznie i silnych fizycznie, lecz także ludzi wielkiego umysłu i ducha. Zwykle w człowieku dobro jest przemieszane ze złem – jeden jest rozumny, ale słaby, drugi ma silną wolę, ale przez głupotę marnuje się, jeszcze inny jest i mądry, i twardy, i dobry, ale zdrowie ma słabe... Ale tą metodą będzie można odrzucić wszystko, co złe, i syntetyzować ludzi obdarzonych tylko najlepszymi cechami.

«Syntetyczny rycearz bez lęku i skazy» – z pewnością brzmi to okropnie. Ale ostatecznie cóż za różnica – syntetyczny czy naturalny? Byle tylko ich było jak najwięcej. Przecież na razie takich «rycearzy» jest bardzo mało, osobiście znam ich tylko z książek i filmów. A są bardzo potrzebni w życiu, każdy znalazłby i miejsce, i pracę. I każdy z nich mógłby wpływać na to, aby sprawy na świecie potoczyły się lepiej.»

„28 sierpnia. Udaje się! Ach, wy nieszczęśni partacze, którzy próbujecie pędzlem czy młotkiem utrwalić w martwym materiale piękno i siłę żywego człowieka! Oto on, mój «pędzel» – maszyna elektroniczno-chemiczna, przedłużenie mojego mózgu, mojej wyobraźni. I ja – inżynier, a nie artysta – nie ruszając palcem, wysiłkiem samej myśli tworzę piękno żywej istoty.

Przepiętkne i dokładne proporcje dürerowskiego Adama i

wyrazista muskulatura Herkulesa. I twarz niebrzydka... Jeszcze dwa-trzy retusze i koniec.”

„1 września. Dziś zaczyna się nowa era! Pójdę teraz do pracowni. Spodnie dla niego mam, koszulę i buty też. Spakować! Aha, żebym nie zapomniał o kamerze – sfilmuję pojawienie się wspaniałego dubla. Czuję przedsmak tego wstrząsu umysłowego, który kiedyś wywoła projekcja tego amatorskiego filmu.

Zaraz tam pójdę, nałożę «czapkę Monomacha» i wydám rozkaz myślowy... nie, do diabła, powiem, zawołam wielkim, potężnym głosem, jak ongi w podobnej sytuacji zawołał Bóg Sabbaoth:

– Można! Pojaw się, dublu Adamie–Herkulesie–Kriwoszeinie!
«I ujrzał Bóg, że to było dobre...»

Nie, nie jestem oczywiście Bogiem. Tworzyłem człowieka cały miesiąc, a Jemu wystarczył skrócony dzień pracy – sobota. Ale czy to można nazwać pracą?”

Rozdział jedenasty

Człowiek uważał się zawsze za stworzenie rozumne. Nawet wtedy, gdy chodził jeszcze na czworakach i owijał ogon dookoła gałęzi. Aby stać się rozumnym, musi choć raz zdecydowanie poczuć się durniem.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 59

Następny zapis w dzienniku zaskoczył doktoranta nierównym, jak gdyby nawet zmienionym charakterem pisma.

„6 września. Przecież nie chciałem... nie chciałem i jeszcze raz nie chciałem czegoś takiego! Mam ochotę krzyknąć – nie chciałem tego! Tak się starałem, żeby wyszło dobrze, bez partaniny i błędów. Po nocach nie spałem, leżałem z zamkniętymi oczami wyobrażając sobie, we wszystkich szczegółach ciało Herkulesa, a później Adama, obmyślałem, jakie wprowadzić poprawki.

Nie mogłem zmieścić się w jednym seansie. Żadną miarą nie mogłem, dlatego właśnie go likwidowałem... Nie mogłem przecież wypuszczać kaleki z rękami i nogami różnej długości. I w żaden sposób nie mogłem wiedzieć, że za każdym razem zabijam go. No bo skąd miałem wiedzieć?!

...Skoro tylko z płynu wynurzyła się głowa i ramiona, dubel uchwycił się swymi potężnymi rękami za krawędź zbiornika, wyskoczył – ja właśnie prowadziłem go kamerą, utrwalając historyczny moment pojawienia się człowieka z maszyny – i padł przede mną na linoleum zachłystując się ochryplym, skowyczącym płaczem. Skoczyłem ku niemu.

– Co ci jest?

Obejmował lepkimi rękami moje nogi, tarł o nie głową, całował moje ręce, gdy próbowałem go podnieść.

– Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj mnie więcej! Za co ty mnie... och! Nie chcę! Dwadzieścia pięć razy... dwadzieścia pięć razy zabiłeś mnie... aaaa...

Ale ja przecież nie wiedziałem. Nie mogłem wiedzieć o tym, że jego świadomość ożywa w każdym doświadczeniu! Rozumiał, że przekształcam jego ciało, że wyprawiam z nim, co mi się żywnie podoba, i nic na to nie mógł poradzić. A po moich rozkazach „Nie!” najpierw rozpuszczało się jego ciało, a później gasła świadomość...

I czemu tamten cholerny sztuczny idiota nie powiedział, że świadomość rodzi się, zanim powstaje ciało!

– Ach, do diabła! – w zmieszaniu mruknął doktorant. – Rzeczywiście! Przecież mózg musi wyłączać się na samym końcu. Zraz, zaraz, kiedy to było? – przewrócił kilka kartek, spojrzął na daty i aż westchnął z ulgą – nie było w tym jego winy. W sierpniu i wrześniu niczego nie mógłby powiedzieć o tym, bo sam jeszcze nie rozumiał. Gdyby to on prowadził doświadczenie, popełniłby identyczny błąd.

„...I w ten sposób powstał człowiek o klasycznej budowie ciała, miłym wyglądzie zewnętrznym i przetrąconej psychice zastraszonego niewolnika. «Rycerz bez lęku Ź skazy»...

Wykręcaj się teraz, szukaj winnych, sukinsynu: nie wiedziałeś, starałeś się! Czy aby tylko starałeś się, nic więcej? A czy nie było pychy, czy nie czułeś się Bogiem zasiadającym wśród chmur w etatowym fotelu? Bogiem, od którego kapryśnych myśli i nastrojów zależało, czy człowiek ma powstać, czy zniknąć, czy ma istnieć, czy też nie? Nie odczuwałeś przypadkiem intelektualnych orgazmów, kiedy wciąż i wciąż przekazywałeś maszynie rozkazy «Można!», «Nie tak!», «Nie!»?

...Od razu spróbował wyrwać się z laboratorium i uciec. Ledwie udało mi się go przekonać, żeby się umył i ubrał. Drżał na całym ciecie. O wspólnej pracy nie było nawet mowy.

Przez pięć dni mieszkał u mnie. Przez straszne pięć dni. Nie traściłem nadziei, że opamięta się, że mu przejdzie... Gdzie tam! Tak,

jest całkowicie zdrowy fizycznie, wszystko wie, wszystko pamięta – maszyna rzetelnie umieściła w nim całą informację zawartą we mnie, moje wiadomości, moją pamięć... Ale nad tym wszystkim panował nie poddający się jego woli ani myślom lęk. Już pierwszego dnia posiwiął od wspomnień.

Mój widok wzbudzał w nim nieopisane przerażenie. Gdy wracałem do domu, natychmiast zrywał się na równe nogi, stawał w unizonym ukłonie – jego potężne plecy garbiły się, ręce pokryte węzłami mięśni zwieszały się bezwładnie, jak gdyby usiłował stać się mniejszy. A oczy... Ach, te oczy! Patrzyły na mnie błagalnym, zaszczutym spojrzeniem, gotowe do złożenia każdej ofiary. Czułem się strasznie i nieswojo. Nigdy jeszcze nie widziałem patrzącego w ten sposób człowieka.

Dziś nocą około czwartej nad ranem... sam nie wiem dlaczego, przebudziłem się. Na sufit padało szare, martwe światło jarzeniowych latarni ulicznych. Dubel Adam stoi unosząc nad moją głowę hantlę. Wyraźnie widziałem, jak mięśnie prawej ręki napinały mu się do ciosu. Przez kuka sekund w osłupieniu patrzyliśmy sobie w oczy. Po chwili dubel zachichotał nerwowo i odszedł szurając bosymi nogami po parkiecie.

Usiadłem na tapczanie i zapaliłem górne światło. Dubel skurczył się na podłodze obok szafy i kryjąc twarz oparł głowę na kolanach. Ramiona i zaciśnięta w jego rękę hantla dygotały.

– No i co? – zapytałem ze złością. – Trzeba było bić, jak już miałeś hantlę w rękę. Od razu by ci ulżyło!

– Nie mogę zapomnieć – szlochając mamrotał dudniącym barytonem. – Zrozum, nie mogę zapomnieć, jak zabijałeś mnie... dwadzieścia pięć razy!

Wysunąłem szufladę, wyjąłem swój dowód, dyplom inżyniera, wszystkie pieniądze, jakie tam były. Potrząsnąłem Adama za ramię.

– Wstawaj! Ubieraj się i idź. Jedź, gdzie chcesz, urządz się, pracuj, żyj. Razem nic nie zrobimy – ani ty nie będziesz miał spokoju, ani ja... To nie moja wina! Niech to diabli! Czy ty nie możesz zrozumieć, że nie wiedziałem?

Robiłem coś, czego nikt jeszcze nie robił, mogłem przecież nie wiedzieć! Człowiek może urodzić się jako kaleka albo psychicznie chory, lub stać się nim przez chorobę czy wypadek, tylko że wtedy nie ma kogo winić, nie ma kogo walić hantłą po głowie. Gdybyś ty był na moim miejscu, byłoby to samo, bo ty jesteś mną, rozumiesz?!

Drżąc cofał się ku ścianie. Oprzytomniałem.

– Przepraszam cię. Masz, weź moje dokumenty, ja sobie jakoś poradzę. O, patrz – otworzyłem dowód – na fotografii jesteś nawet bardziej podobny do mnie niż ja sam... Widocznie fotograf także starał się upiększyć mi fizjonomię. Bierz pieniądze, ubranie i jazda na wolność. Będziesz żył sam, będziesz pracował – może ci przejdzie.

Wyszedł przed dwiema godzinami. Umówiliśmy się, że napisze do mnie, jak się urządzi. Chyba nie napisze...

A jednak dobrze, że chciał mnie zabić. Nie ma duszy niewolnika, reaguje na krzywdę. Może jeszcze wszystko w nim wróci do normy?

A ja siedzę... żadnej myśli. Pustka w głowie. Trzeba zaczynać od początku... O naturo, jaka z ciebie perfidna dziwka! Jak cieszy cię natrząsanie z naszych poczynań! Kusisz, kusisz, a potem...

Daj spokój! Nie zwalaj winy na naturę. Ona nadaje tylko szkielet twojej pracy. A cała reszta jest twoja, nie wykręcaj się.

Zadzwonił budzik: piętnaście po siódmej. Czas wstawać, myć się, golić, iść do pracy... Zamglone słońce nad domami, niebo pokryte dymem, brudne jak wypłowiwała firanka. Wiatr niesie kurz, targa gałęzie drzew, wciska się przez drzwi balkonu. W dole przed domem trolejbus pożera ludzi na przystanku. Potem nadchodzą nowi, na wszystkich twarzach wypisane jest tylko jedno – nie spóźnić się do pracy!

Ja też powinienem pójść do pracy. Pójdę do pracowni, opiszę w dzienniku wynik nieudanego doświadczenia, pocieszę się frazesami w rodzaju: «na błędach ludzie się uczą», «w nauce nie ma przetartych dróg...» Wezmę się za następne doświadczenia. I znowu będę błędził, okaleczał... egzemplarze doświadczalne? Nie, ludzi! Zapatrzony w siebie kretyn-marzyciel, uzbrojony w najnowsze osiągnięcia techniki!

Wiatr targa gałęzie drzew... Wszystko już było: dni pełne poszukiwań i odkryć, wieczory pełne rozmyślań, noce pełne marzeń. No i nadszedł ten jasny chłodny poranek, który miał odpędzić ciemność, a ukazać gorszą od niej bezlitosną prawdę. Pewnie o takiej porze dnia kobiety, które przez całą noc marzyły o dziecku, decydują się na poronienie. I mnie zdarzyło się poronienie... Marzyłem, chciałem dać szczęście ludziom, a stworzyłem już dwóch nieszczęśliwych. To nie dla mnie. Jestem słaby, nędzny i głupi. Trzeba zabrać się do czegoś zwykłego, na miarę sił. Napisać pracę, zrobić doktorat i wszystko będzie dobrze.

Wiatr targa gałęzie drzew. Wiatr targa gałęzie... Za ścianą adapter

gra «Requiem» Mozarta. Mój sąsiad, docent Pryszczepa, od rana wprowadza się w matematyczny nastrój. «Requi... requiem...» czysto i bezwzględnie chór kwituje czyjeś życie. Przy takiej muzyce można by się zastrzelić i nikt nie zwróci uwagi na wystrzał.

Wiatr targa gałęzie drzew...

I cóż ja narobiłem? Miałem przecież wątpliwości, nawet już nie wątpliwości, ale pewność. Wiedziałem, że każda wprowadzona przeze mnie zmiana pozostaje w nim, że maszyna-matka wszystko zapamiętuje. Nie przywiązywałem do tego wagi? Dlaczego?

...Miałem taką myśl, którą wstydziłem się wyrazić słowami, takie wygodne i bezpieczne poczucie: to przecież nie ja. Mnie to bezpośrednio nie dotyczy... I poczucie bezkarności: mogę zrobić, co zechcę, i nic mi nie będzie...

Nie zastrzelisz się, ścierwo! Nic sobie nie zrobisz – dożyjesz do emerytury i jeszcze będziesz swoje życie stawiał za przykład innym...

Wiatr targa gałęzie drzew. Trolejbus pożera ludzi na przystanku...

Nie idę do pracy. Nie chce mi się..."

„20 września. Szary asfalt. Szare chmury. Motocykl połyka kilometry jak makaron. Przy drodze znieruchomiał malec, na jego twarzy widać decyzję: kiedy dorosnę, będę jeździł czerwonym motocyklem. Bądź sobie motocyklistą, głuptasie, byle nie pracownikiem naukowym...

Wciąż dodaję gazu. Wskazówka szybkościomierza minęła pięćdziesiątkę. Wiatr chłoszcze twarz. Naprzeciw ukazała się wywrotka – oczywiście wali samym środkiem szosy, nawet trochę lewą stroną. Ci dranie, kierowcy wywrotek, nie uważają motocyklistów za ludzi, zawsze spychają ich na pobocze. No, temu to ja nie ustąpię!

Nie, nie rozbiłem się. Żyję. Opisuję przecież, jak mknąłem dzisiaj ze szklanym wzrokiem nie wiadomo dokąd i po co. Coś przecież muszę pisać... Wywrotka w ostatniej chwili skręciła w prawo. W lusterku widziałem, jak kierowca wyskoczył na drogę wymachując za mną pięściami.

A właściwie co z tego, gdybym się nawet rozbił? Jest przecież w Moskwie zapasowy Kriwoszejn... Czuję do wszystkich nieopisane obrzydzenie. Do siebie także.

...Jakże on drżał, jak obejmował moje nogi. Silny, piękny nie ja! A mogłem przecież zrozumieć i zapobiec temu! Ale zdecydowałem: E, co tam! Przecież to nie ja.

A było tak interesująco, dobrze, pięknie. Marzenia i dyskusje, troska o szczęście ludzkości, składanie przysięg... wstyd! A jednak nie liczyłem się z tym, że tworzę człowieka. O wszystkim pomyślałem – o pięknie, intelekcie, a o tym, że on może odczuwać ból i lęk, jakoś zapomniałem. Skleciłem naprędce teoriijkę, że w doświadczeniu śmierć informacyjna nie istnieje, i w porządku. A śmierć była – akt przemocy nad nim.

Jak mogło do tego dojść? Jakże do tego doszło?

Białe słupki wzdłuż szosy odbijają dźwięk silnika: tak-tak-tak-jak do tego doszło? Tak-tak-tak-jak doszło? Licznik wskazuje sto dziesięć. Ziemia i drzewa zlewają się w szarozielone smugi. Z taką szybkością mógłbym uciec przed pościgiem, uratować kogoś, zdążyć gdzieś na czas! Ale nie mam od kogo uciekać ani kogo ratować. A miałem kogo ratować, tylko tam trzeba było uczciwie myśleć, a nie dodawać gazu. Myśleć uczciwie...

Mogę pokonywać szczyty, żywioły – wysiłkiem i myśli, i mięśni – to nic wielkiego! Odnieść zwycięstwo nad żywiołem – to proste. Ale jak przezwyciężyć samego siebie?

Przekartkowałem dziennik i ogarnęło mnie przerażenie – jakże podłe i służalcze są moje myśli! W jednym miejscu wywodzę, że nieszczęścia ludzi rodzą się z braku zasad moralnych, z ugodowości i obojętności, a kilka stronik dalej zręcznie uzasadniam, dlaczego nie należy zaczynać z Harry Chitobokiem, niech sobie zostanie docentem... Tu rozmyślam nad tym, co mam robić, aby odkrycie «wyszło na dobre», a w chwilę później usprawiedliwiam własne okrucieństwo powołując się na zbrodnie ludzkości... Oto (sam czy też razem z dublem-doktorantem, co za różnica) przypisuję sobie poziom przeciętnego inżyniera, dla którego taka praca jest ciężka i niezwykła. Ot, takie małe ubezpieczenie, na wypadek, jeśli się nie uda. A kiedy zaczyna mi się udawać, przyrównuję siebie do Boga... I wszystko to pisałem szczerze, nie widząc żadnych sprzeczności.

Nie widząc? Nie chcąc widzieć! Tak przyjemnie i wygodnie było błyszczeć, okłamywać się ze spokojnym sumieniem, naginać myśli i fakty, aby uzyskać komfort duchowy. A więc nie o ludzkości myślałem, ale o samym sobie? A więc cała ta praca, jeśli ocenić ją nie z naukowego, ale moralnego punktu widzenia, była po prostu niedopuszczalną lekkomyślnością. Oczywiście dlatego nie było miejsca na troskę o jakieś tam modele eksperymentalne!

Co z ciebie za człowiek, Kriwoszejn?”

„22 września. Nie pracuję. Nie mogę teraz pracować... Pojechałem dzisiaj na motorze do Berdyczowa nie wiadomo po co i – przy okazji – zrozumiałem sens tajemniczego zdania, które kiedyś przekazała mi moja maszyna na taśmie perforowanej. Dwadzieścia sześć kopiejek to cena paliwa: pięć litrów benzyny, dwieście gramów

oleju, akurat tyle, ile trzeba na przejazd z Berdyczowa do Dnieprowska... Rozwiązałem jeszcze jedną tajemnicę!

Gdzie się podziewa dubel Adam? Dokąd mógł pojechać?

...A ta istota, którą maszyna próbowała stworzyć zaraz po pierwszym dublu – pół-Lena, pół-ja... Ona też na pewno czuła lęk przed śmiercią, gdy kazaliśmy maszynie-matce ją zlikwidować. I tata... do diabła! Dlaczego o tym myślę?

Tata... Ostatni Kozak z rodu Kriwoszeinów. Według rodzinnej legendy pradziadowie moi pochodzili z Siczy Zaporoskiej. Żył sobie kiedyś chwacki Kozak, uszkodzili mu w boju szyję i stad wzięli się Kriwoszeinowie. Kiedy caryca Katarzyna rozpedziła Sicz, przenieśli się na Zawołże. Dziad mój, Karp Kriwoszein, pobił popa i miejscowego prystawa, którzy postanowili zlikwidować we wsi szkołę ziemską, a zamiast niej założyć cerkiewną. Pojęcia nie mam, na czym polega różnica, w każdym razie dziadek zmarł na katordze.

Ojciec brał udział we wszystkich rewolucjach, w czasie wojny domowej był u Czapajewa dowódcą kompanii.

W czasie ostatniej wojny był już stary i walczył tylko przez pierwsze dwa lata. Brał udział w odwrocie przez Ukrainę, pod Char-kowem wyprowadził swój batalion z okrążenia. Później z powodu ran i wieku został przeniesiony na tyły, za Ural, w charakterze komisarza wojskowego. Tam, w stancy, on, żołnierz i chłop, uczył mnie jeździć konno, doglądać i zaprzęgać konie, orać, kosić, strzelać z karabinu i pistoletu, kopać ziemię, wycinać krzewy szablą. Kazał mi także zarzynać kury i kłuć świnię płaskim bagnetem pod prawą łopatkę, żebym się nie bał krwi. «Przyda ci się w życiu, synku!»

...Na krótko przed śmiercią ojca wybraliśmy się razem w jego

rodzinne strony do Mironowki, do brata stryjecznego, Jegora Kriwo-szeina. Gdy siedzieliśmy w chacie i pili z okazji spotkania, przybiegł wnuczek stryja Jegora.

– Dziadku, a tam, w Owczym Jarze, gdzie zaporę budują, kościotrupa znaleźli!

– W Owczym Jarze? – zapytał ojciec. Staruszkowie spojrzeli po sobie. – No cóż, chodźmy zobaczyć...

Tłum robotników i ciekawskich rozstał się, dając drogę dwóm idącym ciężkim krokiem starcom. Szare, zmurszałe kości były złożone razem. Ojciec trącił kijem czaszkę, która potoczyła się, ukazując dziurę nad prawą skronią.

– Moja! – ojciec zwycięsko spojrzął na stryja. – A ty, znaczy się, chybiłeś, ręce ci się pewnie trzęsły?

– Skąd wiesz, że twoja? – stryj wyzywająco zadarł brodę...

– A co, zapomniałeś? Przecież on wracał do wsi. Ja leżałem po prawej stronie drogi, a ty – po lewej... – i ojciec, aby go przekonać, zaczął rysować kijem na ziemi plan sytuacyjny.

– A czyje to kości, staruszkowie? – surowo zapytał młody kierownik robót w nowiutkim kombinezonie.

– Esauła – mrużąc oczy wyjaśnił ojciec. – „Za pierwszej rewolucji w naszej wsi kwaterowali uralscy Kozaczkowie. A to właśnie ich esauł. A milicji, synku, nie ma co niepokoić. Stara sprawa, przedawniona.

...Jak to musiało być wspaniale – leżeć w nocnym stepie za wsią z ojcowską strzelbą, czekać na esauła – i dla idei, i za to, że on, kanalia, chłopów bił nahajką, dziewczyny do stodoły ciągał! Albo pędzić na koniu, czując ciężar szabli w rękę i przymierzać się: o, tego brodatego, od ramienia na ukos!

A ja ostatni raz biłem się osiemnaście lat temu i to nie do zwycięstwa, ale do dzwonka na koniec przerwy. I konno nie jeździłem od tamtych czasów. Wszystkie moje wyczyny to motocyklowa brawura na szosie...

Nie boję się, tato, ani krwi, ani śmierci. Tylko nie przydały mi się twoje proste nauki. Teraz rewolucja dokonuje się w inny sposób: odkrycia i wynalazki to broń groźniejsza od szabel. I boję się, że mogę popełnić błąd...

Łziesz! Znowu krygujesz się przed sobą, cwaniaku! Nigdy się nie zmienisz... Jak pięknie napisałeś: «Boję się, tato, popełnić błąd», i o rewolucji. Wara ci od tego!

Chciałeś syntetyzować w ludziach (tak, w ludziach, a nie w sztucznych dublach!) szlachetną duszę, której sam nie masz, piękno, którego ci brak, stanowczość, której sam nie posiadasz, zdolność do wyrzeczeń, o której nie masz pojęcia...

Pochodzisz z dobrej rodziny. Twoi przodkowie umieli i pracować, i bronić słusznej sprawy, umieli bić wszelką swołocz – pięścią, karabinem, bez wytchnienia... A kimże ty jesteś? Bronieś kiedy sprawiedliwości? Aha, nie było okazji? A czy nie unikałeś – z wyrażoną ostrożnością – takich okazji? Co, niemiło ci wspominać?

W tym sęk, że wszystkiego się boję: i życia, i ludzi. Nawet Lenę kocham tchórzliwie: i boję się zbliżyć, i stracić bym jej nie chciał. I broń Boże, żeby nie było dzieci. Dzieci komplikują życie...

A to, że zataiłem swoje odkrycie – czy to nie z obawy, że nie będę w stanie wywalczyć jego prawidłowego rozwoju? I rzeczywiście nie będę w stanie... Mięczak jestem. Z gatunku tych myślących mięczaków, dla których lepiej byłoby nie myśleć. Bo dar myślenia umożliwia im tylko jedno: uświadomienie sobie swego upadku i bezsilności...”

Doktorant zapalił i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Z ciężkim sercem czytał te zapiski – dotyczyły przecież także i jego. Westchnął i wrócił do biurka.

Spokój, Kriwoszejn. Spokój. W ten sposób dojdiesz tylko do historii. A praca przecież czeka... Nie wszystko jeszcze stracone, nie jesteś jeszcze aż takim sukinsynem, żebyś się musiał natychmiast powiesić.

Możę nawet przedstawić się w korzystnym świetle. Nie wykorzystałem tego odkrycia dla własnej korzyści i nie zrobię tego. Pracowałem ile sił, nie traciłem czasu. Teraz zrozumiałem istotę sprawy, więc «nie jestem gorszy niż inni. Popełniłem błąd. Któż ich nie popełnia?»

Tak, ale w tej pracy porównania: gorszy czy lepszy od innych – są nie do przyjęcia. Inni zajmują się badaniem kryształów, projektowaniem maszyn. Znają dobrze to, co robią, i to wystarczy. Ich wady zatruwają życie tylko im samym, ich współpracownikom i najbliższej rodzinie. Moja praca jest inna. Na to, żeby stwarzać Człowieka, nie wystarczają wiadomości, uzdolnienia badawcze, umiejętność «kręcenia gałkami». Trzeba samemu być Człowiekiem, nie lepszym i nie gorszym od innych, ale w skali absolutnej – rycerzem, bez lęku i skazy. Nie miałbym nawet nic przeciwko ternu, tylko nie wiem, jak to zrobić. Brak informacji...

Wygląda na to, że ta praca przekracza moje możliwości...”
„8 października. W parku złotoczerwona jesień, a ja nie mogę pracować. Najmniejszy deszczyk spada z wielkim szumem na góry suchego listowia, z którego unosi się cierpka, wilgotna woń fermentacji. A ja nie mogę pracować...

Może to wszystko jest zbędne? Dziedziczność, właściwe wychowanie, higieniczne warunki życia... Niech rozumni ludzie odtwarzają się sami. Niech mają więcej wspaniałych dzieci. Starczy im pensji, aby je wykarmić, to przecież, mądrzy ludzie... I wychować je potrafią – przecież są mądrzy... Więc niepotrzebne są żadne maszyny...

Dzisiaj dzwonił Chiłobok. W Instytucie organizuje się stałą wystawę «Osiągnięcia radzieckiej systemologii» i oczywiście on się tym zajmuje.

– Da pan coś, inżynierze?

– Nie.

– Co pan tak? Zakład profesora Woltampernowa wystawia trzy eksponaty, inne zakłady i pracownie też sporo dają. Przydałby się chociaż jeden eksponat z pańskiego zakresu. Nic panu jeszcze nie wyszło?

– Nie. Panie docencie, a co z układem czujników?

– E-e-e, co tam jeden układ przy całej systemologii, he, he! Zrobi się, a jakże, ale na razie, sam pan rozumie, wszystkie siły rzuciliśmy do walki o przygotowanie stoisk wystawowych, makiet, tablic demonstracyjnych, w trzech językach napisy, a jakże, aż w głowie się kręci, i pracownia jest przeciążona, i warsztaty, ale gdyby się panu na wystawę coś urodziło, to tym sprawom dajemy zielone światło...

Omiał mu nie powiedziałem, że właśnie układ czujników jest mi potrzebny po to, aby ozdobić wystawę eksponatem (zrobiliby, a potem by się zobaczyło), ale powstrzymałem się. Nauczyłbyś się wreszcie sprytu, Kriwoszejn!

Moje eksponaty rozbiegły się po całym świecie. Jeden napętnia głowę naukami biologicznymi w Moskwie, inne – brzuchy trawą

i kapustą po ogrodach. A jeden w ogóle uciekł, nie wiadomo dokąd...

Może by tak wystawić maszynę-matkę... Wstrząsnąć profesorską społecznością? Dla demonstracji wytwarzać dwugłowe i sześciogłowe króliki – po dwie sztuki na godzinę... Ależ byłby szum.

Nie, bracie. Ta maszyna tworzy człowieka. I od tego faktu nigdzie nie uciekniesz.”

Rozdział dwunasty

Każde działanie zobowiązuje. Brak działania nie zobowiązuje do niczego.

K. Prutkow – inżynier

„11 października. Powtarzam doświadczenia ze sterowaną syntezą królików – tylko po to, żeby mi maszyna nie zardzewiała z bezczynności. Wszystko filmuję. Będzie dokument filmowy. Obywatelu, proszę okazywać dokumenty filmowe!”

„13 października. Wynałazłem metodę szybkiego i dokładnego kasowania informacji biologicznej w maszynie. Można to nazwać elektryczną gumką. Na wejście bloku krystalicznego i maszyny podaję szum z generatora i po 15–20 minutach maszyna zapomina wszystko, co wiedziała o królikach. Gdybym zamiast rozkazu «Nie!» stosował ten sposób wcześniej, za każdym razem likwidowałbym dubla gruntownie i nieodwracalnie.

Nie wiem tylko, czy wtedy byłoby mu lżej...

Czas mija. Liście opadają z drzew, niebo już prawie zimowe. A

praca stoi w miejscu. Nie jestem w stanie wziąć się od nowa za poważne doświadczenie. Odwagi mi nie starcza. Zagubiłem się...

No cóż, Kriwoszein! Można uznać za dowiedzione, że nie jesteś ani Bogiem, ani pępkim świata. A skoro tak, to szukaj pomocy u innych. Trzeba iść do Azarowa...”

– Oho! – nachmurzył się doktorant Kriwoszein.

„...Należy postępować zgodnie z ustalonym porządkiem. Azarow jest moim przełożonym. Nie o to zresztą chodzi. To człowiek mądry, o dużej wiedzy, a w dodatku ma wpływy. Jest także znakomitym metodologiem, umie jasno sformułować dowolne zadanie. A sformułowanie zadania – jak pisze w swoim «Wstępie do systemologii» – to zapis jego rozwiązania w postaci niejawnej. Tego mi właśnie brakuje. Poza tym popierał mnie na Radzie Naukowej. Co prawda, jest niezmiernie dostoyny i żądny sławy, ale jakoś się dogadamy. W końcu jako mądry człowiek zrozumie, że w tej pracy sława nie jest rzeczą najważniejszą.

Zaraz, zaraz! Szlachetność – szlachetnością, ale ostrożność nie zawadzi. Wyjawiać ot tak po prostu Azarowowi najświętsze tajniki odkrycia? Zdradzić, że maszyna może syntetyzować *ż y w y c h* ludzi? Nie, nie można. Trzeba zacząć od czegoś prostszego. A potem zobaczy się – jak on sam lubi mówić.

Trzeba syntetyzować w maszynie obwody elektroniczne. Właśnie to, co tak atakował staruszek Woltampernow i co, prawdę mówiąc, jest moim oficjalnym tematem na najbliższe półtora roku.

Trzeba, inżynierze, trzeba!

Naszkiujemy schemat doświadczenia. Wprowadzamy do płynu sześć przewodów: dwa – zasilanie, dwa – oscyloskop kontrolny i dwa – generator impulsów. Podaję maszynie przez «czapkę Monomacha» parametry typowych obwodów i przybliżone rozmiary. Tutaj przynajmniej wiem dobrze, co jest to, a co nie to. Na tym się znam.”

„15 października. W zbiorniku powstają zaokrąglone na narożach kwadraciki brunatnej barwy, podobne do getinaksu. Osiadają na nich metalizowane ścieżki przewodów, warstewki izolacji, nakładają się jedna na drugą błonki kondensatorów, obok prążki oporników, plamki diod i tranzystorów... Trochę to przypomina technologię warstwową, która obecnie rozwija się w mikroelektronice, tylko wszystko odbywa się bez próżni, wyładowań elektrycznych i innej pirotechniki...

Jakże przyjemnie teraz, po tych wszystkich koszmarach, pstrykać przełącznikami, dostrajać ostrość i jasność promienia na ekranie oscyloskopu, odmierzać mikrosekundowe impulsy! Wszystko jest dokładne, jasne i znane. Jakbym z odległych krajów powrócił do domu... Diabli mnie ponieśli do tych krajów, do ciemnych dżungli pod nazwą «człowiek» bez przewodnika i bez kompasu. Ale skąd wziąć tego przewodnika i kompas?

No dobrze, parametry obwodów są dobrane właściwie, temat 154 w połowie wykonany. Ale się Woltampernow ucieszy!

Idę do Azarowa. Pokażę próbki, trochę mu wyjaśnię i delikatnie wspomnę o dalszych perspektywach. Pójdę jutro i powiem:

– Panie profesorze, przyszedłem do pana, żeby porozmawiać jak rozsądny człowiek z rozsądnym człowiekiem.”

„16 października. Poszedłem i ... aż się nie chce wspominać!

Z rana zaplanowałem więc całą rozmowę, wziąłem próbne układy i poszedłem w kierunku starego budynku. Jesienne słońce oświetlało ściany pokryte architektonicznym zbytkiem, granitowe stopnie i mnie, kroczącego po nich w górę.

Presja psychiczna zaczęła się już od drzwi. Ach, te państwowe trzymetrowe drzwi z rzeźbionego dębu, z kręconymi, kolosalnymi klamkami i potężnym automatem zamykającym! Takie drzwi są jakby specjalnie stworzone dla barczystych, pyskatych zuchów-biurokratów z łapami jak patelnia na dwanaście jaj. Oni otwierają takie drzwi jednym lekkim pociągnięciem i wchodzi, aby przerzucić wielkie, państwowej wagi sprawy. Uporawszy się z drzwiami pomyślałem, że rozmowy z Azarowem nie należy rozpoczynać od szokującego wstępu („jak rozsądny człowiek...”). Trzeba przestrzegać subordynacji. Ostatecznie on jest profesorem, a ja inżynierem.

A kiedy wchodziłem po marmurowych schodach, wyłożonych dywanem przytwierdzonym niklowanymi prętami, obramowanych monumentalnymi poręczami, w duszy mojej zrodziła się wiernopoddańcza gotowość przyjęcia każdego słowa profesora. Jednym słowem, jeśli do granitowych stopni zbliżał się sprężystym krokiem Kriwoszein-odkrywca, to do dyrektorskiej poczekalni wszedł, powłócząc nogami, Kriwoszein-potent ze zgarbionym grzbietem i pełnym winy wyrazem twarzy.

Sekretarka Ninoczka przecięła mi drogę z szybkością, jakiej mógłby jej pozazdrościć bramkarz Lew Jaszyn.

– Nie, nie, nie, panie inżynierze, nie można. Profesor wyjeżdża na kongres do Nowej Zelandii, wie pan przecież, jak mi się dostaje, kiedy wpuszczę kogoś! Nikogo nie przyjmuje. O, proszę spojrzeć.

W poczekalni rzeczywiście siedzieli liczni pracownicy Instytutu i przyjezdni interesanci. Wszyscy patrzyli na mnie z niechęcią. Postanowiłem poczekać – bez szczególnej nadziei na sukces, po prostu: inni czekają, poczekam i ja. Żeby nie odrywać się od kolektywu.

Interesantów przybywało. Twarze mieli ponure, brzydkie. Nikt z nikim nie rozmawiał.

Im więcej osób napływało do poczekalni, tym mniej ważna wydawała mi się moja sprawa. Przyszło mi do głowy, że moje układy, choć przeszły pomiary, nie były poddane próbom, że Azarow – tego by jeszcze brakowało – zacznie wywodzić, że prace technologiczne z zakresu elektroniki nie są objęte profilem Instytutu. I w ogóle po co się tam ładuję? Do zakończenia tematu jeszcze ponad rok. Żeby Chiłobok znowu puszczał o mnie złośliwe powiedzonka?

O wilku mowa... W drzwiach ukazał się Chiłobok z wyrazem zdecydowania na twarzy. Szybko zająłem dobrą pozycję i w ślad za nim wśliznąłem się do gabinetu.

– Panie profesorze, chciałbym...

– Nie, nie, inżynierze... e... Kriwoszejn – zmarszczył się na mnie Azarow, biorąc z rąk Chiłoboka jakieś papiery. – Nie mogę! Absolutnie nie mogę! Z wizą jakieś komplikacje, o, widzi pan, referat po maszynistce jeszcze muszę przeczytać... Proszę się zwrócić ze sprawą do profesora Woltampernowa, on będzie mnie zastępował przez ten miesiąc, albo do pana docenta. W końcu czy tylko ja jeden istnieję na świecie?!

No więc tak. Człowiek leci do Nowej Zelandii, nie ma o czym mówić! Na kongres i w celu zapoznania się z osiągnięciami. Jak mogło mi przyjść do głowy, żeby go łąpać za poły? Śmieszne. Pracuj sobie, póki nie zażądamy sprawozdania.

Kiedys z powodu tej pracy będą przerywać posiedzenia rządu. Tak, ale dlaczego to ma być kiedys?

Nie będą przerywać posiedzeń, nie podniecaj się. Będą cię wysłuchiwać niżsi urzędnicy, którzy nigdy nie odważą się przedsięwziąć czegokolwiek na własną odpowiedzialność. Takie same mięczaki jak ty sam.

Miernota. Mięczak i tyle! Trzeba było porozmawiać, skoro się już zdecydowałem. Nie potrafiłem. Przeprosiłem obrzydliwie służalczym tonem i wyszedłem z gabinetu. Tak, nakłonić spieszącego za ocean Azarowa, aby mnie wysłuchał, to nie to, co wydawać rozkazy maszynie-matce.

„Ale mimo wszystko coś tu nie tak...”

„25 października. A teraz chyba będzie właśnie tak! Miasto nasze odwiedził znany specjalista w zakresie mikroelektroniki, doktor i przyszły docent nauk technicznych, Walery Iwanow. Dzwonił dzisiaj do mnie. Spotkanie odbędzie się jutro o godzinie ósmej w restauracji «Dynamo». Strój odpowiedni. Panowie mogą przybyć w towarzystwie pań.

Walerka Iwanow, z którym wspólnie zabijałem czas na wykładach o organizacji produkcji grą w durnia i słówka, mieszkałem w jednym pokoju w akademiku, jeździłem na praktyki i chodziłem na wieczorki w Instytucie Bibliotekoznawstwa! Walerka Iwanow, mój były szef i współautor dwu wynalazków, zapalony dyskutant, pełen

śmiałyh koncepcji! Walerka Iwanow, z którym ramię w ramię pracowaliśmy przez pięć lat! Cieszę się z tego spotkania.

«Słuchaj, Walerka – powiem mu. – Rzucaj tę swoją mikroelektronikę i wracaj. » Robotę będziesz miał taką, że...»

Może nawet kierować pracownią, skoro ma doktorat. Zgadzam się. Pracować to on potrafi.

Ano, zobaczymy, na ile zmienił się przez miniony rok.”

„26 października, noc. Nic w życiu nie przychodzi za darmo.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że dawna harmonia z Iwanowem należy do przeszłości. Przy czym nie chodziło tu wcale o rok rozłąki. Wkradła się między nas podłość Chiłoboka. Nie było w tym naszej winy. Po prostu znaleźliśmy się jakby w dwu różnych obozach. On, który dumnie odszedł, trzasnąwszy drzwiami, miał jak gdyby za sobą silniejsze racje niż ja, który pozostałem nie dzieląc z nim tej gorzkiej satysfakcji. Dlatego przez cały wieczór rozdzielaty nas ledwo wyczuwalne, ale nie dające się pokonać skrępowanie i gorycz, że wtedy nie potrafiliśmy pokonać tej podłości. Teraz każdy z nas miał jakby mniej wiary w siebie i mniej zaufania do drugiego... Dobrze chociaż, że wzięłem ze sobą Lenę, przynajmniej ona osłodziła gorycz naszego spotkania.

Rozmowa zresztą była interesująca. Warto ją opisać.

Spotkanie zaczęło się o godzinie 20⁰⁰. Przedemną siedział leningradczyk. Zagraniczna marynarka w szarą pepitkę i z modnymi klapami, śnieżnobiała koszula, graniaste okulary na prostym nosie, elegancko przystrzyżona szczoteczka czarnych włosów. Był na wskroś leningradzki.

Lena także nie zawiodła. Kiedy przechodziliśmy przez salę, wszyscy oglądali się za nią. Tylko ja jeden przyszedłem ubrany byle

jak: koszula w kratę i trochę wygniecione szare spodnie. Dwa duble znacznie uszczupliły zapasy mojej garderoby.

W oczekiwaniu na kelnera, z satysfakcją przyglądaliśmy się sobie.

- No – przerwał milczenie Iwanow. – Bąknij coś.
- Widzę, że gęba zrobiła ci się jakaś niesymetryczna...
- Asymetria jest symbolem współczesności. To od zębów – zafrasowany pogadził się po policzku. – Zawiało mnie w pociągu.
- Może cię stuknąć, wyrówna się.
- Dziękuję, wolę już koniaczek...

Nasza zwykła rozgrzewka przed poważną rozmową.

Kelner przyniósł dla nas koniak, a dla pani wino. Wypiliśmy, zaspokoiliśmy pierwszy głód jesiotrem w galarecie i znowu wyczekującą wpatrzyliśmy się w siebie. Wokół nas ludzie ucztowali. Krępy mężczyzna przy zsuniętych stołach wznosił toast za «matkę-naukę» (widocznie oblewano tam czyjś doktorat). Przy sąsiednim stoliku samotny pijany mężczyzna groził palcem karafce z wódką, mamrocząc:

- A ja milczę... A ja milczę! – Rozpierała go jakaś tajemnica.
- Słuchaj, Walka!...
- Słuchaj, Walerka!...

W zaskoczeniu popatrzyliśmy jeden na drugiego.

- No, jazda, ty pierwszy – kiwnąłem głową.
- Słuchaj, Walka – oczy Iwanowa ukryte za okularami zabłyśły kusząco – rzuć ten swój... tę swoją systemologię i chodź do nas. Przeniesienie ci załatwię. Żebyś wiedział, jaką robotę my tam teraz rozkręcamy! Kompleks mikroelektroniczny, maszyna wytwarzająca maszyny, rozumiesz?

- Obwody scalone?
- Co tam obwody scalone – to już chałupnictwo, miniony etap! Promień elektronowy i plazmowy plus elektrofotografia plus katodowe napylenie warstwy plus... Słowem zasada jest taka: wiązki elektronów i jonów odtwarzają układ, jak obraz na ekranie telewizora, i to wszystko. Układ jest gotów. Gęstość elementów taka jak w ludzkim mózgu, rozumiesz?
- I to już jest?
- Hm... widzisz... – uniósł brwi. – Gdyby to już było, po co bym ciebie ciągnął? Będzie w planowanym terminie.
- (No, jasne, więc to ja mam rzucić systemologię i iść za nim! Bo przecież nie on ze mną, na moim pasku... Oczywiście! Tak było zawsze!)
- A w Ameryce?
- Oni też nie śpią. Ważne, kto będzie pierwszy. Robimy na całego, zgłosiłem już dwanaście wynalazków, rozumiesz?
- No, a cel?
- Bardzo prosty: produkować maszyny matematyczne masowo i tanio jak gazety. Wiesz jaki kryptonim dałem temu tematowi? «Poemat». I rzeczywiście to jest technologiczny poemat! – Od wypitego alkoholu nos Walerki zaczął lśnić. Iwanow ze wszystkich sił starał się mnie przekonać i z pewnością nie wątpił, że mu się to jak zwykle uda, nigdy nie było to zbyt trudne. – Fabryka maszyn matematycznych troszkę większa od telewizora, wyobrażasz sobie? Maszynafabryka! Dalekopis przekazuje dane techniczne nowych urządzeń, maszyna oblicza układy, zakodowuje obliczenia w impulsy

elektryczne, które sterują wiązkami na ekranie i drukują obwód. Dwadzieścia sekund i urządzenie gotowe. Arkusik, na którym mieści się obwód elektroniczny, dotychczas zajmujący całą salę, rozumiesz? Arkusik w kopercie posyła się do zamawiającego, a on wkłada go do urządzenia wykonawczego... No, na przykład, do pulpitu sterowniczego fabryki chemicznej, do układu sterującego oświetleniem w mieście, do samochodu, gdzie tylko chce – i wszystko, co przedtem powoli, nieudolnie i myląc się wykonywał człowiek, teraz precyzyjnie i dokładnie robi mądry mikroelektroniczny arkusik! Rozumiesz?

Lena patrzyła na Walerkę z zachwytem. Rzeczywiście, przedstawiony obraz był tak piękny, że nie od razu skojarzyłem, że mowa tu o takich samych układach warstwowych, jakie niedawno sam syntetyzowałem w zbiorniku maszyny-matki. Co prawda, moje są prostsze, ale w zasadzie można by robić i mądre arkusiki-maszyny.

– A po co ta próżnia i różne tam wiązki? Dlaczego nie chemicznie?... Chyba też by się dało zrobić?

– Chemicznie... Od czasów kiedy docent Warfołomiejew urządził nam słynne kolokwia Warfołomiejewa, jakoś nie bardzo lubię chemię. (To było dla Leny. Doceniła i roześmiała się.) Ale jeśli masz jakieś pomysły w zakresie mikroelektroniki chemicznej, to proszę bardzo. Ja jestem za. Będziesz tym kierował. Ostatecznie nie jest ważne, jak się robi, ale żeby było zrobione. A wtedy... wtedy można będzie rozkręcić takie rzeczy... – w rozmarzeniu odchylił się na oparcie krzesła. – Oceń sam, po co maszynie-fabryce dawać dane do wykonywania układów? Zupełnie zbędne. Trzeba jej tylko dostarczyć informacji o problemie. Przecież teraz w produkcji, w życiu

codziennym, w transporcie, w wojsku – wszędzie pracują maszyny. Po co przekształcać ich impulsy wyjściowe w mowę ludzką, jeśli później i tak będzie trzeba ją przekształcić w impulsy! Wyobrażasz sobie? Maszyny-fabryki odbierają drogą radiową informację od maszyn ze sfery produkcji, planowania, zbytu, transportu... słowem, zewsząd. Nawet informacje o pogodzie, prognozy agrometeorologiczne, potrzeby ludzi. Same opracowują niezbędne obwody i rozsyłają...

– Mikroelektroniczne zalecenia?

– Dyrektywy, kochany! Jakże tam zalecenia – uzasadnione matematycznie elektroniczne układy sterowania, odruchy produkcji, że się tak wyrażę. Z matematyką nie ma dyskusji!

Wypiliśmy.

– No, Walerka – powiedziałem. – Jeżeli zrealizujesz ten pomysł, zdobędziesz taką sławę, że twoje portrety będą drukować nawet na papierze toaletowym!

– I twoje także – dodał wspaniałomyślnie. – Razem zabłyśniemy.

– Ale, proszę pana – odezwała się Lena – przecież w pańskim kompleksie nie ma w ogóle człowieka. Jakże to będzie?

– Lena, przecież pani jest inżynierem... – pobłażliwie uniósł brew Iwanow. – Rozważmy tę sprawę, to jest człowieka, z punktu widzenia inżyniera. Po co on tam? Czy człowiek może odbierać sygnały radiowe, ultra- i infradźwięki, promieniowanie ciepłe, nadfiolet, promieniowanie jonizujące? Czy może wytrzymać próżnię, ciśnienie setek atmosfer, trujące środowisko, przeciążenia setki razy przewyższające ciężenie ziemskie, wibracje rezonansowe, udary termiczne od minus stu dwudziestu do plus stu dwudziestu stopni

z godzinną ekspozycją na każdą temperaturę, chłód płynnego helu? Czy może latać z szybkością pocisku, przebywać na dnie oceanu lub w płynnym metalu? Czy może w ułamku sekundy zanalizować wzajemne powiązania dziesięciu – choćby tylko dziesięciu! – czynników? Nie może, prawda!?

– Wszystko to może dzięki maszynom – broniła ludzkości Lena.

– Tak, ale maszyny mogą wszystko to robić bez jego pomocy! A człowiekowi w naszym surowym atomowo-elektronicznym wieku pozostaje tylko naciskanie guzików. Ale te właśnie operacje można najłatwiej zautomatyzować. Wie pani przecież, że we współczesnej technice człowiek jest najmniej pewnym ogniwem. W końcu nie bez podstaw wszędzie wbudowuje się bezpieczniki, blokady i innego rodzaju »ochrony przed durniem«.

– A ja milczę! – z groźbą w głosie przemówił pijany.

– Ale przecież człowieka z pewnością można udoskonalić – wtrąciłem nieśmiało.

– Udoskonalić? Nie rozśmieszaj mnie! To tak, jak gdybyś chciał udoskonalać parowozy, zamiast zastępować je elektrowozami czy lokomotywami spalinowymi. Wadliwa jest sama zasada fizyczna założona w człowieku – reakcje jonowe w roztworach, proces przemiany materii. Rozejrzyj się – szeroko powiódł ręką po sali – wszystkie siły odbiera ludziom ten przeklęty proces!

Rozejrzałem się. Przy zsuniętych stolikach biesiadnicy całowali z dubeltówki świeżo upieczonego doktora, łysego młodzieńca, wyczerpanego pracą i przeżyciami. Obok niego królowała żona. W sąsiedztwie aktywnie odżywiało się dwunastu turystów zagranicznych. Salę wypełniał zgiełk i dym. Na estradzie saksofonista z nieprzyzwoicie wygiętym brzuchem ciągnął solo z wariacjami,

synkopowały trąbki z tłumikami, szalał perkusista – orkiestra grała stylizowaną na twista ludową melodię. Obok estrady, potrząsając wszystkimi częściami ciała, podrygiwali stojąc w miejscu tańczący.

– Właściwie jedyną zaletą człowieka jest uniwersalność – po-błażliwie zauważył Iwanow. – Wprawdzie źle, ale może jednak robić sporo rzeczy. Ale uniwersalność to wynik komplikacji, a komplikacja jest czynnikiem ilościowym. Nauczmy się wytwarzać elektro-nowo-jonowymi wiązkami maszyny złożone z dziesiątków miliardów elementów i po wszystkim. Pieśń ludzkości skończona.

– Jak to, skończona? – z niepokojem zapytała Lena.

– Żadnych kataklizmów nie będzie, nie ma się czego bać. Po prostu cichutko, spokojnie i niezauważalnie wytworzy się sytuacja, w której maszyny będą sobie dawały radę bez ludzi. Oczywiście, maszyny, szanując pamięć swoich twórców, będą okazywały ludziom przychyłność. Będą zaspokajając ich nieskomplikowane potrzeby dotyczące przemiany materii. Większości ludzi to z pewnością wystarczy – w swojej bezkrytycznej zarozumiałości będą nawet sądzili, że to maszyny im służą. A dla maszyn będzie to coś w rodzaju odruchu bezwarunkowego, odziedziczonego nawyku. A może nawet te nawyki znikną. Po co im to będzie potrzebne? Przecież zasadą działania maszyny jest racjonalność...

– Ale przecież nam już teraz służą racjonalne maszyny! – przerwała gorączkowo Lena. – Jakoś zaspokajają nasze potrzeby, prawda?

Milczałem. Iwanow roześmiał się.

– To zależy! Maszyny mają nie mniej podstaw, żeby uważać, że to właśnie ludzie zaspokajają ich potrzeby. Gdybym na przykład ja

był maszyną elektroniczną «Ural-4», to nie miałbym do ludzi żadnych pretensji. Żyłbym sobie w jasnej sali z klimatyzacją, z prądem stałym i zmiennym – odpowiednikami zimnej i gorącej wody, jeśli tak można powiedzieć. A do tego jeszcze obsługa w białych fartuchach spełnia natychmiast każdy mój kaprys. W gazetach o mnie piszą. I praca czysta – przełączanie prądów, przepuszczanie impulsów... Rajskie życie!

– A ja milczę! – po raz ostatni powiedział sąsiad, po czym wyprostował się i na całą salę bluznął stekiem ordynarnych przekleństw.

Natychmiast rzucił się do niego kierownik sali wraz ze swoją drużyną.

– No to co, że jestem pijany?! – wrzeszczał „milczek”, wleczony ku wyjściu. – Za swoje piję, za zapracowane. Kraść – to też praca!

– Otóż i przedmiot waszych trosk w całej swojej krasie! – skrzywił wąskie wargi Walerka. – Godny potomek tego pasożyta, który po pijanemu wykrzykiwał: «Człowiek – to brzmi dumnie!» Już nie brzmi... No więc jak, Walka? – zwrócił się do mnie. – Przeń się, włącz się do tematu, to i po tobie coś pozostanie. Rozumne maszyny-fabryki, energiczne i wszechmocne mózgi elektronowe, a w nich twoje myśli, twój twórczy wkład, najlepsze, co w nas jest... rozumiesz? Człowiek-twórca – to chwilowo jeszcze brzmi dumnie. To, co najlepsze, pozostanie i będzie rozwijać się nawet wtedy, gdy ciemna baba Przyroda ostatecznie splajtuje ze swoim homo sapiens!

– Ale to przecież straszne, co pan mówi – z oburzeniem powiedział Lenka. – Jest pan... jak robot! Po prostu nie lubi pan ludzi!

Iwanow spojrział na nią miękko i protekcyjnie.

– Lena, przecież to nie jest dyskusja. Ja po prostu tłumaczę pani, o co tu chodzi.

Tego było za wiele. Lenka zacięła się i umilkła. Ja też nic nie odpowiedziałem. Milczenie zaczęło nam ciążyć. Wezwałem kelnera i zapłaciłem. Wyszliśmy na prospekt Marksa, ten Broadway Dnieprowska. Przed nami defilowali spacerowicze.

Nagle Walerka ścisnął mnie silnie za rękę.

– Walka, słyszysz? Widzisz?!

W pierwszej chwili nie rozumiałem, co mam słyszeć i widzieć.

Obok nas przeszedł chłopak z dziewczyną, oboje w grubych swetrach i z identycznymi fryzurami.

Na szyi chłopaka wisiał odbiornik tranzystorowy, z którego rozlegał się jazz. Odbiornik miał żółtą obudowę z masy perłowej, przekreśloną sylwetką rakiety. Brzmiały czyste dźwięki saksofonu i swingujących trąbek... Głos tego radia poznałbym wśród setek typów odbiorników i radio!, tak jak matka poznaje głos swego dziecka w zgiefku przedszkola. Niskoszumowy wzmacniacz szerokopasmowy, znajdujący się w tym odbiorniku, to przecież opracowanie moje i Walerki.

– Więc puścili do seryjnej produkcji? – domyśliłem się. – Można by żądać od fabryki należności za prawa autorskie... Hej, młody człowieku, ile dałeś za radio?

– Pięćdziesiąt dolarów – dumnie odparł wyrostek.

– No widzisz, pięćdziesiąt dolarów, czyli cztery i pół dychy. Wyraźny narzut za jakość dźwięku. Powinieneś się cieszyć!

– Cieszyć?! Sam się ciesz! A ty mówisz – straszne... (właściwie mówiła to Lena, nie ja). Lepiej straszne niż coś takiego!

No, tak... Niegdyś borykaliśmy się z fizyką kwantową, zdumiewała nas nieuchwytna dwoistość «fali-cząsteczki» elektronu, opanowywaliśmy teorię i technologię półprzewodników, uczyliśmy się najbardziej precyzyjnych elementów techniki laboratoryjnej. Urządzenia półprzewodnikowe były wtedy przyszłością elektroniki, pisali o nich popularyzatorzy i marzyli inżynierowie. Wiele było tych marzeń, niektóre ziściły się, inne odrzuciło życie. Ale o tym, żeby tranzystorowe odbiorniki zdobyły pierś przyszczatych pajaców, żaden z nas nie marzył.

A jak namordowaliśmy się z Walerką nad problemem szumów! Rzecz w tym, że elektrony poruszają się w kryształach półprzewodnika jak cząstki barwnika w wodzie – te same chaotyczne, bezsensowne ruchy Browna. Dlatego właśnie w słuchawkach czy głośniku słychać szum, przypominający jednocześnie syczenie igły gramofonowej i odległy ryk morskiego przyboju. W ogóle to cała historia... Był to mój pierwszy wynalazek – i jakąż uroczystą muzyką zabrzmiało dla mnie oficjalne zdanie umieszczone na formularzu, wysłanym do Komitetu do Spraw Wynalazczości ZSRR: Załączając przy niniejszym niżej wymienione dokumenty, prosimy o wydanie nam świadectwa autorskiego na wynalazek pod nazwą...»

No dobrze, ktoś tam przeżywał radość poznania, spalał się w twórczym poszukiwaniu, badał swoje udane rozwiązanie konstrukcyjne, ale co to obchodzi tego biednego szczeniaka? Jemu z tych radości nic się nie dostało. Co zostaje? Wyłożyć forszę, wcisnąć klawisz, pokręcić gałką i chodzić po ulicy pyszniąc się swoim nabytkiem.

Odprowadziliśmy Walerkę do hotelu.

- No więc jak? – zapytał podając mi rękę.
- Muszę jeszcze się zastanowić.

– Zastanowić?! – Lenka spojrzała na mnie gniewnie. – Ty jeszcze chcesz się zastanawiać?

Ależ ona jest nieopanowana. Nie mogła przemilczeć?...

Najciekawsze, że Walerka nawet nie zapytał, czym ja się zajmuję, tak był przekonany, że w Instytucie Systemologii nic ciekawego nie może być i że powinienem przenieść się do niego.

No cóż, trzeba się zastanowić...”

„27 października. Dzwonił Iwanow.

– Namysliłeś się?

– Jeszcze nie.

– Ach, te kobiety! Ja ciebie, oczywiście, rozumiem... Decyduj się, Walka, będziemy razem pracować. Zadzwoń do ciebie jutro przed odjazdem, fajno?

...Gdybym przerwał doświadczenia wtedy, w marcu, kiedy mój układ dopiero zaczynał projektować i rozbudowywać sam siebie, i gdybym wtedy zaczął analizować możliwe kierunki rozwoju, wszystko poszłoby ku syntezie bloków mikroelektronicznych. To było coś, na czym się znałem. Teraz byłbym daleko przed Walerką. Praca potoczyłaby się innym torem i nawet nie przyszłoby mi do głowy, że byłem o krok od metody syntezy żywych organizmów.

Stało się jednak inaczej...

Jak przyjemnie było wysiłkiem myśli stwarzać w zbiorniku te płytki z mikroukładami – przerzutnikami, inwertorami, dekodernami. Gdyby w tym jego «Poemacie» wykorzystała moją maszynę-matkę, to byłaby rewelacja. Właściwie to maszyna-matka jest jego maszyną-fabryką. Tu się sprawdziłem. Nawet i teraz nie jest za późno...

Rzeczywiście, taka praca może doprowadzić do powstania niezależnego od ludzi świata (czy też społeczeństwa) maszyn. Nie robotów,

a właśnie uzupełniających się nawzajem różnorodnych maszyn. A może istotnie to naturalny bieg ewolucji? Jeżeli spojrzy się na to z boku, nie ma w tym nic strasznego – no cóż, były na Ziemi układy białkowe (jonowo-chemiczne) i na ich bazie informacyjnej rozwijają się elektronowo-kryształiczne układy. Ewolucja trwa...

Tak, ale jeśli spojrzy się na to z boku, to i światowa katastrofa termojądrowa nie jest straszna. Coś tam wybuchło, wzrosło tło radioaktywne atmosfery. Ziemia się kręci? Kręci. Krąży dookoła Słońca? Krąży. Czyli że stałość układu słonecznego nie została zachwiana. Wszystko w porządku, nie ma o czym mówić.

«Nie lubi pan ludzi!» – powiedziała Lena do Iwanowa. Co prawda, to prawda: chiłobokowski smrodek, opuszczenie Instytutu, wczorajsze spotkanie z naszym wzmacniaczem – wszystko to są szczeble drabiny wiodącej ku nienawiści do ludzi. Ileż takich szczebli czyha na każdego człowieka prowadzącego czynne życie? Wystarczy skonfrontować doświadczenie życiowe z zawodowym, aby nabrać przekonania, że rzeczywiście prościej jest pracować nad rozwojem maszyn, w których wszystko jest jasne i racjonalne.

No a ja? Czy ja kocham ludzi? Właśnie od tego zależy, czym powinienem zająć się w przyszłości.

Jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym... No więc kocham siebie, choć może brzmi to okropnie. Kochałem ojca. Przypuśćmy, że kocham Lenę. Jeżeli kiedykolwiek będę miał dzieci, niewątpliwie będę je kochał. Walerkę nie tyle kocham, ile cenię. Ale żeby wszystkich ludzi, tych na ulicy, w pracy czy w urzędach, tych, o których czyta się w gazetach i o których się mówi... A cóż ja mam z nimi

wspólnego? I oni ze mną? Podobają mi się ładne kobiety, mądrzy, weseli mężczyźni, ale nie znoszę durniów i pijaków, nie cierpię inspektorów ruchu drogowego, chłodno traktuję starszków. A w porannym tłoku niekiedy dostają ataków STT – szału tramwajowo-trolejbusowego, i wtedy mam chęć walić wszystkich po łbach i jak najszybciej wyrwać się na zewnątrz. Jednym słowem, w stosunku do ludzi odczuwam bardzo mieszane uczucia.

Aha, w tym chyba coś jest. W stosunku do ludzi odczuwamy szacunek, miłość, pogardę, wstyd, lęk, dumę, sympatię, upokorzenie i tak dalej. A w stosunku do maszyn? Nie, one także budzą emocje – z dobrą maszyną przyjemnie jest pracować, jeżeli ktoś ją zepsuje, robi się przykro. A ile się czasem człowiek nakłnie, zanim wykryje uszkodzenie... To jednak zupełnie inna sprawa. W gruncie rzeczy są to uczucia skierowane nie do maszyn, ale do ludzi, którzy je wytwarzają i korzystają z nich.. Albo mogą korzystać. Nawet lęk przed bombą atomową – to tylko odbicie naszego lęku przed ludźmi, którzy ją zbudowali i zamierzają użyć. I chęć zbudowania maszyn, które mają odsunąć człowieka na dalszy plan, także budzi lęk.

Kocham życie, lubię obfitość wrażeń – to wiem na pewno. No, a co za życie byłoby be? ludzi? Śmieszne... Oczywiście, należy hipotetycznej maszynie-fabryce Iwanowa przeciwstawić maszynę-matkę!

Oczywiście, wybieram ludzi.

Natomiast rozumny i silny Iwanow jest jeszcze słabszy ode mnie. To nie on wybiera pracę, ale praca wybiera jego...

(No, a tak naprawdę, Kriwoszejn? Tak zupełnie, zupełnie szczerze

– gdybyś teraz nie miał w ręku metody syntezy człowieka, czy nie byłbyś za maszynami elektronicznymi? Każdy z nas, specjalistów, tworzył sobie własną ideologię, byle się nie przyznać, że zajmuje się swoją pracą tylko dlatego, że nic innego robić nie umie! Dla twórczego pracownika takie przyznanie jest równoznaczne z bankructwem.

(No właśnie, a czy ja umiem robić to, za co się biorę?)

Dość! Oczywiście, jest to bardzo wygodne, a nawet przyjemne – opluć się, płakać nad własną niedoskonałością, dręczyć się przepaścią między marzeniami a czynami... Ale gdzież on jest, ten duchowy arystokrata z wyższym wykształceniem i ze stażem pracy w odpowiedniej specjalności, któremu mógłbym spokojnie przekazać temat? Iwanow? Nie. Azarow? Nie udało mi się dowiedzieć. A praca stoi w miejscu.

I dlatego, kimkolwiek jestem, niech na razie mój palec naciska ten guzik.”

„28 października. Telefon do pracowni.

– No, Wala, zdecydowałeś się? (Cóż za subtelne pytanie!)

– Nie, Walerka.

– Szkoda. Dobrze by się nam razem pracowało. Ale rozumiem cię. Pozdrów ją. Bardzo miła dziewczyna, cieszę się, że ją znalazłeś.

– Dziękuję. Przekażę.

– No, to na razie. Jak będziesz w Leningradzie, wpadnij.

– Oczywiście! Szczęśliwej podróży!

Ni cholery ty, Walerka, nie rozumiesz... No i dobrze. Koniec! Zdaje się, że dzięki tobie zacząłem odczuwać złość. Dzięki ci, Walerka, choć za to!”

Rozdział trzynasty

Nigdy nie wiadomo, co jest dobre, a co złe. I tak, stenografia powstają dzięki paskudnemu charakterowi pisma, a teoria niezawodności – dzięki uszkodzeniom i defektom maszyn.

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 100

„1 listopada. A zatem, sam tego nie chcąc, udowodniłem, że sterując syntezą, na podstawie informacji o człowieku – powiedzmy – przeciętnym można stworzyć psychopatę i niewolnika. Stało się tak dlatego, że w trakcie wprowadzania uzupełniającej informacji popełniony został akt brutalnej przemocy (oj, nie udaje mi się tego wyniku opisać naukowym stylem). Teraz minimum, co muszę zrobić, to udowodnić możliwość przeciwną.

Wynikiem pozytywnym doświadczenia z dublem Adamem było to, że wyszedł żywy, fizycznie zdrowy, o powierzchowności takiej, jaką zaprojektowałem. Ponadto mam teraz pewne doświadczenie w przekształcaniu ciała ludzkiego... Stroną negatywną jest to, że wygodny sposób kolejnych licznych przekształceń i likwidacji zdecydowanie odpada – wszystko trzeba wykonać za jednym razem. Że korekcję metodą «tak – nie tak» można stosować tylko w tych przypadkach, kiedy dokładnie wiadomo, co jest «tak» i kiedy można kontrolować zmiany. Mówiąc po prostu, poprawiać można tylko drobne zewnętrzne defekty.

Jednym słowem, już po raz trzeci zaczynam od zera...

Chcę stworzyć udoskonalony wariant siebie: ładniejszy i mądrzejszy. Jedyny możliwy sposób to zapisać w maszynie razem z

informacją o sobie także własne życzenia. Maszyna je może przyjąć albo nie. W najgorszym razie wyjdzie taki sam Kriwoszeim – i tyle. Byle tylko nie był gorszy.

Z wyglądem zewnętrznym więc wszystko jest mniej więcej jasne. Włożę «czapkę Monomacha» i wzrokowo – du halucynacji włącznie – będę sobie wyobrażał, że jestem dobrze zbudowany, bez defektów (precz z piegami, z blizną nad brwią, retusz nosa i szczęki dolnej, usunięcie tłuszczu z tułowia, wygojenie zerwanego więzadła w kolanie itd.). I włosy żęby były trochę ciemniejsze...

Muszę także zwiększyć zdolności umysłowe... Tylko jak? Po prostu zażądać, żeby mój nowy sobowtór był mądrzejszy ode mnie? Maszyna-matka nawet nie zwróci na to uwagi, przecież przyjmuje tylko dokładnie sprecyzowaną informację... Trzeba się zastanowić.”

„2 listopada. Mam pomysł. Co prawda prymitywny, ale jednak pomysł. Moje możliwości umysłowe są różne w różnych porach dnia. Po obiedzie człowiek, jak wiadomo, tępieje, jest nawet na to jakieś biologiczne uzasadnienie (krew nie dopływa do mózgu czy coś w tym rodzaju). Stąd wniosek, żeby informację o sobie zapisywać w maszynie tylko na czczo. I nie opalać się papierosami aż do otępienia.

Muszę uwzględnić jeszcze jedną właściwość mojego myślenia – im bliżej nocy, tym bardziej trzeźwe myśli i rozważania wypierane są przez marzenia, grę uczuć i wyobraźni. To też na nic, marzycielstwo omal nie doprowadziło mnie do katastrofy. A zatem kiedy nadejdzie wieczór, precz z kamery. Mój nowy dubel ma być trzeźwy, roztropny i zrównoważony!”

„17 listopada. Już trzy tygodnie uczę maszynę-matkę, jak ma mnie ulepszyć. Chciałbym jej już bardzo przekazać przez «czapkę

Monomacha» rozkaz «Można!» i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Ale nie: tam jest człowiek! Niech maszyna wchłania wszystkie moje myśli, wyobrażenia, pragnienia. Niech zrozumie, czego od niej chcę.”

„25 listopada, wieczór. Śnieg sypie na białe rurki ulicznych światełówek. Sypie i sypie, jakby chciał przekroczyć plan... Obok mojego domu przechodzi znowu ta dziewczynka o kulach. Wraca pewnie ze szkoły. Chyba przeszła chorobę heinemedina i ma sparaliżowane nogi.

Za każdym razem, kiedy ją widzę – z wielkim tornistrem na chudych ramionach, jak niewprawnie stawia kule, z wysiłkiem powłócząc nogami – jest mi wstyd. Wstyd, że sam jestem zdrowy jak koń. Wstyd, że ja, rozumny i wykształcony człowiek, w niczym jej nie mogę pomóc. Wstyd z poczucia jakiejś ogromnej niedorzeczności istniejącej w życiu.

Dzieci nie powinny chodzić o kulach. Cóż warta jest cała nauka i technika na świecie, jeśli dzieci chodzą o kulach!

Czyżbym ja i teraz robił coś nie tak? Coś, co nie jest potrzebne ludziom? Przecież tej dziewczynce moja metoda w żaden sposób nie pomoże

Wkrótce minie miesiąc, jak po opracowaniu wstępnego programu mego myślenia zacząłem wchodzić do kamery informacyjnej, zamocowywać na ciele czujniki, wkładać «czapkę Monomacha» i głośno myśleć. Niekiedy ogarnia mnie zwątpienie – a może w maszynie-matce znowu jest coś nie tak? Nie mogę skontrolować, niech to diabli! Na taką myśl ogarnia mnie strach, taki strach, że obawiam się, żeby nie odbiło się to na psychice następnego dubla...”

Następny zapis w dzienniku zrobiony zwykłym ołówkiem.

„4 grudnia. Ufff... W zasadzie powinienem teraz triumfować – udało się. Ale nie mogę, brak mi sił. Zmęczyłem się. Och, jakże się zmęczyłem! Nie chce mi się nawet szukać pióra.

Maszyna zasadniczo uwzględniła moje życzenia co do wyglądu zewnętrznego. Co nieco jeszcze skorygowałem w trakcie syntezy. Żadne doświadczenie nie idzie na marne. Kiedy dubel powstawał, nie potrzebowałem przymierzać się, celować – wprawne oko od razu zauważało, że coś jest nie tak w jego budowie, i kontrolowało, jak maszyna to poprawia.

Przystawiłem do zbiornika drabinkę, pomogłem mu wyjść. Stał przede mną – nagi, dobrze zbudowany, muskularny, piękny, ciemnowłosy. Podobny i niepodobny do mnie. Stał w kałuży ściekającej cieczy.

- No jak? – Nie wiadomo dlaczego miałem ochrypli głos.
- Wszystko w porządku – uśmiechnął się.

A potem... potem zaczęły mi drżeć wargi i twarz, trzęsły się ręce. Nie byłem w stanie nawet zapalić. On zapalił mi papierosa, nalał pół menzurki spirytusu i pogadywał: «No-no... wszystko w porządku, uspokój się» – jednym słowem uspokajał mnie. Śmieszne...

Spróbuję teraz zasnąć.”

„5 grudnia. Dzisiaj sprawdzałem zdolności logiczne dubla numer 3.

Pierwszy test (gra w durnia) – 5 : 3 na jego korzyść Drugi test (gra w słówka): ze słowa «abrewiatura» w ciągu 10 minut ułożył o 8 słów więcej niż ja. Ze słowa «nadprzewodnictwo» – o 12 więcej. Trzeci test – rozwiązywanie na czas zadań logicznych z podręcznika systemologii Azarowa, poczynając od zadania 223. W ciągu dwu

godzin pracy ja doszedłem zaledwie do zadania 235, podczas gdy on – do zadania 240.

O żadnym oszukiwaniu z mojej strony nie ma mowy – zacząłem się hazardować. Okazuje się, że on myśli szybciej ode mnie o 25–30% – i to dzięki bagatelnej, chałupniczej poprawce! Jak wobec tego będzie można zwiększyć i wzmocnić zdolności człowieka pracując prawdziwie naukową metodą?

Ano, zobaczymy jeszcze, jak będzie pracował.”

„7 grudnia. Pracę mamy na razie nie nazbyt intelektualną: porządkujemy laboratorium. Nie jest to łatwe ze względu na poprzepłatanane przewody i żywe węże. Odkurzamy, oczyszczamy kolby, przyrządy i płyty z nalotu pleśni.

– Powiedz mi, co myślisz o biologii?

– O biologii? – popatrzył na mnie zdziwiony, po chwili dopiero zrozumiał. – Ach, ty o nim! Wiesz, ja go też nie rozumiem... Myślę, że to był taki wybryk z potrzeby samopotwierdzenia...”

– Fiuu!... – gwizdnął przez zęby doktorant Kriwoszejn i aż podrzuciło go z zaskoczenia. – Więc to tak!

Jak to... przecież dubel numer 3 także był „przedłużeniem” maszyny! Wygląda... wygląda na to, że maszyna już nauczyła się budować organizm ludzki?! No, oczywiście. Przecież on sam był pierwszy, dlatego poszukiwanie rozwiązania było takie żmudne. A teraz maszyna zapamiętała wszystkie szlaki poszukiwań, wybrała z nich te, które bezpośrednio prowadzą do celu, i skonstruowała sobie program syntezy człowieka.

Oznacza to, że jego zdolność przekształcania siebie samego jest

rzeczywiście unikalna. Trzeba jej strzec... Najlepiej „zapisać się” znowu w maszynie-matce, ale już nie według mglistych wspomnień o poszukiwaniach, a z dokładną i sprawdzoną wiedzą o tym, jak przekształcać siebie samego. Tylko po co?

– Dobrze, wystarczy tych rozmyślań! – zasępił się i powrócił do dziennika.

„18 grudnia. Nie pamiętam takich mrozów o tej porze. Północno-wschodni wiatr przygnał do nas taką syberyjską zimą, że centralne ogrzewanie ledwie daje sobie radę z zimnem. W parku biało, w laboratorium zrobiło się jaśniej.

Nie wiem, czy zgodnie z tradycją, czy nie, ale w każdym razie odbył się chrzest nowego dubla. Ojcem chrzestnym był sam Chiłobok.

A odbyło się to tak. Do Instytutu przybyli na roczną praktykę studenci Uniwersytetu Charkowskiego.. Przedwczoraj poszedłem do internatu dla młodych specjalistów, gdzie ich umieszczono, i wypożyczyłem «dla doświadczeń psychologicznych» legitymację studencką i skierowanie na praktykę. Studenci patrzyli na mnie z onieśmieniem i szacunkiem, a w ich oczach błyszczała gotowość oddania dla dobra nauki nie tylko legitymacji, ale nawet butów. Dowód osobisty pożyczyłem od Paszy Pukina.

Następnie zapoznaliśmy maszynę-matkę z wyglądem i treścią tych dokumentów – trzymaliśmy je przed obiektywami, szeleścili kartkami... Kiedy dowód, legitymacja studencka i formularz skierowania pojawiły się w zbiorniku, włożyłem «czapkę Monomacha» i metodą «tak – nie tak» skorygowałem dane.

Dubel numer 3 został nazwany Krawcem Wiktorem Witaliewiczem. Wiek 23 lata, narodowość rosyjska, zdolny do służby wojskowej, student piątego roku wydziału fizycznego Uniwersytetu Charkowskiego, adres: Charków, Chłodna Góra 17... Bardzo mi przyjemnie.

Czy naprawdę tak przyjemnie? Podczas całej tej operacji razem ze świeżo narodzonym Krawcem rozmawialiśmy półgłosem i czuliśmy się jak fałszerze pieniędzy, których lada chwila mogą nakryć. Dał o sobie znać głęboki szacunek inteligencji dla porządku prawnego.

Kiedy następnego dnia udaliśmy się do Chiłoboka – Krawiec w celu załatwienia formalności, a ja, aby go prosić o skierowanie studenta Krawca do mojej pracowni – nadal czuliśmy się niepewnie. Poza tym obawiałem się, że Harry skieruje go do innego laboratorium. Ale udało się. Studenci w tym roku sypnęli obficie niż śnieg. Kiedy Chiłobok usłyszał, że zapewnię studentowi Krawcowi materiał do pracy dyplomowej, próbował mi wcisnąć jeszcze dwóch.

Oczywiście zwrócił uwagę na nasze podobieństwo.

- Czy to przypadkiem nie pana krewny, panie inżynierze?
- Jak by to powiedzieć... Właściwie tak. Daleki krewny.
- Aha, to rozumiem! Oczywiście... – jego twarz wyraziła zrozumienie i pobbłażanie dla moich uczuć rodzinnych.
- Zamieszka u pana?
- Nie, dlaczego? Niech mieszka w internacie.
- Tak, tak, oczywiście, a jakże... – Chiłobok nie ukrywał, że moje związki z Leną nie są dla niego tajemnicą.
- Rozumiem pana, panie inżynierze, ach, jak dobrze pana rozumiem!

Boże, jakież to obrzydliwe, gdy Chiłobok «ach, jak dobrze rozumie»!

– A jak tam pana habilitacja, panie docencie? – zapytałem, żeby zmienić temat.

– Habilitacja? – Chiłobok popatrzył na mnie bardzo czujnie – Ano... A czemu się pan tym tak interesuje? Przecież pan jest cyfryk, elektronika analogowa to nie pańska specjalność.

– Teraz już sam nie wiem, co jest, a co nie jest moją specjalnością – wyznałem szczerze.

– Tak? No cóż, to bardzo ładnie... Ale ja jeszcze nieprędko złożę pracę, inne zajęcia mnie absorbują, mnóstwo spraw bieżących, nie mam czasu pracować twórczo, pan prędzej ode mnie zrobi i doktorat, i habilitację, he-he...

Wracaliśmy do laboratorium w złym nastroju. Jest jakaś niepokojąca dwoistość w naszej pracy – w pracowni jesteśmy bogami, a w kontaktach z otaczającym nas środowiskiem polityku jemy, kręcimy, asekurujemy się. Cóż to jest? Specyfika badań? Specyfika rzeczywistości? A może specyfika naszych charakterów?

– Ostatecznie to nie ja wymyśliłem system pokwitowań na człowieka: dowody, karty meldunkowe, ankiety, przepustki, zaświadczenia – powiedziałem. – Dokument czyni z ciebie człowieka.

Krawiec nic nie odpowiedział.”

„20 grudnia. No, zaczyna się wspólna praca!

– Czy nie wydaje ci się, że z tą naszą przysięgą trafiliśmy jak kulą w płot?

– ?!

– No, może nie z całą przysięgą, a z tym jej sakramentalnym punktem...

– «...wykorzystać odkrycie z korzyścią dla ludzkości w maksymalnie niezawodny sposób»?

– Właśnie. Zrealizowaliśmy cztery warianty: przetworzenie informacji o człowieku w człowieka, syntezę królików z poprawkami i bez, syntezę układów elektronicznych i syntezę człowieka z korekcją. Czy chociaż jeden z nich daje absolutną gwarancję korzyści?

– Hm... Nie. Ale ostatni wariant w zasadzie pozwala...

– ...stwarzać «rycerzy bez lęku i skazy», kawalerów Krzyża Świętego Jerzego i płomiennych bojowników?

– Powiedzmy prościej: porządnym ludzi. Masz coś przeciwko temu?

– Na razie jeszcze nie głosujemy, tylko dyskutujemy. I wydaje mi się, że ta koncepcja oparta jest, bardzo cię przepraszam, na bardzo naiwnych wyobrażeniach o tak zwanych «porządnym ludziach». Nie istnieją abstrakcyjnie dobrzy ani abstrakcyjnie źli ludzie. Każdy z nich jest dla kogoś tam dobry, a dla kogoś innego zły. Tu nie ma kryteriów obiektywnych. Właśnie dlatego prawdziwi rycerze bez lęku i skazy mieli znacznie więcej wrogów niż ktokolwiek inny. Dobry dla wszystkich może być tylko sprytny, mały egoista, który dla osiągnięcia swoich celów stara się ze wszystkimi być w zgodzie. Istnieje co prawda pseudoobiektywne kryterium, że dobry to ten, kogo popiera większość. Czy zgodzisz się na zastosowanie takiego kryterium?

– Hm... Daj pomyśleć.

– Czy warto, jeżeli ja już pomyślałem? I tak dojdiesz do tego samego... (No nie, za kogo on mnie ma?!) Pomyśl, jacy ludzie mieli poparcie większości... Są jeszcze dwa kryteria: «dobre jest to, co ja uważam za dobre» (albo ten, którego uważam za dobrego) i

«dobre jest to, co jest dla mnie dobre». My, podobnie jak przytłaczająca większość ludzi zawodowo zajmujących się dobrem ludzkości, kierowaliśmy się tymi dwoma kryteriami, tylko w swojej naiwności sądziliśmy, że kierujemy się pierwszym, i w dodatku uważaliśmy je za obiektywne...

– No, teraz to już przesadziłeś!

– Wcale nie przesadziłem! Nie będę wspominał o nieszczęsnym Adamie, ale przecież nawet kiedy syntetyzowałeś mnie, starałeś się, żeby mnie było dobrze (a raczej w twoim pojęciu dobrze), a także o to, żeby było dobrze tobie samemu, prawda? Ale to kryterium jest subiektywne i inni ludzie...

– ...za pomocą tego sposobu będą kleić to, co jest dobre według nich i dla nich?

– Właśnie.

– Hm... Powiedzmy. To znaczy, że należy poszukiwać nowego wariantu – syntezy i przekształcania informacji o człowieku.

– No i jakież to będzie wariant?

– Nie wiem.

– To ja ci powiem, co jest potrzebne. Należy przekształcić naszą maszynę-matkę w urządzenie do ciągłej produkcji dobra o wydajności.... powiedzmy, półtora miliona dobrych uczynków na sekundę i jednocześnie zrobić z niej pochłaniacz złych uczynków o takiej samej wydajności. Zresztą półtora miliona to tylko kropla w morzu: na Ziemi żyje trzy i pół miliarda ludzi i każdy popełnia dziennie kilkadziesiąt uczynków, z których żaden nie jest neutralny. A jeszcze trzeba obmyślić sposób równomiernej dystrybucji tej – hm! – produkcji na powierzchni całego globu. Słowem, powinno to być coś

w rodzaju brony do koszenia silosów pracującej na magnetronach z niewypalanej cegły...

– To miał być żart, tak?

– Tak. Depczę to twoje kliwe marzenie, bo diabli wiedzą, dokąd mogłoby nas zaprowadzić.

– Uważasz, że ja...

– Nie. Nie uważam, że pracowałeś źle. Byłoby nawet dziwne, gdybym j a tak uważał. Ale rozumiesz, subiektywnie ty i marzyłeś, i planowałeś, a obiektywnie robiłeś tylko to, na co pozwalały możliwości i odkrycia. I w tym cała rzecz! Należy mierzyć swoje zamiary według realnych możliwości. A ty chciałeś przeciwstawić jakąś tam maszynkę codziennym stu miliardom różnorodnych czynów ludzkości. A to właśnie te sto miliardów plus niezliczone miliardy czynów dokonanych w przeszłości wyznaczają procesy społeczne na Ziemi, ich dobro i ich zło. Cała nauka nie jest w stanie przeciwstawić się tym potężnym procesom, tej lawinie postępów i zdarzeń: po pierwsze dlatego, że sprawy nauki to tylko niewielka część spraw całego świata, po drugie zaś – nie to jest jej celem. Nauka nie produkuje ani dobra, ani zła, tylko nową informację i nowe możliwości. I tyle. A zastosowanie tej informacji i wykorzystanie możliwości określają wyżej wspomniane procesy i siły społeczne. I my dajemy ludziom tylko nową możliwość: wytwarzanie sobie podobnych, a oni mają wolny wybór: wykorzystać te możliwości na swoją szkodę, na swoją korzyść lub nie wykorzystać w ogóle.

– Więc co, uważasz, że należy opublikować wyniki i umyć ręce?! No, wiesz! Jeżeli nam będą obojętne skutki odkrycia, to reszcie tym bardziej.

– Nie denerwuj się. Nie uważam, że należy publikować i

resztę mieć w nosie. Trzeba pracować dalej, badać możliwości. Tak jak robią to wszyscy. Ale i w badaniach, i w planach badań, i nawet w marzeniach o temacie 154 trzeba pamiętać, że to, co zyska świat dzięki tematowi, zależy przede wszystkim od samego życia, czyli, wyrażając się elegancko, od społeczno-politycznej sytuacji na świecie. Jeżeli sytuacja będzie rozwijać się pomyślnie, można będzie opublikować. Jeżeli nie, trzeba się będzie wstrzymać albo nawet zniszczyć wszystko doszczętnie, jak to jest przewidziane w naszej przysiędze. Uratować ludzkości nie jesteśmy w stanie, ale przynajmniej możemy jej nie szkodzić.

– Hm... Jesteś niezwykle skromny. Moim zdaniem nie doceniasz możliwości nauki współczesnej. Istnieje dziś sposób zniszczenia ludzkości przez naciśnięcie guzika czy kilku guzików. Czemu nie miałyby powstać sposoby alternatywne: uratowania albo ochrony ludzkości przez naciśnięcie guzika? I dlaczego, do cholery, ten sposób nie miałyby się znaleźć w zasięgu naszych poszukiwań?

– Nie, nie znajdzie się. Nasza rola polega na budowaniu mostów. Poza tym most zbudować jest trudno, a wysadzić bardzo łatwo.

– Zgoda. Ale mimo wszystko mosty się buduje.

– Tak, tylko że nikt jeszcze nie zbudował takiego mostu, którego nie dałoby się wysadzić.

W tym miejscu zabrnęliśmy w scholastyczną ślepą uliczkę.

Bystry z niego facet. Przecież właściwie w sposób jasny i sensowny załatwił się ze wszystkimi moimi wątpliwościami, które dręczyły mnie od dawna... Nie wiem nawet, czy mam się smucić, czy cieszyć”.

„28 grudnia. Minął już rok od chwili, kiedy siedziałem w nowo

utworzonej pracowni na nie rozpakowanym generatorze impulsów i planowałem bliżej nie sprecyzowane doświadczenie. Tylko rok? Nie, jednak czas mierzy się wydarzeniami, a nie obrotami Ziemi. Mam wrażenie, że minęło dziesięć lat. I nie tylko dlatego, że dużo zrobiłem i przeżyłem. Zacząłem więcej myśleć o życiu, lepiej rozumieć siebie i innych, nawet trochę zmieniłem się – oby tylko na lepsze.

A mimo wszystko czuję jakiś niedosyt – chyba z nadmiaru marzeń. Wszystko, co planowałem, udawało się. Ale udawało się nie tak, jak chciałem – z trudnościami, z przerażającymi komplikacjami, z rozczarowaniami... Takie jest życie. Marzenia ludzkie nigdy nie wyznaczają rozczarowań ani upadków. To przychodzi samo. Rozumiem to doskonale, ale nie mogę się z tym pogodzić.

...Kiedy syntetyzowałem dubla numer 3 (dla innych Krawca) mgliście marzyłem, że w maszynie coś szczęknie i... na świecie pojawi się prawdziwy rycerz bez lęku i skazy! Nic nie szczęknęło. Dobry jest, złego słowa nie można powiedzieć, ale co z niego za rycerz – trzeźwy, rozsądny i ostrożny. A skąd właściwie miał się wziąć rycerz, może ze mnie?

Durniu, romantyczny durniu! Wciąż liczysz na to, że przyroda wyręczy cię i sama da ci absolutnie «pewny sposób». W niczym cię nie wyręczy i niczego ci nie da. Po prostu nie posiada odpowiedniej informacji.

Do diabła! Czy naprawdę nie można? Czyżby miał rację udoskonalony Kriwoszejn-Krawiec?

...Istnieje sposób uratowania świata przez naciśnięcie guzika, można by go zastosować w przypadku wojny termojądrowej. Ukryć w głębokim szybie kilka maszyn-matek, w których zawarta byłaby informacja o ludziach(kobietach i mężczyznach) oraz duży zapas

odczynników. I gdyby na spopielonej Ziemi zabrakło ludzi, maszyny scalą i odrodzą ludzkość. W końcu jest to jakieś wyjście z sytuacji.

Ale to też nie będzie dobre. Takie wyjście, oddane do dyspozycji światu, naruszy istniejącą równowagę i w efekcie może pchnąć ludzkość ku wojnie jądrowej. «Ludzkość przeżyje, bomby atomowe jej nie zagrażają, no to im dołożymy! – pomyśli sobie jakiś sprytny politykier. – Problem Bliskiego Wschodu? Nie ma już Bliskiego Wschodu! Problem wietnamski? Nie ma już Wietnamu! Kupujcie osobiste schrony przeciwoatomowe dla duszy!»

A więc znowu nie to. Wobec tego co jest t o? I czy t o w ogóle istnieje?”

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Sen – najlepszy sposób walki z sennością.

K. Prutkow – inżynier, „Szkic encyklopedii”

Krótką jest noc czerwcową: zaledwie zgasł liliowy zachód, a już na południowym wschodzie, za Dnieprem, niebo znowu zaczyna się rozjaśniać. Ale i krótka noc jest nocą: działa na ludzi jak każda inna. Śpią mieszkańcy nocnej półkuli planety. Śpią obywatele miasta Dnieprowska. Spi wielu spośród uczestników opisywanych wydarzeń.

Niespokojnie śpi Matwiej Onisimow. Długo nie mógł zasnąć: palił, kręcił się w łóżku, niepokoił żonę. Rozmyślał o tym, co zaszło. Wreszcie, kiedy zmęczony zdrzemnął się, wzburzony umysł zgotował mu skandaliczny sen: w trzech parkach miejskich znaleziono zwłoki trzech osób zastrzelonych z broni palnej. Lekarz sądowy Zubato, któremu nie chciało się przeprowadzać dochodzenia w sprawie każdego z zabójstw oddzielnie, wymyślił wersję, że wszyscy trzej zostali zabici jednym strzałem, który przeszedł na wylot. W celu wykazania słuszności swojej hipotezy posadził zwłoki wszystkich ofiar na marmurowym stole sekcyjnym. Zwłoki obejmowały

się nawzajem, a przestrzały ułożyły się w jednej linii.

Onisimow, który zwykle miewał sny tylko czarno-białe, nieostre, jak ze zniszczonej taśmy filmowej, widział ten obraz przestrzennie, w barwach i z wrażeniami węchowymi: trzech Kriwoszeinów – ogromnych, nagich, różowych i pachnących mięsem – patrzy na niego z fotogenicznym uśmiechem. Obudził się z uczuciem protestu... Ale sen spowodował, że zaczęła mu się zarysowywać nowa wersja: Kriwoszein został zamordowany, a w pracowni gotowano jego zwłoki. Przecież zwłoki zawsze są najważniejszym dowodem, a ukryć je lub zakopać – rzecz niepewna i niebezpieczna: mogą zostać odnalezione i rozpoznane. Wobec tego gotowali je czy też próbowali zniszczyć w specjalnym płynie, a ponieważ sprawa nie była łatwa, przeliczyli się, coś im nie wyszło i przewrócili zbiornik. Dlatego tak szybko rozłożyły się przesiąknięte odczynnikami tkanki miękkie i pozostał tylko szkielet. Laboranta przygniótł zbiornik, a drugi sprawca, ten, który wczoraj stroił przed nim miny (mystyfikator, cyrkowiec, jakieś maski gumowe czy trening mimiczny? – wiadomo, spryciarze z nich!) zbiegł. I zorganizował sobie alibi – swoimi maskami i techniką mimiczną mógł i moskiewskiego profesora wprowadzić w błąd. A jego dokumenty to dobrze wykonane fałszerstwo.

Onisimow zapalił jeszcze jednego papierosa. A jednak cała ta sprawa nie pachnie zwykłym przestępstwem kryminalnym, Jeśli przestępcy pracują i tu, i w Moskwie – a przy tym ani chęć zysku, ani porachunki osobiste, ani seks nie wchodzi w grę – to... chyba Kriwoszein istotnie dokonał poważnego odkrycia. Trzeba będzie jednak skłonić jutro pułkownika, żeby zgodził się na przekazanie

śledztwa organom bezpieczeństwa! (Chociaż Onisimow nie dowie się nigdy, jak sprawy wyglądały w rzeczywistości, trzeba jednak oddać sprawiedliwość jego zdolnościom śledczym. Bo rzeczywiście, nie każdy potrafi, nie rozumiejąc zupełnie sprawy, tylko na podstawie zewnętrznych, przypadkowych faktów skonstruować logicznie niesprzeczną wersję!)

Pomyślawszy to, Onisimow uspokojony usnął. Teraz przyśniło mu się coś przyjemnego: awansowano go za rozwiązanie t a k i e j sprawy... Ale sny jeszcze trudniej poddają się marzeniom niż realna rzeczywistość. Nagle Onisimow zaczyna wściekle stękać przez sen, a wyrwana ze snu żona niespokojnie pyta: „Matusza, co ci jest?” Przyśniło mu się, że w Komendzie wybuchł pożar i spłonął nowy plan etatów...

Arkadij Azarow usnął zaledwie przed chwilą, i to dopiero po dwu tabletkach nasennych: rano przebudzi się z fatalnym samopoczuciem. I on nie mógł opędzić się od myśli związanych z zajściem w pracowni nowych systemów... Już dzwonili z Komitetu Miejskiego: „Znowu awaria u was, profesorze? I ofiary w ludziach?” Skąd oni się tak szybko wszystkiego dowiadują! Teraz się zacznie: wezwania, komisje, wyjaśnienia... Cóż, po to istnieje dyrektor, za to mu płacą, żeby go wszyscy szarpali! I przez takie właśnie sprawy, w których nic nie zawinił, kwestionowana jest jego, uczciwa, twórcza praca; Azarow poczuł się samotny i nieszczęśliwy.

„...Nie trzeba było organizować tej pracowni poszukiwań losowych. Postąpił wbrew sobie. Przecież myśl, że drogą prób losowych

i dowolnych kombinacji można poznać prawdę, dojść do prawidłowych decyzji w nauce, była głęboko sprzeczna z całą jego naturą. I w dalszym ciągu jest sprzeczna. Metoda Monte Carlo... Już nazwa mówi sama za siebie! Cóż może być gorszego dla eksperymentatora niż wiara w przypadek? Badać – choćby nawet za pomocą przyrządów i maszyn – swoje szczęście w grze, zamiast logicznie analizować problem i w sposób pewny i niespieszny zbliżać się do rozwiązania! Oczywiście, można w ten sposób konstruować niby-naukowe systemy i algorytmy, ale czy nie przypominają one tych systemów, którymi posługują się hazardziści w nadziei wygranej i tracą całe majątki? No dobrze, zmienił nazwę pracowni. I co z tego? Sens pozostał ten sam. Puścił wszystko na żywioł, sądząc, że skoro istnieje taki kierunek w światowej systemologii, to niech i u nas się rozwija... No, i rozwinął się!...”

Wtedy Azarow nie podzielił się z Kriwoszeinem swymi wątpliwościami, aby nie zgasić jego entuzjazmu, zapytał tylko: „I jakich to osiągnięć spodziewa się pan. po... ee... poszukiwaniach losowych?” Kriwoszein odpowiedział: „Przede wszystkim chcę opanować metodykę” – i to spodobało się Azarowowi bardziej, niż gdyby inżynier próbował go oszołomić swymi koncepcjami.

„Nie, on nie ograniczał się do opanowywania metodyki – Azarow przypomniał sobie pracownię, urządzenie podobne do ośmiornicy, obfitość przyrządów i szkła laboratoryjnego. – Rozkręcił jakąś dużą pracę eksperymentalną... Czyżby wyszło mu to, co referował na Radzie Naukowej? Ale wszystko zakończyło się zwłokami. Zwłokami, które przemieniły się w szkielet! – Azarow poczuł obrzydzenie i wściekłość. – Trzeba kończyć z tymi pracami doświadczalnymi,

wiecznie z nimi jakieś kłopoty! Absolutnie! Systemologia w istocie swojej jest nauką teoretyczną; analizę i syntezę dowolnych układów należy przeprowadzać metodami matematycznymi i tyle... Trzeba rozwijać teorię... A jeśli chce się wam pracować z maszynami – bardzo proszę, programujcie swoje zadania i idźcie do ośrodka obliczeniowego... Zresztą z tymi eksperymentami – profesor uśmiechnął się odzyskując spokój – nigdy nie wiadomo, co wyjdzie: głupstwo czy odkrycie!”

...Azarow miał zadawnione porachunki z naukami eksperymentalnymi, a jego sądy na ten temat były zdecydowane i niepodważalne. Ponad trzydzieści lat temu młody fizyk Azarow badał proces skraplania helu. Pewnego razu włożył do naczynia Dewara kilka kapilar szklanych i płyn ochłodzony do temperatury dwu stopni w skali Kelvina niezwykle szybko wyparował. Dwa litry drogiego helu w tamtych czasach helu przepadły, eksperyment diabli wzięli! Azarow w złości oskarżył szklarza, że ten podsunął mu uszkodzonego Dewara; szklarz został ukarany... A dwa lata później kolega Azarowa z tego samego roku studiów, Piotr Kapica, w analogicznym doświadczeniu (wprowadzenie kapilar szklanych do naczynia Dewara) odkrył zjawisko nadciekłości helu!

Od tego czasu Azarow rozczarował się do fizyki eksperymentalnej, pokochał pewny, surowy świat matematyki i nigdy tego nie żałował. Właśnie matematyka dała mu sławę: matematyczne podejście do problemów niematematycznych. W latach trzydziestych zastosował swoje metody do problemów ogólnej teorii względności, która królowała wówczas w umysłach uczonych; później jego osiągnięcia pomogły w rozwiązaniu ważnych zadań wynikających

z teorii reakcji łańcuchowych w uranie i plutonie. Potem zastosował swoje metody do problemów katalizy chemicznej polimerów, a obecnie stał na czele badań nad układami dyskretnymi w systemologii.

„E, to ciągle nie o to chodzi! – rozżłościł się na siebie Azarow. – Cóż tam właściwie zdarzyło się w pracowni Kriwoszeina? Pamiętam, ubiegłej jesieni przychodził do mnie, chciał porozmawiać... O czym? Oczywiście, o pracy. Spławiłem go, nie miałem czasu... Zawsze to, co pilne, uważa się za najważniejsze... A trzeba było porozmawiać, teraz wiedziałbym, o co chodzi. Później już do mnie się nie zwracał. Oczywiście, tacy ludzie są ambitni i nieśmiali... Zaraz, jacy ludzie? Jaki Kriwoszein? A coś ty o nim wiesz? Kilka referatów na seminariach, wystąpienie na Radzie Naukowej, kilka odpowiedzi i zapytań pod adresem innych referentów, a poza tym kłanialiśmy się sobie przy spotkaniach. Czy można na takiej podstawie cokolwiek o nim sądzić? Można, w końcu nie najgorzej znasz się na ludziach, Azarow... To był aktywny i twórczy człowiek, ot co. Takich ludzi można od razu poznać po zachowaniu. Widać u nich ciągłą pracę myśli – nie każdy to widzi, ale przecież jesteś taki sam, więc łatwo ci poznać... Człowiek je, chodzi do pracy, wita się ze znajomymi, chodzi do kina, kłóci się ze współpracownikami, pożycza pieniądze, opala się – wszystko to robi autentycznie, a nie aby zbyć – i myśli, myśli wciąż nad jednym. Nad koncepcją, która nie jest związana ani z jego zachowaniem, ani z kłopotami życia, codziennego, ale nic go od tej koncepcji nie oderwie. Ta koncepcja jest dla niego czymś najważniejszym: z niej rodzi się nowe...

I Kriwoszein był właśnie taki. Szkoda, że był – ze śmiercią każdego

takiego człowieka znika z życia coś bardzo ważnego. I każdy czuje się potem jeszcze bardziej samotny... No, dość tego, co mi znowu po głowie chodzi?! – zreflektował się Azarow. – Spać, spać!”

Harry Chiłobok też nie mógł długo zasnąć: spoglądał wciąż w oświetlone w domu naprzeciw okna mieszkania Kriwoszeina i próbował odgadnąć: kto też tam może być? O godzinie jedenastej z bramy szybkim krokiem wyszła Lena Kołomyjec (Chiłobok poznał ją po sylwetce i ruchach. Pomyślał mimochodem: „Trzeba by się z nią teraz bliżej poznać, jest się czym zająć”), ale światło paliło się nadal. Chiłobok zgasił lampę i usadowił się na parapecie z lornetką teatralną, ale widoczność była marna: zobaczył tylko część szafy z książkami i wzór z kół olimpijskich na ścianie. „Zapomniała światło zgasić czy co? A może tam jeszcze ktoś jest? Może zadzwonić na milicję? A, niech ich tam, sami niech sobie radzą. – Chiłobok ziewnął rozkosznie. – Może to właśnie ktoś od nich tam czegoś szuka...”

Wrócił do pokoju i zapalił nocną lampkę – figurkę nagiej kobiety ze sztucznego marmuru z żarówką w środku. Łagodne światło padało na niedźwiedzią skórę na podłodze, błękitne ściany ze złocistymi bocianami na tapetach, błyszczące powierzchnie biurka na wysoki połysk, szafę biblioteczną, szafę z ubraniami, stolik pod telewizor, pikowaną różową sofę, ciemnoczerwony dywan ze sceną antycznej uczy – wszystko wokół sprzyjało nastrojowi całkowitego zadowolenia. Chiłobok rozebrał się, podszedł do lustra w drzwiach szafy i zaczął się sobie przyglądać. Lubił swoją twarz: prosty, duży nos, gładkie, ale nie tłuste policzki, ciemny wąs – miał w sobie coś

z Maupassanta... Niedawno właśnie tak stojąc przed lustrem przemierzał wyraz twarzy doktora habilitowanego nauk technicznych. „Czego on chciał ode mnie, ten Kriwoszejn? – Chiłobok poczuł, jak trzęsie nim przyływ gwałtownej nienawiści. – Co ja mu zrobiłem? Jego temat poparłem, krewnego pomogłem wsadzić do pracowni... Sam doktoratu nie broni, a innym zazdrości! A może mścił się za to, że nie wykonałem zamówienia na ZCE-2? No, zresztą wszystko jedno: Kriwoszeina już nie ma. Wykończył się. Tak właśnie bywa. W życiu w ostatecznym rozrachunku wygrywa ten, kto przeżyje przeciwnika.”

Chiłobok ucieszył się z niezamierzonej głębi tej myśli. „Hm... Trzeba zapamiętać i puścić dalej.” W ogóle należy stwierdzić, że Chiłobok nie był taki głupi, jak można by sądzić na podstawie jego zachowania. Po prostu za gwarancję sukcesu życiowego przyjął regułę, że od durnia mniej się wymaga. Nikt nigdy nie spodziewał się po nim ani sensownych myśli, ani wiedzy. Dlatego też, kiedy demonstrował jakiegokolwiek wiadomości lub wygłaszał, choćby marniętkie, ale jednak myśli, wydawało się to tak miłą niespodzianką, że współpracownicy myśleli: „Nie docenialiśmy jednak Chiłoboka...”, i starali się życzliwością naprawić krzywdę. W ten sposób trafiały do „Zagadnień systemologii” jego prace, po których redaktorzy z góry niczego nie oczekiwali, a w których niespodziewanie znajdowali okruszyny sensu. W ten sam sposób Chiłobok oddawał prace zleceniodawcom, którzy nie oczekiwali po nim niczego dobrego. I tylko na habilitacji się pośliznął... Ale nic, i tak będzie górą!

Przyjemne myśli i barwne nadzieje ukołysały Chiłoboka. Zasnął mocno i bez marzeń sennych, tak jak spali chyba ludzie w epoce kamiennej.

Szczęśliwie uśmiechając się spał wróciwszy ze służby nocnej w mieście milicjant Hajewoj.

Popłakawszy z żalu do Kriwoszeina i do siebie usnęła Lena.

Ale nie wszyscy śpią... Zwycięsko walczy z sennością starszy sierżant milicji Gołoworiezow, pilnujący pracowni nowych systemów. Siedzi na ganeczku, pali, patrzy na gwiazdy nad drzewami. W trawie nie opodal coś zaszeleściło. Poświecił latarką – z łopianów patrzył na niego czerwonoooki królik albinos. Starszy sierżant psyknał, królik skrył się w ciemności, Gołoworiezow nie wiedział, co to za królik.

Wiktor Krawiec kręcił się na twardej pryczy w jednoosobowej celi aresztu śledczego; pod wełnianym kocem cuchnącym środkami dezynfekcyjnymi. Był w tym stanie pobudzenia nerwowego, który nie pozwala zasnąć.

„I co teraz będzie? Jak będzie? Wykręci się doktorant Kriwoszein czy pracownia i praca przepadną? I co jeszcze mogę zrobić ja sam? Wypierać się? Przyznać się? Do czego? Obywatelu kapitanie, zawińłem dobrymi chęciami; dobrymi chęciami, które na nic się nie przydały... Oczywiście, to musi być ciężkie przewinienie, skoro tak wyszło. Ciągłe pędziliśmy: pędzej, pędzej! – opanować w pełni odkrycie, dojść do «całkowicie niezawodnej» metody. Ja też, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy – spodziewałem się, że ją znajdziemy... Ewolucją dostarczała człowiekowi każdą nową informację stopniowo, metodą ostrożnych prób i niewielkich odchyłeń,

sprawdzała jej przydatność w niezliczonej ilości doświadczeń. A my chcieliśmy wszystko w jednym eksperymencie!

Trzeba było od samego początku wyrzucić z myśli rozważania o możliwych skutkach społecznych, pracować otwarcie i spokojnie, jak wszyscy. Koniec końców ludzie nie są dziećmi, sami powinni wiedzieć. Do wszystkiego doszliśmy: że człowiek to niezwykle złożony białkowy system kwantowo-molekularny, że jest naturalnym produktem ewolucji i stanowi informację zapisaną w roztworze. Jedno tylko przeoczyliśmy: że człowiek jest człowiekiem. Wolną istotą. Panem swego życia i czynów. I że wolność ta zrodziła się dawno przed wszystkimi buntami i rewolucjami, tego odległego dnia, kiedy człekokształtna małpa zamyśliła się: można wleźć na drzewo i zerwać owoc, ale można też spróbować strącić go kijem trzymanym w łapie. Jak lepiej? Myśl miała uzasadnienie: małpa widziała, jak w czasie burzy ułamana gałąź strącała owoce... Wolność to swoboda wyboru wariantów własnego zachowania, jej źródłem jest wiedza. Od tego czasu każde odkrycie, każdy wynalazek dawał ludziom nowe możliwości, czynił ich coraz bardziej wolnymi.

Co prawda, były odkrycia (nieliczne), które mówiły ludziom: nie można! Nie można zbudować perpetuum mobile pierwszego ani drugiego rodzaju, nie można przekroczyć prędkości światła, nie można jednocześnie dokładnie określić prędkości i położenia elektronu... Ale nasze odkrycie niczego nie zakazuje i niczego nie likwiduje, nasze odkrycie mówi: można!

Wolność... To nie takie proste: uświadomić sobie własną wolność w świecie współczesnym, mądrze i trzeźwo wybierać warianty

swego zachowania. Nad człowiekiem ciążył miliony lat, kiedy prawa biologiczne jednoznacznie określały zachowanie jego zwierzęcych przodków i wszystko było proste. Teraz też chciałby zwalić winę za własne błędy i głupotę na okoliczności, pech, chciałby pokładać nadzieje w Bogu, w silnej indywidualności, w szczęściu, byle samemu nie czuć się winnym. A kiedy nadzieje runą, chodzi i szuka kozła ofiarnego – on sam, który je budował, niczemu nie jest winien! Tak, ludzie idący po linii najmniejszego oporu nie znają wolności...”

Otwór w drzwiach celi odsłonięto i do wnętrza wpadł promyk światła; zasłoniła go twarz wartownika. Sprawdza pewnie, czy niespokojny aresztant nie planuje nowej ucieczki. Wiktor Krawiec roześmiał się bezgłośnie: rzeczywiście, areszt to najlepsze miejsce do rozważań o wolności! Z zadowoleniem uświadomił sobie, że pomimo wszystko poczucie humoru jeszcze go nie opuściło.

Dubel Adam-Herkules siedział na ławce koło przystanku trolejbusowego na opustoszałej ulicy i wspominał. Wczoraj, kiedy szedł z dworca, rozmyślał o oddziaływaniu trzech potoków informacji (nauki, życia i sztuki) na człowieka i przyszła mu do głowy nie sprecyzowana, ale bardzo ważna koncepcja. Przerwało mu tych trzech ze swoim bzdurnym sprawdzaniem dokumentów, żeby ich... Pozostało wrażenie, że był już o krok od niezwykle ważnego sformułowania. Szkoda.

„Spróbujmy jeszcze raz. Zastanawiałem się: jaką informacją i w jaki sposób można uszlachetnić człowieka? Kriwoszejn miał pomysł zsyntetyzowania «rycerza bez lęku i skazy» – pomysł przejąłem od niego, nie wolno mi go porzucić... Odrzuciłem informację

pochodzącą ze środowiska, a także z nauki, ponieważ ich oddziaływanie na człowieka równie dobrze może być pozytywne, jak i negatywne... Pozostało «lira uczyć szlachetnych budzenie» – sztuka. Istotnie, sztuka je budzi. Tylko lira jest bardzo niedoskonałym narzędziem: póki brzdąka, człowiek szlachetnieje, ale niech tylko przestanie – wszystko mija. Coś pozostaje oczywiście, ale mało, powierzchowna pamięć o obejrzanym przedstawieniu czy też przeczytanej książce... No, dobrze, a gdyby wprowadzić do maszyny-matki tę informację przy syntezie jakiegoś człowieka: powiedzmy, zapisać w niej zawartość wielu książek, pokazać doskonałe filmy? Będzie to samo: treść zapisze się powierzchownie w pamięci i tyle. Przecież książka jest o kimś innym!

Aha, o tym też myślałem: między źródłem informacji artystycznej i jej odbiorcą – konkretnym człowiekiem – istnieje jakaś przezroczysta ściana. Co to za ściana? Niech to diabli! Czy doświadczenie życiowe zawsze musi być głównym czynnikiem w kształtowaniu osobowości człowieka? Czy koniecznie trzeba samemu cierpieć, aby pojąć cierpienia innych? Popęłniać błędy, aby nauczyć się właściwie postępować? Jak dziecko, które musi się oparzyć, aby nie wsadzało palców w ogień... Ale przecież doświadczenie życiowe jest bardzo trudną nauką, nie każdy da sobie z nią radę. Życie może uszlachetnić, ale może też zepsuć, spodlić; może uczynić człowieka mądrym, ale może go i ogłupić...”

Adam zapalił, zaczął chodzić dookoła ławki.

„Informacja artystyczna nie jest opracowywana przez człowieka do końca, aż do takiego stopnia, aby rozwiązywać na jej podstawie własne zadania życiowe. Zaraz! Informacja nie jest opracowywana

do końca... To już było. Kiedy? No, przecież na samym początku eksperymentu. Pierwotny układ: czujniki – blok krystaliczny – maszyna, nie przyswajał informacji ode mnie... od Kriwoszeina – wszystko jedno! I wtedy zastosowałem sprzężenie zwrotne!”

Teraz Adam już nie chodził, ale biegał po zaplutym chodniku od kosza na odpadki do latarni i z powrotem.

„Sprzężenie zwrotne, niech to diabli! Sprzężenie zwrotne, które tysiąckrotnie zwiększa efektywność systemów informacyjnych... Stąd «ściana», stąd mała efektywność sztuki – brak sprzężenia zwrotnego między źródłem i odbiornikiem informacji. Pewnie, coś tam jest: listy, spotkania z czytelnikami, krytyka, ale to za mało. Powinno być bezpośrednie techniczne sprzężenie zwrotne, które modyfikowałoby dostarczoną człowiekowi informację artystyczną odpowiednio do jego osobowości, charakteru, zdolności, pamięci, nawet wyglądu zewnętrznego i danych personalnych. W ten sposób można byłoby symulować w procesie syntezy krytyczne sytuacje (niech się sam myli, niech uczy na błędach, szuka prawidłowych decyzji!), otworzyć przed nim jego własny – a nie wymyślonego bohatera – świat wewnętrzny, zdolności, zalety i wady, pomóc, aby sam zrozumiał i odnalazł siebie... I wtedy ta wielka informacja stanie się jego doświadczeniem życiowym na równi z informacją życia codziennego, uogólnioną prawdą, na równi z prawdami naukowymi. To będzie już jakaś inna sztuka: nie „pisarska, nie aktorska, nie muzyczna – wszystko połączone, wyrażone potencjami bioelektrycznymi i reakcjami chemicznymi. Sztuka Syntezy Człowieka!”

Nagle przystanął. „Dobrze, ale jak to zrealizować w maszynie-

matce? Jak zrealizować w niej takie sprzężenie zwrotne? Niełatwo... No, tak: doświadczenia, doświadczenia i jeszcze raz doświadczenia – zrobimy! Potrafiliśmy w końcu zbudować sprzężenie zwrotne między blokami układu. Najważniejsze, że jest koncepcja!...”

Wano Androsjaszwili również nie mógł usnąć w swym podmo-skiewskim domku. Stał na werandzie i słuchał szelestu nocnego deszczyku... Dziś na posiedzeniu katedry oceniano postępy doktorantów. Najgorzej wypadł Kriwoszejn: w ciągu roku nie zdał ani jednego egzaminu, na wykłady i zajęcia laboratoryjne uczęszczał ostatnio bardzo rzadko, a w dodatku nie przedstawił jeszcze tematu pracy doktorskiej. Profesor Władimir Walerno sądził, że Kriwoszejn tylko niepotrzebnie zajmuje miejsce na studiach doktoranckich, biorąc niezasłużenie stypendium, i że nieźle byłoby zwolnić to miejsce dla bardziej perspektywicznego doktoranta. Androsjaszwili chciał przemilczeć, ale nie wytrzymał i nagadał mu mnóstwo ostrych, gwałtownych słów o bezduszości w ocenie młodych pracowników naukowych, o lekceważeniu... Walerno był oszołomiony, a sam Androsjaszwili czuł się w tej chwili głupio; ściśle mówiąc, Walerno na takie zarzuty nie zasłużył.

Profesor Androsjaszwili niejedną wieczór przemyślał nad „cudownym” ozdrowieniem doktoranta po uderzeniu soplem, wspominał rozmowę o sterowaniu przemianą materii w ustroju i doszedł do wniosku, że Kriwoszejn odkrył i opanował zdolność szybkiej regeneracji tkanek, występującą w przyrodzie tylko u niższych zwierząt. Męczyło go, że nie był w stanie pojąć, w jaki sposób Kriwoszejn do tego doszedł. Czekał, że doktorant mimo wszystko przyjdzie do

niego i opowie: Androsjaszwili gotów był zapomnieć urazę, nawet zobowiązać się do milczenia, jeśli to będzie konieczne, byle się tylko dowiedzieć! Ale Kriwoszejn milczał.

Teraz Androsjaszwili miał do siebie pretensję, że wczoraj, kiedy wezwano go do wideotelefonu milicyjnego, nie próbował nawet się dowiedzieć, dlaczego i za co zatrzymano doktoranta. „Narozrabiał? Ale kiedy: rano jeszcze wpadł do Zakładu, żeby zawiadomić, że na kilka dni jedzie do Dnieprowska. Druga tajemnica Kriwoszeina...” – uśmiechnął się profesor. Ale niepokój nie mijał. Dobrze, jeśli to nieporozumienie, ale jeżeli coś poważnego... Mimo wszystko Kriwoszejn jest jednak autorem i posiadaczem ważnego odkrycia. Ważnego dla Człowieka. To odkrycie nie może zaginać.

Nieoczekiwanie pojawiła się myśl: „Trzeba lecieć do Dnieprowska”. Dumna krew górala i członka-korespondenta zawrzała: on, Wano Androsjaszwili, pędzi, aby wyciągnąć z kłopotów, doktoranta, który zaplątał się w jakieś ciemne i wątpliwe sprawy! Doktoranta, którego z litości przyjął do Zakładu i który obraził go ciężko brakiem zaufania!

„Eche, zaraz: pędzi! – profesor potrząsnął głową uspokajając samego siebie. – Po pierwsze, sam nie wierzysz, że Kriwoszejn popełnił jakieś przestępstwo; to do niego niepodobne. Musiało się tam zdarzyć albo nieszczęście, albo nieporozumienie. Trzeba pomóc. Po drugie, marzyłeś o sytuacji, która pozwoliłaby ci zdobyć jego zaufanie, zbliżyć się do niego. To właśnie jest taka sytuacja. Może on ma poważne podstawy, żeby się kryć. Ale niech nie myśli, że Androsjaszwili jest człowiekiem, na którego nie można liczyć, który z niskich pobudek umywa ręce. Nie! Oczywiście i w Dnieprowsku nie będę go wypytywał. Jeśli będzie chciał, sam opowie. Ale odkrycia należy

strzec. Ono jest ważniejsze od mojej miłości własnej.”

Androsjaszwili poczuł się lekko i spokojnie. Pokonał siebie samego i podjął mądrą decyzję...

Doktorant Kriwoszeim też nie spał. W dalszym ciągu czytał dziennik.

Rozdział drugi

Zgodnie z nauką Buddy, aby uwolnić się od cierpień, należy wyrzec się dóbr doczesnych. Niech mi ktoś powie, jakich dóbr mam się wyrzec, żeby przestał mnie boleć ząb. I to szybko!

K. Prutkow – inżynier, myśl bez numeru

„5 stycznia. No i znalazłem się w sytuacji człowieka-brulionu, wzorca dla coraz doskonalszych kopii. I chociaż sam jestem ich twórcą, niezbyt to przyjemne.

– Przystojny jest ten twój krewny – powiedziała mi Lena, kiedy poznałem ich ze sobą podczas wieczoru sylwestrowego. – I sympatyczny.

Po powrocie do domu wpatrywałem się w swoje odbicie w lustrze: ponury obraz... I w rozmowie jest błyskotliwy, gdzie mi do niego.

Nie, nie. Wiktor Krawiec zachowuje się w stosunku do Lenki po dżentelmeńsku. Albo działają stare wspomnienia (kłótnia z dublem nr 1), albo zdaje sobie sprawę ze swego powodzenia u kobiet, w

każdym razie na zewnątrz zachowuje się obojętnie. Ale gdyby tylko chciał, tyle bym ją widział...

...Kiedy idziemy razem przez osiedle lub park, dziewczęta, które dawniej ledwie mnie zauważały, teraz głośno i wesoło wołają:

– ...Dzień dobry, panie inżynierze! – a jednocześnie przenikliwie wpatrują się w idącego obok nieznanego.

A jak on jeździ na nartach! Wczoraj we troje wyjechaliśmy za miasto, no i razem z Leną pozostawili mnie daleko z tyłu. A jak tańczył na balu sylwestrowym!

Nawet sekretarka Ninoczka, która dawniej nawet drogi nie znała do pawilonu, teraz co chwila przynosi mi jakieś papierki z sekretariatu.

– Dzień dobry, panie inżynierze. Dzień dobry, Witia... Ach, jakie tu, u was ciekawe rzeczy... Tyle rurek...

Słowem, codziennie obserwuję siebie nie tylko takiego, jaki jestem, lecz także takiego, jakim mógłbym być, gdyby nie... Gdyby nie co? Gdyby nie głód podczas wojny i później, gdyby nie rodzinne podobieństwo do niezbyt pięknego, niestety, rodzica, («Wykapany tata, patrzcie, jaki pyzaty» – rozzulali się, bywało, krewni), gdyby nie wyboje na drodze życiowej, gdyby nie szkodliwy tryb życia – pracownia, biblioteka, mieszkanie, rozmowy, rozmyślenia, opary odczynników i całkowity brak wysiłku fizycznego. A przecież naprawdę nie chciałem stać się nieładnym, otyłym, przygarbionym przeciętnikiem. Samo tak wyszło.

W zasadzie powinienem być z siebie dumny – przeskoczyłem przyrodę! Coś mi jednak przeszkadza...

Nie, nie, mimo wszystko cała ta historia to poroniony pomysł. Przypuśćmy, że doprowadzimy metodą sterowanej syntezy do

doskonałości. Będą powstawać wspaniali ludzie. Silny, zdrowi, piękni, uzdolnieni, energiczni, wykształceni. No, wprost tacy królowie życia, jak ci z plakatu: «Na książeczkę odłożyłem, piękny garnitur nabyłem». A ci, na podstawie których ich stworzono, to jakby bruliony naszkicowane przez życie? Za co mają być poniżani? Piękna nagroda za życie: ubolewanie nad własną niedoskonałością, myśl, że się nigdy nie zostanie doskonałym dlatego, że zamiast sprawnej maszyny wydała cię na świat zwykła mama! Mimo wszystko nasz sposób syntezy jest skierowany przeciwko ludziom. I nie tylko przeciwko złym, ale wszystkim, gdyż każdy z nas jest w jakiś sposób niedoskonały. Wygląda na to, że także i dobrzy, ale zwykli (nie sztuczni) ludzie będą musieli ustąpić miejsca w życiu?

O! Właśnie taki jesteś, Kriwoszejn – gruboskórny nosorożec... Dopóki tobie samemu coś do żywego nie dopiecze, nic do ciebie nie dociera. «Zakuta pała» – jak zwykł mawiać ojciec. No dobra, nieważne, jak, ale ważne, że dotarło.

Jest się nad czym zastanowić... Ostatecznie wszystkie ludzkie wady mają podobne pochodzenie – wszystkie są «przebiegami». Weźmy choćby tak dobrą i cenną we współżyciu cechę charakteru – prostoduszność. Zaprogramowana jest w nas od dzieciństwa. Ale niech tylko przyroda zawiedzie, wychowanie nawali, sytuacja życiowa ułoży się nie tak – i zamiast prostoduszności pojawia się senna głupota. W taki sam sposób zamiast rozumnej ostrożności powstaje tchórzliwość, zamiast niezbędnej w życiu wiary w siebie – fałszywa zarozumiałość, zamiast prostoty i zdrowego sceptycyzmu – cynizm, zamiast trzeźwej pewności siebie – beczelność, nieuleczalne chamstwo, zamiast mądrości – spryt.

Wiele wyrażen potwierdza naszą” bezsilność wobec ludzkiej niedoskonałości: zartobliwe («słoń nadepnął na ucho», «upuściła niańka»), naukowe («degradacja osobowości», «kompleks niższości»), pobłażliwe («nie dane mu to», «brak mu tego daru»)… Dawniej mówiono «dar boży», w naszym materialistycznym wieku «zdolności wrodzone», a w istocie jeden diabeł – od człowieka i tak to nie zależy. Albo się to ma, albo nie.

A właściwie można odgadnąć, czemu tyle jest «nie dane». Człowiekowi pierwotnemu i ludziom w dotychczasowych formacjach społecznych doskonałość nie była niezbędna. Wystarczyło żyć, pracować, rozmnażać się, przejawiać spryt życiowy – i wszystko w porządku! Dopiero teraz, gdy wśród naszych pojęć znalazła się nie utopijna, lecz realna idea komunizmu, powstają prawdziwe wymagania w stosunku do człowieka. Przymierzamy ludzi do tej przepięknej idei i aż boli, gdy widzi się to, na co wcześniej nie zwracało się uwagi…”

„8 stycznia. Przedstawiłem w zarysie plon swoich przemyśleń Krawcowi.

– Chcesz zastosować metodę syntezy w stosunku do zwykłych ludzi? – podsumował natychmiast bystry dubel numer 3.

– Owszem. Ale jak? – popatrzyłem na niego z nadzieją. A może on i to wie?

Zrozumiał moje spojrzenie i roześmiał się.

– Nie zapominaj, że ja jestem tobą. W każdym razie, pod względem zasobu wiadomości.

– Ale może ty lepiej wiesz, co to za ciecz? – wskazałem na zbiornik. – Przecież wyszedłeś z niej jak… jak Afrodyta z piany morskiej. Skład i tak dalej?

- W dwu słowach?
- Możesz nawet w trzech.
- Proszę bardzo. Ta ciecz – to człowiek. Jej skład – to skład ciała ludzkiego. Ponadto ta ciecz – to samoucząca się kwantowo-molekularna biochemiczna maszyna matematyczna o ogromnej pojemności pamięci i w każdej cząsteczce tej cieczy zawarta jest jakaś swoista informacja... To znaczy, jakkolwiek by na to spojrzeć, ciecz maszyny-matki – to po prostu człowiek w fazie ciekłej. I z tego możesz sobie wyciągnąć wnioski naukowe, praktyczne i organizacyjne.

Można było wyczuć, że nowy problem nie frapuje go tak mocno, jak mnie. Próbowałem rozgrzać jego wyobraźnię.

- Witek, a co będzie, jeżeli ten sposób to właśnie „to”? Przecież on jest przeznaczony dla zwykłych ludzi, a nie...

- A idźże ty do... (Oj, oj! Sztuczny człowiek, a tak się wyraża...) Zdecydowanie nie zgadzam się rozpatrywać naszej pracy z pozycji «to – nie to», a także nie mam nic wspólnego z przysięgą, której nie składałem! W naszych czasach należy mieć spokojniejszy stosunek do przysięg! (Hm, jeżeli to ma się nazywać spokojny stosunek...) Chcesz zastosować odkrycie do przekształcania ludzi?

- W aniołów... – dołałem oliwy do ognia.

- Do diabła z cholernymi aniołami! Informacyjne przekształcenie homo sapiens, i to wszystko! Tylko w takim aspekcie możemy rozpatrywać problem.

Po raz pierwszy zobaczyłem, jak wyszedł z siebie... we mnie. I żeby nie wiem co, Kriwoszeińska natura da o sobie znać. Ale najważniejsze, że rozkręcił się. A najniezbędniejszą rzeczą, gdy się

zaczyna nowe badania, to uzyskać napęd wewnętrzny, rozzłościć się.

W wyniku sześciogodzinnej rozmowy (z przerwą na obiad), posunęliśmy się o cztery kroki naprzód w rozwiązywaniu nowego problemu.

Krok pierwszy. Ludzie sztuczni i naturalni, sądząc ze wszystkiego (choćby z tego, że zwykłe pożywienie nie jest dla dubli trucizną), są biologicznie jednakowi. A zatem wszystko, co robi maszyna-matka z dublami, można w z a s a d z i e (abstrahując od trudności natury technicznej – jak pisuje się w publikacjach naukowych) przenieść na ludzi zwykłych.

Krok drugi. Maszyna-matka dokonuje przekształceń w zbiorniku bez żadnych urządzeń mechanicznych i aparatury sterującej. Zatem sama ciecz jest układem kontrolno-sterującym, a zarazem wykonawczym mechanizmem biochemicznym. Realizuje ona w zbiorniku, jak powiedzieliby biolodzy, sterowaną przemianę materii...”

– O, do diabła! – mruknął doktorant i nerwowo zapalił papierosa.

„...albo ściślej: przekształca informację zewnętrzną w strukturalne zapisy w materii – wytwarza cząsteczki organiczne, komórki, krwinki, tkanki...”

Krok trzeci. Jaka jest zasada przekształcania człowieka w maszynie-matce? Sztuczny dubel powstaje w niej jako przedłużenie i rozwinięcie układu maszyny. W stadium przezroczystości odbiera już wrażenia i czuje się człowiekiem, lecz aktywnie działać nie może (doświadczenie z Adamem i świadectwo Krawca). Następnie dubel

dochodzi do stadium nieprzezroczystości, odłącza się od ciekłego układu maszyny-matki (albo układ od niego), uzyskuje władzę nad sobą i wychodzi... nie, trzeba naukowo! – oddziela się od maszyny. Ze zwykłym człowiekiem należałoby prawdopodobnie postępować w kolejności odwrotnej, to znaczy przede wszystkim włączyć go w obwód maszyny. Czyli technicznie – zanurzyć ciało w cieczy!

Krok czwarty. Ale czy człowiek włączy się do obwodu maszyny-matki? Przecież konieczny jest ni mniej, ni więcej – mimo wszystko na tyle mam wiadomości z neurofizjologii, czytałem Ashby'ego – tylko pełny kontakt całej sieci nerwowej człowieka z cieczą. A nasze przewodniki (nerwy) już są odizolowane od środowiska zewnętrznego skórą, innymi tkankami, kośćmi czaszki. Żeby się z nimi zetknąć, ciekły układ musiałby przeniknąć do wnętrza ciała...

Stwierdziliśmy, że może przeniknąć. Przecież człowiek to roztwór. Co prawda nie wodny (gdyby tak było, ludzie rozpuszczaliby się w wodzie). Wolnej wody w ciele człowieka nie jest zbyt dużo. To tylko analiza ilościowa zaciemnia obraz, przekłeta hipnoza liczb, kiedy po rozłożeniu żywej tkanki uzyskujemy przekonujące wartości: wody – 75 procent, białek – 20 procent, tłuszczów – 2 procent, soli – 1 procent i tak dalej. Człowiek to roztwór biologiczny i wszystkie składniki istnieją w nim w powiązaniu i wzajemnej zależności. Są w ciele «ciekłe ciecze» – ślina, mocz, surowica krwi, limfa, sok żołądkowy, można je wlać do probówki. Inne ciecze wypełniają komórki w tkankach: w mięśniach, nerwach, w mózgu – tu każda komórka jest sama jak gdyby probówką. Nawet kości są nasycone płynami biologicznymi jak gąbka... Tak że człowiek, mimo braku

odpowiedniego naczynia, ma znacznie więcej podstaw, aby uważać się za roztwór, niż ma ich powiedzmy, czterdziestoprocentowy roztwór sody żrącej.

Mówiąc dokładniej, człowiek to informacja zapisana w roztworze biologicznym... Od momentu poczęcia w roztworze tym zachodzą przekształcenia, tworzą się mięśnie, narządy wewnętrzne, nerwy, mózg, skóra. To samo – tylko szybko i w odmienny sposób – dzieje się w biologicznym roztworze maszyny-matki. Tak że obojętnie, z jakiej strony na to się spojrzy, obie te cieczki są sobie bardzo bliskie i ich wzajemne przenikanie jest całkowicie możliwe...

Bardzo chciało nam się każdy domysł i przypuszczenie natychmiast sprawdzić w maszynie, ale opanowaliśmy się i przez cały dzień wiodli rozważania teoretyczne. Dość już tej zabawy z przypadkiem, wszystko należy najpierw dokładnie przemyśleć.

A zatem, przede wszystkim należy się włączyć.”

„1 lutego. Ach, jakże piękne były teorie, które przymierzaliśmy do tego, co już zostało zrobione! Gra w kości, arytmetyka «to – nie to» – aż przyjemnie wspomnieć, jak to wszystko pasowało. O ileż trudniejsze jest zbudowanie nowej teorii, za pomocą której można osiągnąć nowe wyniki.

Na razie hipotetyczna «myśląca» ciecz (ciekły układ) zachowuje się jak najzwyczajniejsza woda. Tyle tylko, że jest trochę gęstsza.

Czyż trzeba opisywać, jak następnego dnia skoro świt pobiegliśmy do laboratorium, jak zamierając w oczekiwaniu wsunęliśmy do zbiornika koniuszki palców wskazujących – włączając się. I nic. Ciecz nie była ani zimna, ani ciepła. Staliśmy tak z godzinę – żadnych wrażeń, żadnych zmian.

Czy trzeba opisywać, jak kąpaliśmy w cieczy ostatnie dwa króliki starając się włączyć je w obwód maszyny? Maszyna-matka nie podporządkowywała się nawet rozkazowi «Nie» i nie rozpuszczała królików. Skończyło się na tym, że zwierzęta opily się cieczy i nie zdołaliśmy ich odratować.

Czy warto wspominać, jak wprowadziliśmy do cieczy końce przewodów i na oscyloskopie śledziliśmy wahania «pływających potencjałów»? Wahania były, krzywa przypominała piłę zapisu elektroencefalograficznego. I co z tego?

I tak jest zawsze... Gdybym był nowicjuszem, dałbym tętnu spokój.”

„6 lutego. Doświadczenie: ja pogrążyłem w cieczy palce, a Krawiec nałożył «czapkę Monomacha» i zaczął swoim palcem dotykać różnych przedmiotów. Cz u ł e m , j a k i c h p o w i e r z c h n i d o t y k a ! Oto coś ciepłego (żeberko kaloryfera, a oto coś mokrego i chłodnego (włożył palec pod kran i puścił wodę)...

To znaczy, że mój palec w ł ą c z y ł s i ę ? ! Za jego pośrednictwem maszyna przekazuje mi zewnętrzną informację o odczuciach... Tak, ale nie o te odczucia idzie. Potrzebne mi są sygnały (choćby nawet w postaci odczuć) o pracy ciekłego układu w zbiorniku!”

„10 lutego. Jeśli długo trzyma się rękę w roztworze, skupiając się na odczuciach, to czuje się bardzo słabe swędzenie i pokłuwanie w skórze... A może to autosugestia? Wrażenie jest bardzo słabe.”

„15 lutego. Małeńki, niewinny, nic nie znaczący wynik. W swojej skali ustępuje nawet produkcji królików. Po prostu dzisiaj skaleczyłem się w dłoń i zagoiłem ranę.

– Widzisz – w zamyśleniu powiedział z rana Krawiec. – Do tego, żeby można było odczuć działanie układu, niezbędne jest, żeby działał. A po co właściwie miałby działać? Po cóż miałby włączyć ać się w ciebie, we mnie czy w króliki? Wszystko jest gotowe, w stanie informacyjnej równowagi.

...Nie wiem, czy rzeczywiście to ja doszedłem szybciej do tego, co dalej robić (w każdym razie tak sobie pochlebiam), czy też po prostu on nie miał ochoty zadawać sobie bólu. Ale doświadczenie rozpocząłem ja: zaburzyłem równowagę informacyjną w swoim ustroju. Skalpel był ostry, z braku doświadczenia rozplątałem sobie dłoń aż do kości. Rękę zalała krew. Włożyłem dłoń do roztworu. Płyn dookoła zaczął szybko purpurowieć. Ból nie ustępował.

– Czapkę włoż, czapkę! – krzyknął Krawiec.

– Jaką czapkę, po co? – z bólu i widoku krwi nie bardzo kojarzyłem.

Wtedy on wcisnął mi na głowę «czapkę Monomacha», zaszczeakał przełącznikami i ból ustąpił natychmiast. W ciągu kilku sekund ciecz oczyściła się z krwi. Poczułem w ręce miłe swędzenie i zaczął dziać się cud – na moich oczach dłoń stawała się przezroczysta!

Najpierw ukazały się czerwone sploty mięśni. Po minucie rozplnęły się, a poprzez czerwonawą galaretkę zaczęły białawo przeświecać kostki palców. W pobliżu ścięgien nadgarstka rytmicznie pulsując przetaczało krew liliowe naczynie.

Ogarnął mnie lęk i wyszarpnąłem rękę ze zbiornika. Natychmiast poczułem ból. Dłoń była cała, tylko błyszcząca, jak posmarowana tłuszczem. Z przezroczystych palców ściekały, ciężkie krople. Spróbowałem poruszać palcami, ale bez skutku. I nagle zauważyłem, że

ich koniuszki grubiejną na kształt kropli... Był to straszny widok.

– Włóż z powrotem, rękę stracisz! – krzyknął Krawiec.

Włożyłem i skupiłem całą uwagę na skaleczeniu. Swędziało w przyjemny sposób właśnie tam. «Tak, maszyno.. to, to...» – zachęcałem ją. Swędzenie stopniowo słabło i dłoń ponownie stała się nieprzezroczysta. Odetchnąwszy z ulgą, wyciągnąłem ją – skaleczenia już nie było, tylko na jego miejscu uwypuklała się czerwono-fioletowa blizna. W zagłębieniach pojawiły się przezroczyste kropelki surowicy. Blizna w przykry sposób pobolewała i swędziała. Z pewnością nie było to jeszcze wszystko. Znowu opuściłem rękę do zbiornika... I znowu przezroczystość, swędzenie, «To, to, maszyno...» Wreszcie swędzenie ustąpiło i dłoń znowu stała się nieprzezroczysta.

Całe doświadczenie trwało dwadzieścia minut. A teraz sam nie mógłbym wskazać miejsca skaleczenia.

Trzeba sobie wszystko uporządkować... Najciekawsze jest to, że nie musiałem maszynie przekazywać żadnej szczegółowej informacji, jak leczyć skaleczenie, zresztą i tak nie potrafiłbym tego zrobić. Bardzo możliwe, że moje zachęcanie «to, to» też było zbędne – samo odczucie bólu zrodziło w moim mózgu wystarczająco wymowne prądy czynnościowe.

Można więc sądzić, że maszyna-matka włącza się na sygnał o zakłóceniu równowagi informacyjnej w układzie. Ale takim sygnałem może być nie tylko ból – może to być rozkaz woli, żeby coś w sobie zmienić, niezadowolenie («nie to»). A dalej można sterować za pomocą odczuć.

Małeńki, nic nie znaczący w porównaniu z całą resztą eksperyment. Przecież skaleczenie można było zalać jodyną, zabandażować

i tak by się zagoiło...

Najważniejszy eksperyment, największe osiągnięcie spośród wszystkich uzyskanych podczas całego roku pracy! Teraz odkrycie można zastosować nie tylko do syntezy i udoskonalania sztucznych dubli, ale także do przekształcania złożonego układu informacyjnego, zawartego w najbardziej skomplikowanym roztworze biologicznym, który w uproszczeniu określamy nazwą «człowiek». Przekształcenie dowolnego człowieka!”

„20 lutego. Tak, ciekły układ włącza się do ustroju człowieka również na rozkaz woli. Dzisiaj w ten sposób pozbyłem się owłosienia na lewej ręce aż po łokieć. Zanurzyłem rękę w zbiorniku i nałożyłem «czapkę». Rozkaz «Nie to!» skoncentrowany na włosach. Pokłuwanie i swędzenie nasiliło się. Skóra stała się przezroczysta. W ciągu minuty włosy znikły.

Krawiec, posługując się tą metodą, na małym i wskazującym palcu w ciągu pięciu minut wyhodował dwucentymetrowe paznokcie. Następnie zanurzył w cieczy obie dłonie i przekształcił rysunek linii papilarnych w coś podobnego do śladów bieżnika opony samochodowej. Potem próbował przywrócić poprzedni rysunek, ale nie udało mu się, bo zapomniał, jak wyglądał.

Teraz już wiadomo, czemu nie udawały nam się próby z królikami. Przecież nie mają one ani świadomości, ani woli, ani poczucia niezadowolenia z siebie. To sposób dla człowieka. I tylko dla człowieka!”

Dalej doktorant czytał szybko, zapamiętując najważniejsze szczegóły. Przerzucał kartki dziennika i jakby fotografował je

pamięcią. Wszystko było dla niego zrozumiałe. Kriwoszeini i Krawiec inną drogą doszli do tego samego, co on – do sterowania przemianą materii w ustroju człowieka. Z tą różnicą, że za pomocą maszyny.

I to było właśnie bardzo ważne, że za pomocą maszyny. Teraz jego odkrycie to nie unikat, nie rodzaj ułomności, ale wiedza o tym, jak można przekształcać samego siebie. Nie wystarczy sama metoda przekształcania – trzeba jeszcze dysponować pełną informacją o organizmie ludzkim. Takiej informacji jednak nie mieli i mieć nie mogli. A jego „wiedzę o odczuciach” można będzie teraz zapisać w maszynie i w ten sposób przekazać innym. Wszystkim ludziom. I każdy człowiek będzie mógł osiągnąć niesłychaną potęgę.

Doktorant w rozmarzeniu zmrużył oczy i usiadł wygodniej... Co tam walka z chorobami – o nich wkrótce nie pozostanie nawet wspomnienie! Człowiek i bez maszyny opanuje wszystkie żywioły.

...Błękitne głębiny oceanów, do których nie można dotrzeć bez skafandra czy batyskafu. A człowiek-delfin, który wytworzy sobie skrzela i płetwy, będzie mógł rozkoszować się wodnym żywiołem, żyć w nim, pracować i podróżować.

...Można wybrać i inny żywioł – wytworzyć sobie skrzydła, latać, szybować jak orzeł w ciepłych powietrznych prądach.

...Złowrogie obce planety o atmosferze nasyconej trującym chlorem, rozpalone przez słońce i żar nie ostygłej jeszcze magmy albo pogrążone w kosmicznym mrozie, zakażone śmiertelnościami bakteriami. A człowiek będzie mógł na nich żyć tak swobodnie jak na Ziemi, bez skafandra i osłon biologicznych... Wystarczy mu tylko przestroić swój organizm tak, aby wykorzystywał chlor zamiast

tlenu, lub zastąpić zwykłe białko swoich tkanek związkami krzemorganicznymi.

Przecież w człowieku nie to jest najważniejsze, że oddycha tlenem. Nie jest również ważne, że ma ręce i nogi. Można mieć skrzela, skrzydła, płetwy, oddychać fluorem, wymienić węgiel białek na krzem i mimo to pozostać człowiekiem. A można też mieć normalne kończyny, białą skórę, głowę i dokumenty i nie być nim.

– Tak, ale”. – Kriwoszejn w zamyśleniu oparł się łokciami o biurko i znowu wrócił do notatek.

„... – Znikną choroby i kalectwa, nie będą groźne rany ani zatrucia. Każdy będzie mógł stać się odważny, silny, piękny, nauczy się mobilizować rezerwy swojego organizmu, aby wykonać pracę, która poprzednio wydawała się ponad siły. Ludzie staną się jak bogowie! No, co się tak mądrze uśmiechasz? Przecież to jest właśnie ten sposób nieograniczonego ulepszania człowieka!

– Mądry jestem, więc się mądrze uśmiecham – odpowiedział chłodno Krawiec. – Znow cię poniosło. Mogą z tego wyjść jeszcze i inne rzeczy.

– Daj spokój! Czyż każdy człowiek nie stara się być lepszy, doskonalszy?

– Stara się – w miarę swoich pojęć o tym, co jest dobre i doskonałe. Mogą z tego wyniknąć na przykład «kąpiele kosmetyczne Kriwoszeina».

– Jakie znowu kąpiele?

– A takie... po pięć rubli za seans. Przychodzi jakaś panusia, rozbiera się za parawanem, zanurza się w roztworze biologicznym.

Operator, jakiś tam Żora Szerwerpupa, były fryzjer damski, wkłada sobie na głowę «czapkę Monomacha» i kłania się: «Czym możemy służyć?» «Tera mnie pan zrób na Bardotke – zamawia klientka – tylko żeby była ciut-ciut postawniejsza i bruneta. Mój chłop gustuje w brunetach...» Czego się krzywisz? Nawet da Żorce na piwo. A klienci płci męskiej będą się robić na supermężczyznę Jeana Marais albo na piękność Północy – Olega Striżenowa. A w następnym sezonie będzie moda na Lollobrigidę i Witalija Zubkowa, tak jak teraz na ich fotosy...

– Ale można przecież założyć maszynie jakąś tam dolną granicę selekcji informacji... Jakiś filtr odrzucający popolitość i głupotę. Albo wprowadzić sztywny program...

– ...który jednocześnie z wzorcami narzuciłby masowemu odbiorcy bogatą treść wewnętrzną? A jeśli on nie zechce? Ma przecież prawo za swoje pieniądze! «A cóż to ja nienormalna jestem – wrzaśnie to paniusia – że chcecie mnie poprawiać?! Sami jesteście feler-ni!» Rozumiesz, tępa nieustępliwość postawy życiowej prostaka i filistra polega właśnie na tym, że dla niego normą jest jego własne zachowanie.

– Ale można tak zrobić, że nie będzie ono normą dla maszyny.

– Hm... Proponuję, żebyśmy wykonali proste doświadczenie. Bądź tak uprzejmy, włóż palec do zbiornika.

– Który?

– Wszystko jedno. Którego ci nie szkoda.

Zanurzyłem serdeczny palec. Dubel nałożył «czapkę» i zbliżył się do szafki chirurgicznej.

– Uwaga!

– Co ty robisz?! – wyszarpnąłem palec, widniało na nim skaleczenie, z którego sączyła się krew.

Wiktor Krawiec posłał swój palec i wytarł krew ze skalpela.

– Teraz rozumiałeś? Dla maszyny nie ma i nie może być normy zachowania. Jej jest zupełnie wszystko jedno – co rozkażę, to i wykona.

Skaleczenia zagoiliśmy.

Krawiec sprowadził mnie na ziemię. Otrzeźwiałem. My, wynalazcy, jesteśmy marzycielami. Edison też zapewne myślał, że przez telefon ludzie będą przekazywać sobie wyłącznie dobre i potrzebne wieści, a na pewno nie spodziewał się, że będą plotkować, robić anonimowe donosy albo dla kawału wzywać pogotowie do zupełnie zdrowych znajomych... Wszyscy jesteśmy tacy sami – marzy nam się dobro, a gdy życie wywraca na opak ideę wynalazku, załamujemy ręce: «Ludzie, co wy robicie?!»

Przekleństwo nauki polega na tym, że stwarza ona sposoby i nic więcej. Na przykład my: mamy tylko sposób przekształcania informacji w układzie biologicznym. Z jego pomocą można małpę przekształcić w człowieka. Ale można też i odwrotnie.

Ale nie można, nie wolno myśleć, że i po naszym odkryciu wszystko będzie tak jak dawniej! Nie ze względu na naukę, ale na życie. Nasze odkrycie przeznaczone jest właśnie dla niego. Nie niszczy, nie zabija, ale tworzy. Może szukamy nie tam, gdzie trzeba. Może chodzi nie o właściwości maszyny, lecz człowieka?”

Doktorant kończył czytanie dziennika przy akompaniamencie niepokojących myśli. A może nadaremnie wyczerpali siły, może

odkrycie przyszło przedwcześnie i teraz rykoszetem trafi w człowieka? W Moskwie myślał o tym niewiele – odkrycie dotyczyło tylko i wyłącznie jego. Wystarczy tylko wiedzieć, badać dalej i siedzieć cicho... Co prawda, po kąpieli w basenie reaktora miał wielką ochotę powiedzieć o wszystkim profesorowi i kolegom. Wyjawić, że istnieje możliwość opanowania choroby popromiennej! Ale to mogło być przydatne tylko w czasie wojny...

„Wszystko przez te szumowiny! – Kriwoszeina ogarnęła wściekłość. – Przez wyrzutek, których, być może, jest jeden na tysiąc i dla których usłużna prostytutka Nauka przygotowuje sposoby burzenia miast i niszczenia narodów! Tylko sposoby. Do diabła, zacząć ich likwidować czy jak? Nikt mnie nie złapie, niczego nie udowodni... I sam mam pójść drogą wyrzutek? Nie. To także «nie to».”

Doktorant zamknął zeszyt i podniósł oczy. Lampa na stole paliła się, niczego nie oświetlając. Było już jasno. Za oknem, wśród zieloni, żółte, jednakowe gęby bloków osiedla patrzyły w niewidoczne słońce. Wydawało się, że stado budynków ruszy za chwilę w kierunku słońca. Zegarek wskazywał pół do ósmej.

Kriwoszeina zapalił i wyszedł na balkon. W dole na przystanku trolejbusowym gromadzili się ludzie. Barczysty mężczyzna w granatowym płaszczu wciąż spacerował pod drzewami. „No, no – zdziwił się jego wytrwałości Kriwoszeina. – Dobrze. Trzeba ratować to, co się jeszcze da.”

Wrócił do pokoju, rozebrał się, wziął zimny prysznic. Powróciła rzeźkość. Potem otworzył szafę, krytycznie przejrzał skromny zasób ubrania. Wybrał ukraińską koszulę z haftowanym kołnierzem i włożył ją na siebie. Z wahaniem obejrzał także znoszoną granatową

marynarkę i z westchnieniem narzucił ją na ramiona. Następnie przez piętnaście minut potrenował przed lustrem i wyszedł.

Rozdział trzeci

- Stój! Nie bądź osłem!
- Łatwo ci mówić... – mruknął osioł rzucił się do ucieczki.

Bajka współczesna

Mężczyzna w płaszczu zauważył Kriwoszeina, zwrócił się ku niemu i wbił w niego wzrok.

„Boże, co to za prymityw! I to ma być tajniak! – zdenerwował się Kriwoszein. – Zamiast obserwować moje odbicie w wystawie albo choćby zasłonić się gazetą, gapi się na mnie jak neandertalczyk na autobus dalekobieżny! Instrukcji nie mają czy co? Chociaż komiksy mogliby czytać, żeby podnieść kwalifikacje; Tacy to przestępców nałapią, nie ma co!

Ogarnęła go złość. Zbliżył się do prześladowcy.

– Panie, czemu pana nie zmieniają? Czy wam nie przysługuje siedmiodziny dzień roboczy?

Nieznamomy ze zdziwieniem podniósł brwi.

– Wala... – usłyszał doktorant miękki baryton. – Walentin... nie poznajesz mnie?

– Hm... – Kriwoszein zmrużył oczy, spojrzął i gwizdnął. – Przecież... To pan jest dubel Adam-Herkules? Ach, więc to tak! A ja myślałem...

– A... pan nie jest Kriwoszein? To znaczy Kriwoszein, ale ... z Moskwy?

– Otóż to. No, dzień dobry... cześć, Walka-Adam, duszo zaginiona!

– Cześć.

Uścisnęli sobie ręce. Kriwoszein wpatrywał się w ogorzałą od wiatru twarz Adama o grubych, ale regularnych rysach.

Jednak udało się Walce, patrzcie no! Tylko w jasnych oczach za wypłowiałymi rzęsami czaił się cień lęku.

– No, przybyło teraz Kriwoszeinów na świecie. I każdemu na imię Walentin...

– Możesz mówić na mnie Adam. Zostawię sobie to imię.

– Gdzie byłeś, Adamie?

– We Władywostoku, panie... – uśmiechnął się tamten, jakby wątpił, czy ma prawo żartować. – We Władywostoku i okolicach.

– Tak? Fajno! – Kriwoszein popatrzył na niego z zazdrością. – Montowałeś urządzenia w portach?

– Niezupełnie. Wysadzałem skały podwodne. No i... wróciłem do pracy.

– A nie boisz się?

– Boję się, ale... widzisz, mam koncepcję. Spróbować – zamiast syntezy nowego człowieka – przekształcenia zwyczajnych ludzi w maszynie-matce. No... po prostu, zanurzyć się w płynie, oddziaływać informacją zewnętrzną... można chyba, co?

Adam był jednak speszony, czuł to sam i zły był na siebie, że wypieszczoną koncepcję wyraził tak nieskładnie.

– Dobra myśl – powiedział doktorant i spojrział na Adama z nowym zainteresowaniem. W gruncie rzeczy nie różniły się tak bardzo.

A może to wewnętrzna logika odkrycia? – Tylko że to było, Wal. Byli już tacy, co zanurzali do naszego rodzimego żywiołu różne części ciała. I w całości chyba też się zanurzali.

– I wychodzi?

– Wychodzi... tylko z ostatnim doświadczeniem jeszcze nie bardzo wiadomo.

– No to wspaniale! Widzisz... Przecież to... wobec tego można zrealizować wprowadzenie informacji artystycznej do wnętrza człowieka z selekcją na zasadzie sprzężenia zwrotnego... – Adam, nadal jękając się i pesząc, wyłożył Kriwoszeiniowi swoje myśli o uszlachetnieniu człowieka poprzez sztukę.

Ale doktorant zrozumiał go dobrze.

– „...Powinniśmy w naszej pracy wychodzić z założenia, że człowiek dąży ku lepszemu – zacytował z uśmiechem zapis z dziennika Kriwoszeina – że nikt albo prawie nikt nie chce świadomie dokonywać czynów podłych i głupich, a jeśli ich dokonuje, to przez nieświadomość. W życiu wszystko jest skomplikowane, nieraz trudno określić, czy postępuje się źle, czy dobrze: wiem to z własnego doświadczenia. I jeśli by dać człowiekowi jasną i odpowiednią do jego psychiki i czynów informację – co jest dobre, a co złe – a także pełne zrozumienie tego, że każdy podły czy głupi postępek zgodnie z prawami rachunku prawdopodobieństwa obróci się przeciw niemu, to wtedy można się nie bać ani jego, ani o niego. Taką informację można wprowadzić do maszyny-matki...”

– Jak to, i to też było? – zdziwił się Adam.

– Nie. Było tylko niejasne przeczucie, że to jest konieczne. Że bez takiej informacji cała reszta nie ma sensu... Tak więc twoja

koncepcja jest bardzo na czasie. Jak to się mówi w środowisku naukowym – wypełnia lukę... Słuchaj! – rozłościł się nagle Kriwosze- in. – I ty z tą koncepcją chodziłeś za mną jak detektyw, łąziłeś pod oknami! Nie mogłeś mnie zawołać albo wejść do mieszkania?

– Widzisz... – zająknął się Adam. – Przecież ja myślałem, że ty jesteś nim. Przechodzisz obok, nie zauważasz, nie poznajesz. Pomy- ślałem, że nie chcesz mnie widzieć. Wtedy między nami wytworzyła się taka sytuacja... – Opuścił głowę.

– Tak... W pracowni nie byłeś?

– W pracowni? Przecież nie mam przepustki. A dokumenty mam Kriwoszeina, poznałoby.

– A przez płot?

– Przez płot... – Adam niepewnie wzruszył ramionami: nie przy- szło mu to do głowy.

– Człowiek wypracowuje pomysły i koncepcje niebywałej śmia- łości, a w życiu... o, Boże! – Kriwoszein z dezaprobatą pokręcił głową. – Trzeba wyplenić w sobie ten obrzydliwy lęk przed życiem i ludźmi, inaczej zginiemy. I praca przepadnie... No, dobrze – podał mu klucze. – Idź, rozgość się, odpoczywaj. Całą noc łązi tam i z powrotem, do czego to podobne!

– A gdzie... on?

– Sam chciałbym wiedzieć, gdzie on jest i co się z nim dzieje. – Doktorant spoważniał. – Spróbuję wszystko wyjaśnić. Zobaczymy się później. No, na razie – uśmiechnął się. – Dobrze, że przyjechałeś.

„Nie, jednak człowieka nie tak łatwo zepchnąć z wytkniętej dro- gi! – myślał Kriwoszein kierując się w stronę Instytutu. – Wielka sprawa, wielka idea może podporządkować sobie wszystko, usunąć

w cień pamięć o krzywdach, własne aspiracje, niedoskonałość... Człowiek dąży ku lepszemu, to prawda!”

Obok pędziły przepelnione poranne trolejbusy i autobusy. W jednym z nich doktorant zauważył Lenę: siedziała przy oknie i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Zatrzymał się na chwilę i odprowadził ją wzrokiem. „Ach, Lenka, Lenka! Jak mogłaś?” Lektura dziennika wywarła na nim tak silne wrażenie, jakiego nie doświadczyłby nikt inny; czuł się tak, jak gdyby sam przeżył ten rok w Dnieprowsku. Teraz był po prostu Kriwoszeinem i serce go zabolalo na myśl o krzywdzie, którą wyrządziła mu (właśnie jemu!) ta kobieta.

Wiem, do czego prowadzą nasze badania. Nie ma się co oszukiwać – będę musiał wejść do zbiornika. Przeprowadzamy teraz z Krawcem drobne, pouczające doświadczenia ze swoimi kończynami. Niedawno zregenerowałem sobie za pomocą układu zerwane przed laty więzadło w kolanie i już nie utykam. Wszystko to są oczywiście cuda medycyny, ale my chcemy znacznie więcej: przekształcać całego człowieka! Tutaj nie ma co się rozdrabniać, bo w ten sposób jeszcze ze dwadzieścia lat przedrepchemy w kółko. A wejść do zbiornika muszę ja, zwykły, naturalny człowiek. Krawiec nie ma tam już co robić.

Właściwie wypróbować trzeba nie maszynę-matkę, ale samego siebie. Cała nasza wiedza i wszystkie sposoby złamanego grosza nie są warte, jeżeli człowiekowi zabraknie siły woli i zdecydowania na poddanie się informacyjnym przekształceniom w płynie zbiornika.

Oczywiście nie wyjdę z tej kąpeli przekształcony. Przede wszystkim brak nam niezbędnej informacji, aby w zasadniczy sposób przekształcać organizm i intelekt człowieka. Poza tym na początek nie jest to nawet potrzebne. Wystarczy zbadać skutki całkowitego włączenia się do maszyny, udowodnić, że jest to możliwe i bezpieczne, no i coś tam przy okazji w sobie zmienić. Wykonać, że tak powiem, pierwsze okrążenie na orbicie.

Ale czy to jest możliwe? Czy bezpieczne? Czy wrócę z tej kąpeli, z orbity, z próby? Skomplikowana jest ta nasza maszyna-matka, tak wiele o niej dowiedzieliśmy się, a wciąż nie znamy jej do końca... I jakoś przytłacza mnie świetlana przyszłość naszego odkrycia.

Chyba już najwyższy czas, żebyśmy się ożenił. Do diabła z tym tchórzliwym związkiem z Leną! Potrzebna mi jest. Chcę, żeby była ze mną, żeby się troszczyła o mnie, żeby się niepokoiła, a nawet wymyślała, gdy późno wrócę, tylko żeby przedtem dała kolację. I – jako że z syntezą dubli wszystko jest już jasne – żeby nowi Kriwo-szeiniowie przychodzili na świat nie z maszyny, ale dzięki dobrym, wysoce moralnym stosunkom między rodzicami. I niech komplikują nam życie – ja jestem za! Żenię się! Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

Co prawda, żenić się teraz, kiedy przygotowujemy ten eksperyment... Cóż, w najgorszym razie pozostanie po mnie najtrwalsza pamiątka – syn albo córka. Niegdyś ludzie szli na front, pozostawiając w domu żony i dzieci. Dlaczego nie miałbym i ja tak postąpić?

Bardzo możliwe, że to niezbyt uczciwe – żenić się, gdy istnieje takie ryzyko. Ale niech mnie sądzą ci, którzy zdecydowali się lub muszą zdecydować na taką rzecz. Ich wyrok przyjmę.”

„12 maja.

– Wyjdź za mnie, Lenka. Będziemy razem. I będziemy mieli dzieci – piękne jak ty i mądre jak ja. Dobrze?

– Ty rzeczywiście uważasz się za mądrego?

– A co?

– To, że gdybyś był mądry, nie proponowałbyś mi tego.

– Nie rozumiem...

– No widzisz. A liczysz na mądre dzieci.

– Nie, powiedz, o co chodzi? Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść?

Wsunęła we włosy ostatnią szpilkę i odwróciła się od lustra w moją stronę.

– Uwielbiam, kiedy tak wydymasz wargi. Ach, ty mój Walka! Mój rudzielcze! Więc wykuły się w tobie poważne zamiary? O, mój słodki!

– Poczekaj! – uwolniłem się z jej ramion. – Czy zgadzasz się wyjść za mnie?

– Nie, najmiłszy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że na życiu rodzinnym znam się trochę lepiej niż ty. Dlatego, że wiem, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Powiedz sam, czy chociaż raz rozmawialiśmy o czymś poważnym? Ot tak, spotykaliśmy się, spędzali czas... Powiedz sam, czy nie zdarzało się, że przychodziłam do ciebie, a ty byłeś zajęty swoimi myślami, pracą i nie tylko nie cieszyłeś się, ale nawet byłeś niezadowolony, że przyszłam? Oczywiście, udajesz, bardzo się starasz, ale ja przecież to czuję... A co będzie, jeśli będziemy cały czas razem?

– To znaczy... to znaczy, że mnie nie kochasz?

– Nie, Waleczka – patrzyła na mnie jasnymi smutnymi oczyma

– i nie pokocham. Nie chcę cię pokochać. Przedtem chciałam... Przecież, szczerze mówiąc, zbliżyłam się do ciebie z premedytacją. Myślałam: spokojny, brzydki – będzie kochał i szanował... Nie obrażasz sobie, Wala, jak trzeba mi było ciepła! Ale nie ogrzałam się przy tobie. Przecież ty mnie też nie bardzo kochasz... Nie jesteś mój, dobrze to widzę. Twoja prawdziwa miłość to Nauka! – Roześmiała się z goryczą. – Powymyślaliście sobie zabawki: nauka, technika, polityka, wojna, a kobieta – ot tak, między innymi. A ja nie chcę być między innymi. Wiadomo, my, głupie baby, wszystko bierzemy poważnie, w miłości miary nie znamy i nic na to nie poradzimy... – Głos jej zadrzał, odwróciła się. – I tak wcześniej czy później powiedziałabym ci to... I znowu się naciętaś, Lena!

Zresztą szczegóły nie są ważne. Wyrzuciłem ją. Siedzę teraz, wywnętrzam się. A więc wszystko było zaplanowane. Brzydal jej był potrzebny, żeby się ogrzać... Zachciało mi się stworzyć wzorową rodzinę... „Zimno. Och, jak zimno!...

I za cóż miałaby mnie pokochać? Ani forszy... Nie, nie, daj spokój! Lenka nie jest taka. A jaka? I w ogóle miała rację, przecież sam to wiedziałem! Jeszcze jak! Ale poprzednio taki luźny związek odpowiadał mi... «Odpowiada panu?» – jak pytają w sklepach spożywczych proponując margarynę zamiast masła.

Nic w życiu nie przychodzi za darmo. Oto ja sam zmieniłem się, wiele nauczyłem, a życie wciąż szarpie... Uległem książkowej iluzji, dziwak. Ogrzać mi się zachciało.

I tyle. Nic więcej w moim życiu się nie zdarzy. Takiej jak Lenka już nie znajdę. A na byle co nie mam ochoty.

Nie chciała Lena zostać wdową po mnie.

Zimno...

Utraciliśmy bezpośredniość, nie umiemy iść za głosem uczucia, nie umiemy wierzyć bez reszty, kochać bez miary. Może jest tak dlatego, że każdy z nas nieraz sparzył się na tej bezpośredniości, albo dlatego, że w teatrze czy w kinie widzimy, jak robi się uczucia, albo jeszcze dlatego, że życie jest tak bardzo złożone i że wszystko w nim trzeba przemyśleć i wyliczyć? Nie wiem. «Łagodność charakterów rozłożona w szereg Taylora...» Rozłożyliśmy...

Teraz pozostaje nam od nowa dojść rozumem do tego, jaką wagę mają pełne i silne uczucia w życiu człowieka. Cóż, może i dobrze, że trzeba to udowodnić. Bo udowodnić można. I zostanie udowodnione. Ludzie osiągną wtedy nową, umocnioną rozumem naturalność uczuć i uczynków, zrozumieją, że bez tego życie nie jest życiem.

A na razie zimno...

Och, Lenka, Lenka, biedna, zastraszona przez życie dziewczynko! Teraz zrozumiałem, że kocham cię naprawdę.”

O pół do dziewiątej rano do budynku pracowni nowych systemów podszedł kapitan Onisimow. Dyżurny, sierżant Gołoworiezow, siedział w pełnym słońcu przed wejściem, opierając się o drzwi, z czapką nasuniętą na oczy. Dokoła jego otwartych ust i po policzkach łążyły muchy. Sierżantowi drgały mięśnie twarzy, ale nie budził się.

– Okradną was na służbie, sierżancie – surowo powiedział Onisimow.

Dyżurny natychmiast obudził się, poprawił czapkę i wstał.

– No więc wszystko w porządku, towarzyszu kapitanie, w nocy żadnych zajęć nie było.

– Jasne. Klucze macie przy sobie?

– Tak jest. – Sierżant wyciągnął z kieszeni klucze. – Jak przyjąłem, to i mam przy sobie.

– Nie wpuszczajcie nikogo.

Onisimow otworzył kluczem drzwi, wszedł i zatrzasnął je za sobą. Bez błędnie orientując się w ciemnym korytarzu, zastawionym skrzynkami i aparaturą, z łatwością odnalazł wejście do pracowni.

Wszedł i rozejrzał się uważnie. Na podłodze zastygły galaretowate kałuże z wyschniętymi brzegami. Wężę maszyny-matki bezwładnie zwisały wśród butelek i kolb. Lampki na panelach maszyny elektronicznej nie świeciły się. Wyłączniki na tablicy rozdzielczej sterowały w pozycji „wyłączone”. Onisimow podejrzliwie wciągnął nosem stęchłe powietrze i pokręcił głową. Potem zdjął granatową marynarkę, powiesił ją starannie na oparciu krzesła, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do roboty.

Najpierw przemył wodą, podniósł i postawił na miejscu teflonowy zbiornik i wrzucił do niego wyrostki węży i końce przewodów. Potem zbadał kabel energetyczny i znalazł w dole, na styku ściany z podłogą, przeżarte kwasami i opalone miejsce zwarcia. Wyjął z szafki gumowe rękawice, ze stołu ślusarskiego narzędzia i zabrał się do oczyszczania, skręcania i izolowania taśmą obtopionych żył miedzianych.

Po chwili wszystko było gotowe. Onisimow sapiąc wyprostował się i włączył prąd. Cicho zabrzęczały transformatory maszyny, zaśumiały wentylatory, zawył, nabierając obrotów, silnik wyciągu. Na

panelach maszyny elektronicznej bezładnie zamrugały zielone, czerwone, niebieskie i żółte światełka.

Onisimow, zagryzając ze zdenerwowania wargę, nalał do wielkiej kolby wody z destylarki i zaczął dolewać ją do wszystkich butelek, wyjął z szuflady biurka Kriwoszeina dziennik laboratoryjny i kierując się notatkami zaczął dosypywać odczynniki. Zakończywszy, stanął w oczekiwaniu na środku pokoju.

Drżące światła lampek sygnalizacyjnych przerzucały się po panelach z boku na bok, z góry na dół – rzucały się jak na oszalałej reklamie neonowej. Stopniowo jednak bezładne migotanie zaczęło przechodzić w rysunek, złożony z linii łamanych. Zielone proste otaczały niebieskie i żółte. Mruganie czerwonych lampek było coraz rzadsze, w końcu zgasły wszystkie. Onisimow z napięciem wpatrywał się w pulpit sterowniczy: jeszcze chwila i w górnej jego części zabłyśnie sygnał „Stop!” Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście – sygnał nie pojawiał się.

– Zdaje się, że działa... – Onisimow mocno potarł twarz dłonią.

Teraz trzeba było czekać. Żeby nie tracić czasu, nalał do wiadra wody, przyniósł z korytarza ścierkę i umył podłogę. Potem owinął taśmą izolacyjną zerwane końcówki przewodów «czapki Monomacha», przejrzał notatki w dzienniku, przygotował jeszcze kilka rozтворów i dołał do butli. Nic więcej nie miał już do zrobienia.

W korytarzu rozległy się kroki. Onisimow gwałtownie odwrócił się w stronę drzwi. Wszedł sierżant Gołoworiewow.

– Towarzyszu kapitanie, tam sekretarz naukowy Chilobok mówi, że ma do was sprawę. Wpuścić?

- Nie. Niech czeka. Ja też mam do niego sprawę.
- Tak jest. – Sierżant wyszedł.

„Cóż, trzeba będzie porozmawiać i z Chiłobokiem – uśmiechnął się Onisimow. – Najwyższy czas przypomnieć mu niedawne wydarzenia.”

„...17 maja. No i okazuje się, że kręcił wtedy Chiłobok mówiąc, że nie ma kiedy pisać pracy! Kręcił. Dowiedziałem się, że wczoraj odbyła się generalna próba jego habilitacji na zamkniętym posiedzeniu naszej Rady Naukowej. W naszym Instytucie, podobnie jak i w wielu innych, istnieje zwyczaj, że zanim ubiegający się o stopień naukowy wystąpi ze swoją pracą na zewnątrz, «przesłuchuje» się go we własnym gronie. W najbliższym czasie odbędzie się oficjalna obrona w Biurze Konstrukcyjnym u Lenki.

Ej, nie bez powodu on kręci! Coś w tym musi być.”

„18 maja. Dzisiaj zapukałem w okienko, obok którego na ścianie jakiś instytutowy poeta, na wszelki wypadek nie ujawniając się, napisał ołówkiem:

Bacz, by tajemnicę chronić,

Bo wróg nie śpi!

Major Pronin

Ja właśnie baczyłem. I dlatego Johann Johannowicz wpuszczał mnie do zamkniętej czytelnicy i wydał w celu zapoznania się egzemplarz pracy na stopień doktora habilitowanego nauk technicznych, napisanej przez doktora nauk technicznych H. Chiłoboka pod tytułem... dalej nie można.

No, kochani. Po pierwsze, temat pracy zahacza nieomal o opracowanie bloków pamięci maszynowej, które swego czasu wykonaliśmy

z Walerką Iwanowem, i okazuje się, że Chiłobok praktycznie był autorem i kierownikiem tych prac. Nie jest to powiedziane wprost, ale można się domyślić. Po drugie, w interpretacji wyników i dyskusji uległ skłonności do wolnej improwizacji i załgał się kompletnie. Po trzecie, w jego pracy nawet powszechnie znane fakty, ustalone przez zagranicznych systemologów i elektroników, poprzedzane są zwrotem «badania wykazały, że...» Jak nasza Rada Naukowa mogła puścić coś takiego? Maj, połowa członków na „urlopach albo w delegacjach.

Nie, tak łatwo mu to nie przejdzie.”

„19 maja.

– Uczyli cię arytmetyki? – zapytał mnie Krawiec, gdy przedstawiłem mu całą historię i swoje zamiary.

– Uczyli, bo co?

– No to policz sobie: dwa dni przygotowania do obrony plus jeden dzień na obronę... plus miesiąc nerwów po obronie. Nie jesteś dzieckiem, wiesz, że takie figle nie przechodzą na sucho. Co ma większą wartość – miesiąc naszych badań, których wyniki z czasem będą miały większe znaczenie niż cała współczesna technika, czy habilitacja jednego partacza, która na nic nie wpłynie? Jedna więcej, jedna mniej, i tyle.

– Tak... A teraz posłuchaj ty. Jest jeszcze i inna arytmetyka. Weźmy ciebie i mnie. Jesteśmy jednakowymi ludźmi i jednakowej klasy specjalistami, pod pewnymi względami jesteś nawet lepszy ode mnie. Ale jeśli ja teraz pójdę do tegoż właśnie sekretarza naukowego Chiłoboka i nie wysilając się specjalnie na uzasadnienie zakomunikuję mu, że praktykant Krawiec jest głupi, że ni w ząb nie

zna się na elementarnych zagadnieniach techniki obliczeniowej (nawet arytmetykę zna kiepsko), psuje urządzenia laboratoryjne i po kryjomu pije spirytus... to co się wtedy stanie z praktykantem Krawcem? Wyrzucą go z Instytutu, a także z internatu. I koniec z praktykantem! Nikomu niczego nie udowodni, bo jest tylko studentem. Właśnie takiej siły nabierze w porównaniu z nami Chiłobok, kiedy zrobi habilitację. Przekonało cię to?

Przekonało do tego stopnia, że natychmiast pobiegł do biblioteki przygotowywać notatki z piśmiennictwa jawnego.

Mogę to uzasadnić jeszcze inaczej: powinniśmy myśleć nie tylko o badaniach, ale i o tym, że kiedyś przyjdzie nam walczyć, aby odkrycie znalazło właściwe zastosowanie. Tego właśnie nie umiemy, a musimy się nauczyć.

Zresztą dość tych asekuranckich uzasadnień. W końcu mam ochotę żyć, a nie tylko udawać, że żyję!”

„22 maja. Zaczęło się zupełnie zwyczajnie. W małej sali Biura Konstrukcyjnego zebrało się niewielkie, lecz doborowe towarzystwo. Chiłobok przypiął do tablicy arkusze brystolu z kolorowymi wykresami i schematami, malowniczo ustawił się obok nich i wygłosił przepisowe dwudziestominutowe przemówienie. Obecni słuchali ze zwykłym w takich okolicznościach zażenowaniem. Jedni zupełnie nie wiedzieli, o czym mowa, inni trochę wiedzieli, trochę nie. A pozostali wiedzieli wszystko: i kto to jest Chiłobok, i co to za praca, i dlaczego była tajna... Ale wszyscy z biernym przygnębieniem myśleli, że nie ma co się pchać do cudzego ogródka, a także, że może sami nie są na tyle doskonali, aby krytykować innych. Zwykłe sensne rozmyślenia, dzięki którym do nauki przemycił się niejeden tyśiąc niedołęgów i kanciarzy.

Chiłobok skończył. Przewodniczący odczytał opinie o pracy. Pozytywne, trudno zaprzeczyć (zresztą, kto na obronie przedstawiałby negatywne?). Poważnym zaskoczeniem było dla mnie tylko to, że i Azarow wypowiedział się przychylnie. Następnie wystąpili recenzenci. Wiadomo, co to jest recenzent – z obowiązku wytyka jakieś niedopracowane drobiazgi, małe niedociągnięcia, ale «w całości praca odpowiada warunkom... autor zasługuje...» Gwoli jednak sprawiedliwości trzeba przyznać, że recenzent z Moskwy w sposób bardzo subtelny wykpił wszystkie założenia pracy i wyraźnie dał do zrozumienia, że łatwo można by ją rozłożyć, ale zrobił to tak delikatnie i ostrożnie, że chyba sam Chiłobok nie zrozumiał jego intencji. Potem nastąpiło: «praca w całości odpowiada» itd.

I wreszcie: «Kto chciałby zabrać głos?» Zwykle do tej chwili wszystkim tak brzydzie całe to widowisko» że nikt już nie chciałby niczego, broniący pracy składa podziękowanie i po wszystkim.

Kierownik pracowni W. Kriwoszejn odetchnął głęboko (już wtedy uświadomiłem sobie, że rozróżba będzie poważna) i podniósł rękę. Chiłobok doznał niemiłego wstrząsu. Tak jak i on, mówiłem dwadzieścia minut, a na poparcie swoich dowodów przekazywałem członkom Rady czasopisma, monografie, broszury, w których opisywano bez powoływania się na Chiłoboka przedstawione przez niego wyniki. Następnie odtworzyłem na tablicy jego układ... (nieważne, co to za układ, tym bardziej że jedyną jego zaletą była «oryginalność») i udowodniłem, że jeżeli... to układ w wymaganym zakresie częstotliwości nie będzie pracował. Na sali zrobił się hałas.

Następnie wystąpił doktor W. Iwanow, który przyleciał (nie obyło się bez mojego telefonu) z Leningradu. On także uściślił

«priorytetowe» dane i przeanalizował «oryginalną» część pracy. Mowa Walerki była pełna erudycji i subtelного humoru. W sali zrobiło się jeszcze głośniejsze, a dalej wszystko poszło samo!

Mój stary znajomy, Żałbek Pszembakow, zaczął wypytywać Chiłoboka, jak w układzie nr 2 realizuje się... (o tym też lepiej nie pisać). Chiłobok nie wiedział, jak, ale próbował odparować ataki męczącym myśli bełkotem. Po Pszembakowie wzięli udział w interesującej dyskusji także inni pracownicy biura. Na zakończenie wystąpił główny inżynier tego biura, profesor i laureat... (nazwiska nie zaleca się wymieniać). Zaczął swoje przemówienie od słów: «A mnie się od samego początku wydawało, że coś tu jest nie tak».

Słowem, nie pomogły Chiłobokowi jego zabiegi, rozdziobali mu habilitację jak kruki padlinę! Aż żal było na niego patrzeć. Wszyscy rozchodzili się do swoich zajęć, a on odpinał z tablicy przepiękne wykresy. Sprężyste arkusze zwijając się uderzały go po wusach. Podszedłem do niego, żeby mu pomóc.

– Dziękuję, już nie trzeba – burknął Chiłobok. – No jak, zadowolony pan? Sam pan doktoratu nie broni i innym nie daje. Łatwe ma pan życie, inżynierze, natura nie poskąpiła panu zdolności...

– Rzeczywiście, łatwe życie! – aż mnie zatkało. – Pensja dwa razy mniejsza niż pańska, urlop też. A pracy i kłopotów po dziurki w nosie...

– Sam pan sobie robi kłopoty. Po co się było w to mieszać? – zwijając arkusze Chiłobok popatrzył na mnie złym, wiele obiecującym spojrzeniem. – O Instytucie trzeba myśleć, a nie tylko o sobie

czy tam o mnie... No, ale to nie miejsce na takie rozmowy.

Jednym słowem, normalnie. A jednak czuję się teraz zadziwiająco dobrze. Mam takie uczucie, jak gdybym zrobił coś jeśli nie większego, to niewątpliwie potrzebniejszego od naszego odkrycia: rozdeptałem pluskwę. Okazuje się, że można. I wcale to nie takie straszne, jak się wydawało.

Teraz i o przyszłość naszej pracy jakoś mniej się obawiam. I takie rzeczy można pokonać.”

– Ale na pracę to jednak wpłynęło... – mruknął Onisimow-Kriwioszejn obserwując maszynę-matkę. – Ba, ale cóż nie ma wpływu na pracę?

„29 maja. Dzisiaj zostałem wezwany przed jasne oblicze Azarowa. Dopiero co powrócił z delegacji.

– Czy pan sobie zdaje sprawę, co pan narobił?

– Ależ, panie profesorze, przecież praca...

– Nie mówimy o pracy docenta Chiłoboka, ale o pańskim postępowaniu! Poderwał pan prestiż Instytutu, i to jak!

– Wyraziłem tylko swoją opinię.

– Tak, ale g d z i e pan wyraził? I jak pan wyraził? Czyż to tak trudno zrozumieć, że na zewnątrz nie jest pan tylko inżynierem przeprowadzającym swoje... hm... osobiste porachunki naukowe z kimś innym (oho, Chiłobok już go napuścił), ale przedstawicielem Instytutu Systemologii!? Dlaczego nie wyraził pan swojej opinii na wstępnej obronie?

– Nie wiedziałem, że była.

– Wszystko jedno! Nawet później mógł pan swoje zdanie przekazać mojemu zastępcy. On wzięłby je pod uwagę! (Akurat, Woltempernow!)

– Nie wzięłby go pod uwagę.

– Widzę, że się nie dogadamy. Jakie pan ma plany na przyszłość?

– Z Instytutu odchodzić nie mam zamiaru.

– Ja też panu tego nie proponuję. Wydaje mi się jednak, że nie dorósł pan jeszcze do kierowania pracownią. Pracownik naukowy pracujący w zespole winien brać pod uwagę interesy tego zespołu, a w żadnym razie nie może szkodzić mu swoim postępowaniem, przypuszczam, że w następnym konkursie będzie pan miał trudności z uzyskaniem stanowiska kierownika pracowni... To wszystko. Nie zatrzymuję pana.

No więc tak. Teraz po całym Instytucie rozlega się obrażone indyche gulgotanie, «inżynier na doktora. Na docenta!» Dzięki zabiegom Chiłoboka sprawa przedstawiona była tak, że to niby ja załatwiałem z nim swoje porachunki. Zaczęto wyciągać moje stare grzechy: naganę, awarię w pracowni Iwanowa (kierownik gospodarczy Matiuszyn nosi się z myślą ściągnięcia ze mnie pieniędzy za powstałe szkody). Zażądano ode mnie sprawozdania z pracy, mimo że temat 154 kończy się dopiero za pół roku. Chodzą słuchy, że należałoby powołać komisję w celu skontrolowania pracy laboratorium.

Nieżyczliwi pomstują, życzliwi szepczą współczująco, rozglądając się, czy ktoś nie słyszy: «Zdrowo tego Chiłoboka załatwiłeś... Dobrze mu tak, bałwanowi... No, teraz ciebie załatwią...», i doradzają, dokąd przejść. «A czemu sami nie zabraliście głosu?» «Hm, widzisz... – rozkłada ręce skądinąd miły chłopak, Fenia Zagrebniak.

A co ja mogę? Przecież to nie moja specjalność...»

Mimo wszystko życie wąskiego specjalisty jest paskudne. Dostatnie, bezpieczne, ale paskudne. Wszystkie jego zainteresowania życiowe skupione są na jakichś elementach pamięciowych, a i to nie na dowolnych, tylko kriotronowych. Kriotrony też nie są dowolne, ale wyłącznie cienkowarstwowe a i warstwa nie może być dowolna, ale wyłącznie cynowo-ołowiowa... Robotnik, chłop, technik, inżynier-praktyk, nauczyciel, a nawet urzędnik, mogą znaleźć zastosowanie dla swoich sił i umiejętności w licznych zawodach, przedsiębiorstwach i pracach, a tymi przeklętymi warstwami zajmują się tylko w paru instytucjach w całym kraju. I gdzie w razie czego podziałby się biedny Fenia? Siedź cicho i nie podskakuj... W istocie swej wąska specjalizacja to dobrowolne zaprzedenie się w niewolę.

Dlatego też wśród nas, wąskich specjalistów, prawie nigdy nie zdarza się, żeby «wszyscy za jednego» (z wyjątkiem sytuacji, gdy tym «jednym» jest Azarow). Natomiast «wszyscy na jednego» to zupełnie inna sprawa. Znacznie łatwiej. Dlatego też rozpalają się namiętności przy każdym naruszeniu subordynacji naukowej. «W ten sposób przecież każdą pracę można rozłożyć!...» – wykrzykiwał Woltampernow.

Dobrze, wytrzymamy. Nie damy się. Najważniejsze, że się to zrobiło. Przecież wiedziałem, na co się decyduję. Ale mimo wszystko to mierzi. Aż strach, jak mierzi...»

Onisimow zgasił papierosa i wpatrzył się w maszynę. W układzie węży zaszła jakaś nieuchwytna zmiana, jak gdyby napięły się, po niektórych przebiegł dreszcz skurczów. Potem — Onisimow aż

drgnął z wrażenia – z lewego ciemnoszarego węża spadła pierwsza kropla i dźwięcznie uderzyła o dno zbiornika.

Onisimow przystawił do zbiornika drabinkę i wszedł na nią. Podstawił dłoń. W ciągu minuty zebrało się na niej jeziorko gęstej zło-cistej cieczy. Poniżej, jak pod szkłem powiększającym, widać było linie skóry. Skupił się: skóra znikła, obnażyły się czerwone włókna mięśni, białe kości paliczków, pasma ścięgien... „Ach, gdyby oni to wiedzieli i umieli – westchnął – całe doświadczenie poszłoby inaczej. Nie wiedzieli... I to było przyczyną.”

Zlał ciecz do zbiornika, zszedł na podłogę i umył rękę pod kranem. Dźwięk kropel spadających do zbiornika był szybki i wiosennie wesoły.

– Dobra robota! Twarda jesteś, maszyno – z szacunkiem powiedział Onisimow-Kriwoszein. – Twarda jak życie.

Wyraźnie nie chciało mu się wychodzić z pracowni. Spojrzawszy na zegarek włożył jednak z pośpiechem marynarkę.

– Dzień dobry, kapitanie! – przywitał go radośnie Chiłobok. – Już w pracy? Ja tu na pana czekam, chciałem zawiadomić – zbliżył wąsy do ucha Onisimowa. – Wczoraj do mieszkania Kriwoszeina przychodziła ta jego była przyjaciółka, Helena Kołomyjec. Wzięła coś i wyszła. I jeszcze ktoś tam był, całą noc światło się świeciło.

– Jasne. Dobrze, że zawiadomiliście. Jak to się mówi, sprawiedliwość o was nie zapomni.

– No cóż, ja zawsze... obowiązek!

– Obowiązek obowiązkiem – głos Onisimowa stał się twardy – a czy nie kierują wami przypadkiem, obywatelu Chiłobok, jakieś inne motywy?

– Jakie mianowicie?

– Na przykład takie, że Kriwoszein zerwał waszą habilitację?

Twarz Chiłoboka na moment obwisła, ale natychmiast pojawił się na niej wyraz głębokiego oburzenia.

– Co za ludzie, no! Już ktoś zdążył donieść... No i cóż to za towarzystwo u. nas, naprawdę, aż wstyd pomyśleć! Jak pan może wątpić, kapitanie, przecież ja z czystego serca! I nie tak znowu bardzo wpłynął Kriwoszein na tę obronę, jak wam opowiadano, tam poważniejsi od niego specjaliści byli i wielu akceptowało, a on oczywiście zazdrościł. No i oczywiście zalecili dopracować, nie takiego, wkrótce znowu przedstawię... A jeśli mi nie dowierzacie, to wasza sprawa, mój obowiązek powiadomić, a poza tym... Moje uszanowanie!

– Do widzenia.

Chiłobok oddalił się kipiąc z wściekłości: nawet z tamtego świata Kriwoszein mu szkodzi!

– Ostro go załatwiliście, towarzyszu kapitanie! – powiedział z aprobatą sierżant.

Onisimow nie słyszał. Patrzył w ślad za Chiłobokiem.

„...Wszystko zmierza ku jednemu. Chcąc nie chcąc człowiek myśli sobie: Czy warto?”

Powiedz sobie szczerze, Kriwoszein: przecież to doświadczenie może cię wyprowadzić na tamten świat. Bardzo łatwo, zgodnie z własną statystyką udanych i nieudanych eksperymentów. Nauka nauką, metodyka metodyką, a przecież za pierwszym razem nigdy nie udaje się tak jak trzeba, to bardzo stare prawo. A błąd w tym doświadczeniu – to trochę więcej niż popsuty model.

I do zbiornika wejść po prostu jako wąski specjalista w tym zakresie. Taką mam specjalność – jak Fenia Zagrebniak swoje warstwowe kriotrony. Ale mogą też nie wchodzić, nikt mnie nie zmusza... Śmieszne – tylko z powodu niezbyt udanej specjalności zanurzać się w tym podejrzanym roztworze, który po prostu rozpuszcza żywe organizmy!

Dla ludzi? A niech ich! Cóż to, czy ja potrzebuję więcej niż inni? Będę żył spokojnie, dla siebie. I będzie dobrze.

...I wszystko stanie się jasne tą cyniczną, zimną jasnością, którą widzi tylko ostatni szubrawiec. I trzeba będzie przez całe życie usprawiedliwiać się tym, że wszyscy są tacy sami, nie lepsi od ciebie, ale jeszcze gorsi, bo żyją myśląc wyłącznie o sobie. I trzeba będzie jak najszybciej wyzbyć się wszelkich nadziei i marzeń, aby nie przypominały ci, że zdradziłeś! Zdradziłeś i nie masz prawa oczekiwać od innych niczego dobrego.

I wtedy życie stanie się już zupełnie zimne...”

Sierżant Gołoworiezow o coś pytał.

– Co?

– Pytam, czy szybko zmiana przyjdzie, towarzyszu kapitanie? Od dwudziestej drugiej zero-zero dyżuruję.

– I co, nie wyspalicie się? – wesoło zmrużył oczy Onisimow. – Godzinkę-półtorej jeszcze musicie się ponudzić, a potem was zmienią, obiecuje. Klucze wezmę ze sobą, tak będzie bezpieczniej. Nikogo nie wpuszczajcie.

Rozdział czwarty

I Einstein, i Faraday, i Popow mieli przełożonych... ale jakoś nikt o nich nie pamięta. Jest to wyraźne naruszenie subordynacji!

K. Prutkow – inżynier, myśl nr 40

Okna gabinetu Azarowa wychodziły na park. Widać z nich było wierzchołki lip i górujący nad zielenią szary, pokreślony pasmami szkła równoległobok nowego budynku. Azarow nigdy nie mógł napatrzeć się na ten widok. Rankami pomagał mu przewyżczać neurasteniczne nastroje, dodawał sił. Dziś jednak wyjrzawszy przez okno skrzywił się i odwrócił.

Uczucie samotności i nieokreślonej winy, które pojawiło się wczoraj, nie ustępowało. „E, co tam! – próbował je zlekceważyć Azarow. – Gdy ktoś umiera, człowiek czuje się winny już przez to, że sam żyje nadal. Szczególnie jeśli zmarły jest młodszy. A samotność w nauce jest naturalna i każdy twórczy pracownik naukowy jest do niej przyzwyczajony. Każdy z nas wie wszystko o czymś tam i każdy o swoim. Zrozumieć, się trudno. I dlatego często zastępujemy wzajemne porozumienie milczącym paktem o niewtrącaniu się w sprawy innych... Ale co on wiedział? Co on robił?”

– Można? Dzień dobry, panie profesorze! – Chiłobok podszedł po dywanie roztaczając wokół siebie zapach wody kolońskiej.

...Aluzja Onisimowa zdenerwowała go. Pomyślał, że może się wytworzyć opinia, że załatwiając porachunki osobiste zaszczył Kriwoszeina przyczyniając się do jego śmierci. „Wiadomo, kiedy zginie

człowiek, zawsze poszukuje się winnego. A u nas mogą, ludzie są tacy...” – z przerażeniem myślał docent. Nie wiedział jeszcze dokładnie, czego i kogo ma się bać, ale czuł, że jest to konieczne.

– No więc ja tu przygotowałem taki projekcik zarządzenia, panie profesorze, odnośnie zajścia z Kriwoszeinem, żeby wszystko względem tego zajścia i względem Kriwoszeina było formalnie w porządku. Tu są tylko dwa punkty: odnośnie powołania komisji i odnośnie zamknięcia pracowni, bardzo proszę, niech pan profesor, się zapozna, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu...

Chiłobok pochylił się nad lśniących biurkiem j, położył przed profesorem kartkę maszynopisu.

– No więc w skład komisji przeprowadzającej dochodzenie w sprawie wypadku powołałem towarzysza Bezmiernego, inżyniera BHP, on etatowo takimi sprawami powinien się zajmować, he, he... Hipolita Woltampernowa jako specjalistę elektronika, Agłąję Garażę jako przedstawiciela Rady Zakładowej, odpowiedzialnego za ochronę pracy, Ludmiłę Iwanownę z kancelarii jako sekretarza technicznego, no a na czele stanę ja, jeśli pan profesor nie ma nic przeciwko temu. Wezmę na siebie i ten ciężar, he, he! – ostrożnie spojrzął na profesora.

Azarow popatrzył na swego wiernego sekretarza naukowego. Docent był jak zawsze starannie wygolony, odprasowany, elegancki purpurowy krawat ściekał po wykrochmalonej koszuli jak strumyczek krwi z przeciętego kołnierzykiem gardła. Jednak z jakiegoś powodu i wygląd, i pięknie ustawiony głos Chiłoboka wywoływały u Azarowa uczucie obrzydzenia. „To lekkie drżenie przede mną... ta umyślna kaprańska głupkowatość... Ach, jak łatwo cię rozszyfrować,

jakiż jesteś przejrzysty! Może właśnie dlatego trzymam go przy sobie, że jest przejrzysty? Dlatego że nie można po nim oczekiwać niczego niespodziewanego ani wielkiego? Dlatego że ma tak jasne cele? Jeśli cel funkcjonalny systemu jest zrozumiały, jego zachowanie jest tysiąc razy łatwiej przewidzieć, niż gdyby cel był nieznan. Jest taka zasada w systemologii... A może po prostu odpowiada mi codzienne uświadamianie sobie własnego ja przez porównanie z nim? Może stąd bierze się samotność, że otaczamy się ludźmi, nad których łatwo się wywyższyć?”

– Drugi punkt odnośnie zamknięcia czy, powiedzmy, wstrzymania prac w laboratorium nowych systemów na czas pracy komisji... No, a po komisji wyjaśni się, co zdecydujemy w sprawie pracowni, rozwiązać czy też może włączyć do innego zakładu...

– Praca została tam wstrzymana w sposób automatyczny, panie docencie – uśmiechnął się niewesoło Azarow. – Po prostu nie ma kto pracować. I rozwiązywać też nie ma czego... – W pamięci znowu zarysowały się zwłoki Kriwoszeina – wytrzeszczone oczy, wyszczerzone zęby. Azarow potarł palcami skronie i westchnął. – Zresztą w zasadzie zgadzam się z pańskim projektem co do komisji. Tylko skład trzeba będzie trochę skorygować. Profesor przysunął sobie listę, otworzył pióro. – Profesora Woltampernowa można pozostawić, inżyniera BHP też, sekretarz techniczny będzie konieczny. A reszta niepotrzebna. Przewodniczyć komisji będę sam, wezmę na siebie, jak pan się wyraził, ten ciężar, żeby pana nie fatygować. Chcę dowiedzieć się dokładnie, co robił Kriwoszein.

– A... a ja? – załamany głosem zapytał sekretarz.

– A pana proszę o zajęcie się swoimi obowiązkami, panie docencie.

Chiłobok poczuł się ostatecznie pogiębiony: obawy sprawdzały się. „Odsuwa mnie!” W tej chwili bał się i nienawidził zmarłego Kriwoszeina bardziej niż za jego życia.

– No i proszę! I proszę, doigrał się, nie? – Chiłobok przygarbił się, pochylił głowę na ramię. – Ile teraz kłopotów! Och, panie profesorze, czyż ja nie widzę, jak pan to przeżywa? czy ja tego nie rozumiem? Ale czy warto panu osobiście zajmować się tym, odrywać się, denerwować? Po całym mieście rozejdzie się, że u Azarowa znowu... i że Azarow chce zatuszować, wie pan, jacy teraz są ludzie. Ach, ten Kriwoszein, ten Kriwoszein! Mówiłem przecież panu profesorowi, ostrzegałem, że żadnego pożytku z niego nie będzie, tylko szkody i nieprzyjemności! Żle się stało, panie profesorze, że poparł pan jego temat...

Azarow słuchał, marszczył się i czuł, że myśli jego opanowuje zwykle beznadziejne otępienie. Otępienie takie odczuwał zawsze w czasie dłuższej rozmowy z Chiłobokiem i to powodowało, że zgadzał się na wszystko. W tej chwili w głowie Azarowa plątała się dziwna myśl, że największego wysiłku myślowego wymagają nie problemy matematyczne, ale zdolność przeciwstawiania się takiemu bełkotowi.

„A może go wyrzucić? – nieoczekiwanie przyszła mu do głowy następna myśl. – Wyrzucić na zbity pysk z Instytutu i tyle. W końcu to jest poniżające... Tak, tylko za co? Obowiązki wykonuje, ma osiemnaście publikacji, dziesięć lat pracy naukowej, przeszedł w konkursie (co prawda innego kandydata nie było) – nie ma się do czego przyczepić. I jeszcze tę nieszczęsną ocenę mu napisałem... Wygonić po prostu za głupotę i brak perspektyw? Ależ to byłby niespotykany wypadek w nauce!”

– Zamówienia składał, materiały i sprzęt marnował, oddzielne pomieszczenie dostał, dwa lata pracy, no i proszę! – rozpałał się coraz bardziej własnymi słowami Chiłobok. – A na obronie jak się zachowywał... Przecież to nie tylko o mnie chodzi, w końcu cóż ja, ale pana profesora skompromitował, pana... Gdyby to ode mnie zależało, panie profesorze, to ja bym temu Kriwoszeinowi za to, że taki skandal wytworzył się odważyć... przepraszam, odważył wytworzyć się... tfu, przepraszam! – odważył się wytworzyć... ja bym go za to... – docent nachylił się nad biurkiem, w jego czarnych oczach pojawił się blask natchnienia. – Wielka szkoda, że u nas jest zwyczaj tylko nagradzać pośmiertnie, drukować rozmaite ogłoszenia i nekrologi „de mortuis aut bene aut nihil”, też coś!... A żeby tak udzielić Kriwoszeinowi nagany pośmiertnie, żeby dla innych była nauczka! I to surowej! Z wpisaniem...

– ...na nagrobek. To jest myśl – dodał głos za jego plecami. – Och, ależ z pana gnida, panie Chiłobok!

Docent wyprostował się tak nagle, jakby mu strzelono solą poniżej krzyża. Azarow uniósł głowę. W drzwiach stał Kriwoszein.

– Dzień dobry, panie profesorze. Przepraszam, że nie przez sekretarkę. Mogę wejść?

– Dzie... dzień dobry panu! – Azarow wstał zza biurka. Zaczęło mu wściekle łomotać serce. – Dzień dobry... uff, znaczy, że pan nie... cieszę się, że widzę pana całego i zdrowego! Proszę, niech pan wchodzi!

Kriwoszein uściśnęła wyciągniętą odważnie rękę profesora (Azarow z ulgą stwierdził, że ręka była ciepła) i zwrócił, się do Chiłoboka,

który bezdźwięcznie otworzył i zamknął usta.

– Panie docencie, czy nie zechciałby pan zostawić nas samych?

Będę niezmiernie zobowiązany.

– Tak, niech pan idzie – potwierdził Azarow.

Chiłobok zaczął posuwać się tyłem ku drzwiom, stuknął głową o ścianę, namacał drzwi ręką i wyskoczył z pokoju.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Azarow wykonał głęboki wdech i wydech, aby uspokoić serce, usiadł w swoim dyrektorskim fotelu i poczuł, że ogarnia go rozdrażnienie. „Okazuje się, że padłem ofiarą jakiejś mistyfikacji?!”

– Czy nie byłby pan tak uprzejmy, panie inżynierze, wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Co to za historia z pańskimi, przepraszam, zwłokami, szkieletem i tą całą resztą?

– Nic sprzecznego z prawem, panie profesorze. Pozwoli pan? – Kriwoszejn usiadł w skórzanym fotelu przed biurkiem. – Samoorganizująca się maszyna, której koncepcję referowałem na Radzie Naukowej przeszłego lata, rzeczywiście zaczęła się rozwijać... i rozwinęła się do stadium, w którym próbowała stworzyć człowieka. Mnie. No i jak to zwykle bywa, pierwsze koty za płoty...

– Dobrze, ale czemu ja o niczym nie byłem powiadomiony?! – z oburzeniem rzucił Azarow przypomniawszy sobie wczorajszą poniżającą rozmowę z funkcjonariuszem milicji i inne przeżycia ostatnich dni. – Dlaczego?

Kriwoszeina ogarnęła wściekłość.

– Do diabła! – Ze złością pochylił się; do przodu, uderzył pięścią w miękką poręcz fotela. – A czemu pan nie pyta, jak myśmy to zrobili? Jak nam się to udało? Dlaczego przede wszystkim obchodzi

pana tylko osobisty autorytet, subordynacja i stosunek innych do pańskiego dyrektorskiego „ja”?

Oświadczenie Kriwoszeina dotarło do Azarowa początkowo w sposób zwykły: uzyskano jakiś wynik. Iluż oświadczeń o najróżniejszych wynikach wysłuchiwał od kierowników zakładów i pracowni, siedzących właśnie tak, w skórzanym fotelu przed biurkiem! I dopiero ze znacznym opóźnieniem Azarow zaczął rozumieć, c o t o z a w y n i k . Świat zatoczył się i na moment utracił realność. „Niemożliwe! Ale nie, o to właśnie chodzi, że możliwe... Wtedy wszystko układa się w logiczną całość.”

Profesor zmienił ton.

– Bezwzględnie... to... rewelacja. Proszę przyjąć moje gratulacje. I... przepraszam. Zagalopowałem się, przykro mi. Stokrotnie przepraszam! To istotnie wielkie, bardzo wielkie... odkrycie, chociaż koncepcja przekazywania i syntezy informacji zawartej w człowieku była wysuwana jeszcze przez Norberta Wienera (Kriwoszeina uśmiechnął się). Oczywiście, to nie umniejsza... Pamiętam pana koncepcję, widziałem wczoraj w pracowni niektóre... wyniki pracy. Ponieważ sam do pewnego stopnia jestem związany z systemologią (Kriwoszeina znowu uśmiechnął się), to oczywiście jestem dostatecznie przygotowany, aby przyjąć pańską wypowiedź. Oczywiście, gratuluję panu z całego serca! Ale niech pan się zgodzi, że to szczęśliwe dla nauki wydarzenie mogło się obejść bez tak niepokojącej, a nawet w pewnej mierze noszącej charakter skandalu scenerii, jeśliby pan w ciągu ostatniego roku wtajemniczył mnie w postępy pracy

– Do pana bardzo trudno się dostać, panie profesorze.

– Hm... pozwoli pan, że nie uznam tego argumentu za przekonujący! – Azarow zmarszczył brwi. – Rozumiem nawet, że czuje się

pan poniżony procedurą przyjęć (choć wszyscy pracownicy Instytutu jej podlegają, a i sam muszę się do niej stosować w różnych instancjach). Mógł pan jednak zatelefonować, zostawić notatkę – nawet niekoniecznie formalne sprawozdanie – albo w ostateczności odwiedzić mnie w domu!

Profesor nie mógł pozbyć się uczucia urazy. „No i tak właśnie... pracujesz, pracujesz!” – kręciło mu się po głowie. Z dawnych czasów, jeszcze od nieudanego doświadczenia z helem, które w innych rękach zakończyło się odkryciem zjawiska nadciekłości, Azarow w głębi duszy pieścił nadzieję, że zobaczy, znajdzie i zrozumie coś nowego w przyrodzie. Marzył o odkryciu słodko i bojaźliwie jak młodzieniec o utracie niewinności. Ale nie wiodło mu się. Innym się wiodło, a jemu nie. Była wartościowa, potrzebna, odznaczona wieloma nagrodami tytułami praca, ale nie było odkrycia – korony poznania.

I oto w powierzonym mu Instytucie dokonało się bez niego i przeszło mu koło nosa ogromne odkrycie, w porównaniu z którym cała jego działalność i działalność całego Instytutu wydawała się czymś drobnym i niezauważalnym! Obeszło się bez niego. Więcej: wyglądało na to, że go celowo unikano, „Jakże to? Cóż on – uważał mnie za nieuczciwego? Czy dałem powód, aby tak o mnie myślano?” Dawno już członek Akademii Nauk, profesor Azarow, nie doznawał tak silnych emocji jak w tej chwili.

– No, tak... Podzielam pana radość z odkrycia, panie inżynierze – ciągnął profesor – niemniej jednak jestem głęboko urażony i rozgoryczony z takim stosunkiem do mnie. Może zabrzmiało to szokująco, ale ta sprawa ma dla mnie znaczenie już nie jako dla pracownika nauki i dyrektora Instytutu, pańskiego przełożonego, ale jako

człowieka: dlaczego tak? Przecież nie mógł pan nie rozumieć, że poinformowanie mnie o tej pracy nie tylko nie zaszkodziłoby panu, ale nawet pomogło... zapewniłbym panu właściwe kierownictwo, konsultacje. Jeśli uważałbym, że należy zasilić pański temat pracownikami lub wyposażeniem, to nie nastręczyłoby to żadnych trudności. Więc dlaczego? Oczywiście, nawet nie dopuszczam myśli, że obawiał się pan o swoje autorstwo...”

– Ale jednak nie mógł się pan powstrzymać przed wypowiedzeniem jej – uśmiechnął się ze smutkiem Kriwoszejn. – No, tak. W ogóle to dobrze, że ten fakt jest dla pana ważny przede wszystkim jako dla człowieka, to pocieszające... Przez jakiś czas wahaliśmy się, czy opowiedzieć panu o pracy, czy nie, próbowaliśmy się z panem skontaktować, ale kontakt nie udał się. Potem doszliśmy do wniosku, że na razie, na etapie poszukiwań, tak będzie lepiej. – Kriwoszejn podniósł głowę, popatrzył na Azarowa. – Nie bardzo wierzyliśmy w pana, panie profesorze. Dlaczego? Choćby dlatego, że i teraz, nie znając okoliczności, próbował pan przede wszystkim ustawić autorów na właściwym miejscu: Wiener wysuwał... A cóż ma z tym wspólnego Wienerowska „telewizyjna” koncepcja, u nas wszystko jest całkiem inaczej! I co za konsultacje byłyby możliwe: czy pan, członek Akademii Nauk, dopuściłby do okazania swojej niewiedzy przed podwładnymi inżynierami?... I jeszcze dlatego, że wiedząc doskonale, że wartość pracownika naukowego nie zależy „od stopnia ani tytułu, nie odważył się pan nigdy choć odrobinę uszczuplić „utyłowanych” w ich „prawach” do kierowania, do stanowiska, do nieomyślności sądów... Czy pan przypuszcza, że nie wiedziałem od

początku, jaką rolę miałem odegrać w organizowaniu tej pracowni? Czy sądzi pan, że na to ostatnie doświadczenie nie miało wpływu pańskie uprzedzenie do mnie po skandalu z Chiłobokiem? Dlatego właśnie śpieszyłem się i ryzykowałem... Gzy sądzi pan, że nie miała wpływu i ta okoliczność, że w naszym Instytucie zamówienia na wystawy i różne inne pokazówki mają zawsze pierwszeństwo przed tym, co jest konieczne do badań?

– Przepraszam pana, ale to już jest czepianie się drobiazgów, panie inżynierze! – skrzywił się z rozdrażnieniem Azarow.

– Ale te drobiazgi wytworzyły nasz sąd o panu, innych danych nie było. Albo jeszcze taki drobiazg, że taka... taki... no, słowem, Chiłobok, dzięki pana pobłażliwości czy poparciu, jak pan woli, nadaje ton Instytutowi. Pewnie, przy Chiłoboku przewagę intelektualną można odczuwać nawet w łaźni!

Twarz Azarowa spurpurowiała; co innego, kiedy człowiek sam dochodzi do jakiegoś wniosku, a co innego, kiedy mówią o tym podwładni. Kriwoszejn zrozumiał, że przesadził, i spuścił z tonu.

– Chciałbym, żeby mnie pan właściwie zrozumiał, panie profesorze. Bardzo chcielibyśmy, żeby pan uczestniczył w naszej pracy, dlatego właśnie, a nie po to, żeby pana obrażać, mówię wszystko, co myślę. Wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy: człowiek jest systemem złożonym, a maszyna, która go wytwarza, jest złożona jeszcze bardziej. Pracy starczy tu dla tysiąca pracowników. To jest właśnie nasze marzenie: wciągnąć do pracy mądrych, utalentowanych, wykształconych ludzi... Ale, widzi pan, w tej pracy nie wystarczy być tylko uczonym.

– Chciałbym mieć nadzieję, że jednak zaznajomi mnie pan

bardziej szczegółowo z treścią pracy. – Azarow stopniowo opanowywał się odzyskując poczucie humoru i wyższości. – Być może jednak przydam się panu i jako pracownik naukowy, i jako człowiek.

– Oby tak było! Oczywiście, najprawdopodobniej zaznajomimy pana... nie ja sam decyduję, ale zaznajomimy. Pan jest nam potrzebny.

– Panie inżynierze – profesor wzruszył ramionami. – Przepraszam bardzo, ale czy pan przypadkiem nie ma zamiaru dyskutować sprawę dopuszczenia mnie do waszej pracy z pańskim praktykantem-laborantem?! O ile się orientuję, nikogo więcej w pracowni nie ma.

– Tak, z nim też... O Boże! – Kriwoszejn ciężko westchnął. – Gotów pan jest uwierzyć, że maszyna może zrobić człowieka, ale dopuścić, że w pracy laborant może znaczyć więcej od pana, to jest już ponad pańskie siły! Nawiasem mówiąc, Faraday też był laborantem, ale czym, tego już dzisiaj nikt nie pamięta... Musi pan się jednak przyzwyczaić do myśli, że jeśli przyjdzie pan do nas – a mam nadzieję, że pan przyjdzie! – wtedy skończy się to protekcjonalne „jesteśmy waszymi ojcami, a wy naszymi dziećmi”. Będziemy pracować i tyle. Nikt z nas nie jest geniuszem, ale też nie ma między nami Chłoboków...

Spojrzał na Azarowa – i urwał wstrząśnięty: profesor uśmiechał się! Uśmiech był nie tak fotogeniczny jak dla fotoreporterów i nie tak inteligentny jak podczas obliczonej na aplauz repliki na Radzie Naukowej czy seminarium, ale prosty i szeroki. Wyglądało to niezbyt pięknie wskutek obfitości zmarszczek, które pojawiły się na twarzy Azarowa, ale bardzo sympatycznie.

– Niech pan posłucha – powiedział profesor – urządził mi pan

taką łaźnię, że... no, głupstwo *. Strasznie się cieszę, że pan żyje!

Czytelnik proszony jest, by nie zapominał, że czyta powieść fantastycznonaukową (przyp. aut.).

– Ja też – tylko tyle potrafił odpowiedzieć Kriwoszejn.

– A co będzie z milicją?

– Myślę, że i ich uda mi się... no, jeśli nie uciszyć, to choćby uspokoić.

Kriwoszejn pożegnał się i wyszedł. Azarow długo siedział bębniąc palcami po szklanym blacie biurka.

– No, tak... – powiedział.

I ani słowa więcej.

„O czym jeszcze trzeba pamiętać? – przypominał sobie Kriwoszejn idąc ku przystankowi trolejbusowemu. – Aha, jeszcze tamto.”

...,...30 maja. A jednak ciekawe byłoby obliczyć: jechałem ze swoją zwykłą szybkością spacerową – 60 kilometrów na godzinę. Ten idiota w zielonym «Moskwiczu» przejeżdżał szosę w poprzek, to znaczy jego szybkość w stosunku do drogi była równa zero. A i szybkość własna «Moskwicza», szczerze mówiąc, niewiele różniła się od zera. Jakby traktorem jechał... Kto takim osłom daje prawa jazdy? Jeżeli już przecinasz szosę z naruszeniem przepisów, zrób to przynajmniej szybko! A ten... to szarpnie do przodu na metr, to zahamuje. Kiedy zrozumiałem, że «Moskwicz» mnie nie przepuści, nie zdążyłem nawet nacisnąć na hamulce.

...Wiktor Krawiec, który pojechał na osiemnasty kilometr po resztki motocykla, dotychczas kręci głową.

– Miałeś szczęście, aż dziw! Gdybyś ciągnął siedemdziesiątką, to teraz ze szczątków «Jawy» budowałbym ci pomnik, a na tabliczce

rejestracyjnej, połykając łyzy, malował napis: «Tu leży Kriwoszeim – inżynier i motocyklista».

Tak, ale gdybym ciągnął siedemdziesiątką, to nie wpakowałbym się na niego!

Ciekawe, jak przypadkowe okoliczności ogniskują się w fatalnym wypadku. Gdybym nie zatrzymał się w lesie na papierosa i aby posłuchać kukułki («Kukułko, kukułko, ile będę żył?» – wykukała mi pięćdziesiąt lat), gdybym przejechał jeden czy drugi zakręt z trochę mniejszą czy trochę większą szybkością, minęlibyśmy się i kaady pomknęły w swoją stronę. A tak na równej drodze, przy doskonałej widoczności władowałem się w jedyny samochód, jaki pojawił się na szosie!

Przelatując nad motocyklem, zdążyłem tylko pomyśleć: «Kukułko, kukułko, ile będę żył?»

Wstałem o własnych siłach. «Moskwicz» miał wgnieciony bok. Przestraszony kierowca wycierał krew z nie ogolonej gęby – lecąc, wybiłem łokciem szybę. Dobrze mu tak, bałwanowi! Moja biedna «Jawa» leżała na asfalcie. Od razu stała się jakby krótsza. Latarnia, przednie koło, widelec, rama, zbiornik paliwa – wszystko to było rozbite, spłaszczzone, zniekształcone.

...Zatem początkową prędkość 17 metrów na sekundę wytraciłem na odcinku mniejszym niż metr. Moje ciało doznało przy tym przeciążenia równego... 15 przyspieszeniom ziemskim! Ho, ho!

Nie, człowiek jest jednak doskonałym urządzeniem! Moje ciało w czasie krótszym od jednej dziesiątej sekundy zdążyło zwinąć się i ustawić tak, aby jak najdogodniej przyjąć uderzenie – na łokieć i ramię. A Walerka dowodził, że człowiek nie nadąza za współczesną techniką. To nie takie pewne! Przecież gdyby uszkodzenia, jakie

odniósł motocykl, przełożyć na terminologię biologiczną, to ma on strzaskaną głowę, połamane kończyny przednie, klatkę piersiową i kręgosłup. Dobra była maszyna, sama się o szybkość prosiła...

Co prawda, moje prawe ramię i klatka piersiowa doznały znacznych przeciążeń. Trudno mi unieść prawą rękę. Pewnie trzasnęły żebra.

Tak więc wszystko zmierza ku jednemu. Teraz już płynny układ maszyny-matki ma co we mnie naprawiać i to ni» tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz ciała. Pod tym względem «Moskwicz» nawinął się w odpowiednim momencie. Zasłuży się nauce...”

Rozdział piąty

- Proszę wypisać przepustkę na wyniesienie zwłok.
- A gdzie zwłoki?
- Zaraz będą. (Strzela do siebie.)
- Masz babo placek! A kto je wyniesie?

Z legendy singapurskiej

Milicjant Hajewoj siedział w dyżurce i rozplywając się z czułości pisał list na urzędowym papierze. „Witaj, Walu! Pisze do Pani Aleksander Hajewoj. Nie wiem, czy pani mnie pamięta, czy nie całkiem, a ja nijak nie mogę zapomnieć, jak pani na mnie patrzyła koło estrady za pomocą swoich czarnych i pięknych oczu, a księżyc był wielki i koncentryczny. Droga Walu! Niech Pani przyjdzie jutro wieczorem

do parku imienia tow. T. Szewczenko, ja dyżuruję tam do 24.00...”

Wszedł Onisimow z brwiami surowo zmarszczonymi. Hajewoj zerwał się hałasując krzesłem i poczerwieniał.

– Zatrzymanego Krawca doprowadzono?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! Doprowadzono o pół do dziesiątej zgodnie z waszym rozkazem. Znajduje się w areszcie.

– Wprowadźcie.

Wiktor Krawiec siedział w ciasnym, wysokim pomieszczeniu na ławce z oparciem, palił papierosa i dmuchał dymem w promień słońca biegnący od zakratowanego okna. Policzki jego pokrywał trzydniowy zarost. Spojrzał w stronę przybyłych, ale nie odwrócił się.

– Wstać powinniście, jak się należy – z naganą w głosie zauważył Hajewoj.

– A ja nie uważam się za aresztanta!

– Bo i nie jesteście aresztantem, obywatelu Wiktorze Krawiec – spokojnie powiedział Onisimow. – Byliście zatrzymani do wyjaśnienia. Obecnie sytuacja skryzjalizowała się i nie uważam, aby wasze dalsze przebywanie w areszcie było konieczne. Będziecie potrzebni, to was wezwiemy. Jesteście wolni.

Krawiec wstał, niedowierzająco spoglądając na Onisimowa. Kapitan obrzucił go sceptycznym spojrzeniem. Wąskie wargi drgnęły w przelotnym uśmiechu.

– Wysokie czoło, wydatny podbródek, nos o regularnych kształtach... jednym słowem; jego piękną, krągłą, dyniowatą głowę otaczały ciemne loki. Kriwoszejn-pierwowzór miał dość prowincjonalne wyobrażenie o męskiej urodzie. Zresztą, nic dziwnego. (Krawiec spojrzał szeroko otwartymi oczyma.) A gdzie motocykl?

- Ja-jaki motocykl?
- „Jawa”, numer rejestracyjny 21-11 DNA. W remoncie?
- W... w komórce.
- Jasne. A mówiąc nawiasem, depeszę – oczy Onisimowa zmrużyły się ze złością – depeszę trzeba było wysłać przed doświadczeniem! Przed doświadczeniem, a nie po!

Krawiec stał osłupiały.

- No, dobrze. Dokumenty zwrócimy wam nieco później – ciągnął oficer urzędowym tonem. – Życzę powodzenia, obywatelu Krawiec. Nie zapominajcie o nas. Wyprowadźcie, towarzyszu Hajewoj..

Onisimow po źle przespanej nocy przyszedł do pracy z bólem głowy. Teraz siedział za biurkiem w swoim pokoju i układał plan działania na bieżący dzień. „1. Przesłać płyn na dodatkową ekspertyzę na okoliczność stwierdzenia nie rozpuszczonych resztek tkanek ludzkich. 2. Skontaktować się z organami bezpieczeństwa (przez pułkownika). 3...

- Czy można? – odezwał się miękko głos, od którego Onisimowowi przeszły ciarki po skórze. – Dzień dobry.

W drzwiach stał Kriwoszejn

- Czy właściwie mnie skierowano? Czy mam przyjemność z kapitanem Onisimowem, który prowadzi dochodzenie w sprawie zajścia w mojej pracowni? Bardzo mi miło, czy można? – Usiadł na krześle, wyjął chusteczkę i otarł błyszczące od potu czoło. – Ranek, a już taki upał, trudno uwierzyć!

Onisimow siedział osłupiały.

– Otóż moje nazwisko Walentin Wasiliewicz Kriwoszejn. Jestem kierownikiem pracowni nowych systemów w Instytucie Systemologii – z absolutnym spokojem oświadczył przybyły. – Dopiero dzisiaj zawiadomiono mnie, że pan... że organa milicji interesują się tym nieprzyjemnym zajściem i natychmiast pośpieszyłem tutaj. Oczywiście przybyłbym jeszcze wczoraj albo przedwczoraj, aby przedstawić wyczerpujące wyjaśnienia, ale... (wzruszenie ramion) do głowy mi nie przyszło, że dookoła jednego nieudanego doświadczenia zrobi się tyle hałasu, i to jeszcze z udziałem milicji! Odleżałem się w mieszkaniu, jako że po doświadczeniu nie bardzo dobrze się czułem. Widzi pan, panie... przepraszam, jak mam się zwracać?

– Kapitan Onisimow, Apollon Matwie... przepraszam, Matwiej Apollonowicz – wykrztusił ochryłym głosem Onisimow i odchrząknął.

– Widzi pan, panie kapitanie, było tak: w trakcie eksperymentu musiałem zanurzyć się w zbiorniku z biologicznym środowiskiem informacyjnym. Niestety, zbiornik był niestabilnie zamocowany i przewrócił się. Upadłem razem z nim, uderzyłem głową o podłogę i straciłem przytomność. Obawiam się, że zbiornik przy upadku potracił także i mojego laboranta, przypominam sobie, że w ostatniej chwili próbował powstrzymać, upadek... Oprzytomniałem pod ceratą na podłodze. Usłyszałem, że w pracowni ktoś rozmawia... – Kriwoszejn uśmiechnął się czarująco. – Zgodzi się pan, panie kapitanie, że byłoby mi bardzo niezręcznie stanąć we własnej pracowni przed obcymi ludźmi w takim, delikatnie mówiąc, szokującym stanie: nago, z rozbitym głową. Do tego ten płyn... wie pan, szczypie gorzej niż mydło! Dlatego cichutko wygramoliłem się spod ceraty i

wymknąłem się, przepraszam bardzo, pod prysznic, żeby się umyć i przebrać... Muszę przyznać, że w głowie mi huczało, myśli się plątały. Sądzę, że nie zdawałem sobie w pełni sprawy ze swoich czynów. Nie pamiętam, jak długo przebywałem w łazience, pamiętam tylko, że kiedy wyszedłem, nikogo w pracowni nie było. Poszedłem więc do domu poleżeć... I to byłoby chyba tyle. Jeśli pan sobie życzy, mogę złożyć wyjaśnienie na piśmie i skończmy z tą historią.

– Tak. Jasne... – Onisimow stopniowo opanowywał się. – A jakimi doświadczeniami zajmowaliście się w pracowni?

– A więc... prowadzę badania nad biochemią połączeń wyższych w aspekcie systemologicznym z zastosowaniem polimorfizmu antropologicznego lub, jeśli pan woli, nad systemologią wyższych układów w aspekcie biochemicznym z zastosowaniem antropologizmu polimorficznego.

– Jasne... A szkielet skąd się wziął? – Onisimow zerknął na skrzynkę stojącą na brzegu biurka. „No, poczekaj tylko!”

– Szkielet? Ach, szkielet! – Kriwoszein uśmiechnął się. – Widzi pan, my ten szkielet trzymamy w pracowni w charakterze, jak by to powiedzieć, pomocy naukowej. Zawsze leży w tym kącie, w którym położono mnie, kiedy byłem nieprzytomny...

– A co powiecie na to? – I Onisimow szybkim ruchem zdjął skrzynkę, pod którą stał model głowy Kriwoszeina. Jasnozielone plastelinowe gałki oczu patrzyły wprost na gościa, którego twarz momentalnie poszarzała i stężała. – Poznajecie?

Doktorant Kriwoszein opuścił głowę. Dopiero teraz ostatecznie przekonał się o tym, czego się domyślał, ale z czym do ostatniej chwili nie chciał się pogodzić: Walka zginął w trakcie eksperymentu...

– Nie trzyma się to u was kupy, obywatelu... nie wiem, jak się nazywacie i kim jesteście! – Onisimow starannie ukrywając triumf odchylił się w fotelu. – Wczoraj mnie, tego... mistyfikowaliście, ale dziś się wam nie uda! Zaraz wam tu zorganizujemy konfrontację z waszym wspólnikiem Krawcem. Ciekawe, co wtedy zeznacie?!

Sięgnął do telefonu. Ale Kriwoszein ciężko położył rękę na słuchawce.

– No co wy, chwi... – wojowniczo zadął głowę Onisimow – i urwał: naprzeciwko siedział... on sam. Twarz z szerokimi kośćmi policzkowymi, z wąskimi wargami, wąski nos, zmarszczki dokoła ust i małych, blisko osadzonych oczu. Dopiero w tej chwili Onisimow zwrócił uwagę na granatowy, jak u niego samego garnitur rozmówcy, na koszulę z wyhaftowanym ukraińskim wzorem.

– Nie wygłupiajcie się, Onisimow! Nic z tej konfrontacji nie wyjdzie, po prostu sami postawicie się w głupiej sytuacji. Nie dalej jak dwadzieścia minut temu kapitan Onisimow wypuścił na wolność zatrzymanego Krawca z braku dowodów przestępstwa.

– To znaczy... – Onisimow jak zaczarowany patrzył na twarz Kriwoszeina, która rozluźniała się stopniowo i przybierała poprzednie rysy, z policzków odpływała krew. Zaparło mu dech. W wielu trudnych sytuacjach był Onisimow w ciągu swej milicyjnej służby – i on strzelał, i do niego strzelano – ale nigdy nie bał się tak, jak w tej chwili. – Więc wy... to wy?!

– Otóż to: ja to właśnie ja. – Kriwoszein uniósł się, podszedł do samego biurka. Onisimow skulił się pod jego gniewnym spojrzeniem. – Posłuchajcie, kończcie wreszcie tę awanturę! Wszyscy żyją, wszyscy są na miejscu, czego jeszcze chcecie? Żadne modele,

żadne szkielety nie udowodnią, że Kriwoszein umarł. Oto jest Kriwoszein, stoi przed wami! Nic się nie stało, rozumiecie? Po prostu taka, praca.

– Ale... jakże to tak? – wyszeptał Onisimow. – Może jednak wyjaśnicie?

Kriwoszein skrzywił się z niezadowoleniem.

– Ach, panie kapitanie, i cóż ja panu mogę wyjaśnić? Pan stosował całą technikę śledczą: wideotelefony, daktyloskopię, analizy chemiczne, rekonstrukcję twarzy według Gierasimowa – i nic: nawet takiego typa jak Chiłobok nie potrafił pan rozgryźć. A tam przecież, jak to się mówi, wszystko jest jasne. Przestępstwa nie było, o to może pan być spokojny.

– Ale przecież... mnie rozliczać będą! Raport muszę złożyć, sprawozdanie... I co teraz będzie?

– O, to jest konkretna rozmowa. – Kriwoszein znowu usiadł na krześle. – Zaraz wyjaśnię, jak było. Proszę zapamiętać odnośnie podobieństwa szkieletu do mnie. Szkielet ten to relikwia rodzinna. Mój dziad ze strony matki, Andriej Kotlar, znany w swym czasie biolog, w swej ostatniej woli życzył sobie, aby go nie grzebano, lecz spreparowano i szkielet przekazano tym potomkom, którzy pójdą drogą naukową. Dziwactwo starego uczonego, rozumie pan? Poza tym na szkielecie, jak mi wiadomo, stwierdziliście złamania żeber po stronie prawej, co, rzecz jasna, budzi wątpliwości... A więc: dziad zginął w wypadku drogowym. Staruszek uwielbiał jeździć na motocyklu z niedozwoloną szybkością. Teraz jasne?

– Jasne – skinął szybko głową Onisimow.

– No i dobrze. Mam nadzieję, że ta... relikwia rodzinna po zamknięciu sprawy zostanie zwrócona właścicielowi. Podobnie jak i inne „dowody rzeczowe”, wzięte z pracowni. Przyjdzie czas, panie kapitanie – Kriwoszeim zawiesił głos – przyjdzie czas, kiedy głowa ta znajdzie się nie u pana na stole, a na pomniku... No, na mnie czas, Mam nadzieję, że wszystko wyjaśniłem. Niech pan zwróci mi, z łaski swojej, dokumenty Krawca. Dziękuję bardzo. Aha, jeszcze jedno: sierżant, którego był pan uprzejmy postawić na warcie przed pracownią, prosi, aby go zmienić. Niech pan będzie łaskaw zwolnić go sam... Powodzenia!

Kriwoszeim wsunął dokumenty do kieszeni i skierował się ku drzwiom. Ale po drodze olśniła go myśl.

– Niech pan posłucha – powiedział wracając do biurka – proszę nie obrazić się za to, co zaproponuję, ale czy nie zechciałby pan zmyśleć? Będzie pan szybko kojarzył, myślał szeroko i głęboko. Będzie pan widział nie tylko dowody, ale nauczy się pan wnikać w istotę rzeczy i zjawisk, zrozumie pan samą duszę ludzką! I zaczną panu przychodzić do głowy wielkie idee, takie, od których aż dech zapiera... Widzi pan, życie już jest skomplikowane, a będzie się komplikować coraz bardziej. Jedynym sposobem na to, aby stanąć na wysokości zadania, to rozumieć wszystko. I to jest możliwe! Chce pan? Mogę to zrobić.

Twarz Onisimowa drgnęła z oburzenia i spurpurowiała.

– Kpicie sobie... – powiedział ciężko. – Mało wam tego, że... to jeszcze kpicie sobie. Idźcie już, obywatelu!

Kriwoszeim wzruszył ramionami, odwrócił się ku drzwiom.

– Poczekajcie!

– Co takiego?

– Poczekać chwilę, obywatelu... Kriwoszein. No, dobrze: nie rozumiem. Może rzeczywiście taką nauką się zajmujecie... Waszą wersję przyjmuję, nic innego mi nie pozostało. Możecie myśleć o mnie, co wam się podoba, wasza sprawa... – Onisimow w żaden sposób nie mógł przewyciężyć urazy. Kriwoszein zmarszczył się: po co on to wszystko mówi? – A tak po prostu: przecież człowiek zginął! Kto tu zawinił?

Doktorant spojrział na niego uważnie.

– Wszyscy po trochu, panie kapitanie. I on sam, i ja, i Azarow, i inni... i nawet odrobinę pan, choć go pan nie znał: choćby przez to, że nie znając sprawy, zawodowo podejrzewał pan ludzi. A formalnie, według kodeksu karnego – nikt. Bywa i tak.

– No, zdaje się, że i ta sprawa załatwiona – z ulgą powiedział do siebie doktorant wsiadając do trolejbusu.

„Jutro eksperyment. A właściwie nie jutro, lecz dzisiaj w nocy, za siedem czy osiem godzin. Przed poważnym zadaniem nigdy nie chce mi się spać, a wyspać się jednak trzeba. Dlatego chodziłem i jeździłem dzisiaj po mieście ze cztery godziny, żeby się zmęczyć i oderwać. I gdzie też mnie nie nosiło: byłem i w centrum, i na przedmieściach, w parkach, na dworcu autobusowym, oglądałem ludzi, domy, zwierzęta, drzewa. Przyjmołem defiladę Życia.

...W słonecznej spiekocie nadszedł kuśtykając wychudły staruszek z pożółkłymi ze starości wąsami i czerwoną pomarszczoną twarzą. Na szarej satynowej koszuli podzwaniały trzy Krzyże

Świętego Jerzego i medal na pasiastej wstędze.

Staruszek przystanął w cieniu lipy, aby zaczerpnąć tchu.

Tak, dziadku, było się kimś. Długo żyłeś, wiele przeżyłeś, a wciąż ci mało – widzicie go, jak się wystroił – z orderami! Gdyby tak wlać siłę w twoje mięśnie, przejaśnić zmętniałe soczewki oczu, usunąć sklerozę, odnowić nerwy – pokazałbyś, gdzie raki zimują, nam, młodym ludziom epoki sputników!

...Pętają się chłopcy rozmawiając o filmie.

- A on w niego – trach! – z atomowego pistoletu!
- A oni ta-ta-ta... tach!
- Iii... Z atomowego?!
- A niby z jakiego? Na Wenus – i ze zwykłego?!

...Kot patrzy na mnie niespokojnymi oczami. Dlaczego koty mają takie niespokojne spojrzenie? Wiedzą o czymś? Wiedzą, ale nie powiedzą... «Psik, draniu!» Kot zniknął w cieniu bramy.

...Przemaszerował okazały młody człowiek o niskim czole pod jasną szczoteczką włosów. Spodnie oblepiają silne łydki i uda, koszulka aż trzeszczy na potężnej klatce piersiowej, na jego twarzy widać, że ha wszystkie problemy życiowe może odpowiedzieć prawym prostym albo rzutem przez głowę. A my wszystkim zrobimy takie mięśnie, wszystkim wprowadzimy informację o boksie i o dżudo – i jak wtedy będzie z tym prawym prostym?

...W parku Szewczenki minął mnie chłopiec z dziewczyną. Trzymali się za ręce nie dostrzegając niczego dokoła.

Wam, zakochani, nasze odkrycie nie jest potrzebne! I bez niego jesteście dla siebie dobrzy. Powodzenia! Ale w życiu różnie bywa. Na waszą miłość czyhają niebezpieczeństwa: szara codzienność

życia, niezrozumienie, rozsądek, krewni, przesyty, czyż to mało? Jeżeli pokonacie to wszystko sami, cześć wam i chwała. Ale jeśli przegracie, nie traćcie nadziei: wyremontujemy waszą miłość, naprawimy tak, jak naprawia się telewizor. Będzie jak nowa, taka, jak w tym dniu, kiedy po raz pierwszy zobaczyliście się w kolejce do kina.

...A jaką damę spotkałem w pobliżu domu towarowego na prospekcie! Potężne ciało wbite w suknię z brokatu, złota brosza, naszyjnik ze sztucznego bursztynu, pod pachami i na plecach plamy potu wielkości talerza. Błękitny brokat mieni się wszystkimi odcieniami sztormowego morza.

Droga pani! Jak można w taki upał wciskać się w brokat? Mąż pani pewnie nie kocha, prawda? Pewnie ze zgrozą patrzy na pani ramiona, grube jak jego uda, na ten garb tłuszczu na grzbiecie... Jest pani nieszczęśliwa... Nie żal mi pani, ale rozumiem. Mąż nie kocha, dzieci nie szanują, lekarze nie współczują, a sąsiedzi... Ach, ci sąsiedzi! No dobrze, wymyślimy coś i dla pani. Ostatecznie i pani ma prawo do dodatkowej dawki szczęścia. Oczywiście w kolejności. Ale à propos szczęścia, ma pani niepokojące upodobania. Nie, oczywiście rozumiem, wbiła się pani w ten niewygodny brokat, obwiesiła się kolczykami, złotą broszą i naszyjnikiem, nanizła na palce grube pierścienie, aby udowodnić, że nie jest pani gorsza od innych, że stać panią na wszystko... Ale niech pani wybaczy, na nic panią nie stać. I niech pani się decyduje – trzeba będzie naprawić nie tylko ciało, ale także i upodobania, i umysł, i uczucia. Za te same pieniądze, proszę się nie niepokoić. Inaczej nie warto – roztrwoni pani swoją odzyskaną urodę i świeżość po restauracjach i balach, rozmieni je pani na

kochanków... czy warto się wysilać? Prawdziwe piękno, droga pani, to harmonia ciała, umysłu i ducha.

Dwie ładne dziewczyny przeszły i nie spojrzały na mnie. Bo i po co mają na mnie patrzeć? Niebo bez chmurki, słońce stoi wysoko, egzaminy zdane. A tym trolejbusem można dojechać do plaży.

...Malec, którego zamknęli w domu, przyłgnął nosem do szyby. Spozstrzegł, że na niego patrzę, i wykrzywił się do mnie. Ja się też do niego wykrzywiłem. Na to on urządził całą pantomimę...

Kocham życie, bardzo kocham życie! I nie trzeba mi lepszego, niech będzie takie, jakie jest, tylko żeby... Co tylko żeby? Co? A niech cię!...

O to właśnie chodzi, żeby było lepsze. Dużo złego dzieje się na świecie.

Pójdę więc. Nie zdradziłem was, ludzie. Wiele będzie można dokonać dzięki temu odkryciu. Będzie można dodać ludziom piękna i rozumu, zaszczepić im nowe zdolności, a nawet nowe cechy biologiczne. Można będzie, na przykład, zrobić tak, że człowiek uzyska zmysł radiowy, będzie widział w ciemności, słyszał ultradźwięki, wyczuwał pole magnetyczne, emitował sygnały radiowe, mierzył czas bez chronometru z dokładnością do ułamków sekundy, a nawet odczytywał myśli na odległość. Chcecie? Wszystko to zresztą nie jest chyba najważniejsze.

Ważne jest to, że pójdę. Jeśli się nie uda, pójdzie następny, a po nim jeszcze następny... Tak właśnie będzie!"

– Nikt nie zginął, do diabła! – trzęsąc się w trolejbusie, szeptał doktorant nieposłusznymi wargami. – Nikt nie zginął...

„...Idę, Życie! Dzięki ci, losie, czy jak tam cię zwać, za wszystko, czym mnie obdarzyłeś. Aż strach pomyśleć, że mogłem poprzestać na małym i zadowolić się odcinaniem kuponów. Niech będą w moim życiu sprawy i ciężkie, i straszne, kłopoty i cierpienia, byle tylko nie było miałkości. Obym nigdy nie poprzestał na walce o dobrobyt, pomyślność, na lęku o własną skórę, gdy chodzi o ważne sprawy.

Noc mija, a spać się nie chce i nie chce. Głupie to zajęcie – sen. Tego też chyba można się pozbyć. Powiadają, że w Jugosławii jest taki dziwak, który nie śpi już od trzydziestu lat, a wciąż jest w dobrej formie

«Północ! Spijcie spokojnie, mieszkańcy Madrytu! Cziczcie króla i królową! I oby diabeł nie znalazł się na waszej drodze...» Tak, w tych czasach czekałby mnie stos – i po wszystkim!

Nie, nie śpijcie spokojnie, ludzie. Nie cziczcie ani króla, ani królowej! I niech diabeł znajdzie się na waszej drodze – to nic strasznego. Kiedy byłem chłopcem, marzyłem (o czym to ja nie marzyłem), że gdy będę musiał iść, aby wykonać poważne, ryzykowne zadanie, porozmawiam na pożegnanie z ojcem. Nie miałem poważnych zadań. Nie doczekał się ojciec. Cóż, spróbujemy teraz.

– Widzisz, tato, jutro mnie wypadnie stać na przedpiersiu okopu. Bałeś się wtedy?

– Jak by ci tu odpowiedzieć? Trochę się oczywiście bałem... Do niemieckich okopów ze czterysta metrów, trafić we mnie łatwo.

Bratanie się wtedy nie było takie powszechne, trochę strzelali. Parę razy i do mnie strzelili, wśród Niemców też różni byli ludzie. Ale nie trafili. Może postraszyć tylko chcieli...

– A co to za kara jakaś dziwna – stać na przedpiersiu?

– Rząd Tymczasowy wprowadził. Specjalnie dla tych, co agitowali przeciw wojnie imperialistycznej. «Ach tak, to oni wszyscy twoi bracia-robotnicy i bracia-chłopi?! Zobaczymy, jak będą do ciebie kropić.» I na dwie godziny. A innych nawet na cztery.

– Sprytnie, nie ma co mówić... Tato, a czy wiedziałeś... że... że ci nie wierzę?

– Wiedziałem, synku... Ale to nic. Czasy były takie paskudne. Ja sam nie zawsze sobie wierzyłem... A ty co tam wymyśliłeś?

– Doświadczenie związane ze sterowaniem informacją we własnym organizmie. W jego wyniku człowiek powinien uzyskać sposób analizy i syntezy swego ustroju, psychiki, pamięci... rozumiesz?

– Zawsze ty, Walka, mądrze gadasz. Nie rozumiem ja tej waszej nauki. Kiedyś to z zawiązanymi oczyma rozkładałem i składałem maksyma. A tego nie rozumiem... Co to da?

– Widzisz... Ty na przykład walczyłeś o powszechną równość, prawda? Pierwszy etap tej idei już się dokonuje, znikają różnice między biednymi i bogatymi, między silnymi i słabymi. Społeczeństwo daje teraz jednakowe możliwości wszystkim. Ale oprócz różnic istniejących w społeczeństwie są różnice istniejące w samych ludziach. Głupiec nie jest równy utalentowanemu, brzydki – pięknemu, a chory i kaleka – zdrowemu... A jeśli mi się powiedzie, każdy

człowiek będzie mógł stać się takim, jakim zechce – rozumnym, pięknym, młodym, uczciwym...

– Młodym, rozumnym, pięknym – to jasne. Wszyscy będą chcieli. Ale być uczciwym – to trudna sprawa. Najtrudniej być uczciwym.

– Ale jeśli będzie wiedział dokładnie, że jedna informacja doda mu podłości i cwaniactwa, a inna – uczciwości i szlachetności, to przecież nie będzie się wahał, co wybrać?!

– Jak by to powiedzieć... Są ludzie, dla których ważne jest tylko, aby w cudzych oczach wyglądali na uczciwych, bo wtedy to nawet kraść można, byle nie nakryli. Tacy wybiorą cwaniactwo.

– Wiem... Nie mówmy teraz o nich, tato. Jutro doświadczenie.

– To właśnie ty musisz tam iść? Uważaj, synku...

– A kóżby inny? Powiedz, a ty mogłeś zeskoczyć do okopu?

– Na dole dwaj oficerowie pilnowali. Od razu by mnie wykończyli.

– A ubłagać ich nie mogłeś?

– Pewnie, że mogłem. Wystarczyło tylko powiedzieć, że nie będę już agitował, że pójdę od bolszewików, zaraz by się zgodzili.

– To czemu nie powiedziałeś?

– Ja – im?! Nawet do głowy mi nie przyszło. O czym innym myślałem: że jeśli mnie postrzelą, to koniec z brataniem na naszym odcinku.

– A czemu tak myślałeś? Tak bardzo kochałeś ludzi? A przecież zabijałeś ich – i przedtem, i później.

– I ja zabijałem, i mnie zabijali – czasy były takie.

- No to czemu?
- Twardy byłem wtedy, pewnie dlatego. Bardzo twardy wtedy byłem. Myślałem, że sam stoję przeciw całej wojnie.
- No więc widzisz, tato, ja teraz też jestem taki twardy.
- Pewnie, jak już trafiłeś na przedpiersie, trzeba stać twardo. To prawda. Tylko ty swoich spraw z tym okopem nie równaj, synku. Ja przecież nawet tych dwu godzin nie wystąpiłem. Komitet żołnierski ogłosił alarm batalionu, oficerów wykończyli i koniec... A tobie ma kto pomóc?

Na to pytanie nie miałem odpowiedzi i wymyślona rozmowa skończyła się.

No, wystarczy. Pora spać! Kukułko, kukułko, ile lat będę żył?”

Rozdział szósty

- Tam jacyś z Ziemi przylecieli, wasza ekscelencjo.
- Z Zie-mi?... Zie-mia, Ziemia, hm...
- To ta planeta, gdzie skomponowano „Zemstę nietoperza”, wasza ekscelencjo.
- Aha! Tram-tiri-tiri, tram-tiri-riri, tram-pam-pam-pam! Świetny kawałek. Przyjmijcie ich tam według trzeciej kategorii.

Rozmowa we wszechświecie

Doktorant Kriwoszejn wdrapał się na czwarte piętro i wszedł do mieszkania. Wiktor Krawiec i dubel Adam stali pałac na balkonie. Ujrzawszy go wrócili do pokoju. Kriwoszejn popatrzył na nich niewesołym wzrokiem.

– Trzech z jednego strączka. A było czterech... – spojrział na zegarek: czasu jeszcze dość. Usiadł. – Opowiedz, Wiktorze Krawiec, co się tam u was stało?

Krawiec zapalił nowego papierosa i przytłumionym głosem zaczął opowiadać.

...Program doświadczenia był następujący: zanurzyć się w płynie po szyję – skontrolować odczucia – nałożyć „czapkę Monomacha” – znowu skontrolować odczucia – wydać rozkaz „Nie to!” – wejść w kontakt z ciekłym układem – osiągnąć stadium sterowanej przezroczystości – spowodować zrośnięcie złamanych żeber – wykorzystać ten „impuls zadowolenia” dla rozkazu „To” – przywrócić nieprzejrzystość – wyjść z kontaktu z ciekłym układem – opuścić zbiornik.

Cała ta metoda była opracowana i wielokrotnie sprawdzona zarówno przez Kriwoszeina, jak i Krawca przy zanurzaniu kończyn. Przenikanie się wzajemne cieczy i ciała można było łatwo kontrolować i regulować.

– Widzicie, okazuje się, że wewnątrz naszego ciała zawsze są jakieś mniej zdrowe miejsca, drobne zaburzenia czy coś takiego, wiecie, tak jak na skórze, nawet zdrowej, bywają różne pryszczyki, zadrapania, otarcia, miejscowe zapalenia. Nie wiem, jakie to są te wewnętrzne „zadrapania”. Jedno jest pewne, że po pracy w cieczy zawsze czuło się, że ręka czy noga jest zdrowsza i silniejsza.

Ciekły układ likwiduje te drobne zaburzenia. I każdą taką reperację łatwo rozpoznać: świąd w tym miejscu najpierw nasila się, a potem szybko słabnie. A jeśli po zmniejszeniu się świądu posłać „impuls zadowolenia” („To”), maszyna wyłącza ciekły układ z kontaktu z ciałem, ręka czy noga staje się nieprzejrzysta... Chodzi mi

o to, że z metodyką wchodzenia i wyłączania się z kontaktu z układem nie mieliśmy żadnych problemów...

– Dopóki zanurzaliście tylko dziesięć czy piętnaście procent ciała – wtrącił Kriwoszein.

– Tak... Co do tego, że ciało ludzkie w cieczy w stadium stero-
wanej przezroczystości zachowuje normalną spistość mięśni, też
nie mieliśmy żadnych wątpliwości... Ile razy urządzaliśmy „zapasy”
w cieczy: jego ręka (przezroczysta) z moją nieprzejrzystą albo prawa
z lewą, obie przezroczyste. A więc ciekły układ w pełni podtrzymuje
czynności życiowe ciała...

– Części ciała – znowu zaczętnie wtrącił Kriwoszein.

– Tak. Możliwe, że to właśnie na tym polega – westchnął Kra-
wiec.

...Oczywiście, bali się. Co innego zanurzyć w cieczy rękę czy
nogę: można wyciągnąć, jeżeli się poczuje niebezpieczeństwo. W
najgorszym razie człowiek pozostanie bez ręki. Natomiast zanurzyć
się całkowicie w zbiorniku, zdać się całkowicie na złożone, i co tu
mówić, zagadkowe środowisko płynne, z którego człowiek ani nie
ucieknie, ani od którego się nie wykręci – to zupełnie inna sprawa.

Kryli ten lęk przed sobą. Kriwoszein dlatego, że był to strach o
samego siebie. Krawiec – by go niepotrzebnie nie niepokoić.

Ale wszystko było przygotowane starannie i solidnie. Wyregu-
lowali poziom cieczy w zbiorniku tak, aby po zanurzeniu się Kriwo-
szein stał w niej dokładnie po szyję. Naprzeciw zbiornika postawili
wielkie lustro (musieli kupić za własne pieniądze, w magazynie nie
było). W lustrze Kriwoszein mógł obserwować sam siebie i kontro-
lować przemiany we własnym ciele.

Aby maksymalnie zmniejszyć oddziaływanie zakłóceń elektromagnetycznych na „czapkę Monomacha” i układy elektroniczne, postanowili wykonać doświadczenie w nocy, po godzinie drugiej, kiedy wszystkie urządzenia dookoła będą wyłączone, a tramwaje i trolejbusy zjadą do zajezdni.

Kriwoszejn rozebrał się do naga, wszedł po drabince i trzymając się lewą ręką brzegu (prawą miał nie bardzo sprawną po wypadku motocyklowym), wskoczył do zbiornika. Ciecz zafalowała. Stał w niej po szyję, wydawało się, że głowa jest oddzielona od ciała. Krawiec z „czapką Monomacha” stał na drabince.

Kriwoszejn oblizał wargi.

– Słona... – głos miał zachrypnięty.

– Co?

– Ciecz. Jak woda morska.

Oczekali chwilę.

– Chyba wszystko gra. Nic nie czuję, tak jak należało się spodziewać. Dawaj „czapkę”.

– Krawiec mocno wsunął mu na głowę „czapkę Monomacha”, popstrykał wyłącznikami, zszedł na dół. Teraz jego zadaniem było obserwować Kriwoszeina i służyć radą w razie potrzeby, a w przypadku nieprzewidzianych komplikacji pomóc mu wyjść ze zbiornika.

Kriwoszejn jeszcze przez chwilę oswajał się z sytuacją.

– Uczucia znane: swędzenie, pokłuwanie – powiedział – żadnych odkryć. No, to wszystko... życz mi wszystkiego dobrego. Zaczynam się włączać.

– Złam kark, Walka...

– Dobra! Jedziemy...

Więcej nie rozmawiali.

...Ciało Kriwoszeina „wywoływało się” w cieczy jak kolorowy negatyw. Spod purpurowych pożyłkowanych tłuszczem mięśni ukazywały się białe kontury kości i ścięgien. Rytmicznie unosiły się i opuszczały żebra, jak fałdy w miechu kowalskim. Na dwu żebrach Krawiec dostrzegł białe zgrubienia w miejscu złamań. Liliowoczerwone serce na przemian kurczyło się i rozluźniało przetłaczając (dokąd – tego już nie było widać) szkarłatne strumienie krwi.

Kriwoszein nie odrywał wzroku od swego odbicia w lustrze. Twarz miał bladą i skupioną.

Wkrótce mięśnie stały się złocistożółte, można je było rozpoznać tylko po tym, że załamywały światło inaczej niż ciecz.

– I wtedy... – Krawiec potarł mocno skronie, zaciągnął się papierosem – wtedy zaczęły się oscylacje. No, tak jak wtedy, na samym początku z królikami: wszystko w nim zaczęło synchronicznie zmieniać rozmiary i odcienie... Skoczyłem ku niemu: „Walka, co ty robisz?!” Patrzył na mnie, ale nic nie odpowiedział. „Oscylacje! Wyłączaj się!” Próbował coś odpowiedzieć, otworzył usta i nagle wpadł z głową w ciecz! Natychmiast jakoś tak zatrząsł się, zakręcił, kości mu zadrgały... tańczący szkielet z głową w niklowym kołpaku!

Znowu gwałtownie zaciągnął się dymem.

– Jedyne, co można było zrobić, żeby go uratować, to za pomocą „czapki Monomacha” poleceniami „To” i „Nie to” zsynchronizować się z rytmem własnych oscylacji jego ciała, wygasić je i stopniowo doprowadzić do nieprzezroczystości. No, wiecie, zewnętrzne sterowanie, metoda, którą zrealizował ciebie – Krawiec kiwnął w stronę Adama – i mnie...

Zamilkł, zacisnął szczęki.

– Wszystko przez tę świnię Chiłoboka! Właśnie wtedy przydałaby

się rezerwowa „czapka” ZCE-2. Ale o jakim tam ZCE-2 mogła być mowa po obaleniu jego habilitacji! Do więzienia łobuza posadzić, a i to jeszcze mało!...

– Za niewykonanie w terminie zamówienia prawdopodobnie nie dostanie nawet nagany. Co innego, gdyby profesorowi napyskował – uśmiechnął się chłodno Kriwoszejn. – A innego zarzutu postawić mu nie możesz.

– Pozostawała tylko jedna możliwość: zdjąć „czapkę Monomacha” z Walki – ciągnął Wiktor. – Wskoczyłem na drabinkę, zanurzyłem ręce w cieczy – rąbnęło mnie prądem. Sądząc po wrażeniach – czterysta-pięćset woltów, takich napięć w cieczy przedtem nigdy nie było. Wiecie sami: w takich przypadkach ręce odskakują mimowolnie. Rzuciłem się do szafy, nałożyłem rękawice gumowe, znowu do zbiornika, ale Walka był już głęboko, rękawice były za krótkie. Tym razem dostałem tak mocno, że poleciałem na podłogę. Pozostało mi tylko wyrzucić zbiornik... nie mogłem przecież pozwolić, żeby w moich oczach rozpuścił się w cieczy, jak... jak ty – Krawiec spojrzał na Adama. – Przecież ja byłem nim; Kriwoszejnem, kiedy tworzył i rozpuszczał ciebie... (Twarz Adama napięła się.) Poza tym on jeszcze żył... Twarz też się rozpuściła, tylko czapka została na czaszce, ale drgała, więc mięśnie pracowały... Chwyciłem za brzeg zbiornika, zacząłem go rozhuśtywać. Brzegi elastyczne, śliskie, poddawały się... w końcu zwałem go prawie na siebie, zdążyłem się usunąć, tylko twarz i szyję zalał mi strumień cieczy... Przez ten strumień dostałem prądem po raz trzeci... Potem już nic nie pamiętam, ocknąłem się na noszach...

Zamilkł. Milczeli i tamci. Kriwoszejn wstał, w zamyśleniu przeszedł się po pokoju.

– Doświadczenie było ustawione solidnie, trudno cokolwiek zarzucić. W każdym razie wszystko było przemyślane. Przepięstwa nie było, nieszczęśliwego wypadku także nie było, nawet poważnego błędu nie było... Można powiedzieć, że załatwiliście człowieka zgodnie z przepisami! Gdybyś nie wyrzucił zbiornika, rozpuściłby się. Poza zbiornikiem też się rozpuścił, ponieważ przenikająca go ciecz przestała już być organizującym środowiskiem płynnym... Niepotrzebnie pozostał w „czapce Monomacha”, ot co! Po wejściu w kontakt z cieczą mógł sterować sobą i bez niej...

– Jak to! – uniósł gwałtownie głowę Krawiec.

– Tak. Ten głupi kołpak był potrzebny tylko do włączenia się do maszyny-matki i tyle. Potem mózg steruje nerwami bezpośrednio, a nie poprzez przewody i układy... I kiedy zaczęły się spontaniczne oscylacje, „czapka” zgubiła go. Obce ciało w żywej cieczy – to tak jakby niedźwiedzia dźgnąć włócznią!

– Dobrze, ale skąd wzięły się oscylacje? – wtrącił Adam. Zwrócił się do Krawca. – Powiedz, po królikach i... po mnie nie badaliście już tego procesu?

– Nie. W ostatnich doświadczeniach nie dochodziliśmy w ogóle do tego. Mówiłem już, że wszystkie przekształcenia świetnie dawały się sterować percepcją. Pojęcia nie mam, jak on mógł utracić samokontrolę! Stracił głowę? Sam proces przypomina utratę orientacji... Ale dlaczego stracił głowę?

– Przejście ilości w jakość – powiedział Adam. – Póki zanurzaliście do cieczy rękę czy nogę, niewiele było „ognisk zaburzeń” służących jako narzędzie sterowania i kontroli przenikania układu ciekłego z tkankami... Było tak, jak gdyby rozmawiało się z jednym

czy dwoma rozmówcami. A kiedy zanurzył całe ciało... tych ognisk oczywiście było znacznie więcej niż w części ciała i...

– Zamiast rozmowy powstał niezrozumiały gwar – dodał doktorant. – Wtedy stracił głowę. Bardzo możliwe.

– Posłuchajcie no, wy, eksperci-samouki! – ze złością spojrział na nich Krawiec. – Zawsze, kiedy coś dzieje się nie tak, jak powinno, znajduje się mnóstwo ludzi, którzy lubią sobie pogadać, dlaczego tak się stało, i w ten sposób potwierdzić samych siebie. „Przewidywałem! Mówiłem!” Jeśli wybuchnie wojna atomowa, też na pewno znajdą się tacy, którzy, zanim się spalą, zdążą radośnie zawołać: „A nie mówiłem, że będzie wojna atomowa?!” Tacy jesteście pewni, że doświadczenie nie udało się właśnie przez te niedopatrzzenia? Wleziecie do zbiornika, jeśli zostaną usunięte?

– Nie, Wiktorze – powiedział Kriwoszejn – na tyle nie jesteśmy pewni. I nikt z nas już nie wejdzie do zbiornika tylko po to, żeby wykazać swoją rację czy choćby brak słuszności kogokolwiek innego. Nie o to chodzi. Wchodzić, oczywiście, będziemy musieli, i to nie raz: koncepcja jest słuszna. Ale będziemy to robili z minimalnym ryzykiem i maksymalną korzyścią... I całkiem niepotrzebnie się gorączkujesz: skopaliście eksperyment. Taki eksperyment! W dodatku niewiele brakowało, a zmarnowalibyście i pracę, i pracownię. Wszystko było: wielkie koncepcje, heroiczne porywy, odkrycia, rozmyślenia, kwalifikacje... Jednego tylko zabrakło: rozumnej ostrożności! Oczywiście, może nie mam prawa was ganić – sam też nie jestem bez winy, też robiłem poważne doświadczenie na „jakoś to będzie” i o mało się nie wykończyłem... Ale powiedz, co stało na przeszkodzie, żeby wezwać mnie z Moskwy do tego eksperymentu?

Krawiec spojrział na niego ironicznie.

– A w czym byś ty nam pomógł? Odszedłeś przecież daleko od tej pracy.

Doktorantowi zaparło dech: po wszystkich wysiłkach usłyszeć coś takiego!

– Drań jesteś, Witia – powiedział niezwykle łagodnym tonem. – Przykro jest mówić takie rzeczy informacyjnie bliskiemu człowiekowi, ale, niestety, jesteś zwykły sukinsyn. To znaczy, że podsuwać mnie milicji jako „osobnika zastępczego”, żeby samemu uniknąć odpowiedzialności karnej... to było w porządku? Do tego się nadałem, a na współpracownika nie? – Odwrócił się do okna.

– A co tu ma do rzeczy odpowiedzialność karna? – bąknął zmieszany Krawiec. – Musiałem przecież jakoś ratować pracę...

Nagle zerwał się, jakby go coś ugryzło: od okna podchodził ku niemu Onisimow! Adam także drgnął i w oszołomieniu uniósł głowę.

– Niczego nie uratowalibyście, zatrzymany Krawiec – odezwał się nieprzyjemnym głosem Onisimow – gdyby wasz kierownik pracowni nie nauczył się tego i owego w Moskwie. Raczej siedzielibyście na ławie oskarżonych, obywatelu pseudo-Krawiec. Zdarzało mi się wsadzać za kratki mniej od was obciążonych. Jasne?

Tym razem doktorant Kriwoszejn odtworzył własny wygląd w ciągu dziesięciu sekund – wyraźny skutek wprawy.

– To znaczy... że to byłeś ty? Ty mnie zwolniłeś? Czekaj... jak ty to robisz?

– Czyżby biologia?! – poderwał się Adam.

– I biologia, i systemologia... – Kriwoszein spokojnie masował policzki. – Sprawa polega na tym, że w odróżnieniu od was pamiętam, jak byłem maszyną-matką.

– Opowiedz, jak to robisz! – nie rezygnował Krawiec.

– Opowiem, nie denerwuj się, na wszystko będzie czas. Zrobimy seminarium. Teraz będziemy te informacje wykorzystywać w pracy z maszyną-matką. A z wdrażaniem ich w życie trzeba będzie bardzo ostrożnie... – Doktorant spojrzął na zegarek, zwrócił się do Adama i Krawca. – Czas na nas. Idziemy do pracowni. Zanalizujemy doświadczenie na miejscu.

– To dopiero... och, ci uczeni! – śmiał się i kiwał głową komendant oddziału miejskiego milicji, kiedy Onisimow złożył mu ostateczne sprawozdanie dotyczące okoliczności zajścia w Instytucie Systemologii. – To znaczy, że podczas gdy pobieraliście próbki i rozmawialiście z profesorem, „trup” wylazł spod ceraty i poszedł się umyć?

– Tak jest... On był nie całkiem przytomny po uderzeniu w głowę, towarzyszu pułkowniku.

– Jasne! Mógł jeszcze więcej narozrabiać. A obok szkielet... to dopiero! Teraz widzicie, co to znaczy źle zbadać miejsce zajścia, towarzyszu Onisimow – pułkownik pouczająco uniósł palec. – Nie wzięliście pod uwagę specyfiki. To nie wyjazd do wypadku drogowego czy do topielca, to jest pracownia naukowa! Tam u nich zawsze pokręcone. Nauka! Nie popisaliście się, kapitanie!

„Opowiedzieć mu całą prawdę? – ponuro pomyślał Onisimow. – Nie. Nie uwierzy...”

– A co tam lekarz pogotowia nachrzaniła? Żywego człowieka uznać za nieboszczyka! – rozmyślał głośno pułkownik. – Czuję, że u

nich z procentem wyleczeń też chyba nie najlepiej. Spojrzała – pacjent marny, tak czy owak umrze na oddziale, to niech chociaż statystyki nie psuje.

– Może po prostu omyliła się, towarzyszu pułkowniku – wielkodusznie ujął się za lekarką Onisimow. – Wstrząs, głęboka nieprzytomność, uszkodzenia ciała. No i...

– Być może. Szkoda, że naszego Zubato tam nie było: ten przynajmniej zawsze po plamach opadowych bezbłędnie rozpoznaje. Tak... No, trudno, dobrze byłoby tą sprawą podciągnąć sobie trochę procent wykrywalności, bardzo by się nam to przydało na koniec półrocza, ale niech go diabli... Najważniejsze, że wszyscy żywi, zdrowi, wszystko w porządku. Co prawda – podniósł wzrok na Onisimowa – były tam jakieś niejasności z dokumentami tego Krawca. No i co?

– Biegły ani wymazań, ani podklejeń, ani poprawek w dokumentach nie stwierdził, towarzyszu pułkowniku. Dokumenty jak dokumenty. Może to charkowska milicja coś tam pokręciła?

– E, niech się o to Biuro Dowodów Osobistych martwi, a nie my – machnął ręką pułkownik. – Przestępstwa człowiek nie popełnił, i w porządku. No, ale wy, kapitanie, wy! – Pułkownik odchylił się w fotelu. – Organom chcieliście przekazywać... ładnie byśmy teraz przed nimi wyglądali! A nie mówiłem, że najtrudniejsze sprawy okazują się najprostsze!

I dobroduszne zmarszczki jak promyczki otoczyły maleńkie, mądre oczka pułkownika ocienione gęstymi brwiami.

Było południe. Szli przez osiedle. Adam po prawej, Kriwoszejn

środkiem, Krawiec po lewej. Miękki od upału asfalt ugiął się pod nogami.

– A jednak teraz będziemy mogli pracować z sensem – rozprawił Kriwoszejn. – Sporo dowiedzieliśmy się, wielu rzeczy nauczyli. Teraz krystalizuje się wyraźny kierunek. Wiktor, czy Adam opowiedział ci o swojej koncepcji?

– Opowiedział...

– A co ty jakoś tak... obojętnie?

– Jeszcze jeden sposób. No i co?

Adam nachmurzył się, ale nie powiedział nic.

– Nie, dlaczego? Maszyna-matka wprowadza informację trwale i na długo, na całe życie, a nie na czas trwania seansu. Informacja artystyczna będzie mogła zmienić psychikę człowieka, poprawić ją, no, powiedzmy tak, jak została ulepszona twoja powierzchowność w porównaniu z moją! Oczywiście, to poważna sprawa, nie to, co pójść do kina. Będziemy uczciwie uprzedzać: człowieku, po naszym zabiegu raz na zawsze przestaniesz kłamać, gnębić słabszych, robić podłości, i to nie tylko aktywnie, ale również biernie – powstrzymując się od uczciwego postępowania. Nie gwarantujemy, że po zabiegu będziesz szczęśliwy w sensie zaspokojenia swoich potrzeb i zmysłów. Życie stanie się jaśniejsze, ale i trudniejsze. Ale za to będziesz Człowiekiem!

– Dobrze! –ze smakiem powiedział Krawiec. – Sposób na odzyskanie utraconej niewinności!

– A to niby dlaczego? – jednocześnie zawołali Adam i Kriwoszejn.

– Dlatego że w istocie macie zamiar za pomocą informacji artystycznej uprościć i sztywno zaprogramować ludzi! Choćbyście

programowali dobro: uczciwość, ofiarność, piękne drgnienia duszy, to i tak nie będzie to człowiek, ale robot! Jeśli człowiek nie kłamie i nie podgryza drugich dlatego, że nie potrafi tego zrobić, to żadnej jego zasługi w tym nie ma. Pożyje, przyswoi dodatkową informację, nauczy się i zacznie kłamać i świnić. To żadna sztuka. Ale jeśli umie kłamać, wycwaniać się i robić świństwa (a wszyscy to umiemy, tylko nie przyznajemy się) i wie, że zastosowanie tych życiowych działań spowoduje, że będzie mu „lepiej i wygodniej, ale nie robi tego... i nie robi nie ze strachu, ale dlatego, że rozumie, że i jego, i cudze życie od tego staje się gorsze – to dopiero wtedy jest Człowiekiem.

– Bardzo to zawikłane – zauważył Kriwoszejn.

– Ludzie też nie są prości, robią się coraz bardziej skomplikowani, a uprościć ich w żaden sposób się nie da. Jak możecie tego nie rozumieć? Nic na to się nie poradzi. Ludzie wiedzą, że podłość istnieje na świecie, i biorą to pod uwagę w swych myślach, słowach i postępkach. Żebyś wprowadzał nie wiem jak szlachetnie ukierunkowaną informację i obojętnie, w jaki sposób, ona i tak jeszcze bardziej ich skomplikuje. I to wszystko!

– Poczekaj – powiedział ponuro Adam. – Wcale nie trzeba koniecznie upraszczać ludzi, żeby byli lepsi. Masz rację, człowiek to nie robot i ograniczyć go przy pomocy sztywnego „programu szlachetności” nie można. Nawet więcej: nie należy. Ale można przy pomocy informacji artystycznej wprowadzić ostre rozróżnienie tego, co jest dobre na większą skalę, a nie tylko wygodne, a co złe.

– Ale cele, zamierzenia nie zmieniają się i wszystko będzie im podporządkowane. A narzucać celu (nawet szlachetnego)

człowiekowi nie wolno, przecież to jest droga do szlachetnego robota. – Krawiec spojrział na dubli i uśmiechnął się. – Obawiam się, że samą techniką tu się nic nie zrobi... Czy nie przychodzi wam do głowy, że nasze poszukiwania „absolutnej” metody pochodzą nie z rozumu, ale z głębokiej „inżynierskiej” wiary, że nauka i technika mogą wszystko? A tymczasem one wcale wszystkiego nie mogą i idąc tą drogą nigdzie nie dojdziemy. Ja widzę inny kierunek: z naszych badań z czasem powstanie nowa nauka – Doświadczalne i Teoretyczne Człowiekoznawstwo. Nauka wielka i potrzebna, ale tylko nauka. Dziedzina wiedzy, która powie: oto czym jesteś, człowieku. Powstanie Człowiekotechnika... W tej chwili to na pewno brzmi przerażająco: technika syntezy i wprowadzania informacji do organizmu ludzkiego. Obejmie ona wszystko: od medycyny po matematykę, od elektroniki do sztuki, ale mimo to będzie to tylko technika. Technika, która powie: człowieku, w ten sposób możesz zmieniać samego siebie. A wtedy niech każdy myśli i decyduje: czego chcę? Czego żądam od siebie samego?

Słowa Wiktora zrobiły wrażenie. Przez jakiś czas wszyscy trzej szli w milczeniu, zagłębieni w myślach. Osiedle pozostało za nimi. Z daleka widniał park i budynki Instytutu, a za nimi – ogromna stalowo-szklana hala doświadczalna Biura Konstrukcyjnego.

– Chłopcy, a jak teraz będzie z Leną? – zapytał Adam i spojrział na Kriwoszeina. Spojrział na niego i Krawiec.

– Będzie, jak było – zdecydowanym tonem powiedział tamten. – Dla niej nic się nie zmieniło, jasne?

Adam i Krawiec nic nie odpowiedzieli. Weszli w kasztanową aleję, bardziej ocienioną i chłodniejszą.

– „Oto czym jesteś, człowieku. Oto ile możesz, człowieku. Czegoż chcesz od siebie samego, człowieku?” – powtarzał Kriwoszejn. – Efektownie powiedziane! Bardzo efektownie! Gdybym miał dużo pieniędzy, postawiłbym w każdym mieście obelisk z napisem: „Ludzie! Unikajcie płytkich pewników życiowych, które zawierają tylko półprawdy! Nie ma nic bardziej kłamliwego i niebezpiecznego od płyciutkich pewników życiowych, albowiem są one przystosowane nie do życia, ale do naszych mózgów!”

Krawiec spojrział na niego z ukosa.

– Do czego pijesz?

– Do tego, że twoje wady, Wiciuniu, są właściwie przedłużeniem twoich zalet. Wydaje mi się, że Krtwoszejn-pierwowzór trochę z tobą przedobrzył. Ja osobiście nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego ludzie o dobrze rozwiniętej umiejętności logicznego myślenia są zwykle utożsamiani z mądrymi...

– A może byś trochę konkretniej!

– Mogę konkretniej, Witeczku. Zacząłeś dobrze: człowiek jest skomplikowany i wolny, nie należy go upraszczać i programować, powstanie Człowiekoznawstwo i Człowiekotechnika – i doszedłeś do wniosku, że do nas należy posuwanie naprzód tej nauki i techniki, a od reszty powinniśmy się odizolować. Niech ludzie decydują sami. Wniosek dla nas bardzo wygodny, nie do odparcia. Ale zastosujmy twoją teorię do innej sytuacji. Istnieje na przykład nauka o jądrze atomowym i technika jądrowa. Istniejesz ty, przepełniony najlepszymi zamiarami przeciwnik broni jądrowej. Dano ci całkowitą swobodę rozwiązania tego problemu: dostałeś klucze od wszystkich magazynów z bronią jądrową, wszystkie kody i szyfry, otrzymałeś prawo wstępu do wszystkich zakładów atomowych i działaj!

Adam roześmiał się cicho.

– No i jakże wykorzystasz te wspaniałe możliwości ratowania świata? Wiem jak: będziesz stał na środku magazynu nuklearnego i ryczał z przerażenia.

– Dlaczego mam akurat ryczeć?

– Dlatego, mój drogi, że ni cholery się na tych sprawach nie znasz tak samo jak inni na naszych sprawach... Tak, będzie taka nauka i taka technika. Ale tutaj pierwszymi specjalistami jesteście my. A specjalista oprócz obowiązków ogólnoludzkich ma jeszcze dodatkowe: odpowiada za swoją naukę i wszelkie jej zastosowania! Dlatego że w ostatecznym rozrachunku on wszystko to robi za pomocą swoich koncepcji, swojej wiedzy, swoich decyzji. On i nikt inny! A więc czy chcesz, czy nie chcesz, ale kierować rozwojem nauki o syntezie informacji musimy my.

– No, powiedzmy... – Krawiec nie poddawał się. – Ale jak nią kierować? Przecież absolutnie niezawodny sposób zastosowania odkrycia z korzyścią dla człowieka, na który przysięgaliśmy rok temu – nie istnieje!

– Patrzcie, chłopcy – powiedział cicho Adam.

Wszyscy trzej spojrzeli w lewo. Na ławce pod drzewem siedziała dziewczynka. Koło niej leżał tornister, a obok stały kule. Cienkie nogi w czarnych pończochach były nienaturalnie powykęcane. Promyki słońca, przenikające między liśćmi, iskrzyły się na jej ciemnych włosach.

– Idźcie, dopędzę was – Kriwoszejn podszedł do niej i usiadł obok na brzegu ławki. – Dzień dobry, mała!

Ze zdziwieniem spojrzała na niego dużymi, jasnymi, ale wcale nie dziecinnymi oczami.

– Dzień dobry...

– Powiedz mi... – Kriwoszein uśmiechnął się tak dobroduszenie i mądrze, jak tylko potrafił, żeby nie wzięła go za pijanego i nie przełękała się – tylko nie zdziw się, dobrze? – czy w twojej szkole plują do ucha człowiekowi, który nie dotrzymał słowa?

– Nie-e-e – bojaźliwie odpowiedziała dziewczynka.

– A za moich czasów pluli, był taki barbarzyński zwyczaj... I wiesz co? Słowo ci daję: nie minie rok, a będziesz zdrowa i piękna. Będziesz biegać i skakać, jeździć na rowerze, kąpać się w Dnieprze... Wszystko będzie! Obiecuję. Jeśli skłamię, możesz mi napluć do ucha!

Dziewczynka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech.

– Ale... u nas przecież nie plują. Nasza szkoła to taka...

– Rozumiem! Takich szkół też nie będzie, będziesz biegała do zwykłej. Zobaczysz! Naprawdę

Nie miał nic więcej do powiedzenia, ale dziewczynka patrzyła na niego tak sympatycznie, że trudno mu było odejść.

– Ja się nazywam Sasza. A pan?

– Wala... Walentin Wasiliewicz.

– A ja wiem, pan mieszka pod trzydziestym trzecim. A ja pod trzydziestym dziewiątym, o dwa domy dalej.

– Tak, tak... No, muszę już iść. Do pracy.

– Na drugą zmianę?

– Tak, na drugą. No, wszystkiego dobrego, Sasza. Do widzenia.

– Do widzenia...

Kriwoszein wstał, uśmiechnął się, uniósł głowę, zmrużył oczy: nie łam się, patrz weselej! Wszystko będzie dobrze! Dziewczynka w

odpowiedzi też uniosła głowę, zmrużyła oczy i uśmiechnęła się: wcale się nie łamię... Mimo wszystko odszedł z uczuciem, że opuścił człowieka w nieszczęściu.

Aleja wychodziła na ulicę. Za ostatnimi kasztanami migały samochody. Skręcając w ulicę wszyscy trzej obejrżeli się: dziewczynka odprowadzała ich wzrokiem. Pomachali jej rękami, a ona uśmiechnęła się i też pomachała cienką rączką.

– Widzisz, Witku – Kriwoszejn objął Krawca za ramiona – widzisz, Witeczku, ja cię jednak lubię, draniu, chociaż nie ma za co. Dobrze byłoby złożyć ci skórę pasem wojskowym, tak jak tata nas swego czasu łoił, tyłkoś strasznie duży i poważny... wyrosłeś...

– Odchrząń się! – uwolnił się Krawiec.

– Widzisz, Witia, co do tego „guzika szczęścia” to miałeś rację, to faktycznie było skrzywienie zawodowe. Ludzie w ogóle spodziewają się po technice tylko tego, że pozwoli im mniej wymagać od siebie samych... Śmieszne! Łatwo zbudować „guzik szczęścia” dla szczura: wprowadzić mu elektrodę do ośrodków nagrody w mózgu, i niech sobie naciska łapą kontakt. Człowiekowi takie szczęście chyba nie wystarczy... Istnieje jednak sposób uzyskania szczęścia. Nie „guzikowy” i nie matematyczny. Ale istnieje. I empirycznie powoli go opanujemy. To, że suszymy sobie głowy nad tym, jak zastosować odkrycie z korzyścią dla ludzi, a nie tylko dla siebie, jest częścią tego sposobu. I to, że Adam potrafił przezwyciężyć samego siebie i wrócić z dobrą koncepcją – też z niego się wywodzi. I to, że Walka zdecydował się na eksperyment, wiedząc, na co idzie – też. Oczywiście, gdyby go lepiej przygotował, być może nic by mu się nie stało, ale z drugiej strony nikt z nas nie ma gwarancji ani na nieomyślność,

ani na uniknięcie smutnego końca. Taką już mamy pracę! I to że Walka wybrał właśnie kierunek syntezy człowieka – chociaż syntezyzowanie układów mikroelektronicznych byłoby nieporównanie prostsze i bardziej opłacalne – też jest częścią tego sposobu. I to, że nagromadziliśmy wiedzę na temat odkrycia – także. Teraz już nie jesteśmy nowicjuszami i dyletantami. Ani w pracy, ani w dyskusji nikt nas nie zagnie. My sami zagniemy każdego. A w uczciwej dyskusji wiedza jest podstawową bronią.

– A w nieuczciwej?

– W nieuczciwej też się przyda. Chiłoboka przycisnęliśmy właśnie tym sposobem. Wyszliśmy z trudnej sytuacji i uratowaliśmy pracę także tym sposobem. Możemy wiele, nie oszukujmy się: potrafimy pracować i walczyć, a nawet prowadzić własną politykę. Pewnie, lepiej byłoby zawsze i ze wszystkimi postępować po dobremu, ale jeśli nie można, to będziemy i „po złemu”... Adam, daj papierosa, skończyły mi się.

Kriwoszejn zapalił i ciągnął:

– W przyszłości też musimy się kierować tą empiryczną metodą i w nauce, i w życiu. Przede wszystkim musimy pracować razem. Najstraszniejsza rzecz dla nas to samotność. Sami widzicie, do czego doprowadziła... Będziemy skupiać wokół naszej pracy mądrych, uczciwych, silnych i wiele wiedzących ludzi. Do wszystkiego: do badania i do organizowania pracy. Żeby na żadnym etapie ręka drania, głupca czy chciwca nie tknęła naszego odkrycia. Żebyśmy mieli kogo wezwać, jeśli trzeba będzie ogłosić alarm! Przyjdzie i Azarow, i Androsjaszwili – upatrzyłem sobie takiego jednego. I Walerkę Iwanowa też spróbujemy zachęcić... Jeśli w ten sposób zorganizujemy pracę, wtedy wszystko będzie „to”: i metoda dublowania ludzi, i

dublowanie z korekcją, i przekształcanie informacyjne zwykłego człowieka...

– Ale mimo wszystko to nie jest rozwiązanie techniczne, stu-procentowej pewności nie mamy – powiedział z uporem Krawiec. – Oczywiście, spróbować można.

Myślisz, że Azarow przyjdzie do nas?

– Przyjdzie, a cóż może innego zrobić? Tak, to nie jest rozwiązanie techniczne, ale organizacyjne. I wcale nie jest proste, nie ma w nim tak pożądanej przez nas logicznej jednoznaczności. Ale innego rozwiązania nie ma... Zbierzemy najzdolniejszych badaczy, konstruktorów, lekarzy, artystów, rzeźbiarzy, psychologów, muzyków, pisarzy, mądrych ludzi – przecież wszyscy oni wiedzą coś o człowieku i o życiu. Zacniemy wdrażać odkrycie od małych, najpotrzebniejszych rzeczy: leczenia chorób i kalectw, udoskonalania powierzchni i psychiki... A potem stopniowo, zbierzemy informację do uniwersalnego programu maszyny matki, aby wprowadzić do mózgu ludzkiego wszystko, co najlepsze w dorobku ludzkości.

– UPDC – rzekł Wiktor. – Uniwersalny Program Doskonalenia Człowieka. Ładne! No, no!

– Trzeba próbować – powiedział stanowczo Adam. – Tak, stu-procentowej pewności nie ma, nie wszystko możemy. Może nawet nie wszystko się uda. Ale jeśli nie będziemy próbować, dążyć do tego, to wtedy na pewno nic z tego nie wyjdzie! I wiecie, wydaje mi się, że to nawet nie jest taka ogromna robota. Najważniejsze, żeby w ciągu jednego czy dwu pokoleń popchnąć proces rozwoju człowieka we właściwym kierunku, a potem wszystko pójdzie nawet bez maszyny.

„Wszystko się tam znajdzie – przypomniał się doktorantowi ostatni zapis dziennika – śmiałość pełnych polotu koncepcji i dziecinne zdumienie nad skomplikowaną wspaniałością świata, ryk oceanu w czasie sztormu i mądre piękno przyrządów, wielkie cierpienia miłości i radość bliskości fizycznej, gniew walki o słuszną sprawę i upojenie ciekawą pracą, błękitne niebo i zapach rozgrzanej trawy, mądrość starości i spokój wieku dojrzałe i nawet pamięć nieszczęść i błędów, żeby się nie powtórzyły! Wszystko: wiedza o świecie, wzajemne porozumienie ludzi, umiłowanie pokoju i wytrwałość, marzycielstwo i trzeźwy sceptycyzm, wielkie plany i umiejętność ich realizowania. W gruncie rzeczy dla udoskonalenia życia dokonano już wiele – do zrobienia pozostało znacznie mniej!

Niech ludzie będą tacy, jakimi chcą być. Niech tylko chcą!”

Słońce paliło złotym żarem. Szumiały i warczały przejeżdżające samochody. Ospale wlekli się przechodnie. Na skrzyżowaniu milicjant dyrygował ruchem.

Mocno wbijając obcasy w asfalt trzech inżynierowie szli do pracy.